

Wyobraź sobie, że cały Twój świat staje na głowie...



PRZYWRÓCENI

j a s o n m o t t

Rozdział 1

Harold otworzył drzwi i ujrzał ciemnoskórego mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze, który się do niego uśmiechał. W pierwszym odruchu chciał sięgnąć po strzelbę. Przypomniawszy sobie jednak, że Lucille zmusiła go przed laty, by ją sprzedał w związku z pewnym incydentem dotyczącym wędrownego kuzyna, a także awanturą wynikłą z polowania na psy.

– Czym mogę służyć? – spytał, mrużąc w słońcu oczy, co sprawiło, że ciemnoskóry w garniturze wydał mu się jeszcze ciemniejszy.

– Pan Hargrave? – spytał nieznajomy.

– Wszystko na to wskazuje – odparł.

– Kto tam jest, Haroldzie? – rozległo się z salonu wołanie Lucille, która z przejęciem oglądała program telewizyjny. Prezenter „Wiadomości” mówił o Edmundzie Blicie, pierwszym z tych, którzy powrócili, i o tym, jak teraz, gdy dostał nową szansę, patrzy na wszystko inaczej.

– A więc lepiej jest za drugim razem? – zwrócił się prezenter do kamery, przerzucając ciężar odpowiedzi na widzów.

W liściach dębu na podwórzu zaszeleścił wiatr. Promienie nisko stojącego słońca padały niemal poziomo i, przenikając przez gałęzie, oslepiały Harolda. Uniósł rękę nad oczy, próbując je osłonić, lecz nieznajomy mężczyzna i towarzyszący mu chłopiec wciąż wyglądali jak ciemne sylwetki naklejone na zielono-błękitne tło sosen za podwórzem i bezchmurnego nieba nad nimi. Mężczyzna był szczupły, lecz barczysty, co podkreślał jeszcze krój jego garnituru, a chłopiec mały na swoje – jak oceniał Harold – osiem lub dziewięć lat.

Zamrugał, usiłując dostosować wzrok do światła na dworze.

– Kto tam jest? – zawołała ponownie Lucille, nie słysząc odpowiedzi na poprzednie pytanie.

Harold znieruchomiał na progu swego domu, a jego oczy mrugały jak światła awaryjne, z rosnącą uwagą wpatrując się w małego przybysza. Synapsy mózgu gwałtownie się ocknęły, uświadamiając mu, kim jest chłopiec stojący obok ciemnoskórego nieznajomego. W przekonaniu, że zmysły go zawodzą, zaczął ponownie wszystko obliczać. I po raz drugi uzyskał ten sam wynik.

Na ekranie telewizora w salonie kolejne ujęcie kamery przedstawiało wymachujący pięściami, rozwrzeszczany tłum, a wśród niego ludzi z transparentami, którzy wznosili okrzyki. Potem kamera przesunęła się na uzbrojonych żołnierzy

stojących nieruchomo i pełnych dystansu, jak przystało tym, którzy dysponują władzą i amunicją. W centrum całego tego widowiska widniał mały bliźniaczy domek Edmunda Blithe'a. Zastony w oknach były zaciągnięte.

Lucille potrzęsnęła głową.

– To niewiarygodne – mruknęła, po czym znów zawołała: – Kto przyszedł, Haroldzie?

Jej mąż znieruchomiał na progu domu, intensywnie wpatrując się w chłopca. Błady, piegowaty malec z niesforeną czupryną kasztanowych włosów miał na sobie dzinsy i niemodny T-shirt. Jego oczy wyrażały ogromną ulgę. I nie były to oczy martwe, lecz żywe i pełne łez.

– Co ma cztery nogi i woła „muu”? – spytał drżącym głosem.

Harold przełknął ślinę, nawet teraz nie mając pewności.

– Nie wiem.

– Krowa, która ma katar.

I wtedy, nim stary człowiek zdążył coś wykrztusić, dzieciak objął go w pasie, łkając: „Tato! Tato!”. Harold oparł się o framugę, z trudem utrzymując się na nogach, lecz dawno uśpiony instynkt ojcowski ocknął się w nim nagle i skłonił do pogłaskania dziecka po głowie.

– Cicho – wyszeptał. – Cii...

– Harold? – zawołała Lucille, tym razem odrywając się od telewizji, ogarnięta nagłym lękiem. – Co się dzieje? Kto tam jest?

Jej mąż zwilżył wargi.

– Tu jest... Tu jest...

Chciał powiedzieć „Joseph”. Ale w końcu wykrztusił:

– Jacob.

Szczerliwym trafem kanapa stała tak blisko, że gdy Lucille padała zemdlona, osunęła się wprost na miękkie poduszki.

Jacob William Hargrave zmarł 15 sierpnia 1966 roku. Dokładnie w dniu swych ósmych urodzin. Przez wiele następnych lat mieszkańcy miasteczka rozmawiali o jego śmierci, gdy późną nocą nie mogli zasnąć. Przewracając się w łóżkach, budzili współmałżonków i zaczynali szeptem rozmowy o niepojętych wyrokach losu, powtarzając, że tym bardziej należy doceniać jego błogosławieństwa. Czasem zrywali się, by wejść na palcach do sypialni dzieci, a potem, stojąc w progu, patrzyli, jak śpią, i cicho dumali nad planami Stwórcy, który postanowił zabrać z tego świata inne dziecko.

Byli przecież Południowcami z małego miasteczka. Jak więc w obliczu takiej tragedii mogli nie kierować myśli ku Bogu?

Po śmierci Jacoba jego matka, Lucille, mówiła, że wiedziała, iż stanie się coś strasznego. Noc wcześniej nawiedził ją sen, w którym utraciła wszystkie zęby. A przecież dawno temu słyszała od własnej matki, że stanowi to zapowiedź śmierci.

Przez całe przyjęcie urodzinowe uważnie obserwowała nie tylko syna i inne dzieci, ale również każdego z przybyłych gości. Fruwała między nimi jak nerwowy wróbelek, pytając, jak się bawią i czy niczego im nie brak. Jednych zapewniała, że schudli od czasu, gdy ostatnio ich widziała, a podchodząc do innych, nie posiadała się ze zdumienia, jak bardzo wyrosły ich dzieci. Niekiedy przystawała, by wyrazić zachwyt piękną pogodą. Tak zresztą było w istocie. Słońce zalewało ogrody i wszystko wokół tonęło w soczystej zieleni.

Dreńczący ją niepokój potęgował jeszcze jej dbałość o gości. Pilnowała, by wszystkie dzieci najadły się do syta i by nikt nie poczuł się zaniedbany. Zdołała nawet namówić Mary Green, by zaśpiewała pod koniec przyjęcia. Kobieta miała cudowny głos i gdyby Jacob był nieco starszy, można by pomyśleć, że się w niej podkochuje. Fred, mąż Mary, często sobie z tego pokpiwał. Tak, to był dobry dzień. Do chwili, gdy Jacob zniknął.

Wymknął się niezauważony, tak jak potrafią to tylko dzieci i istoty z bajki. Pomiędzy trzecią i wpół do czwartej – jak Harold i Lucille zeznawali później na policji – z niepojętych powodów ruszył przez podwórze w stronę sosnowego zagajnika i dalej, przez las nad rzekę, w której utonął, nikogo nie pytając o zgodę i nikogo nie przepaszając.

Kilka dni wcześniej, zanim przedstawiciel Biura stanął w ich drzwiach, Harold i Lucille zastanawiali się, co by zrobili, gdyby wśród Przywróconych znalazł się także ich syn.

– To nie są ludzie – oświadczyła Lucille, wykręcając sobie palce. Stali na ganku przed domem, w miejscu gdzie rozgrywały się zawsze wszystkie ważne sprawy.

– Przecież nie moglibyśmy go wyrzucić – obruszył się Harold, tupiąc nogą, a niebawem ich dyskusja stała się bardzo głośna.

– To nie są ludzie – powtórzyła Lucille.

– Nie? A co? Warzywa? Czy minerały? – Harold gwałtownie łąknął papierosa. Pomagało mu to zawsze zyskać przewagę w dyskusjach z żoną, co, jak podejrzewał, było głównym powodem, dla którego tak ostro zwalczała jego nałóg.

– Jesteś niepoważny, Haroldzie Nathanielu Hargrave. A to nie są żarty.

– Niepoważny?

– Tak, niepoważny. Zawsze byłeś niepoważny. Masz do tego wrodzoną skłonność.

– Brawo! Jaki to ja byłem wczoraj? Zaraz... aha, „zbyt gadatliwy”, no a dziś jestem niepoważny. Czy tak?

– Nie kpij, gdy próbuję się poprawić. Wciąż nie tracę rozumu, a nawet mam go więcej. I nie zmieniaj tematu.

– Niepoważny... – Harold wypowiedział to tak gwałtownie, że lśniące krople śliny spadły na poręcz ganku. – Ha!

Lucille przeczekwała ten wybuch.

– Nie wiem, kim są – ciągnęła. Wstała, a potem znów siadła. – Wiem tylko, że to inne istoty niż ty i ja. To... są... – przerwała. Szukała właściwego określenia, formułując je starannie, sylaba po sylabie. – To diabły – wyrzuciła w końcu. A potem się wzdrygnęła, jakby samo to słowo mogło ją zaatakować. – Powrócili tutaj, żeby nas zabić. Albo wodzić na pokuszenie. A gdy martwi powrócą na ziemię, nastąpi kres dni. Tak głosi Biblia.

Harold prychnął, wciąż dotknięty jej zarzutami. Sięgnął do kieszeni.

– Diabły? – powtórzył, wyrażając myśl w chwili, gdy wyczuł zapalniczkę. – Diabły to przesąd. Produkt ograniczonych mózgów i jeszcze bardziej ograniczonej wyobraźni. To słowo, które należy usunąć ze słownika. Ha! Właśnie ono jest niepoważne. I nie ma nic wspólnego z naszą rzeczywistością. Ani z tymi, którzy tu powracają. Nie wygaduj bzdur, Lucille Abigail Daniels Hargrave. To są ludzie. Mogą do ciebie podejść, a nawet cię pocałować. Nigdy nie widziałem diabła, który by tak robił... Chociaż zaraz, zanim cię poślubiłem, pewnego wieczoru spotkałem w Tulsie blondynkę, która bez trudu mogłaby być diabłem, a już na pewno diabolicą.

– Przestań! – warknęła tak głośno, że sama się zdumiała. – Nie będę tego słuchać.

– To znaczy czego?

– To nie byłby nasz chłopiec. – Wymawiała słowa coraz wolniej w miarę, jak ogarniała ją świadomość ich powagi, a wraz z nią powracała pamięć o utraconym synu. – Jacob odszedł do Pana. – Tak mocno zacisnęła dłonie leżące na kolanach, że aż zbieleły.

Zapadła cisza.

– Gdzie to jest? – zapytał po chwili Harold.

– Co?

– Gdzie to jest w Biblii?
– O co ci chodzi?
– Gdzie Biblia mówi, że zmarli powrócą na ziemię?
– W Apokalipsie! – Rozpostarła ramiona, jakby nie było głupszego pytania. –
Wiadomo, że w Apokalipsie! Zmarli powrócą na Ziemię. – Machała w powietrzu
zaciśniętymi w pięści dłońmi, jak czasem widuje się w filmach.

Harold parsknął śmiechem.

– A w której to części? Podaj mi wers i akapit.
– Przestań! – odparła. – Ważne, że tam jest. I koniec.
– Tak, proszę pani. – Pokiwał głową. – Nie chciałbym być niepoważny.

* * *

Kiedy jednak diabeł stanął w drzwiach – ich własny i wyjątkowy, mały i cudowny, taki sam jak przed laty, z brązowymi oczyma mokrymi od łez radości i ulgi, jaką doznaje dziecko, które na zbyt długo pozbawiono rodziców i skazano na opiekę obcych – wtedy... no cóż, Lucille, która ocknęła się z omdlenia, zmiękła jak воск. Wszystko to działo się na oczach starannie odzianego i ostrzyżonego przedstawiciela Biura. On jednak dobrze wiedział, jak się zachować. Na jego twarzy pojawił się zawodowy uśmiech, gdyż zapewne w ostatnich tygodniach był wielokrotnie świadkiem podobnych scen. Przedstawił się wprawdzie imieniem i nazwiskiem, ale Harold i Lucille nigdy nie pamiętali nazwisk, a tym bardziej teraz, gdy odzyskali utraconego syna. Nazwali go zatem Mężczyzną z Biura.

– Powstały grupy wsparcia – powiedziała. – Dla Przywróconych, a także dla ich rodzin. – Uśmiechnął się. – Znalezione go... w Chinach, w małej rybackiej wiosce niedaleko Pekinu. Jak mi powiedziano, siedział na brzegu rzeki, próbując złowić rybę lub coś w tym rodzaju. Miejscowi, z których żaden nie znał angielskiego na tyle, by chłopiec mógł ich zrozumieć, zapytali go w dialekcie mandaryńskim o imię, jak do nich przybył, skąd pochodzi i o wszystko, o co pyta się zgubione dziecko. Kiedy stało się jasne, że dzieli ich bariera języka, grupa kobiet zaczęła uspokajać malca, jak potrafiła, lecz on się rozplakał. Czy to zresztą dziwne? – Mężczyzna znów się uśmiechnął. – Był tak daleko od Kansas. Jednak po pewnym czasie zdołał się zadomowić w obcym otoczeniu. A potem znalazł urzędnika, który znał angielski i... – Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że dalsza część historii jest dobrze znana. Na koniec dodał: – To samo dzieje się wszędzie.

Znów umilkł. Obserwował z niewymuszonym uśmiechem, jak Lucille roztkliwia się nad odzyskanym dzieckiem. Przyciskała je do piersi i całowała w czubek głowy, a potem ujęła jego twarz w dłonie i, to śmiejąc się, to płacząc, obsypała ją pocałunkami.

Jacob reagował na swój sposób, śmiejąc się i chichocząc, nie uchylał się jednak przed czułościami matki, choć w jego wieku byłoby to zupełnie normalne.

– To niezwykley czas dla nas wszystkich – oświadczył Mężczyzna z Biura.

Kamui Yamamoto

Mosiężny dzwonek zadzwieczał, gdy wchodził do całodobowego sklepu przy stacji benzynowej. Ktoś, kto właśnie odjeżdżał spod dystrybutora, nie mógł go zobaczyć. Krępy, zaczerwieniony mężczyzna za ladą przerwał rozmowę z wysokim chudzielcem i obaj wbili wzrok w przybysza. Słysząc było jedynie cichy szum ład chłodniczych. Kamui nisko się uklonił, a mosiężny dzwonek zadzwieczał ponownie, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Mężczyzna za ladą wciąż się nie odzywał.

Kamui po raz drugi uklonił się z uśmiechem.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, a dwaj przy ladzie aż podskoczyli. – Poddaję się. – Podniósł ręce.

Ten z czerwoną twarzą powiedział coś, czego Kamui nie mógł zrozumieć. Spojrzał na chudego, a wtedy obaj jednocześnie zaczęli mówić, zerkając na boki. Potem zaczerwieniony wskazał drzwi. Kamui obrócił się, ale dostrzegł tylko pustą ulicę i wschodzące nad nią słońce.

– Poddaję się – powtórzył.

Zakopał swój pistolet pod jednym z drzew na skraju lasu, gdzie znalazł się przed kilku godzinami, podobnie jak wielu innych. Zdjął górę munduru i czapkę, by je tam zostawić, i teraz, o świcie, stał na maleńkiej stacji benzynowej jedynie w podkoszulku, spodniach i wypucowanych butach. Wszystko po to, by uniknąć śmierci z rąk Amerykanów.

– Yamamoto *desu* – oznajmił. – Poddaję się.

Człowiek o czerwonej twarzy znów coś powiedział, tym razem głośniej. Potem zaś jego rozmówca też zaczął mówić, a raczej krzyczeć, wskazując drzwi.

– Poddaję się. – Kamui coraz bardziej się obawiał podniesionych głosów. Chudy złapał puszkę z wodą sodową stojącą na ladzie i cisnął nią w przybysza, a gdy chybił, wrzasnął, ponownie wskazując drzwi, i zaczął się rozglądać za czymś, czym znów

mógłby rzucić.

– Dziękuję – zdołał wykrztusić Kamui, choć wiedział, że nie o to mu chodzi. Miał bardzo ograniczony zasób angielskich słów. Zaczął się cofać. Mężczyzna z czerwoną twarzą sięgnął pod ladę i znalazł kolejną puszkę. Rzucił ją, wściekle rycząc. Trafiła przybysza tuż nad lewą skronią, tak że ten osunął się w tył, na drzwi. Zadźwięczał mosiężny dzwonek.

Facet z czerwoną twarzą ciskał kolejne puszkę, a chudzielec wrzeszczał i szukał przedmiotów, którymi sam mógłby atakować. Kamui wycofywał się ze stacji z podniesionymi rękami na dowód, że nie jest uzbrojony i chce jedynie oddać się pod opiekę władz. Serce omal nie wyskoczyło mu z gardła.

Tymczasem słońce wstało i rzucało na miasto pomarańczowy blask. Krajobraz tchnął spokojem.

Strużka krwi spływała mu z boku głowy, a on szedł ulicą z podniesionymi rękami.

– Poddaję się! – wołał, budząc mieszkańców i żywiąc nadzieję, że ci, którzy go zobaczą, pozwolą mu żyć.

Rozdział 2

Oczywiście nawet cudem przywrócenie do życia podlegają biurokracji. Międzynarodowe Biuro do spraw Przywróconych dostawało fundusze szybciej, niż mogło je wykorzystać. I nie było na całej planecie kraju, który nie chciałby sięgnąć do skarbcza tych rezerw, a nawet się zadłużyć, by zyskać pomoc Biura – jedynej organizacji na świecie zdolnej koordynować wszystko i wszędzie.

Ironia losu polegała na tym, że nikt z pracowników tej instytucji nie wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Cała ich działalność sprowadzała się tylko do liczenia Przywróconych i kierowania ich do domów. Nic więcej.

Kiedy po półgodzinie emocje w końcu opadły i na progu małego domu Hargrave'ów ucichły powitalne okrzyki i czułości, zaprowadzono Jacoba do kuchni, gdzie mógł wreszcie usiąść przy stole i nadrobić wszystkie stracone posiłki. Tymczasem przedstawiciel Biura usiadł w salonie wraz z Haroldem i Lucille, wyjął z brązowej skórzanej aktówki stertę papierów i zabrał się do roboty.

– Kiedy dokładnie zmarła przywrócona do życia osoba? – spytał, po raz drugi w tym dniu przedstawiając się jako agent Martin Bellamy.

– Czy musimy tak mówić? – Lucille głęboko wciągnęła powietrze i usiadła wyprostowana. Odzyskała pełen wyższości, władczy wygląd, gdyż udało jej się przyglądzić długie srebrne włosy, rozsypane w nieładzie przy witaniu syna.

– Jak mówić? – spytał Harold.

– Chodzi o słowo „zmarła” – wyjaśnił agent Bellamy.

Lucille skinęła.

– Co jest niewłaściwego w słowie „zmarła”? – Harold nie dawał za wygraną, a jego głos brzmiał głośniejszy, niżby sobie życzył. Jacob wciąż znajdował się w polu widzenia, choć poza zasięgiem słuchu.

– Cicho bądź!

– On umarł – powiedział. – Nie ma sensu udawać, że to się nie stało. – Nie zauważył nawet, że ściszył głos.

– Pan Bellamy rozumie, o co mi chodzi. – Lucille z dłońmi splecionymi na kolanach co kilka sekund zerknęła na Jacoba, jakby był świecą w domu pełnym przeciągów.

Agent się uśmiechnął.

– Rozumiem – potwierdził. – W gruncie rzeczy to bardzo częste. Powinienem być

bardziej taktowny. Zaczniemy od początku, dobrze? – Spojrzał na swój kwestionariusz.

– Kiedy przywrócona do życia osoba...

– Skąd pan pochodzi?

– Słucham?

– Skąd pan pochodzi? – Harold stanął przy oknie, patrząc na błękitne niebo. – Ma pan nowojorski akcent.

– To dobrze czy źle? – zdziwił się Bellamy, jakby nie pytano go o to setki razy, odkąd dostał skierowanie do stanowego Biura w Karolinie Północnej.

– Gorzej być nie może – odparł Harold – ale jestem człowiekiem wyrozumiałym.

– Jacob... – przerwała mu Lucille. – Proszę nazywać go Jacob. To jego imię.

– Tak, proszę pani. – Agent skinął głową. – Przepraszam, powinienem o tym pomyśleć.

– Dziękuję panu. – Głęboko odetchnęła i rozprostowała zaciśnięte w pięści dłonie. – Dziękuję, agencie Bellamy – powtórzyła.

– Kiedy Jacob odszedł? – spytał miękko.

– Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku – odparł Harold, który skierował się do drzwi. Niespokojnie zwilżał usta, a jego ręce gorączkowo wędrowały od kieszeni starych, znoszonych spodni do wyschniętych warg, nie znajdując ulgi – i papierosa – tu ani tam.

Agent Bellamy zaczął sporządzać raport.

– Jak to się stało?

W owym pamiętnym dniu, w którym wszyscy rzucili się do szukania chłopca, imię „Jacob” brzmiało jak zaklęcie. W regularnych odstępach czasu rozlegało się wołanie: „Jacob! Jacob Hargrave!”. Najpierw nawoływali jedni, a gdy już zdarli gardła, podejmowali je drudzy.

Początkowo głosy zlewały się ze sobą w kakofonii lęku i rozpacz. Kiedy jednak mimo upływu czasu wciąż nie znajdowano chłopca, mężczyźni i kobiety z grupy poszukującej zaczęli go wołać na zmianę. Nie ustawali dopóty, aż słońce przybrało barwę złota i zaczęło chylić się ku zachodowi, najpierw zapadając za wysokie drzewa, a na koniec ginąc w niskich krzewach.

Wszyscy wlekli się do domu jak pijani – wykończeni przedzieraniem się wśród gęstwiny ciernistych krzewów i sparaliżowani lękiem. Fred Green szedł obok Harolda.

– Znajdziemy go – powtarzał raz po raz. – Czy widziałeś wyraz jego oczu, kiedy rozpakował wiatrówkę, którą mu dałem? Widziałeś kiedyś tak podnieconego dzieciaka?

– sapał Fred, a stopy piekły go jak ogień ze zmęczenia. – Znajdzie się – mówił, kiwając głową. – Znajdzie.

Zapadła noc i teraz ciemny krajobraz Arcadii, pełen krzewów i sosen, oświetlało tylko światło latarek.

Gdy zbliżyli się do brzegu, Harold pomyślał, że dobrze zrobił, skłaniając Lucille, by została w domu.

– On może wrócić – przekonywał. – I będzie szukał mamy. – Wiedział, choć nie wiadomo, skąd to można wiedzieć, że znajdzie syna w rzece.

Wszedł po kolana do wody, wolno, krok po kroku, wołając chłopca po imieniu i przystając, by nasłuchiwać, na wypadek gdyby ten był w pobliżu. Potem znów wołał, robił kolejny krok, wzywał go ponownie, wciąż i wciąż od nowa.

Kiedy w końcu zobaczył ciało, księżyc zalewał je niezmierną srebrną poświatą. Miała barwę lśniącej toni.

– O Boże! – wyszeptał. I wtedy po raz ostatni wypowiedział te słowa.

Opowiadał teraz tę historię, słysząc nagle w swym głosie upływ wszystkich minionych lat. Był to głos starego człowieka, szorstki i ochrypły. W miarę jak mówił, raz po raz podnosił suchą, pomarszczoną dłoń, by przesunąć nią po kilku cienkich, siwych pasmach włosów, które przylegały do czaszki.

Jego ręce pokrywały wątrobiane plamy, a stawy palców zgrubiały za sprawą artretyzmu, który niekiedy dawał mu się we znaki. Nie doskwierał, co prawda, tak silnie, jak to się zdarza ludziom w jego wieku, wystarczająco jednak, by przypomnieć, jakim skarbem jest młodość, która dawno odeszła. Nawet teraz, w chwili gdy to mówił, czuł w kręgosłupie kłujący ból.

Był niemal łysy. Miał plamistą skórę, dużą, okrągłą głowę i pomarszczone, obwisłe uszy, no i te ubrania... Wisiały na nim bez względu na to, jak bardzo Lucille starała się znaleźć coś, w czym dobrze by wyglądał. Tak, nie miał wątpliwości – był starym człowiekiem.

W niewytłumaczalny sposób powrót Jacoba – tak młodego i pełnego życia – uświadomił Haroldowi jego wiek.

Lucille, równie stara i siwa jak on, co chwila patrzyła w bok, obserwując swego ośmioletniego synka, który siedział przy stole i wcinał kawał ciasta pekanowego, jak gdyby znów był rok 1966, nic złego się nie stało i nigdy nie miało stać. Od czasu do czasu odsuwała z twarzy pasmo srebrnych włosów, ale widok pomarszczonej, pokrytej plamami dłoni wcale jej nie peszył.

Byli jak para wychudzonych, ruchliwych ptaków. Lucille w ostatnich latach stała się wyższa niż on. Harold najwyraźniej kurczył się szybciej od żony, tak że teraz musiał podnosić głowę, gdy się sprzeczali. Wiele jego ubrań trzeba było wyrzucić, co kładła na karb wieloletniego nałogu palenia. Jej sukienki nadal dobrze na niej leżały. Miała szczupłe, długie ręce, wciąż zwinne i sprawne, podczas gdy jego ręce, ukryte pod rękawami zbyt obszernych koszul, nadawały mu wygląda chuderlawego słabeusza. Ostatnio często sobie z tego pokpiwała. Sprawiało jej to satysfakcję i wcale nie miała wyrzutów sumienia, choć czasami myślała, że powinna je mieć.

Agent Bellamy pisał tak długo, aż w końcu zdrętwiała mu ręka; na moment przerwał, a potem zaczął od nowa. Początkowo myślał o nagraniu tej rozmowy, uznał jednak, że najlepiej wszystko notować. Ludzie czuli się urażeni, jeśli przedstawiciel władz nie sporządzał w takich okolicznościach pisemnego raportu. Zresztą i jemu to odpowiadało. Zawsze wolał widzieć to, co napisane, niż słyszeć, jak brzmi. Gdyby nawet nie spisał wszystkiego na bieżąco, musiałby zrobić to później.

Bellamy zanotował całą historię, poczynając od przyjęcia urodzinowego w 1966 roku. Opisał rozpacz i poczucie winy Lucille, która jako ostatnia widziała Jacoba żywego. Zapamiętała tylko, jak mignęła jej przed oczyma jedna z jego bladych rąk, gdy śmignął za róg domu w pogoni za jakimś dzieckiem. Bellamy nie omieszkał zapisać, że na pogrzeb przyszło więcej osób, niż mógł pomieścić kościół.

Ale pewne fragmenty pominął. Istniały bowiem szczegóły, które – wiedziony poczuciem taktu – zachował jedynie w pamięci, nie powierzając ich biurokratycznej dokumentacji.

Harold i Lucille przeżyli śmierć chłopca z najwyższym trudem. Na kolejnym półwieczu ich życia ciążył pewien szczególny rodzaj samotności – tak bezwzględnej, że zjawiała się nieproszona podczas niedzielnych obiadów i podejmowała niepożądane kwestie. Nigdy jej nie określili i unikali rozmów na jej temat. Skradali się tylko wokół niej, wstrzymując oddech, dzień w dzień, jak gdyby bomba atomowa – zredukowanych rozmiarów, lecz nie mniej skomplikowana i śmiertelna – nagle pojawiła się w środku salonu i zastygła w bezruchu, potwierdzając najbardziej złowieszcze i wymyślne spekulacje na temat zła wpisanego w naturę świata.

W pewnym sensie była to prawda.

Przez wszystkie te lata nie tylko nawykli do tego, by kryć się przed własną samotnością, lecz wręcz nabyli w tym wprawy. Przerodziło się to w rodzaj gry. Nie mów o Truskawkowym Festynie, bo Jacob go uwielbiał; nie patrz na budynek, który ci się podoba, bo przypomnisz sobie, jak mówiłeś, że kiedyś będzie architektem; nie

przyglądaj się dzieciom, w których twarzach ujrzysz jego twarz.

Co rok, gdy nadchodził dzień urodzin syna, posepnieli i przestawali się odzywać. Lucille czasami płakała bez powodu, a Harold palił więcej niż kiedy indziej.

Ale tak było tylko na początku. W pierwszych smutnych latach.

Z czasem zaczęli się starzeć.

Zamykały się kolejne drzwi.

Mijały lata i tragiczna śmierć Jacoba stała się tak odległą, że gdy ten pojawił się w drzwiach – uśmiechnięty, wciąż chłopięco zwinny i nietknięty upływem czasu, wciąż ten sam ośmioletni, ukochany syn – wszystko tak się zatarło, że Harold zapomniał jego imienia.

Kiedy Harold i Lucille przestali mówić, w pokoju zapadła cisza. Pomimo całej powagi sytuacji nie trwała jednak długo. Zakłóciły ją odgłosy z kuchni, gdzie siedział przy stole Jacob, skrobiąc widelcem po talerzu, głośno łykając lemoniadę i z satysfakcją bekając.

– Przepraszam! – krzyknął w stronę rodziców.

Na twarzy Lucille pojawił się uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć to pytanie – podjął rozmowę Bellamy – i proszę nie traktować tego jako próby oskarżenia. Po prostu musimy je zadawać, by lepiej zrozumieć te... wyjątkowe okoliczności.

– No to się zaczyna – powiedział Harold. Jego ręce w końcu przestały szukać nieistniejącego papierosa i utkwily w kieszeniach. Lucille natomiast lekceważąco machnęła.

– Jak układały się wasze stosunki z Jacobem przedtem? – spytał Bellamy.

Harold parsknął. Doszedł w końcu do wniosku, że prawa noga utrzyma jego ciężar lepiej niż lewa. Spojrzał na Lucille.

– Zapewne w tym momencie powinniśmy wyznać, że to my doprowadziliśmy do tego. Tak jak to robią w telewizji. Powinniśmy powiedzieć, że doszło do awantury i nie daliśmy mu kolacji czy coś w tym rodzaju.

Podszedł do małego stolika w holu, stojącego naprzeciw drzwi frontowych. W górnej szufladzie leżała nieotwarta paczka papierosów.

Lucille zareagowała, zanim jeszcze odwrócił się do salonu.

– Nawet nie próbuj!

On jednak otworzył pudełko z mechaniczną precyzją, jakby nie używając własnych rąk, i nie zapalając papierosa, wsunął go między wargi. Potem podrapał się po

pomarszczonej twarzy i długo, powoli się zaciągnął.

– Tego właśnie potrzebowałem – oświadczył. – To wszystko.

Agent podjął łagodnie:

– Nie próbuję twierdzić, że ktokolwiek doprowadził waszego syna... Zabrakło mi eufemizmów. – Przerwał i się uśmiechnął. – Ja tylko pytam. Nasze Biuro, podobnie jak wszyscy, stara się usilnie zgłębić przyczynę tych wydarzeń. Organizujemy wprowadzić akcję łączenia Przywróconych z ich rodzinami, ale to nie znaczy, że dysponujemy szerszą wiedzą na temat zjawiska powrotów. Ani jego przyczyn. – Wzruszył ramionami. – Najważniejsze pytania pozostają nierozwiązane. Mamy jednak nadzieję, że wnikliwie wszystko badając i podejmując czasem trudne tematy, zdołamy w końcu wyjaśnić niektóre z tych kwestii. Uzyskać kontrolę nad sytuacją, zanim ta wymknie się nam z rąk.

Siedząca na starej sofie Lucille pochyliła się do przodu.

– Jak to się może wymknąć z rąk? Czy to prawdopodobne?

– Całkowicie – oznajmił Harold. – Mogę się założyć o twoją Biblię.

Agent Bellamy potrząsnął tylko głową i z zawodowym spokojem powrócił do zadanego pytania.

– Jak układały się państwa stosunki z Jacobem, zanim wyszedł z domu?

Lucille czuła, że Harold zamierza odpowiedzieć, toteż czym prędzej przemówiła, by nie dopuścić go do słowa.

– Jak najlepiej. Znakomicie. Nie działo się nic niepokojącego. Kochaliśmy go tak, jak tylko rodzice mogą kochać syna. Tak było i tak wciąż jest. Kochamy go, a on kocha nas, i z łaski Pana znów jesteśmy razem. – Potarła szyję i uniosła rękę. – To cud – zakończyła.

Martin Bellamy zanotował.

– A co pan może mi powiedzieć? – zwrócił się do Harolda.

Ten wyjął niezapalonego papierosa z ust, podrapał się po głowie i skinał.

– To samo, co mówiła żona.

Agent zapisał.

– Zadam teraz pytanie, które może zabrzmieć głupio. Czy ktoś z państwa jest religijny?

– O tak! – Lucille gwałtownie się wyprostowała. – Jestem wielbicielką i przyjaciółką Jezusa. Napawa mnie to dumą. Amen. – Wskazała na Harolda. – Ale to jest poganin. Całkowicie zdany na Bożą łaskę. Wciąż mu powtarzam, żeby żałował za grzechy, ale ma upór muła.

Harold zakrztusił się, wydając odgłos starej kosiarki.

– Zajmujemy się religią na zmianę – sprostował. – Na szczęście mimo upływu pięćdziesięciu lat moja kolej wciąż nie nadeszła.

Lucille zamachała rękami.

– Wyznanie? – zapytał agent, wciąż pisząc.

– Baptystka – odparła.

– Od kiedy?

– Przez całe moje życie.

Informacja została zapisana.

– No może niezupełnie – dodała.

Bellamy przerwał.

– Przez pewien czas byłam metodystką. Ale w niektórych sprawach dotyczących porządku świata nie mogłam się zgodzić z pastorem. Próbowalam więc wstąpić do zielonoświątkowców, ale po prostu nie mogłam tam wytrzymać. Za dużo krzyków, śpiewu i tańca. Miałam wrażenie, że jestem na jakiejś imprezie, a nie w domu Pana. To nie przystoi chrześcijaninowi. – Przechyliła się, by sprawdzić, czy Jacob wciąż jest tam, gdzie był. Widząc, że na pół drzemie nad stołem, do czego zawsze miał skłonność, ciągnęła: – A potem przez jakiś czas próbowałam...

– Ten człowiek nie potrzebuje tego wszystkiego – przerwał jej Harold.

– Nie wtrącaj się. Przecież mnie pytał. Prawda, panie Bellamy?

Agent pokiwał głową.

– Tak, proszę pani. Każda informacja może się okazać bardzo ważna. Wiem z doświadczenia, że liczą się szczegóły. Zwłaszcza w sprawie tak dużej wagi.

– Jak dużej? – spytała szybko, jakby tylko czekała na okazję, by się dowiedzieć.

– Chodzi pani o liczbę?

Skinęła twierdząco.

– Nie jest zbyt duża – odparł wyważonym tonem. – Nie upoważniono mnie do podawania dokładnych danych, ale to zjawisko o umiarkowanym zasięgu. Raczej ograniczone.

– W grę wchodzi setki? – Nie dawała za wygraną. – Tysiące? Co to znaczy ograniczone?

– Niedające podstaw do obaw, pani Hargrave. – Bellamy pokręcił głową. – Natomiast na pewno niezwykle.

Harold zachichotał.

– Masz swoje liczby – powiedział.

Lucille tylko się uśmiechnęła.

Do czasu gdy agent Bellamy wszystko opisał, słońce zaszło i zapadła ciemność. Za oknem grały świerszcze, a Jacob spokojnie usnął pośrodku małżeńskiego łóża. Lucille z przepelniającym ją uczuciem szczęścia podniosła chłopca znad kuchennego stołu i przeniosła go do sypialni. Nigdy by nie uwierzyła, że w jej wieku i przy zwyrodnieniu stawu biodrowego znajdzie w sobie siły, by to zrobić.

Ale gdy schyliła się nad stołem, wsuwając ręce pod bezwładne ciało chłopca, ten uniósł się, jakby nic nie ważył i chciał oszczędzić jej wysiłku. Poczuli się tak, jakby znów miała dwadzieścia lat. Była zwinna i młoda, obojętna na upływ czasu, a także na ból, który znała tylko ze słyszenia.

Bez trudu wniosła chłopca po schodach, a gdy otuliła go kołdrą, usiadła na łóżku obok i tak jak dawniej zaczęła cicho nucić. Nie zasnął od razu, ale to jej nie przeszkadzało. Wszystko było w porządku.

Spał już wystarczająco długo.

Przez chwilę siedziała, jedynie patrząc. Obserwowała, jak oddycha, jak jego pierś podnosi się i opada. Obawiała się, że gdy oderwie od niego wzrok, magia tej chwili, a może prawdziwy cud, prysną jak bańka mydlana. Tak się jednak nie stało, a ona nie przestawała dziękować Bogu.

Gdy wróciła do salonu, zastała Harolda i Bellamy'ego pogrążonych w kłopotliwym milczeniu. Jej mąż tkwił w drzwiach, nerwowo zaciągając się dymem, który wypuszczał w ciemne powietrze nocy. Agent natomiast stał obok krzesła, na którym wcześniej siedział. Nagle wydał się jej zmęczony. Zdała sobie sprawę, że od chwili, gdy wszedł, nie zaproponował mu niczego do picia. Zrobiło jej się niewymownie przykro. Jednak patrząc na milczących mężczyzn, miała wrażenie, że czeka ją przykrość znacznie poważniejsza.

– Musisz odpowiedzieć na pewne pytanie, Lucille – odezwał się Harold, drżącą ręką wkładając papierosa do ust. Tym razem pozwoliła na to, nie protestując.

– Jakie?

– Może zechce pani usiąść? – Bellamy wykonał taki ruch, jakby chciał podejść i jej pomóc.

Lucille cofnęła się o krok.

– O co chodzi?

– To trudne pytanie.

– Nic nie może być gorsze niż to, co przeżyliśmy dotąd. A więc słucham.

Harold obrócił się do niej plecami i ze zwieszoną głową cicho wciągał i wydmuchiwał papierosowy dym.

– To pytanie – zaczął agent – początkowo wydaje się wszystkim proste. Zapewniam jednak, że sprawa jest znacznie bardziej poważna i skomplikowana. Mam też nadzieję, że przed udzieleniem odpowiedzi dobrze ją pani przemyśli. Co nie znaczy, że istnieje tylko jedna szansa na odpowiedź. Zależy mi wyłącznie na tym, by miała pani pewność, że decyzja jest rozważna. To będzie trudne, ale jeśli to możliwe, proszę jej nie podejmować pod wpływem emocji.

Lucille poczerwieniała.

– No wie pan! Nigdy bym pana nie posądzała o seksistowskie poglądy. Z faktu, że jestem kobietą, nie wynika, że brak mi rozumu.

– Do diabła, Lucille – warknął Harold, choć jego głos nie brzmiał zbyt pewnie. – Posłuchaj, co ten człowiek chce powiedzieć. – Potem zakaszłał. A może był to szloch?

Usiadła.

Martin Bellamy zrobił to samo. Zdmuchnął ze swych spodni niewidoczny pyłek i przez chwilę przyglądał się dłoniom.

– No dobrze – westchnęła. – Proszę mówić. Te wstępy mnie wykańczają.

– To ostatnie pytanie, jakie zadam pani dziś wieczorem. I nie musi pani odpowiadać na nie zaraz, choć im szybciej, tym lepiej. Niezwłoczna odpowiedź znacznie upraszcza sprawę.

– A więc o co chodzi? – spytała błagalnym tonem.

Bellamy głęboko wciągnął powietrze.

– Czy chce pani zatrzymać Jacoba?

Od tamtej pory minęły dwa tygodnie. Jacob był znów w domu. Pokój gościnny na powrót stał się jego sypialnią, a on powrócił do życia, jak gdyby nigdy go nie utracił. Był młody. Miał matkę. Miał ojca. I na tym kończył się jego świat.

* * *

Od czasu powrotu chłopca Harolda ogarnął niepokój z powodów niezrozumiałych dla niego samego. Zaczął znów palić jak komin, toteż większość czasu spędzał na ganku, by uniknąć nieustannych tyrad Lucille na temat zgubnego przyzwyczajenia.

Wszystko tak szybko się zmieniło. Jak miał się oprzeć nałogowi, być może

niejednemu?

– To są diabły – dźwięczał mu w uszach głos żony.

Padało. Kończył się dzień. Na świat spływała ciemność. W domu z wolna zapadła cisza. Przez szum deszczu słyszał ciche utyskiwanie starej kobiety, która zbyt długo uganiała się za dzieckiem. Wyszła na ganek przez siatkowe drzwi, ocierając pot z czoła, i opadła na bujany fotel.

– Wielkie nieba! – jęknęła. – Ten dzieciak mnie wykończy.

Jej mąż wyjął papierosa z ust i odchrząknął, co robił zawsze, kiedy chciał ją rozzłościć.

– Mówisz o tym diable?

Zaczęła machać rękami.

– Cicho bądź! – syknęła. – Nie waż się nawet tak mówić.

– Sama to powiedziałaś. O nich wszystkich.

Tak długo uganiała się za chłopcem, że wciąż nie mogła złapać tchu. Z trudem dobywała słowa.

– To było dawniej – fuknęła. – Myliłam się. Teraz wiem. – Uśmiechnęła się i zmęczona osunęła na oparcie fotela. – To błogosławieństwo. Pan nam ich zesłał. Dał nam drugą szansę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając, jak jej przyspieszony oddech z wolna się ucisza. Była starą kobietą, choć miała ośmioletniego syna. Łatwo się męczyła.

– Powinieneś spędzać z nim więcej czasu – powiedziała. – Widzi, że traktujesz go z dystansem. Zdaje sobie z tego sprawę. Czuje, że odnosisz się do niego inaczej niż kiedyś. Wtedy gdy był tu poprzednio. – Uśmiechnęła się, bo spodobało jej się to sformułowanie.

Harold potrząsnął głową.

– A co zrobisz, jeśli odejdzie?

Jej twarz stężała.

– Zamilcz! – parsknęła. – „Powściągnij swój język od złego, a twoje wargi od słów podstępnych”. Psalm trzydziesty czwarty, wers trzynasty.

– Nie strasz mnie psalmami. Dobrze wiesz, co o nich mówią, Lucille. Równie dobrze jak ja. Wiesz, że potrafią nagle zniknąć bez śladu. Jakby wołano ich z tamtej strony...

Potrząsnęła głową.

– Nie będę słuchać takich bzdur – oznajmiła i wstała pomimo zmęczenia, które ciążyło jej jak wór mąki.

– To tylko głupie pogłoski. Idę przygotować kolację. Nie siedź tu, bo dostaniesz zapalenia płuc. Ten deszcz cię wykończy.

– Zaraz przyjdę – powiedział.

– Psalm trzydziesty czwarty, wers trzynasty!

Zatrzasnęła za sobą siatkowe drzwi.

Z kuchni dobiegał brzęk garnków i patelni. Trzask otwieranych i zamykanych szafek. Roznosiła się woń gotowanych potraw. A wszystko to mieszało się z zapachem majowego deszczu. Harold niemal zasypiał, gdy usłyszał chłopięcy głos.

– Czy mogę do ciebie wyjść, tato?

Gwałtownie oprzytomniał.

– Co takiego? – spytał, choć dobrze rozumiał pytanie.

– Czy mogę wyjść na dwór? Proszę.

Pomimo wszystkich luk w pamięci dobrze pamiętał, jak zawsze był bezbronny wobec tego „proszę”.

– Twoja matka dostanie ataku serca.

– Tylko na chwileczkę.

Harold przełknął ślinę, by powstrzymać się od śmiechu.

Zaczął szperać w kieszeni, szukając papierosa, lecz na próżno, choć mógłby przysiąc, że miał jeszcze jednego. Przeszukał obie kieszenie. W tej, w której powinien być papieros, znalazł mały srebrny krzyżyk. Dostał go kiedyś w prezencie, ale szczegóły tego wydarzenia zupełnie zatarły mu się w pamięci. Nie pamiętał nawet, że nosił go przy sobie. Teraz jednak gwałtownie zapragnął mu się przyjrzeć, jakby to była mordercza broń.

W miejscu, w którym powinien znajdować się Chrystus, wyryto słowa: „Bóg cię kocha”. Teraz niemal zniknęły, zostało tylko „B” i „C”. Patrzył długo na krzyż, a potem, jak gdyby jego ręka należała do kogo innego, zaczął pocierać go kciukiem.

Jacob stał w kuchni za siatkowymi drzwiami i opierał się o framugę. Z poważną miną, rękami schowanymi do tyłu i skrzyżowanymi nogami sprawiał wrażenie zamyślnego. Jego wzrok przesunął się tam i z powrotem wzdłuż linii horyzontu, gdy patrzył na wiatr i deszcz, a potem na ojca. Głośno wciągnął powietrze i odchrząknął.

– Byłoby naprawdę wspaniale, gdybym mógł wyjść – oświadczył dramatycznym tonem.

Harold cicho zachichotał.

W kuchni coś się smażyło. Lucille nuciła.

– No to chodź – powiedział w końcu.

Jacob wyszedł i siadł u jego stóp. Jakby czekając na to, deszcz gwałtownie się nasilił. Już nie padał, lecz walił strumieniami w ziemię, smagając poręcz ganku i opryskując ich obu, choć się tym wcale nie przejmowali. Przez długi czas stary człowiek i martwy ongiś chłopiec siedzieli, patrząc na siebie. Dzieciak miał piegi i włosy barwy piasku, a jego okrągła, gładka twarz w ogóle się nie zmieniła. Miał niezwykle długie ręce, takie jak kiedyś, gdyż jego ciało z wolna wkraczało w okres dojrzewania, czego nie było mu dane doświadczyć przed pięćdziesięciu laty. Harold nagle pomyślał, że wygląda zdrowo.

Nerwowo zwilżył wargi, wciąż pocierając kciukiem krzyż. Chłopiec trwał w bezruchu. Gdyby od czasu do czasu nie mrugał powiekami, można by pomyśleć, że nie żyje.

– Czy chce go pan zatrzymać?

Pytanie Bellamy'ego wciąż brzmiało mu w uszach.

– Ta decyzja nie należy do mnie – odparł. – Tylko do Lucille. To ją powinien pan spytać. Zgodzę się na wszystko, co postanowi.

Agent Bellamy skinął głową.

– Rozumiem, panie Hargrave. Niemniej muszę spytać o to i pana. Muszę znać pana stanowisko. Zapewniam, że zostanie to między nami. Mogę nawet wyłączyć magnetofon, jeśli pan sobie życzy. Ale mam obowiązek poznać pańskie zdanie. Wiedzieć, czy chce go pan zatrzymać?

– Nie – odparł Harold. – Za nic w świecie. Ale czy mam wybór?

Lewis i Suzanne Holt

On obudził się w Ontario, a ona w okolicy Phoenix. On był księgowym, a ona uczyła gry na fortepianie.

Świat wprawdzie się zmienił, ale wciąż wyglądał znajomo. Samochody poruszały się ciszej. Budynki były wyższe i lśniły nocą jaśniej niż kiedyś. Wszyscy wydawali się bardziej zajęci. Ale do tego się to sprowadzało. I nie miało większego znaczenia.

Wyruszył na południe. Podróżował na gapę pociągami, uciekając się do sposobów, jakich nikt nie stosował od lat. Dziwnym zrządzeniem losu zdołał utrzymać się poza zasięgiem interwencji Biura. Ona skierowała się na północny wschód – powodowana jedynie jakąś wewnętrzną potrzebą. Wkrótce jednak została zatrzymana i przewieziona do ośrodka w okolicy Salt Lake City, który w szybkim tempie

przekształcał się w centrum koordynacyjne dla całego regionu. Niedługo potem zatrzymano i jego, gdzieś na granicy Nebraski i Wyomingu.

Dziewięćdziesiąt lat od swej śmierci znów byli razem.

Ona zupełnie się nie zmieniła. On nieco schudł, ale dopiero w wyniku długiej wędrówki. Pomimo niepewności i zamknięcia czuli się mniej zależni niż inni.

Istnieje pewna harmonia, która czasem powstaje w związku dwojga ludzi. Nieuchwytna kadencja, która nie przestaje trwać.

Rozdział 3

Miasteczko Arcadia, podobnie jak wiele innych małych miast Południa, wyrosło pośród wiejskiego krajobrazu. Małe, drewniane jednopiętrowe domki na jego obrzeżach przycupnęły po obu stronach asfaltowej dwupasmówki wijącej się wśród gęstych sosen, cedrów i dębów. Wiosną i latem gdzieś tam pojawiały się pola kukurydzy i soi, ale zimą wszędzie widniała tylko naga ziemia.

Kilka kilometrów dalej pola stawały się mniejsze, a zabudowa gęstsza. Wjeżdżający do centrum mijali zaledwie dwa uliczne światła, by następnie błądzić wśród niedbale wytyczonych dróg i ulic, grzęznąc w ślepych zaułkach, gdzie tłoczyły się stare, sfatygowane domy. Jedynymi nowymi budynkami w Arcadii były te, które odbudowano po huraganach. Lśniły świeżą farbą i nowym drewnem, rodząc złudzenia, że w starym miasteczku dzieje się coś nowego.

Ale nic nowego się nie działo. Do czasu, gdy zaczęły się powroty.

Ulice nie były liczne, podobnie jak i domy. W centrum stała szkoła – stara budowla z cegły o małych drzwiach i oknach oraz zmodernizowanym systemie klimatyzacji, który nie działał.

Po północnej stronie, na niewielkim wzgórzu tuż za granicami miasteczka wznosił się kościół. Zbudowany z drewna i oszalowany, niczym latarnia morska górował nad okolicą, przypominając mieszkańcom Arcadii, że wysoko nad nimi jest ktoś jeszcze.

Nigdy dotąd od 1972 roku, kiedy to Sainted Soul Stirrers – wędrowna grupa gospel z żydowskim basistą z Arkansas – przybyła do miasta, kościół nie był tak pełny. Dosłownie pękał w szwach. Samochody osobowe i furgonetki parkowały na kościelnym trawniku, a czyjś rdzewiejący, wyładowany żelastwem pikap stanął tuż pod krucyfiksem, jak gdyby Jezus miał zejść z krzyża, by ewakuować się do sklepu z artykułami żelaznymi. Tylne światła padały na mały, stojący na trawniku szyld, który głosił „Jezus Cię kocha – piknik 31 maja”. Samochody dosłownie piętrzyły się na poboczu szosy, tak jak w 1963, a może 1964 roku, na pogrzebie trzech synów Bensona, którzy zginęli w strasznym wypadku drogowym, na cały długi, ponury dzień pogrążając miasto w żałobie.

– Musisz pójść z nami – powiedziała Lucille do Harolda, który zaparkował starą furgonetkę na poboczu i teraz obmacywał kieszeń koszuli w poszukiwaniu papierosa. – Co sobie ludzie pomyślą, jeśli cię tam nie będzie? – Rozpięła Jacobowi pas bezpieczeństwa i przygładziła mu włosy.

– Pomyślą: „Dzięki Bogu! Harold Hargrave znów nie wszedł do kościoła!“. W tych obłąkanych czasach przynajmniej jedno się nie zmieniło.

– To nie jest msza, poganinie, tylko spotkanie mieszkańców. Powinieneś tam być.

Lucille wysiadła i rozprostowała fałdy sukienki. Była to jej ulubiona suknia, którą nosiła na wszystkie ważne okazje i która przyciągała nawet najmniejszy pyłek – mieszanka bawełny z poliestrem barwy pastelowej zieleni z małymi kwiatkami wyszytymi wokół kołnierza i brzegów wąskich rękawów.

– Nie rozumiem, czemu tak się tym przejmuję – oznajmiła, otrzepując tył sukni. – Nie znoszę tej ciężarówki.

– Nie znosiłaś żadnej z moich ciężarówek.

– Co nie przeszkadzało ci ich kupować.

– Czy mogę tu zostać? – spytał Jacob, kręcąc guzikiem przy kołnierzyku koszuli, jakby mu przypisywał magiczne właściwości. – Tata z mną moglibyśmy...

– Tata ze mną – poprawiła go Lucille.

– Nie – powiedział Harold, powstrzymując śmiech. – Pójdiesz z mamą. – Wsunął w usta papierosa i potarł podbródek. – Palenie szkodzi. Powoduje zmarszczki, cuchnący oddech i zagrożenie dla otoczenia.

– A na dodatek utwierdza w oślim uporze – dodała Lucille, pomagając Jacobowi wysiąść.

– Idź z mamą – powtórzył Harold surowo. A potem zapalił papierosa i wciągnął w stare płuca tyle nikotyny, ile tylko mogły pomieścić.

Gdy jego żona oraz istota, która była lub nie była ich synem – wciąż nie umiał wyrobić sobie opinii w tej sprawie – odeszli, ponownie się zaciągnął i wydmuchał dym przez otwarte okno. Potem usiadł z papierosem dopalającym mu się między palcami. Potarł podbródek i patrzył na kościół.

Budynek wymagał odmalowania. W wielu miejscach farba się łuszczyła, a jej kolor tak wyblakł, że Harold nie umiał określić, jaki był pierwotnie. Każdy jednak widział, że kościół musiał kiedyś prezentować się znacznie lepiej. Próbował sobie przypomnieć, jaką barwę miała farba, gdy ją kładziono. Musiał to przecież widzieć. Pamiętał nawet majstra, który wykonał to zadanie – był przyjezdnym z Southport – ale zapomniał jego nazwisko, podobnie jak i oryginalną barwę farby. Jego świadomość rejestrowała tylko obecny obraz wypłowiałej elewacji.

Ale czy nie tak właśnie jest z pamięcią? Po pewnym czasie ulega wyczerpaniu i pokrywa się obronną patyną zapomnienia.

Tylko czy poza nią istnieje coś, czemu moglibyśmy ufać?

Jacob był jak petarda. Przewód pod napięciem. Harold dobrze pamiętał, jak często syn nie wracał do domu przed wieczorem i jak nie umiał usiedzieć w kościele. Pewnego razu doprowadził Lucille do hysterii, gdy wdrapał się na gruszę Henrietty Williams. Wszyscy błagali, by zszedł, a on rozsiadł się wysoko w cieniu gałęzi, pośród dojrzałych gruszek i słonecznych plam, zapewne dobrze się bawiąc.

W świetle ulicznych lamp dostrzegł nagle małą postać, która śmignęła nad wieżą kościoła – tylko ruch i mgnienie skrzydeł. Przez sekundę się unosiła, lśniąc w ciemnościach nocy jak śnieg, gdy oświetliły ją reflektory aut.

Niemal natychmiast zniknęła. Wiedział, że bezpowrotnie.

– To nie on – powiedział. Zdeptał papierosa i oparł się o wytarte stare siedzenie. Zwiesił głowę i pragnął tylko, by jego ciało zasnęło niedręczzone marzeniami sennymi ani wspomnieniami. – Nie on.

Lucille mocno trzymała Jacoba za rękę, idąc przez tłum gęstniejący wokół kościoła i torując sobie drogę na tyle energicznie, na ile pozwalał jej ból biodra.

– Przepraszam. Hej, Macon, jak się miewasz? Przepuście nas. A co z tobą, Lute? To dobrze. Przepraszam, przepraszam. Halo, Vance! Nie widziałam cię wieki. Gdzie się podziewałeś? To świetnie. Miło słyszeć. Uważaj na siebie. Przepraszam, przepraszam...

Tłum rozstępował się przed nią wedle jej życzenia, pozostawiając ją wszakże w niepewności, czy stanowi to dowód, że na tym świecie obowiązują jeszcze dobre maniery i uprzejmość, czy też znak, że stała się w końcu starą kobietą.

A może ustępowano jej z powodu chłopca idącego u jej boku? Tego wieczoru nikt z Przywróconych nie miał wstępu na spotkanie. Ale przecież Jacob był ponad wszystko jej synem i nic ani nikt – nawet śmierć lub w tym wypadku jej nagły odwrót, nie mogło sprawić, by traktowała go inaczej.

Po pewnym czasie matka i syn znaleźli miejsce w jednej z pierwszych ław obok Helen Hayes. Lucille posadziła Jacoba przy sobie i włączyła się w rozmowy, których szmer niczym poranna mgła unosił się we wnętrzu.

– Ależ tłum – powiedziała, krzyżując ręce na piersi i kręcąc głową.

– Większości z nich nigdy w życiu tu nie widziałam – oświadczyła Helen.

Wszystkich mieszkańców Arcadii i jej okolic łączyło jakieś pokrewieństwo. Helen i Lucille były kuzynkami. Ta ostatnia ze swym wysokim wzrostem, cienkimi przegubami rąk, małymi dłońmi i nosem, prostym i ostrym począwszy od linii oczu, posiadała wszystkie cechy rodziny Danielsów. Helen natomiast była pulchna i okrągła, miała grube przeguby i szeroką twarz. Jedyne ich włosy, teraz srebrne i proste, kiedyś

natomiast kruczoczarne, ujawniały pokrewieństwo.

Przerażliwie blada Helen mówiła przez zaciśnięte wargi. Sprawiała wrażenie bardzo poważnej i zaniepokojonej.

– Kiedy tak wielu ludzi przychodzi do kościoła, to myślisz, że robią to dla Pana? Jezus był pierwszym, który powstał z martwych, ale czy tych pogan to obchodzi?

– Mamo? – odezwał się Jacob, wciąż zafascynowany luźno zwisającym guzikiem swojej koszuli.

– Czy przyszedli tu dla Jezusa? – ciągnęła Helen. – Żeby się modlić? Kiedy po raz ostatni złożyli ofiarę? Kiedy ostatnio brali udział w spotkaniu religijnym? No powiedz, kiedy? Ten chłopak Thompsonów, o tam... – Wskazała pulchnym palcem grupę nastolatków stłoczonych z tyłu w kącie. – Kiedy po raz ostatni widziałas go w kościele? – mruknęła. – Już myślałam, że umarł.

– Bo umarł – odparła Lucille, zniżając głos. – Wiesz to równie dobrze jak każdy, kto go widzi.

– Myślałam, że to spotkanie jest przeznaczone tylko dla... no wiesz.

– Każdy, kto ma zdrowy rozsądek, wie, że takie rzeczy się nie zdarzają – powiedziała Lucille. I nie powinny się wydarzyć. Dlaczego więc ci, których to dotyczy, nie mieliby brać udziału w tym spotkaniu?

– Podobno Jim i Connie tu mieszkają – szepnęła Helen. – Możesz w to uwierzyć?

– Naprawdę? – zdziwiła się Lucille. – Nie słyszałam. Ale czemuż by nie? Przecież należą do tego miasta.

– Należeli – poprawiła ją Helen. W jej głosie nie było współczucia.

– Mamo... – przerwał im Jacob.

– O co chodzi? – spytała Lucille.

– Jestem głodny.

Roześmiała się. Świadomość, że ma syna, który żyje i jest głodny, napawała ją szczęściem.

– Przecież niedawno jadłeś!

Jacob w końcu zdołał oderwać luźny guzik od koszuli. Trzymał go w swych małych, białych rękach, obracając w takim skupieniu, jakby studiował założenie matematyki teoretycznej.

– Ale jestem głodny.

– Amen – powiedziała Lucille. Poklepała go po nodze i pocałowała w czoło. – Dostaniesz coś, jak wrócimy do domu.

– Brzoskwinie?

- Jeśli chcesz.
- W cukrze?
- Jeśli chcesz.
- Chcę – odparł z uśmiechem. – Tata z mną...
- Ze mną – poprawiła go ponownie.

Był dopiero maj, ale w starym kościele panowała nieznośna duchota. Nigdy nie zainstalowano tu porządnej klimatyzacji, a teraz, w zbitym tłumie i stojącym nieruchomo powietrzu trudno było oprzeć się odczuciu, że lada moment nastąpi coś dramatycznego.

Lucille ogarnął niepokój. Przypomniała sobie opisywane w gazetach i przedstawiane w telewizji tragiczne wydarzenia, do których dochodziło, gdy zbyt wielkie masy ludzi stłoczono w zbyt małej przestrzeni. Nikt nie zdoła stąd uciec – pomyślała. Rozejrzała się na tyle, na ile mogła w tłumie, który blokował pole widzenia. Wydawało się, że przybyli wszyscy mieszkańcy Arcadii, całe sześćset osób. Wokół niej wyrastał nieprzenikniony mur ciał.

Od czasu do czasu widziała, jak faluje, jakby nachylając się, gdy ktoś próbował wcisnąć się do kościoła. Słyszała szmer powitań i pozdrowień, a także powtarzające się: „Przepraszam, przepraszam”. Jeśli to jest preludium do śmierci w ogarniętym paniką tłumie – pomyślała – przynajmniej brzmi życzliwie.

Zwilżyła wargi i pokręciła głową. Powietrze stawało się coraz cięższe. Trudno się już było poruszyć, a do kościoła wciąż napływali nowi ludzie. Wyraźnie to czuła. Przyjeżdżali zapewne z Buckhead, Waccamaw albo z Riegelwood, choć Biuro starało się organizować takie spotkania w każdym mieście, wszędzie tam, gdzie mogło. Niektórzy byli jednak podobni fanom słynnych muzyków, podążającym za nimi z jednego koncertu na drugi. Tyle że ci podążali za agentami Biura ze spotkania na spotkanie, czekając tylko, by dopatrzeć się jakiegokolwiek niekonsekwencji i wszcząć awanturę.

Lucille dostrzegła nawet mężczyznę i kobietę, którzy wyglądali na reporterów. Mężczyzna, z włosami w nieładzie i cieniem zarostu, przypominał tych, których widywała w kolorowych pismach i o których czytała w książkach. Wyobraziła sobie, że pachnie świeżym drewnem i oceanem.

Jego towarzyszka była modnie ubraną kobietą o ściągniętych w koński ogon włosach i nieskazitelnym makijażu.

- Ciekawe, czy jest tam również wóz telewizyjny – zastanawiała się głośno, ale jej słowa zagłuszył hałas tłumy.

Jakby na znak reżysera z ozdobnych drzwi w rogu ambony wyłonił się pastor

Peters. Za nim szła jego żona, równie mała i wątła jak zawsze. Miała na sobie czarną suknię, w której wydawała się jeszcze mniejsza. Najwyraźniej i jej brakowało powietrza, gdyż dyskretnie ocierała czoło z potu. Lucille nigdy nie potrafiła zapamiętać jej imienia, gdyż było równie niezauważalne jak kobieta, która je nosiła.

W jaskrawym przeciwieństwie do swej żony pastor Robert Peters był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o zdrowej, wiecznie opalanej cerze. Zdawał się solidny jak skała. Wyglądał jak człowiek urodzony, wychowany i ukształtowany tak, by uznawać prymat przemocy. A przecież od kiedy Lucille poznała młodego kaznodzieję, nigdy nie słyszała, by podniósł głos – z wyjątkiem kulminacji niektórych kazań. Nie był to jednak przejaw jego gwałtownego usposobienia, podobnie jak huk grzmotu nie stanowi oznaki Bożego gniewu. Wiedziała, że podniesiony głos pastorów służy temu, by skierować naszą uwagę ku Bogu.

– To ma przedsmak piekła, wielebny – powiedziała z uśmiechem, gdy pastor z żoną znaleźli się wystarczająco blisko.

– Ma pani rację, Lucille. – Skinął głową. Jego duża, niemal kwadratowa czaszka zakołysała się na mocnej szyi. – Powinniśmy poprosić część osób z tyłu, by wyszły z kościoła. Nigdy tu nie widziałem takiego tłumu. Może jednak powinniśmy przejść z tacą, zanim ich wyprosimy. Potrzebne mi nowe opony.

– Och, błagam, ciszej.

– Jak się pani dziś miewa, pani Hargrave? – Żona pastora zakryła drobną dłonią usta, by ukryć rozbawienie. – Dobrze pani wygląda – powiedziała cienkim głosikiem.

– Biedactwo. – Lucille spojrzała na nią, głaszcząc Jacoba po głowie. – Czy nie jest pani słabo?

– Dziękuję – odparła tamta. – Ostatnio trochę niedomagam. Strasznie tu gorąco.

– Będziemy zmuszeni poprosić część osób, by wyszły – powtórzył pastor. Podniósł swą silną, muskularną rękę, jak gdyby słońce raziło go w oczy. – Tu zawsze brakowało zapasowych wyjść.

– W piekle nie będzie zapasowych wyjść – stwierdziła Helen.

Pastor Peters uśmiechnął się i sięgnął poprzez ławkę, by ucisnąć jej dłoń.

– A jak się ma nasz młodzieniec? – spytał, obdarzając promiennym uśmiechem Jacoba.

– Dobrze – odpowiedział chłopiec.

Lucille klepnęła go po ramieniu.

– Dziękuję, wielebny. Dobrze – poprawiła go.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytał pastor, chichocząc. Krople potu lśniły

mu na czole. – Jak sądzisz, Jacob, co zrobimy z tymi wszystkimi ludźmi?

Chłopiec wzruszył ramionami i ponownie poczuł dłoń matki na ramieniu.

– Nie wiem, wielebny.

– Może powinniśmy odesłać ich do domu? A może należałoby wziąć węże z wodą i wszystkich stąd zmyć?

Jacob się uśmiechnął.

– Pastor nie może robić takich rzeczy.

– Kto tak mówi?

– Biblia.

– Biblia? Jesteś pewny?

Jacob pokiwał głową.

– Opowiem wielebnemu żart. Tata uczy mnie najlepszych kawałów.

– Naprawdę?

– Mhm.

Ku zakłopotaniu Lucille pastor Peters ukląkł. Przeraziła ją myśl, że duchowny mógłby ubrudzić swój strój z powodu kiepskich żartów, jakich Harold uczył Jacoba. Bóg jeden wiedział, że jej mąż lubuje się w kawałach nieprzeznaczonych dla duchowieństwa.

Wstrzymała oddech.

– Co powiedział podręcznik matematyki do ołówka?

– Hmm... – Pastor potarł gładko ogolony podbródek, jakby się głęboko zastanawiał. – Nie wiem – poddał się w końcu. – A co?

– Mam dużo problemów – odparł Jacob. A potem się roześmiał. Dla jednych był to po prostu śmiech dziecka. Ale inni, wiedząc, że jeszcze przed kilku tygodniami ten chłopiec nie żył, nie wiedzieli, jak zareagować.

Pastor roześmiał się razem z chłopcem, podobnie jak i Lucille, która dziękowała Bogu, że nie był to żart o ołówku i cylindrze.

Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej togi i wyjął mały, owinięty w folię cukierek.

– Lubisz cynamon?

– O tak, wielebny, dziękuję!

– Jest bardzo dobrze wychowany – stwierdziła Helen Hayes. Przesunęła się na krześle, podążając spojrzeniem za drobną żoną pastora, której imienia za żadną cenę nie mogła zapamiętać.

– Tak grzeczne dziecko zasługuje na cukierek – powiedziała żona pastora. Stała

za mężem, delikatnie otrzepując mu plecy. Nawet ta czynność wydawała się wielkim wyczynem, zważywszy, jak była przy nim mała. – Rzadko się dziś spotyka dobrze wychowane dzieci – przerwała, by otrzeć czoło. Potem złożyła chustkę do nosa, przykryła usta i cicho zakaszła.

– Jest pani naprawdę chora – zaniepokoiła się Helen.

Żona pastora uśmiechnęła się i grzecznie odpowiedziała:

– Tak, proszę pani.

Peters pogładził Jacoba po głowie, a potem szepnął do Lucille:

– Cokolwiek będą mówić, nie pozwól, by się tym przejął. Ani ty. Dobrze?

– Tak, wielebny – odrzekła.

– Tak, wielebny – powtórzył za nią Jacob.

– Pamiętaj – zwrócił się do chłopca – że jesteś cudem. Całe życie jest cudem.

Angela Johnson

Drewniana podłoga pokoju gościnnego, w którym ją zamknięto na ostatnie trzy dni, była piękna. Gdy przynoszono posiłki, uważała, by niczego nie rozlać, w obawie że niszcząc podłogę, zasłuży na jeszcze większą karę, choć nie wiedziała, czym zawiniła. Czasami, na wszelki wypadek, jadła, wchodząc do wanny w przylegającej do pokoju łazience, i słuchała rodziców, którzy rozmawiali w sypialni za ścianą.

– Dlaczego jeszcze nie przyjechali, żeby to zabrać? – mówił ojciec.

– Nie powinniśmy pozwolić im jej... eee... tego przywieźć – odparła matka. – To był twój pomysł. Co będzie, jak sąsiedzi się dowiedzą?

– Myślę, że Tim już wie.

– Jakim cudem? Było już późno, kiedy to przywieźli. Niemożliwe, żeby o tej porze jeszcze nie spał.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Wyobraź sobie, co będzie, jeśli firma się dowie. To twoja wina.

– Chciałem się tylko przekonać. – Jego głos zmiękł. – To wygląda zupełnie jak o...

– Nie zaczynaj od nowa, Mitchell. Dość. Wezwę ich. Muszą przyjechać i zabrać to jeszcze dziś.

Siedziała w kącie z podkurczonymi nogami i cicho chlipała, żałując za winy, do których się nie poczuwała.

Zastanawiała się, gdzie zabrali jej toaletkę, ubrania i plakaty, którymi przez lata zdobiła ściany. Delikatny pastelowy kolor, na jaki pomalowany był pokój, nagle stał się

czteronorżowy. Zniknęły dziury po gwoździach i pinezkach, ślady po taśmie przylepnej, kreski ołówka na framudze znaczące etapy jej wzrostu. Wszystko zostało zamalowane.

Rozdział 4

Kiedy w kościele było już tak wielu ludzi i tak mało powietrza, że wszyscy uświadomili sobie zagrożenie, hałas zaczął cichnąć. Cisza zapadła najpierw w pierwszych ławkach, a potem niczym wirus zaczęła rozprzestrzeniać się dalej.

Pastor Peters, wysoki i potężny jak góra Synaj, założył ręce na piersi i pokornie czekał wraz z żoną, ukrytą w jego cieniu. Lucille wyciągała szyję, rozglądając się wokół. Może diabeł w końcu znudzi się czekaniem – pomyślała.

– Witam, jak się masz, przepraszam, przepraszam, witam. Jak się masz. Przepraszam, bardzo przepraszam.

Powtarzające się nieustannie słowa brzmiały jak refren, a każde z nich sprawiało, że tłum lekko się cofał.

– Przepraszam, witam, jak się masz, przepraszam, witam... – powtarzał nieustannie miękki, głęboki, kulturalny głos, z którym obecni wiązali wiele nadziei. Brzmiał coraz głośniejszy – a może to kościół ogarniała coraz większa cisza? – aż w końcu powietrze zaczęło falować w rytm słów, które posiadały moc mantry. – Przepraszam, witam, co słychać, przepraszam, witam.

Nie ulegało wątpliwości, że był to wyszkolony głos przedstawiciela władz.

– Dzień dobry, pastorze. – Agent Bellamy zdołał w końcu przedrzeć się przez tłum do Petersa.

Lucille westchnęła, zdziwiona, że w jej płucach zostało jeszcze nieco powietrza.

– Witam panią.

Miał na sobie ciemnoszary, dobrze skrojony garnitur, podobny do tego, w którym swego czasu przyprowadził Jacoba. Nie był to jednak codzienny ubiór większości urzędników państwowych. Nie powstydziliby się go hollywoodzki aktor ani gwiazda wykwinnych programów telewizyjnych.

– Jak się miewa nasz chłopiec? – spytał, wskazując Jacoba z uśmiechem równie idealnym, jak świeżo cięty marmur.

– Dziękuję, proszę pana – powiedział chłopiec, chrupiąc cukierek.

– Miło mi to słyszeć. – Bellamy wygładził krawat, choć ten nie miał najmniejszej fałdki. – Bardzo miło to słyszeć.

Byli tam również żołnierze. Dwaj chłopcy tak młodzi, że można by pomyśleć, iż przebrali się w mundury dla zabawy. Lucille czekała, aż zaczną się ganiać wokół ambony, tak jak to kiedyś robili Jacob i syn Thompsonów. Ale broń w kaburach u ich pasa nie była zabawką.

- Dziękuję, że zechciał pan przyjść. – Pastor uścisnął dłoń agenta Bellamy'ego.
- Nie mogło być inaczej. Dziękuję, że zechcieliście na mnie czekać. Widzę tu prawdziwy tłum.
- Ludzie są po prostu ciekawi – odparł Peters. – Wszyscy jesteśmy ciekawi. Czy pan... a raczej Biuro lub rząd jako całość przekażecie nam jakieś informacje?
- Rząd jako całość? – powtórzył Bellamy, nie gasząc uśmiechu. – Pan mnie przecenia. Jestem tylko skromnym urzędnikiem. Zwykłym czarnym chłopcem z... – zniżył głos – Nowego Jorku – zakończył, jak gdyby wszyscy w kościele i w mieście nie słyszeli jego akcentu. Nie widział jednak powodu, by obnosić się z tym bardziej, niż to konieczne. Południe to dziwne miejsce.

Rozpoczęło się spotkanie.

– Jak wszyscy wiemy – odezwał się pastor Peters stojący przed kazalnica – żyjemy, jak się to mówi, w ciekawych czasach. Zostaliśmy obdarzeni błogosławieństwem, za sprawą którego staliśmy się świadkami rzeczy zaiste zdumiewających, prawdziwych cudów. I nie poddawajcie się zwątpieniu, gdyż są to zaiste cuda. – Mówiąc, spacerował, co czynił zawsze, gdy nie był pewien słuszności swych wypowiedzi. – To czasy godne czasów biblijnych. Oto bowiem widzimy, że Łazarz, wstając z grobu, wskazał również drogę wielu innym. – Przerwał i otarł pot z czoła.

Jego wąta żona zakaszła.

– Coś się wydarzyło – zagrzemiał Peters, aż wszyscy zadrżeli. – Coś, czego przyczyny wciąż nie umiemy dociec. – Rozpostarł ręce. – Co zatem zrobić? Jak reagować? Czy się lękać? To niepewne czasy, a lęk w obliczu niepewności jest rzeczą naturalną. Ale co począć z tym lękiem? – Podeszedł do przedniej ławki, gdzie siedziała Lucille z Jacobem, który cicho szurał twardymi podeszwami po starym czerwonym dywanie. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł czoło, uśmiechając się do chłopca.

– Poskromimy nasz lęk cierpliwością – oznajmił. – Oto, co zrobimy.

Przypomniał sobie, że to bardzo ważne, by odwołać się do cierpliwości. Wziął Jacoba za rękę, pewien, że nawet ci, którzy stali z tyłu i nie mogli tego widzieć, dowiedzą się od innych o tym geście. Dlatego, mówiąc o cierpliwości, trzymał dłoń chłopca, który zmarł przed pół wiekiem, a teraz spokojnie ssał cukierek na oczach obecnych w kościele, tuż u stóp krzyża. Powiódł spojrzeniem wokół i wszyscy zrobili to samo. Raz po raz zatrzymywał wzrok na kolejnych przywróconych do życia, tak by uświadomić wszystkim skalę zjawiska. Nie miało ich tu być. A jednak byli. Prawdziwi,

z krwi i kości, niewymyśleni. Nikt nie mógł tego podważyć. I wszyscy powinni to zrozumieć.

Pastor wiedział, że cierpliwość jest jedną z cnót, które najtrudniej pojąć. A jeszcze trudniej się nią wykazać. Czuł, że sam jest najmniej cierpliwy spośród wszystkich. Żadne z wypowiedzianych przez niego słów nie miało sensu ani znaczenia, ale przecież odpowiadał za swe owieczki i powinien spełnić swój obowiązek. Nie mógł dopuścić, by tamta dziewczyna opanowała jego myśli.

W końcu zdołał się otrząsnąć i odepchnąć natrętnie stojący mu przed oczyma obraz jej twarzy.

– W tych czasach niepewności nader łatwo o pochopne sądy i, co gorsza, nierozważne czyny. Wystarczy włączyć telewizor, by ujrzeć, jak ludzie się boją, jak zachowują się niektórzy z nich, a także, do czego prowadzi lęk. Nie chciałbym mówić, że się boimy, ale tak jest. Nie chciałbym twierdzić, że jesteśmy zdolni działać nierozważnie, ale tak jest. Nie chciałbym również przyznać, że chcemy posunąć się do czynów, które są haniebne, ale to prawda.

W jego pamięci leżała rozciągnięta na nisko zwieszanej gałęzi dębu niczym drapieżny kot. Był wówczas zaledwie chłopcem. Stał, patrząc w górę na jej niedbale zwisającą rękę. I bardzo się bał. Bał się wysokości. Bał się jej i tego, co przy niej czuł. Bał się sam siebie, jak wiele innych dzieci. Bał się...

– Pastorze?

To była Lucille.

Potężny dąb. Plamy słońca w gęstwinie liści, zielona trawa, dziewczyna... Wszystko to zniknęło. Peters westchnął, wyciągając przed siebie puste dłonie.

– Co mamy z nimi zrobić? – warknął Fred Green gdzieś ze środka kościoła. Wszyscy się obrócili, by na niego spojrzeć. On tymczasem zdjął zniszczoną czapkę i wygładził roboczą koszulę barwy khaki. – To nie jest normalne – ciągnął, a mięśnie jego szczęk napięły się jak lina. Włosy dawno mu już wypadły, miał wielki nos i małe oczy, a wszystko to podkreślało jego ostre rysy, w których czało się okrucieństwo. – Co z nimi zrobimy?

– Zachowamy cierpliwość – odparł pastor. Pomyślał, że wspomni o rodzinie Wilsonów stojącej z tyłu kościoła. Ale ta rodzina budziła w Arcadii szczególne emocje, toteż uznał, że na razie lepiej nie zwracać na nią uwagi.

– Cierpliwość? – Fred szeroko otworzył oczy i aż się zatrząsł. – Mamy zachować cierpliwość, gdy diabeł we własnej osobie staje u naszych drzwi? Mamy być cierpliwi,

kiedy nadchodzi kres naszych dni?! – Mówiąc to, nie patrzył na pastora, lecz na tłum słuchaczy. Obrócił się w koło tak, by wszyscy widzieli wyraz jego oczu. – On domaga się od nas cierpliwości w takiej chwili!

– Chwileczkę – przerwał mu Peters. – Kto tutaj mówi o końcu dni? I nie dopatrujemy się w tych nieszczęsnych ludziach wcielenia diabła. Są tajemnicą, to pewne. Być może nawet jesteśmy świadkami cudu. Na razie jednak za wcześnie, by o tym sądzić. Zbyt mało wiemy, a panika jest najmniej potrzebna. Słyszeliście przecież o wypadkach w Dallas i liczbie ofiar, zarówno wśród tych, którzy powrócili z tamtej strony, jak i zwykłych śmiertelników. Wszyscy zginęli. Nie możemy dopuścić, by powtórzyło się to tu, w Arcadii.

– Jeśli o mnie chodzi, to ci ludzie z Dallas zrobili, co trzeba.

Kościół ogarnął harmider. W ławkach, wzdłuż ścian i z tyłu, większość głośno wyrażała poparcie dla Freda, a wszyscy bez wyjątku solidaryzowali się z jego oburzeniem.

Pastor uniósł ręce, próbując uspokoić zebranych. Hałas na chwilę przycichł, by zaraz znów się podnieść.

Lucille objęła Jacoba i przyciągnęła go do siebie, drżąc na wspomnienie obrazu rannych i zakrwawionych ciał leżących na słonecznych ulicach Dallas. Były to zarówno dzieci, jak i dorośli. Wszyscy ci, którzy tam powrócili.

Pogłaskała chłopca po głowie i zanuciła melodię, której nazwy nie pamiętała. Dostrzegła skierowane na niego spojrzenia sąsiadów. Im dłużej patrzyli, tym bardziej wrogie stawały się ich twarze, tym mocniej zaciskały się usta i marszczyły brwi. Tymczasem Jacob spokojnie spoczywał w objęciach matki, rozmyślając wyłącznie o brzoskwiniach w cukrze.

Wszystko byłoby łatwiejsze, pomyślała, gdyby mogła ukryć to, że powrócił, cudem przywrócony do życia. Gdyby mógł uchodzić za normalne dziecko. Ale jeśli nawet większość ludzi z miasteczka nie znała ich prywatnej historii, jeśli nie słyszała o tragedii, która spotkała ją i Harolda 15 sierpnia 1966 roku, i tak nie było sposobu, by ukryć, kim jest Jacob. Zwykli śmiertelnicy zawsze rozpoznawali Przywróconych.

Fred Green zaczął oskarżać ich o grzeszne wpływy, mówił, że są podstępni i niegodni zaufania.

Pastor Peters cytował fragmenty Biblii, przypowieści oraz sentencje, zbijając jego argumenty. Ale to nie było spotkanie wiernych. Ani też poranne nabożeństwo niedzielne. Przewodniczył zebraniu mieszkańców miasta, które utraciło busolę w czasach globalnej epidemii. Epidemii, która nie powinna go dotknąć, gdyby światem

rządziła sprawiedliwość, lecz ograniczyć się wyłącznie do miejsc cywilizowanych, wielkich ośrodków, takich jak Nowy Jork, Los Angeles, Tokio, Londyn i Paryż. Tylko w tak ważnych miejscach powinny się rozgrywać tak ważne sprawy.

– Myślę, że powinniśmy ich gdzieś zamknąć – przekonywał Fred, wymachując w powietrzu twardo zaciśniętą, pomarszczoną dłońią, podczas gdy tłum młodych mężczyzn wydawał pomruki uznania. – Może w szkole. Albo tu, w kościele, skoro, jak twierdzi pastor, nie przeszkadzają Bogu.

Pastor Peters zrobił wtedy coś, co mu się prawie nie zdarzało. Wrzasnął. I to tak głośno, że kościół zamarł, a jego mała, krucha żona cofnęła się o kilka kroków.

– A co potem? – spytał. – Co stanie się potem? Zamkniemy ich w jakimś budynku i co dalej? Jaki będzie następny krok? Jak długo będziemy ich tam trzymać? Kilka dni? Tydzień? Dwa tygodnie? Miesiąc? Aż się to wszystko skończy? Kiedy to nastąpi? Gdy przestaną wracać? Gdy do Arcadii wrócą wszyscy ci, którzy kiedykolwiek tu żyli? Ile lat ma nasza mała społeczność? Sto pięćdziesiąt? Sto siedemdziesiąt? Ilu tu żyło ludzi? Ilu możemy utrzymać? Ilu wykarmić? I jak długo? A co, jeśli ci, którzy powrócą, nie będą pochodzić stąd? Znamy takie przypadki. Nieczęsto się zdarza, by wracali tam, gdzie ongiś żyli. Będziemy zatem przyjmować nie tylko własnych mieszkańców, ale również tych wszystkich, którzy wymagają pomocy. Samotnych i zagubionych wśród innych powracających. Pamiętacie tego Japończyka, który się pojawił w Bladen County? Wiecie, gdzie teraz jest? Wcale nie w Japonii, tylko wciąż w Bladen County. Mieszka z rodziną, która wspaniałomyślnie go przyjęła. A dlaczego? Otóż dlatego, że nie chciał wracać do domu. Bez względu na to, jak wyglądało wcześniej jego życie, zapragnął czegoś innego. I dzięki dobroci ludzi zdolnych okazać współczucie, dostał szansę spełnienia swoich pragnień. Wiele bym dał, Fredzie Green, gdybyś mógł to wyjaśnić. I nie próbuj mi nawet bredzić, że „umysł Chińczyka jest inny niż nasz”, ty stary, głupi rasisto!

Dostrzegł, że w oczach zebranych pojawił się cień namysłu i rozważań – nadzieja na cierpliwość.

– A co się stanie, jeśli zabraknie już dla nich miejsca? Jeśli Przywrócenie przewyższą liczebnie żywych?

– Właśnie o tym mówię – odezwał się Fred Green. – Co, jeśli zawładną nami martwi? Co z nami zrobią? Co, jeśli się okaże, że jesteśmy zdani na ich łaskę?

– Gdyby do tego doszło, choć nie przesądzajmy, gdyby się jednak tak stało, pozostanie nam wierzyć, że dostali dobry przykład miłosierdzia... od nas.

– Co za cholerna głupota! Niech Bóg mi wybaczy, że mówię to w kościele. Ale taka jest prawda. To cholernie głupie gadanie!

Wzburzenie obecnych znów wzrosło. Zewsząd rozlegały się wyrzekania, gniewne pomruki i głośno wyrażane domniemania. Pastor Peters spojrział na Bellamy'ego. Tam, gdzie zawodzi Bóg, rząd dusz powinny przejąć władze.

– Proszę o ciszę! Proszę o ciszę! – zawołał Martin Bellamy, stając twarzą do audytorium. Przesunął dłonią po swej nieskazitelnej marynarce, strzepując niewidoczny pyłek. Spośród wszystkich obecnych w kościele on jeden się nie pocił i nie dusił z upału i braku powietrza. Działał uspokajająco.

– Nie byłbym zdziwiony, gdyby wszystko to okazało się spiskiem władz – Fred Green znów zabrał głos. – Nie zaskoczyłoby mnie ani trochę, gdyby się na koniec wydało, że to wasza sprawka. Może i sami nie wpadlibyście na to, jak wykorzystać martwych, ale mogę się założyć, że ci goście z Pentagonu węszą wiele korzyści z powrotu zabitych żołnierzy. – Zacisnął usta, usiłując sformułować dalsze argumenty, a potem rozpostarł ramiona, jakby chciał wciągnąć wszystkich w swój tok myślenia. – Nie rozumiecie? Wysyłają żołnierzy do boju i nagle, pa-pam, jeden z nich pada zastrzelony. A wtedy wystarczy, że nacisną jakiś guzik czy coś mu tam wstrzykną, by znów stanął na nogi, gotów do ataku, i ślepo ruszył na skurwysyna, który go właśnie zabił. To cholernie śmiercionośna broń.

Zebrani zaczęli potakiwać, jakby ich przekonał, a w każdym razie rozbudził podejrzenia.

Agent Bellamy odczekał, by słowa starego Greena dotarły do wszystkich.

– W istocie, panie Green, to prawdziwie śmiercionośna broń – zaczął. – Broń, jaką widzimy tylko w sennym koszmarze. Wyobraźmy to sobie: w jednej chwili umierasz, w drugiej się odradzasz i w następnej znów giniesz. Ilu z was zaciągnęłoby się do takiej armii? Bo ja na pewno nie. Nie, panie Green, nasz rząd przy całej swej potężnej władzy i możliwościach ma na to zjawisko wpływ nie większy niż na aktywność słońca. Możemy się najwyżej starać, by nie zalała nas fala powracających. Dlatego próbujemy uzyskać w tym zakresie jak największy postęp.

„Postęp”. To było właściwe słowo. Bezpieczne słowo, które koi nerwy w chwilach wzburzenia. Słowo, którym witamy rodziców, wracając ze szkoły.

Ludzie ponownie spojrzeli na Freda. Nie zaoferował im nic równie uspokajającego. Stał teraz, milcząc, stary, mały i zły.

Pastor Peters w całej swej potężnej posturze zajął pozycję po prawej stronie Bellamy'ego.

Ten ostatni reprezentował najgorszy możliwy typ urzędnika państwowego – był uczciwy.

Przedstawiciel władz nie powinien ujawniać, że wie nie więcej niż przeciętny obywatel. Jeśli rząd nie potrafi rozwiązać problemu, to kto, u diabła, to zrobi? Władza powinna mieć choć tyle przyzwoitości, by wyprodukować jakieś zręczne kłamstwo. Udawać, że sprawuje nad wszystkim kontrolę. Łudzić, że lada moment znajdzie cudowne lekarstwo lub dokona decydującej interwencji wojskowej. W tej sytuacji natomiast powinna natychmiast zwołać zwykłą konferencję prasową, podczas której prezydent, paląc fajkę w swetrze przy kominku, oświadczyłby spokojnym głosem: „Znam odpowiedzi, których oczekujecie, i zapewniam, że wszystko będzie w porządku”.

Ale Bellamy nie wiedział ani o jotę więcej niż wszyscy pozostali i zupełnie się tego nie wstydził.

– Cholerny dureń – mruknął Fred. A potem obrócił się na pięcie i wyszedł przez środek tłumu, który niezwłocznie się rozstał, by mu to ułatwić.

Po wyjściu Freda atmosfera uspokoiła się o tyle, o ile to na Południu możliwe. Wszyscy po kolei zabierali głos, zadając pytania zarówno przedstawicielowi Biura, jak i pastorowi.

Były to pytania łatwe do przewidzenia, gdyż zadawali je wszyscy, wszędzie, w każdym kraju, w każdym kościele, każdej auli i sali spotkań, a także na forach internetowych i w portalach społecznościowych. Zadawało je tak często tak wiele osób, że stały się wręcz nudne.

Odpowiedzi, które brzmiały: „Nie wiemy, potrzebujemy czasu, prosimy o cierpliwość” – były równie nużące. Tym razem jednak kaznodzieja i przedstawiciel Biura idealnie się uzupełniali. Jeden bowiem odwoływał się do poczucia obowiązku obywatelskiego, drugi natomiast – do powinności moralnych. Gdyby nie ten idealny zespół, nie wiadomo, jak zachowaliby się mieszkańcy miasta, gdy pojawiła się rodzina Wilsonów.

Wyszli ze stołówki znajdującej się na tyłach kościoła. Mieszkali tam już od tygodnia. Nikt ich nie widywał i nikt o nich nie mówił.

Sprawa Jima i Connie Wilsonów, a także ich dzieci – Tommy’ego i Hannah, okryła miasto największą hańbą i smutkiem w całych jego dziejach.

W Arcadii bowiem morderstwa się nie zdarzały.

To się jednak zdarzyło. Przed wielu laty cała rodzina Wilsonów zginęła jednej nocy, zastrzelona we własnym domu. Mordercy nigdy nie znaleziono. Krążyły oczywiście różne teorie na ten temat. Początkowo wiele mówiono o pewnym

włóczędze, znanym jako Ben Watson. Nie miał nigdzie domu i przenosił się z miejsca na miejsce jak wędrowny ptak. Zazwyczaj przybywał do Arcadii zimą i krył się w jakiejś szopie, usiłując nie zwracać na siebie uwagi, jak długo to było możliwe. Nikt jednak nie przypuszczał, że ten człowiek mógł być zdolny do przemocy. Poza tym w noc, w którą zamordowano Wilsonów, Ben Watson znajdował się dwa hrabstwa dalej, w więzieniu, odsiadując wyrok za pijaństwo w miejscu publicznym.

W późniejszym okresie pojawiały się i zamierały różne inne teorie o zmiennym stopniu prawdopodobieństwa. Przebąkiwano o romansie – obwiniając na zmianę to Connie, to Jima, lecz nie trwało to długo z braku jakichkolwiek podstaw. Jima widywano bowiem jedynie w pracy, kościele lub w domu, natomiast Connie przebywała wyłącznie w domu, w kościele lub zajmowała się dziećmi. Ponadto wszyscy wiedzieli, że byli parą od czasów szkolnych i nie widzieli poza sobą świata.

Charakter ich związku całkowicie wykluczał możliwość jakichkolwiek występnych przygód.

W swym poprzednim życiu Wilsonowie spędzali wiele czasu z Lucille. Jim nie należał do ludzi, którzy wnikliwie badają rodzinne koligacje, toteż uwierzył jej zapewnieniom, że są spokrewnieni poprzez swoje cioteczne babki, i zawsze ją odwiedzał, gdy tylko tego chciała.

Któż bowiem odrzuca szansę, by traktować go jak rodzinę.

Dopiero wiele lat po ich śmierci Lucille uświadomiła sobie, że widok codziennej egzystencji Jima i Connie, którzy pracowali i wychowywali dwójkę dzieci, ucieleśniał jej wyobrażenia o tym, jak wyglądałoby życie, które utraciła. To, które odebrała jej śmierć Jacoba.

Jakże mogła nie uznać ich za rodzinę i nie włączyć do swojego świata?

Wiele lat po morderstwie Wilsonów uznano w końcu – w ów cichy, niewymagający słów sposób, w jaki mieszkańcy małych miejscowości osiągnęły porozumienie – że morderca nie pochodził z Arcadii. To musiał być ktoś inny. Ktoś z jakiejś odległej części świata – złoczyńca, który odszukał owo szczególne, ukryte miejsce na mapie, gdzie ludzie prowadzili spokojne życie. Przybył tam i unicestwił wszelki spokój i moralny ład, jaki był ich udziałem.

Wszyscy patrzyli w głębokiej ciszy, jak mała rodzina wyłania się, krok po kroku, z drzwi na tyłach kościoła. Pierwsi szli Jim i Connie, a za nimi spokojnie podążali Tommy i Hannah. Tłum rozstępował się przed nimi powoli.

Jim Wilson był młodym, zaledwie trzydziestopięcioletnim człowiekiem, o blond włosach, szerokich ramionach i twardym, prawie kwadratowym podbródku. Zdawał

się typem mężczyzny, który wiecznie coś buduje i wciąż jest zaangażowany w jakiś rodzaj produkcji, wspierając żółwie tempo postępu w obliczu naporu chaosu. Dlatego to miasto tak bardzo za życia go kochało. Był taki, jaki powinien być mieszkaniec Arcadii – grzeczny, pracowity, dobrze wychowany. Prawdziwy Południowiec. Ale teraz, gdy stał się jednym z Przywróconych, przypominał wszystkim o tym, czego nie chcieli pamiętać.

– Wszyscy zmierzacie do ważnego pytania – powiedział Jim niskim głosem. – Tego, które tu padło wcześniej i pozostało bez odpowiedzi. Pytania o to, co zamierzacie z nami zrobić.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu pastor Peters. – Nie zamierzamy niczego „z wami zrobić”. Jesteście ludźmi. Potrzebujecie miejsca do życia, a my je wam damy.

– Nie mogą tu zostać na zawsze – odezwał się jakiś głos. W tłumie rozległy się okrzyki poparcia. – Coś trzeba z nimi zrobić.

– Chciałem wam tylko podziękować – rzekł Jim Wilson. Zamierzał powiedzieć o wiele więcej, ale nagle wszystko zapomniał, czując na sobie spojrzenia mieszkańców Arcadii. Niektóre mniej przyjazne od innych. – Chciałem tylko powiedzieć „dziękuję” – powtórzył, a potem się obrócił i wyszedł tą samą drogą, którą wszedł, prowadząc za sobą rodzinę.

Po jego wyjściu coraz mniej chętnie zadawano pytania i udzielano na nie odpowiedzi, nikt też nie kwapił się do sporów. Stąd i zowąd dochodziły tylko szepty i pomruki, ale nic z nich nie wynikało. Nagle zebranych ogarnęło zmęczenie i przygnębienie.

Gdy powoli zaczęli się rozchodzić, agent Bellamy ponownie starał się wszystkich wspierać słowami otuchy. Z uśmiechem ścisnął dłonie wychodzących, a na ich pytania odpowiadał, że zrobi co w jego mocy, by wyjaśnić przyczynę niepokojących wydarzeń. Zapewnił również, że zostanie w mieście do czasu, gdy wszystko będzie załatwione.

Załatwienie wszystkiego należało do rządu i tego się po nim spodziewano, toteż ludzie chwilowo odsunęli od siebie lęki i podejrzenia.

Na koniec w kościele pozostali tylko pastor, jego żona oraz rodzina Wilsonów, która nie chcąc powodować problemów, ukryła się w swoim pokoju na tyłach budynku i siedziała tam cicho, nie prowokując spojrzeń ani wspomnień, jak gdyby nigdy jej nie było.

– Myślę, że Fred miał wiele do powiedzenia – powiedział Harold, gdy Lucille wsiadła do furgonetki. Przez chwilę, sapiąc i szarpiąc, mocowała się z pasem bezpieczeństwa Jacoba.

– Oni są tacy... tacy... dziwni. – Kliknięcie zapiętego pasa zamknęło zdanie. Złapała klamkę okna i zaczęła nią kręcić. Po kilku energicznych ruchach jej ręki szyba wolno zaczęła się opuszczać. Lucille założyła ręce na piersi.

Harold przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik hałaśliwie zaskoczył.

– Widzę, że mama nabrała wody w usta, co, Jacob? Pewnie przez całe spotkanie nie odezwała się ani słowem?

– No nie – odparł chłopiec, patrząc z uśmiechem na ojca.

– Nie pozwalajcie sobie za dużo. – Lucille karcąco spojrzała na męża. – Obaj.

– Pewnie nie miała szansy, by użyć jakiegoś z tych jej wymyślnych słów, a sam wiesz, ile to dla niej znaczy, co?

– No.

– Nie będę tego słuchać – oświadczyła Lucille, z trudem hamując śmiech. – Natychmiast wysiadam i nigdy więcej mnie nie zobaczycie.

– Czy ktoś inny używał wymyślnych słów?

– Tak, mówili: „Sądny dzień”.

– O, to prawdziwie wymyślne słowo. Sądny dzień nadchodzi wtedy, kiedy za dużo siedzisz w kościele. Dlatego tam nie chodzę.

– Haroldzie Hargrave!

– A jak się miewa pastor? Mimo wszystko to porządny chłopak z Missisipi.

– Dał mi cukierka – pochwalił się Jacob.

– Miło z jego strony, prawda? – orzekł Harold, skręcając w ciemną drogę, która prowadziła do domu. – To naprawdę porządny gość.

W kościele zapadła cisza. Pastor Peters wszedł do swego małego biura i usiadł za ciemnym drewnianym stołem. Gdzieś z oddali dobiegał odgłos toczącej się ulicą ciężarówki. Wszystko było proste. I tak jest dobrze, pomyślał.

List leżał w szufladzie biurka, pod stosem książek, papierów oczekujących na jego podpis, kazań opracowanych w różnym stopniu, a także innych rzeczy, tonących w nieładzie, który z wolna ogarnia każde biuro. Lampa w kącie rzucała na pokój słabe, żółte światło, które wydobywało z cienia wiszące na ścianach półki ponad miarę wypchane książkami pastora. W ostatnim czasie były dla niego źródłem pewnej otuchy. Tymczasem jeden krótki list unicestwił ich działanie, niwecząc ulgę, jaką nieść mogą słowa.

Podniósł go i ponownie przeczytał:

„Szanowny Panie,

Międzynarodowe Biuro do spraw Przywróconych pragnie poinformować, że jest Pan intensywnie poszukiwany przez Elizabeth Pinch. Nasz regulamin dopuszcza udostępnianie informacji na temat naszych podopiecznych wyłącznie ich rodzinom. To one bowiem w większości przypadków są przez nich poszukiwane. Jednakże panna Pinch wyraziła pragnienie skontaktowania się z Panem. Informujemy o tym zgodnie z art. 17 par. 21 Zasad Regulacji Powrotów”.

Pastor Peters wpatrywał się w list i czuł, podobnie jak wtedy, gdy czytał go po raz pierwszy, że nie jest już w swym życiu niczego pewien.

Jean Rideau

– Powinieneś znaleźć jakąś młodą kobietę – zwróciła się do Jeana. – Taką, która mogłaby cię teraz wspierać. – Usiadła na niewielkim żelaznym łóżku, z trudem łapiąc oddech. – Zdobyłeś wielką sławę. A ja jestem stara i stoję ci na drodze.

Młody artysta przemierzył pokój i ukląkł obok niej. Położył głowę na jej kolanach, całując wewnątrz jej dłoni, a wtedy jeszcze wyraźniej dostrzegła zmarszczki i brązowe plamy na swych rękach.

– To wszystko twoja zasługa – powiedział.

Przez ponad trzydzieści lat był częścią jej życia – od czasu, gdy dawno temu, jeszcze w okresie studiów, natknęła się przypadkiem na prace nieznanego artysty, który zginął w Paryżu pod kołami samochodu pewnej ciepłej nocy 1921 roku. I oto go miała. Nie tylko jego miłość, lecz też jego ciało. To ją przerażało.

Na ulicy przed domem w końcu ucichło. Policja rozpędziła tłum.

– Gdybym zdobył taką sławę przed laty – zadumał się – może moje życie byłoby inne.

– Artyści zawsze zyskują sławę po śmierci. – Z uśmiechem pogłaskała go po włosach. – Nikt nie przypuszcza, że któryś mógłby powrócić, by otrzymać zadośćuczynienie.

Spędziła długie lata, badając jego życie i twórczość. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, że kiedyś będzie z nim tak jak teraz, czując jego zapach i szorstki dotyk brody, którą uparcie, choć bez powodzenia, usiłował zapuścić. Spędzili długie noce, rozmawiając o wszystkim oprócz jego sztuki. Prasa wystarczająco ją rozreklamowała, a jeden z nagłówków informował: „Jean Rideau – powrót artystów”.

Artykuł twierdził, że jego przybycie stanowi zapowiedź napływu artystów.

„Genialny rzeźbiarz wraca! Niebawem w ślad za nim przybędą wielcy mistrzowie!” – głośiły tytuły popularnych pism.

A zatem był teraz sławny. Prace, które stworzył przed blisko stu laty i które nigdy nie przekroczyły ceny kilkuset franków, warte były teraz miliony. No i oczywiście otaczały go tłumy wielbicieli.

Ale Jean pragnął tylko jej – Marissy.

– To ty przywróciłaś mi życie – mówił, tuląc się do jej kolan jak kot. – Ty ocaliłaś moje dzieła od zapomnienia.

– Jestem więc ich kustoszem. – Odsunęła z twarzy luźne pasmo włosów, które z każdym dniem stawały się cieńsze i bardziej białe. – Czyż nie tak?

Spojrzał na nią chłodnymi błękitnymi oczyma. Przeczuwała ten niezwykły błękit jeszcze wtedy, gdy patrzyła na ziarniste, czarno-białe zdjęcia Jeana sprzed dziesiątków lat.

– Twój wiek nie ma dla mnie znaczenia – powiedział. – Byłem przeciętnym artystą. Teraz wiem, że moja sztuka służyła tylko temu, by doprowadzić mnie do ciebie.

A potem ją pocałował.

Rozdział 5

Jak w przypadku większości poważnych przedsięwzięć zaczęło się skromnie, od małej rządowej jednostki o nazwie Crown Victoria, którą tworzyli pracownik administracyjny oraz dwaj zbyt młodzi żołnierze wyposażeni w telefon komórkowy. Ale wystarczyła jedna rozmowa i kilka dni poświęconych organizacji spraw, by Bellamy utknał w budynku szkoły. Jednak nie pośród uczniów i klas, lecz osaczony przez wciąż rosnącą liczbę samochodów i ciężarówek, a także mężczyzn i kobiet z Biura, którzy właśnie tutaj postanowili utworzyć swoją bazę.

Biuro opracowało bowiem dla Arcadii pewien plan. Odosobnienie, które przez lata dławiło gospodarczy rozwój miasteczka, z punktu widzenia rządowej agendy było jego największym atutem. Oczywiście mogła ona wykorzystać dla swych funkcjonariuszy liczne hotele, restauracje oraz zaplecze w Whiteville, ale, niestety, byli tam również ludzie. Blisko piętnaście tysięcy, a na dodatek autostrada i liczne drogi, które należałoby niebawem zabezpieczyć.

Nie. Arcadia wydawała się tak niezauważalna, jak można sobie wymarzyć, a spośród garstki jej mieszkańców nikt nie miał większego znaczenia. Byli to bowiem farmerzy, pracownicy różnych zakładów, mechanicy, robotnicy i inne ofiary jałowej egzystencji. „Nikt, o kogo ktokolwiek mógłby się upomnieć”.

Tak przynajmniej wyraził się pułkownik.

Pułkownik Willis. Na myśl o tym człowieku Bellamy czuł, że ściska go w żołądku. Niepokoił się również tym, że niewiele o nim wie. W erze powszechnie dostępnej informacji nie należy ufać komuś, kogo nie można znaleźć w Google. Nad tym jednak Bellamy mógł się zastanawiać jedynie po przyjeździe do hotelu, nim późną nocą zasnął. Codzienne obowiązki, a zwłaszcza przeprowadzane wywiady, bez reszty pochłaniały mu czas.

Pokój szkolny był mały. Przenikała go woń pleśni, farby olejnej i minionych lat.

– Po pierwsze – zaczął Bellamy, odchylając się na oparcie krzesła z notesem na kolanach – czy dostrzeżliście coś, o czym chcielibyście porozmawiać?

– Nie – odparła Lucille. – Nic nie przychodzi mi na myśl. – Jacob, całkowicie pochłonięty swoim lizakiem, pokiwał tylko głową. – Sądzę jednak – ciągnęła – że sformułuje pan pytanie w sposób, który pomoże mi uświadomić sobie, czy istotnie nie dzieje się coś dziwnego. Jest pan przecież fachowym śledczym.

– Wydaje mi się, że słyszę naganę w pani głosie.

– Być może – odparła. – Proszę mi wybaczyć. – Polizała koniuszek kciuka, by

zmazać z buzi Jacoba ślad po cukierku. W oczekiwaniu na tę rozmowę starannie go ubrała. Miał na sobie eleganckie czarne spodnie, śnieżnobiałą koszulę z kołnierzykiem i nowe buty. A nawet nowe skarpetki. Bardzo uważał, żeby się nie pobrudzić, jak przystało grzeczemu chłopcu, którym przecież był.

– Po prostu lubię dobierać słowa – dodała. – I zdarza się, że czasem zabrzmia nieco zbyt ostro, choć staram się je tylko trochę urozmaicić. – Skończyła wycierać policzek Jacoba, po czym zajęła się sobą. Przyglądała długie, srebrne włosy. Obejrzała dokładnie swe białe dłonie, sprawdzając, czy czasem nie ma na nich śladu brudu. A potem zmieniła pozycję, przesuwając się nieco na siedzeniu krzesła, by lekko obciągnąć rąbek kremowej sukni. Nie żeby ta podwinęła się za wysoko, broń Boże, jedynie po to, by podkreślić, że – jej zdaniem – każda szanująca się kobieta w mieszanym towarzystwie powinna zrobić wszystko, by podkreślić swą skromność i przyzwoitość.

Przyzwoitość... Według Lucille to słowo nigdy nie było dość często używane.

– Przyzwoitość – mruknęła. A potem przyglądała kołnierzyk sukni.

– Jednym z objawów, o których mi doniesiono – rzekł Bellamy – są kłopoty ze snem. – Podniósł notes z kolan i położył go na biurku. Nie przypuszczał, że nauczyciel w małym miasteczku może mieć tak obszerne biurko, ale po dłuższym namyśle zaczął to rozumieć.

Wyprostował się, by sprawdzić, czy magnetofon jest włączony. Bazgrał coś w notesie, czekając na odpowiedź, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że jej nie dostanie, jeśli nie rozwinie pytania. Wpisał więc słowo: „jajka”, by sprawić wrażenie bardzo zajętego.

– Nie chodzi o to, że Przywrócenie mają kłopoty ze snem – zaczął, starając się mówić powoli i unikać jankeskiego akcentu. – Oni niemal wcale nie śpią. Nie skarżą się przy tym na zmęczenie i wyczerpanie. Dowiaduję się, że niektórzy w ciągu wielu dni i nocy odpoczywają zaledwie po kilka godzin, a bezsenność nie zostawia na nich nawet śladu. – Odchylił się na oparcie, doceniając tym razem jakość drewnianego krzesła, podobnie jak wcześniej docenił walory biurka. – Może jednak dzielimy włos na czworo? – rozmyślał głośno. – Z tego właśnie powodu prowadzimy wszystkie te rozmowy, by ustalić, co stanowi odstępstwo od normy, a co nie. Pragniemy dowiedzieć się jak najwięcej zarówno na temat Przywróconych, jak i zwykłych śmiertelników.

– Czy pańskie pytanie dotyczy mnie i Jacoba? – spytała Lucille, rozglądając się po klasie.

– W ostatecznym rozrachunku was obojga. Teraz jednak chciałbym dowiedzieć się czegoś o pani. Czy miewa pani ostatnio kłopoty ze snem? Jakies senne koszmary?

Bezsensowność?

Lucille poprawiła się na krześle. Spojrzała za okno. Był piękny, słoneczny dzień. Wszystko lśniło i pachniało wiosną, niosąc jednocześnie zapowiedź wilgotnego lata. Westchnęła i potarła dłonie, a potem splótła je i położyła na kolanach. Najwyraźniej jednak nie tego pragnęły, gdyż wygładziła sukienkę i w końcu położyła rękę na ramieniu Jacoba, myśląc, że tak właśnie powinna zrobić matka.

– Nie – odparła. – Przez pięćdziesiąt lat nie mogłam spać. Każdą noc i każdy dzień spędzałam bezsennie. Jak gdyby mnie skazano na wieczne czuwanie. Czułam się już chora z niewyspania. – Uśmiechnęła się. – Teraz śpię każdej nocy. Spokojnie. Tak głęboko i zdrowo, jak od dawna nie pamiętam.

Jej dłonie ponownie spoczęły na kolanach. Tym razem jednak tam zostały.

– Teraz śpię tak, jak człowiek powinien spać – stwierdziła. – Zamykam oczy, a gdy otwieram je ponownie, widzę słońce. Co, jak sądzę, jest normalne.

– A Harold? Jak on sypia?

– Znakomicie. Jak zabity. Zawsze tak było i zapewne będzie.

Bellamy zapisał w notesie: „sok pomarańczowy, wołowina (może stek)”. Potem skreślił słowo „stek” i wpisał zamiast niego „tatar”. Następnie obrócił się do Jacoba.

– A jak ty się miewasz?

– Dobrze, proszę pana. Dobrze się miewam.

– Wszystko to musi ci się wydawać dość dziwne, prawda? Wszystkie te pytania, testy i ludzie, którzy zwracają ci głowę.

Jacob wzruszył ramionami.

– Chciałbyś może o czymś pomówić?

Chłopiec ponownie wzruszył ramionami, podnosząc je niemal do uszu, tak iż okalały jego drobną, delikatną twarz. Przez moment przypominał stary obraz olejny. Koszula malowniczo marszczyła mu się wokół uszu, a włosy barwy piasku opadły na czoło. Wtem, jakby chciał uprzedzić szturchnięcie matki, powiedział:

– Wszystko jest w porządku, proszę pana.

– Czy mogę ci więc zadać inne pytanie? Nieco trudniejsze.

– Grzeczniej jest zapytać „czy mógłbym?”. Mama mnie tego nauczyła. – Spojrzał na nią, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i aprobaty.

– W istocie. – Bellamy się uśmiechnął. – A zatem, czy mógłbym ci zadać trudniejsze pytania?

– Chyba tak – odparł Jacob, a zaraz potem dodał: – Czy chciałby pan usłyszeć kawał? – Jego spojrzenie było bystre i skupione. – Znam dużo dobrych kawałów.

Agent skrzyżował przed sobą ręce i pochylił się w przód.

– Świetnie, posłuchajmy.

Lucille zaczęła się cicho modlić: „O Boże, błagam, tylko nie ten o bobrze”.

– Jak się nazywa kura, która przechodzi przez ulicę?

Wstrzymała oddech. Każdy dowcip dotyczący kur mógł okazać się zgubny.

– Drób w ruchu! – zawołał Jacob, nim jeszcze Bellamy zdołał zastanowić się nad odpowiedzią. A potem uderzył się w kolano i parsknął śmiechem jak stary mężczyzna.

– To zabawne. – Bellamy się uśmiechnął. – Tata cię nauczył?

– Powiedział pan, że chce mi zadać trudne pytanie – rzekł chłopiec, odwracając się w drugą stronę. Patrzył w okno, jakby się kogoś spodziewał.

– Owszem. Wiem, że pytano cię o to wcześniej. I to zapewne tyle razy, że nie chce ci się już odpowiadać. Sam również cię pytałem. Ale muszę zrobić to jeszcze raz. Jak daleko sięgasz pamięcią? Które z wydarzeń przypominasz sobie jako pierwsze?

Jacob milczał.

– Czy pamiętasz pobyt w Chinach?

Pokiwał tylko głową, lecz tym razem matka nie zamierzała go strofować. Jak wszyscy była bardzo ciekawa, dokąd sięga pamięć tych, którzy powrócili. Jej ręka, kierowana nawykiem, delikatnie się poruszyła, by skłonić go do odpowiedzi, ale natychmiast zastygła i wróciła na kolana.

– Pamiętam, jak się obudziłem – zaczął. – Nad wodą. Nad rzeką. I wiedziałem, że będę miał kłopoty.

– Dlaczego miałbyś mieć kłopoty?

– Bo wiedziałem, że mama i tata nie wiedzą, gdzie jestem. A kiedy nie mogłem ich znaleźć, jeszcze bardziej się wystraszyłem. Myślałem, że tata jest gdzieś w pobliżu. Ale go nie było.

– A co działo się potem?

– Przyszli jacyś ludzie. Jacyś Chińczycy. Porozumiewali się po chińsku.

– A potem?

– Potem nadeszły dwie kobiety, które śmiesznie mówiły, ale to było miłe. Nie rozumiałem ich, ale wiedziałem, że są miłe.

– Jasne – przytaknął Bellamy. – Dobrze wiem, o co ci chodzi. Odczuwam to samo co ty, gdy lekarz lub pielęgniarka mówią do mnie coś w tym swoim szpitalnym języku. Niewiele z tego rozumiem, ale sposób, w jaki to robią, wskazuje na to, że chcą być dla mnie mili. Wiesz, Jacob, to niesamowite, ile można powiedzieć na temat innego człowieka, obserwując, jak mówi. Czy się ze mną zgadzasz?

– Tak, proszę pana.

Zaczęli omawiać to, co się działo, gdy chłopiec ocknął się w małej rybackiej wiosce nieopodal Pekinu. Z dumą o tym opowiadał. Czuł się jak łowca przygód, prawdziwy bohater w niebezpiecznej podróży. Tak, to było przerażające, ale tylko na początku. Potem w gruncie rzeczy stało się przyjemne. Znalazł się w dziwnym kraju, pośród dziwnych ludzi, którzy karmili go dziwnymi potrawami, do czego, na szczęście, szybko się przyzwyczał. Nawet teraz, gdy siedział z człowiekiem z Biura i swoją kochaną mamą, łaknął prawdziwego chińskiego jedzenia. Nie miał pojęcia, jak nazywało się to, czym go karmiono, ale rozróżniał smaki i zapachy, istotę tego, co jadł.

Jacob wiele mówił o jedzeniu w Chinach, a także o tym, że wszyscy byli dla niego mili. Traktowali go tak, jakby był jednym z nich, nawet wtedy gdy pojawili się urzędnicy w asyście żołnierzy. Karmili go dopóty, aż w końcu jego żołądek nie mógł już więcej pomieścić, przez cały czas przyglądając mu się z ciekawością i zdumieniem.

Potem nastąpiła długa podróż samolotem, której wcale się nie bał. Dorastając, zawsze marzył o tym, by móc gdzieś polecieć. A teraz dostał w prezencie prawie osiemnaście godzin lotu. Obsługa samolotu była miła, ale nie tak miła jak agent Bellamy, który go odebrał.

Opowiedział o tym wszystkim matce i przedstawicielowi Biura. I choć nie miał bogatego słownictwa, wyraził wszystko, mówiąc po prostu:

– Lubiałem ich. A oni lubili mnie.

– Mam wrażenie, że miło spędziłeś czas w Chinach, Jacobie.

– Tak, proszę pana, bardzo miło.

– To dobrze. To bardzo dobrze. – Agent przestał notować. Sporządzona przez niego lista produktów była pełna. – Jesteś już pewnie zmęczony tymi pytaniami?

– Nie, proszę pana. Nie szkodzi.

– W takim razie chciałbym ci zadać ostatnie. I proszę, żebyś naprawdę dobrze się zastanowił nad odpowiedzią.

Chłopiec skończył swojego lizaka. Usiadł prosto, a jego mała, drobna twarz przybrała poważny wyraz. W ciemnych spodniach i białej koszuli z kołnierzykiem wyglądał jak mały, dobrze ubrany polityk.

– Jesteś dobrym chłopcem, Jacobie, i wiem, że się postarasz.

– Tak – dodała Lucille, gładząc jego głowę. – To dobre dziecko.

– Czy pamiętasz cokolwiek sprzed pobytu w Chinach?

Cisza.

Lucille objęła syna ramieniem, przyciągnęła do siebie i mocno przycisnęła do

piersi.

– Pan Bellamy do niczego cię nie zmusza i jeśli tego nie chcesz, nie musisz odpowiadać. Jest tylko ciekawy. Tak jak i twoja stara mama. Choć myślę, że jestem nie tyle ciekawa, ile po prostu wścibska.

Uśmiechnęła się i wsunęła mu palec pod pachę, żeby go połaskotać.

Jacob zachichotał.

Lucille i Bellamy czekali.

Pogłaskała chłopca po plecach, jakby jej ręka, dotykając go, mogła obudzić uśpioną pamięć. Brakowało jej obecności Harolda. Pomyślała, że może byłoby im łatwiej, gdyby Jacob miał przy sobie ojca, który go głaszcze, i gdyby czuł jego wsparcie. Ale Harold wygłosił wcześniej jedną ze swych tyrad na temat „cholernie głupiego rządu” i był tego dnia wyjątkowo opryskliwy. Zachowywał się tak jak wtedy, gdy próbowała zaciągnąć go do kościoła, toteż uznała, że lepiej, by został w furgonetce, a ona razem z synem pójdzie na rozmowę z przedstawicielem Biura.

Bellamy odłożył notes na stół, by dać chłopcu do zrozumienia, że zadaje pytania nie tylko jako przedstawiciel władz. Chciał podkreślić, że szczerze interesuje się tym, co Jacob przeżył. Polubił go od chwili, gdy go zobaczył, i czuł, że chłopiec odwzajemnia jego sympatię.

Po długiej chwili milczenia, które w końcu stało się kłopotliwe, Bellamy się odezwał:

– W porządku, Jacob. Nie musisz...

– Odpowiem, jeśli sobie życzycie – odparł. – Spróbuję odpowiedzieć.

– Na pewno ci się uda – dodał mu otuchy Bellamy pokrzepiającym tonem.

– Naprawdę nie chciałem tego zrobić. Wtedy, nad rzeką.

– W Chinach? Tam, gdzie cię znaleźli?

– Nie – zaprzeczył po chwili milczenia. Podciągnął kolana do piersi.

– Co zapamiętałeś z tamtego dnia?

– Nie chciałem być nieposłuszny.

– Wiem, że nie chciałeś.

– Naprawdę nie chciałem – powtórzył chłopiec.

Lucille zaczęła cicho łkać. Całe jej ciało drżało, to prostując się, to kuląc, niczym wierzba w marcowym wietrze. W końcu wymacała w kieszeni chusteczki higieniczne, którymi otarła oczy.

– Mów dalej – wykrztusiła z trudem.

– Pamiętam wodę – mówił. – Tylko wodę. Najpierw to była rzeka obok domu, a

potem już nie. Tylko ja tego nie wiedziałem. To się po prostu stało.

– I nie było nic pomiędzy jednym i drugim?

Jacob wzruszył ramionami.

Lucille znów otarła oczy. Jakiś wielki ciężar przygniótł jej serce, choć nie umiała go określić. Z najwyższym trudem zebrała siły, by nie osunąć się na swoje zbyt małe krzesło. Byłoby to co najmniej niestosowne, gdyby Martin Bellamy miał podnosić starą kobietę. Toteż, dochowując wierności etykietce, siedziała wyprostowana nawet wtedy, gdy zadała pytanie, od którego – jak uważała – zależało całe jej życie.

– Czy nie pamiętasz, co się wydarzyło, zanim się obudziłeś, skarbie? W czasie pomiędzy twoim... twoim zaśnięciem a przebudzeniem? Czy nie widziałeś jakiegoś jasnego, ciepłego światła? Nie słyszałeś głosu? Czy cokolwiek zapamiętałeś?

– Co ary lubią najbardziej? – spytał Jacob.

Odpowiedziała mu cisza. Trwał w niej rozdarty pomiędzy tym, czego nie był w stanie powiedzieć, i tym, czego – jak czuł – oczekiwała matka.

– Arytmetykę – oznajmił w końcu, gdy nikt nie odpowiadał.

– To naprawdę świetny chłopiec – rzekł agent Bellamy. Tymczasem Jacob wyszedł i czekał teraz w przylegającym pokoju pod opieką młodego żołnierza, pochodzącego gdzieś ze środkowego zachodu. Obaj byli widoczni przez szybę w drzwiach łączących pomieszczenia, gdyż Lucille pod żadnym pozorem nie chciała spuścić syna z oczu.

– Jest błogosławieństwem – powiedziała po chwili milczenia. Jej wzrok przesunął się z Jacoba na agenta, a następnie na małe, chude dłonie, które położyła na kolanach.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się układa.

– Jak najlepiej – odparła. Uśmiechnęła się, wciąż wpatrzona w swoje ręce. Wtem, jakby rozwiązała w myślach jakąś zagadkę, wyprostowała się z tak szerokim, pełnym dumy uśmiechem, że wtedy dopiero dostrzegł, jaka jest szczupła i krucha. – Czy pan tu jest po raz pierwszy, agencie Bellamy? To znaczy na Południu.

– Wliczając lotniska? – Nachylił się, opierając ręce na wielkim biurku przed sobą. Czuł, że za chwilę czegoś się dowie.

– Chyba nie.

– Jest pani pewna? Tyle razy lądowałem na lotnisku w Atlancie i tyle razy z niego wylatywałem, że nie umiałbym tego zliczyć. To dziwne, ale czasem mam wrażenie, że każda z moich podróży musiała prowadzić przez Atlantę. Przysięgam, że kiedyś

wsiadłem do samolotu z Nowego Jorku do Bostonu, który miał trzygodzinny postój w Atlancie. Do dziś nie wiem, jak to się stało.

Lucille cicho zachichotała.

– A jak to się stało, że nie jest pan żonaty, agencie Bellamy. Jak to możliwe, że nie założył pan własnej rodziny?

Wzruszył ramionami.

– Chyba się do tego nie nadawałem.

– Trzeba się postarać – stwierdziła, wykonując ruch, jak gdyby chciała wstać. Nagle zmieniła zdanie. – Wygląda pan na dobrego człowieka, a świat potrzebuje dobrych ludzi. Powinien pan znaleźć młodą kobietę, która pana uszczęśliwi, i powinniście mieć dzieci – dodała, wciąż się uśmiechając, choć nie mógł nie zauważyć, że jej uśmiech nieco przygasał.

Potem z trudem wstała i podeszła do drzwi, by sprawdzić, czy Jacob wciąż tam jest.

– Wydaje mi się, że właśnie nas ominął Festyn Truskawkowy, panie Bellamy – powiedziała cichym, monotonnym głosem. – Odbywa się co roku mniej więcej o tej porze w Whiteville. Od kiedy pamiętam. Zapewne dla człowieka z wielkiego miasta, takiego jak pan, nie jest to nic szczególnego, ale ludzie stąd, jak my, bardzo lubią brać w nim udział. Jak wskazuje nazwa, jego główną atrakcją są truskawki. Nikt już tego nie pamięta, ale kiedyś ludzie mieli farmy i plantacje, które były źródłem ich utrzymania. Rzadko się to dziś zdarza. Niemal wszystkie farmy, które pamiętam z dzieciństwa, powoli zniknęły. Pozostała może jedna lub dwie. Chyba istnieje jeszcze farma Skidmore'ów w pobliżu Lumberton... ale nie mam pewności.

Odwróciła się od drzwi i stanęła za krzesłem, by spojrzeć na Bellamy'ego z góry. Ten jednak, w czasie gdy na niego nie patrzyła, zmienił pozycję z siedzącej na stojącą, co nieco ją stropiło. Wcześniej, gdy siedział za biurkiem, wyglądał wręcz dziecinnie. Teraz jednak miała przed sobą dorosłego człowieka. Mężczyznę z dalekiego, wielkiego miasta, który przestał być dzieckiem przed wielu, wielu laty.

– Ten festyn trwa przez cały weekend – ciągnęła. – I w miarę upływu lat staje się coraz większy, ale nawet dawniej uchodził za ważne wydarzenie. Jacob był zawsze tak podniecony, jak tylko może być dziecko. Można by pomyśleć, że nigdy nigdzie z nami nie chodził! Zresztą i Harold cieszył się na ten dzień, choć usiłował to ukryć. Widzi pan, wtedy jeszcze nie był upartym, starym osłem. Szkoda, że pan nie widział, jaki był szczęśliwy! I jakżeby nie? Przecież prowadził swego jedyne go syna na Truskawkowy Festyn hrabstwa Columbus! To dopiero było! Obaj zachowywali się jak dzieciaki.

Odbывał się tam również pokaz psów. A Jacob z Haroldem uwielbiają psy. Oczywiście nie była to jedna z tych wystaw, jakie widuje się dziś w telewizji, tylko prawdziwy, tradycyjny pokaz ras pracujących. Były tam angielskie psy myśliwskie na szopy i oposy, a także beagle. Boże, jakie piękne! Harold i Jacob biegali tylko od jednego boksu do drugiego, nie przestając mówić. Dyskutowali zawzięcie, które z psów są lepsze niż inne i dlaczego. A także, które polują najlepiej przy jakiej pogodzie, w jakim miejscu i na jakie zwierzęta.

Lucille promieniała z dumy. Znów odgrywała scenę z 1966 roku.

– I zawsze świeciło słońce – ciągnęła. – A niebo było tak jasne i błękitne, jak trudno sobie wyobrazić, no i zobaczyć w dzisiejszych czasach. – Potrząsnęła głową. – Myślę, że z powodu zanieczyszczenia. Nie widzę dziś niczego, co byłoby takie jak kiedyś.

Nagle przerwała.

Obróciła się i spojrzała przez szybę w drzwiach. Jacob wciąż tam siedział. Wciąż żył. Wciąż miał osiem lat i był prześliczny.

– Wszystko się zmieniło – odezwała się po chwili. – Ale powinien pan to widzieć, agencie Bellamy. Byli tacy szczęśliwi, Jacob ze swoim tatą. Harold potrafił przez pół dnia nosić chłopaka na barana. Myślałam, że wyzionie ducha. Chodziliśmy kilometrami, przez cały czas, a on dźwigał dziecko na ramieniu, jakby to był worek kartofli. Urządzali sobie różne zabawy. Podchodzili na przykład do jakiegoś stoiska, przyglądali się towarom i komentowali je na swój sposób. Potem Jacob rzucał się do ucieczki, a Harold ruszał w ślad za nim. Biegli przez tłum, niemal wywracając ludzi, a ja pędziłam za nimi i krzyczałam: „Natychmiast przestańcie, obaj! Nie zachowujcie się jak dzicy!”.

Spojrzała na Jacoba. Jej twarz przybrała wyraz wyczekiwania.

– To naprawdę jest błogosławieństwo, które zesłał nam Bóg, panie Martinie Bellamy – rzekła wolno. – A jeśli nawet człowiek nie całkiem rozumie znaczenie i sens błogosławieństwa, w niczym go to przecież nie umniejsza... prawda?

Elizabeth Pinch

Wiedziała, że on przyjdzie. Musiała tylko czekać. I wierzyć. Zawsze był lepszy, niż sądził, bardziej inteligentny i zdyscyplinowany. Miał wszystko to, czego nigdy sobie nie przypisywał.

Niewiele brakowało, by go odnalazła. Nim ją złapali, zawędrowała daleko na

wschód, aż do Kolorado. Ale dostrzegł ją na parkingu przy autostradzie szeryf miejscowej policji. Dotarła tam w ciężarówce, której kierowcę tak fascynowały powroty z zaświatów, że przez cały czas wypytywał ją o śmierć. Kiedy nie odpowiedziała na jego pytania, zostawił ją na parkingu, gdzie każdy, na kogo się natknęła, traktował ją nieufnie.

Najpierw przewieziono ją do Teksasu, choć wciąż się domagała, by przesłuchujący ją agenci Biura pomogli jej odnaleźć Roberta Petersa. Po krótkim pobycie w Teksasie wysłano ją do Missisipi, gdzie mieszkała za życia, i umieszczono w jakimś zamkniętym budynku wśród takich jak ona, a wokół ustawiono mężczyzn z karabinami.

– Muszę odnaleźć Roberta Petersa – powtarzała przy każdej okazji.

– Nie ma go tutaj. – Była to najbardziej wyczerpująca z odpowiedzi, jakie usłyszała, w dodatku udzielona kpiącym tonem.

Ona jednak wiedziała, że po nią przyjdzie. Z niewyjaśnionych przyczyn w ogóle w to nie wątpiła.

Znajdzie ją i wszystko będzie tak, jak miało być.

Rozdział 6

Pastor Peters stękał nad klawiaturą. Bóg jeden wiedział, jak jej nie cierpiał. Mimo iż wciąż był stosunkowo młody – miał dopiero czterdzieści trzy lata – nie umiał sobie z nią radzić. Miał pecha należeć do generacji, dla której epoka komputerów zdawała się zbyt odległa, by skłaniać do przyswojenia sobie umiejętności ich obsługi. Tymczasem rola komputerów rosła w takim tempie, że nieznanostwo podstawowych funkcji klawiatury skazywała na coraz poważniejsze kłopoty. Pastor z trudem wystukiwał litery palcami wskazującymi obu rąk, co nadawało mu wygląd olbrzymiej modliszki.

Klik-klik-klik. Klik-klik-klik.

Zaczynał pisać ten list już cztery razy. I czterokrotnie go kasował, aż w końcu, zniechęcony, wyłączył komputer.

Problem polegał i na tym, że jego myśli znacznie wyprzedzały słowa, które w żmudnym trudzie wyszukiwał na klawiaturze. Gdyby nie wierzył faktom, przysięgłby na sterty swych świętych tomów, że litery na klawiszach co kilka minut przesuwały się tylko po to, by zrobić mu na złość. Owszem, mógł napisać ten list ręcznie, a potem przepisać go powoli, ale to niczego by go nie nauczyło.

Jego żona kilkakrotnie wchodziła do biura, proponując mu pomoc, z czego często korzystał, on jednak wciąż grzecznie odmawiał, co z kolei zdarzało się nieczęsto.

– Nigdy się tego nie nauczę, jeśli zawsze będziesz mnie wyręczać.

– Człowiek mądry zna swoje ograniczenia – odparła, nie zamierzając go obrażać, mając tylko nadzieję, że skłoni go do rozmowy, do wielkiej indiańskiej narady, jak to niedawno określił w kazaniu dla mieszkańców Arcadii. W ciągu ostatnich tygodni, a zwłaszcza dni, był dziwnie daleki. Nie rozumiała dlaczego.

– Wolałbym to uznać za elastyczne granice niż za ograniczenia – odrzekł. – Jeśli kiedyś zdołam skłonić do pisania pozostałe palce... to zobaczysz, będę prawdziwym fenomenem.

Gdy zaczęła się zbliżać do biurka, grzecznie pytając, nad czym pracuje, szybko skasował tych kilka cennych słów, które z takim trudem zdołał wystukać.

– Muszę po prostu sformułować myśl – wyjaśnił. – To nic ważnego.

– Nie chcesz mi powiedzieć, co to jest?

– Nic takiego. Naprawdę.

– No dobrze. – Podniosła ręce w geście uległości. Uśmiechnęła się, by zapewnić, że nie ma o to żalu. – Zachowaj swoje tajemnice. Wiesz, że ci ufam. – Z tymi słowami opuściła pokój.

Teraz, po oświadczeniu żony, szło mu jeszcze gorzej. Z jej słów wynikało bowiem, że w liście, który pisał, jest być może coś, co wymaga nie tylko jej zaufania, lecz, co gorsza, i tego, by o nim pamiętał.

Była bardzo zręczną małżonką.

„Szanowni Państwo”.

Tyle zdołał napisać. Musiał teraz zaczynać od początku. Westchnął, otarł wierzchem dłoni zmarszczone czoło i uderzył w klawisz.

Klik-klik. Klik-klik. Klik-klik.

„Piszę z prośbą o informacje...”.

Siedział i myślał, uświadamiając sobie, że nie bardzo wie, o co chciał zapytać.

Klik-klik. Klik-klik...

„Piszę z prośbą o informacje dotyczące sytuacji panny Elizabeth Pinch. Dostałem od Państwa list z powiadomieniem, że panna Pinch usiłuje mnie odnaleźć”.

Półowę skasował. Zostało:

„Piszę z prośbą o informacje dotyczące sytuacji panny Elizabeth Pinch”.

To już brzmiało znacznie lepiej, o coś takiego mu chodziło. Przez chwilę miał ochotę po prostu się podpisać, wsunąć kartkę do koperty i wysłać. Był tak zdecydowany, że nawet ją wydrukował. Potem jednak usiadł głębiej na krześle i spojrzał na wydruk:

„Piszę z prośbą o informacje dotyczące sytuacji panny Elizabeth Pinch”.

Położył kartkę na biurku, wziął do ręki pióro i przekreślił niektóre słowa.

~~„Piszę z prośbą o informacje dotyczące sytuacji panny Elizabeth Pinch”.~~

Jeśli nawet on sam nie był pewien, jego ręka wiedziała, co chce powiedzieć. Uniosła pióro i opuściła je ponownie na kartkę. Posuwała się po niej dopóty, aż w końcu

powiedziała całą prawdę, która teraz uderzyła go w oczy.

„Piszę o Elizabeth”.

Cóż innego miał zatem zrobić, niż zмяć kartkę i wrzucić ją do kosza?

Włączył Internet i wystukał w pasku imię i nazwisko: Elizabeth Pinch. W odpowiedzi pojawiły się dziesiątki osób o tym samym nazwisku i imieniu, ale żadna z nich nie była piętnastoletnią dziewczyną z Missisipi, która kiedyś, dawno temu, zawładnęła jego sercem.

Skoncentrował się zatem na zdjęciach.

Ekran wypełniły fotografie kobiet. Pojawiały się jedna po drugiej. Niektóre z uśmiechem patrzyły w kamerę, inne nie były świadome jej obecności. Niektóre zdjęcia nie przedstawiały ludzi, tylko obiekty. Pojawiały się też takie, które zawierały fragmenty filmów fabularnych i telewizyjnych. Okazało się, że pewna Elizabeth Pinch z Hollywood pisała popularne seriale telewizyjne. W miarę jak szukał, wyskakiwały przed nim kolejne sceny i ujęcia.

Nie ustawał dopóty, aż słońce ze złotego stało się pomarańczowe, by w końcu, nim zapadło za horyzont, znów błysnąć złotem. Choć o to nie prosił, żona przyniosła mu filiżankę kawy. Podziękował, pocałował ją i delikatnie wyprosił z pokoju, nim zdążyła przyjrzeć się ekranowi i dostrzec wpis na pasku. Zresztą gdyby nawet go zobaczyła, co by jej to dało? Widząc kobiece imię, mogłaby najwyżej powziąć jakieś podejrzenia, ale przecież i tak je miała. Znajomość imienia nic by nie zmieniła.

Nigdy jej nie wspomniał o Elizabeth.

Tuż przed zapadnięciem nocy wreszcie to znalazł. Wycinek z „Water Main”, niewielkiej gazety wychodzącej w małym miasteczku, gdzie dorastał. Nie wyobrażał sobie, że technologia mogła sięgnąć aż tyle lat wstecz, do prowincjonalnego Podunk w wilgotnym zakątku Missisipi, gdzie królowała wszechobecna bieda. Nagłówek, niewyraźny, lecz czytelny, głosił: „Śmierć miejscowej dziewczyny w wypadku samochodowym”.

Twarz pastora stężała. Gardło ścisnął mu gniew. Poraziły go nieudolność i obojętność czytanych słów.

Pragnął, by artykuł zawierał więcej szczegółów. By mówił o tym, jak Elizabeth zginęła w kłębowisku metalu zmiażdżonym straszliwą siłą bezwładu. Ale środki przekazu są ostatnią z instancji odwołujących się do prawdy. To już wiele, jeśli przedstawią fakty.

Pomimo wad artykułu czytał mały wycinek raz po raz. Mimo wszystko zawierał pewną prawdę. Podane w nim informacje odświeżyły pamięć. Doznał gwałtownej ulgi w chwili, gdy po raz pierwszy w tym dniu spod jego pióra popłynęły niekontrolowane słowa:

„Piszę o Elizabeth. Kochałem ją, lecz umarła. Teraz znów żyje. Co mam czynić?”.

Harold i Lucille oglądali telewizyjne „Wiadomości”, nie mogąc spokojnie usiedzieć. Jacob był na górze, gdzie spał, a może nie spał. Harold w swoim ulubionym wygodnym fotelu co chwila zwilżał i pocierał wargi, nerwowo łaknąc nikotyny. Od czasu do czasu głęboko wciągał powietrze i zatrzymywał je w płucach, a potem energicznie wydmuchiwał, starannie dostosowując usta do kształtu papierosa.

Lucille siedziała w podomce z rękami na kolanach. Wiadomości brzmiały niewiarygodnie.

Ubrany w ciemny garnitur siwiejący prezenter o regularnych, przystojnych rysach twarzy miał do zakomunikowania wyłącznie tragiczne wydarzenia.

– We Francji odnotowano trzy ofiary śmiertelne – informował nieco zbyt beznamiętnie jak na gust Lucille. – Liczba ta zapewne wzrośnie, gdyż policja nie jest w stanie opanować protestów. Entuzjaści fali powrotów najwyraźniej utracili busolę w swych działaniach.

– Tania sensacja – parsknął Harold.

– Utracili busolę? – powtórzyła Lucille. – Dlaczego on wyraża się w ten sposób?

– Pewnie myśli, że to eleganckie – skwitował Harold.

– Czy dlatego, że to się stało we Francji, musi mówić takie straszne rzeczy w taki sposób?

Potem siwowłosy zniknął, a na ekranie pojawili się mężczyźni w mundurach, z tarczami i pałkami, wymierzając szerokie, zamaszyste uderzenia w tłum kłębiący się pod bezchmurnym, słonecznym niebem. Masy ludzi, całe ich setki, cofały się, gdy mundurowi przypuszczali atak, lecz gdy tylko zaczęli się wycofywać, ludzkie mrowie natychmiast wypełniało całą wolną przestrzeń. Niektórzy uciekali, inni padali pod ciosami ciężko jak kukły. Tłum napierał niczym stado zwierząt, przypuszczając atak grupami i rzucając się na policję. Gdzieniegdzie, na końcu czyjejś ręki, pojawiał się niewielki płomień. Zataczał krąg, wzbijał się w powietrze, po czym opadał, by wybuchnąć wielkim pióropuszem ognia.

Na ekranie znów pojawił się prezenter.

– To przerażające – skomentował tonem, w którym podniecenie mieszało się ze zgrozą.

– No pomyśl – powiedziała Lucille, machając w stronę ekranu, jakby to był niesforny domowy kot. – Ci ludzie powinni się wstydzić tych awantur. Zapominają o elementarnym zachowaniu. Co gorsza, to Francuzi. Nie spodziewałabym się takich rzeczy po Francuzach. Powinni być bardziej okrzesani.

– Twoja prababka nie była Francuzką, Lucille – wtrącił Harold, choćby po to, by oderwać się od telewizyjnych rewelacji.

– Owszem! Była Kreolką.

– Nikt w twojej rodzinie nie mógł tego potwierdzić. Myślę, że chciałabyś być Francuzką, ponieważ masz hopla na ich punkcie. Diabli wiedzą czemu.

Kamery „Wiadomości” przeniosły się z Paryża na szerokie, płaskie pole w Montanie. Całą jego powierzchnię zajmowały duże kwadratowe budynki, które wyglądały jak szopy, lecz nimi nie były.

– A teraz przenosimy się bliżej domu – oznajmił siwowłoso. – Tu, na amerykańskiej ziemi, rodzi się ruch przeciwników fali powrotów. – Potem pojawili się mężczyźni, którzy wyglądali na żołnierzy, lecz nimi nie byli.

Ale bez wątpienia byli Amerykanami.

– Francuzi to ludzie wrażliwi i cywilizowani – oznajmiła, patrząc to na ekran, to na Harolda. – I przestań kłąć. Jacob cię usłyszy.

– Kiedyż to ja kłamię?

– Powiedziałeś „diabli wiedzą” .

Harold wyrzucił ręce do góry z udawaną rozpaczą.

Tymczasem w telewizji pojawili się mieszkańcy Montany. Nie tylko mężczyźni. Były tam również kobiety ubrane w mundury i uzbrojone w karabiny. Biegały, skakały przez różne przeszkody lub czołgały się pod nimi. Wszystkie miały groźne miny, choć udając żołnierzy, wydawały się wręcz żalosne.

– A to co takiego? – spytała Lucille.

– Jacyś maniacy.

– Skąd wiesz? – prychnęła. – Przecież jeszcze nic o nich nie powiedziano.

– Wystarczy na to spojrzeć. Co tu gadać.

– Niektórzy mają ich za wariatów – rozległ się głos prezentera.

Harold chrząknął.

– Władze są jednak zdania, że nie należy lekceważyć tego zjawiska.

Na ekranie jeden z samozwańczych żołnierzy spojrział na lufę karabinu i

wycelował w sylwetę wyciętą z papieru. Mały pióropusz dymu wzbił się z ziemi za papierowym celem.

– To jacyś agresywni fanatycy – rzekł Harold.

– Skąd wiesz?

– A cóż innego? Spójrz tylko na nich. – Wskazał ekran palcem. – Choćby na tego z brzuchem. To zwykli starzy ludzie, którym odbiło. Może powinnaś im poczytać Pismo Święte.

Znowu pojawił się prezenter.

– Podobnie dzieje się wszędzie – oświadczył.

– Jacob! – krzyknęła Lucille. Nie chciała go wystraszyć, ale nagle zaczęła się o niego bać.

Chłopiec odpowiedział jej z góry niskim, spokojnym głosem.

– Wszystko dobrze, skarbie? Tylko pytam.

– Tak, mam. Dobrze.

Rozległ się odgłos upadających zabawek, a potem dziecięcy śmiech.

Nadali sobie miano Ruchu Prawdziwie Żywych z Montany. Byli to samozwańcy bojownicy uprzednio dążący do obalenia rządu Stanów Zjednoczonych i wojny ras, która ostatecznie oczyści amerykański tygiel. Teraz jednak, zdaniem jednego z nich, wyłoniło się większe zagrożenie.

– Są wśród nas tacy, którzy nie boją się zrobić tego, co należy – deklarował.

Z ekranu zniknęli ludzie z Montany i pojawił się siwowłosy prezenter. Spojrzał wprost w kamerę, a potem na leżącą przed nim kartkę papieru. Na ekranie pojawiły się słowa: „Czy Przywrócenie stanowią zagrożenie?”.

Wydawało się, że prezenter w końcu znalazł słowa, których szukał.

– Po wydarzeniach w Rochester wszyscy musimy zadać sobie takie pytanie.

– Jeśli Ameryka ma jakąś przewagę nad światem – oznajmił Harold – to na pewno w liczbie durniów z karabinami.

Lucille parsknęła wbrew temu, co czuła. Zaraz jednak ucichła, ponieważ telewizja miała pokazać coś ważnego. W oczach prezentera pojawił się niepokój, jak gdyby zawiódł go monitor tekstu.

– A teraz przemówi prezydent Stanów Zjednoczonych – oznajmił nagle.

– No proszę. – Harold cmoknął.

– Cicho. Zawsze musisz być pesymistą.

– Raczej realistą.

– Mizantrop.

– Baptystka!

– Łyson!

Przekomarzali się w ten sposób, aż w końcu dotarło do nich, co mówi prezydent, który zakończył wystąpienie słowami: „Powinni zostać w swoich domach aż do odwołania”. Na tym transmisja się urwała.

– Co takiego? – spytała Lucille.

Jakby w odpowiedzi, zdanie to pojawiło się na pasku na dole ekranu, tam, gdzie większość informacji. „Na mocy rozporządzenia prezydenta Przywrócenie mają pozostać w domach”.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła, gwałtownie blednąc.

Na zewnątrz, z oddali, nadciągały autostradą ciężarówki. Lucille i Harold nie mogli ich zobaczyć, lecz nie stały się przez to mniej rzeczywiste. Niosły zapowiedź nieodwracalnych zmian, konsekwentnych i trwałych.

Ciężarówki toczyły się po asfalcie z hukiem grzmotu i nieubłaganie zmierzały w stronę Arcadii.

Gou Jun Pei

Żołnierze pomogli mu zejść z platformy furgonetki i poprowadzili w stronę wysokiej budowli o barwie alabastru, wysokich kwadratowych oknach i oficjalnym wyglądzie. Początkowo pytał, dokąd go zabierają, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, po prostu zamilkł. Gdy znaleźli się wewnątrz budynku, zaprowadzili go do małego pokoju, pośrodku którego stało coś, co przypominało szpitalne łóżko. Zaczął spacerować tam i z powrotem, zmęczony siedzeniem podczas długiej drogi do miejsca, w którym się teraz znalazł.

Wtedy weszli lekarze.

Było ich dwóch. Poprosili, by usiadł na stole, a gdy usłuchał, zaczęli go obmacywać i poszturchiwać. Zmierzyli mu ciśnienie i zajrzeli do oczu, szukając w nich tego, czego tylko lekarze mogą się doszukać. Sprawdzili odruchy, pobrali krew do analizy i wykonali jeszcze wiele innych badań, przez cały czas nie udzielając żadnej odpowiedzi, gdy pytał: „Gdzie jestem? Kim wy jesteście? Dlaczego pobieracie mi krew? Gdzie jest moja żona?”.

Badanie trwało przez wiele godzin, oni jednak wciąż nie odpowiadali ani nie słuchali tego, co mówił. Na koniec czuł się bardziej jak przedmiot niż jak człowiek.

– Skończyliśmy – powiedział jeden z medyków. Po czym obaj wyszli.

Stał nagi, zziębnięty, wystraszony i zmęczony, patrząc, jak zamykają się za nimi drzwi pokoju. Uwięziono go w miejscu, którego nie znał, na rozkaz ludzi, o których nic nie wiedział.

– Co ja takiego zrobiłem? – spytał w przestrzeń. Odpowiedziały mu tylko echem ściany pustej celi, w której pozostał sam. Była to samotność podobna tej w grobie.

Rozdział 7

Harold i Lucille siedzieli na ganku, jak to mieli w zwyczaju. Słońce stało wysoko i było gorąco, ale z zachodu chwilami powiewał lekki wiatr, który pozwalał wytrzymać upał, co zdaniem obojga stanowiło dowód miłosierdzia dla świata.

Harold spokojnie wypuszczał dym papierosa, bacząc, by popiół nie spadł na jego nowe spodnie khaki i niebieską roboczą bluzę, którą kupiła Lucille. Ich spory i docinki przerodziły się w milczenie pełne twardych spojrzeń i wymownych gestów, które usiłowała załagodzić kupnem kolejnych par spodni.

Zaczęło się mniej więcej wtedy, gdy Przywróceni dostali zakaz opuszczania domów i gdy rodzina Wilsonów zniknęła z kościoła. Pastor twierdził, że nie wie, co się z nimi stało, ale Harold miał własny pogląd na tę sprawę. Fred Green w ostatnich tygodniach mocno agitował przeciw pobytowi Wilsonów w kościele.

Harold czasem wspominał, jaki był niegdyś Fred. Jak pewnego razu, dawno temu, on i Mary przyszli do nich na niedzielny obiad. I jak Mary stała pośrodku salonu, śpiewając swoim wysokim, pięknym głosem, a Fred siedział wpatrzony w nią niczym dziecko, które pośród ciemnego, głuchego lasu ujrzało światła wesołego miasteczka.

Ale potem umarła na raka piersi, na którego zapadła, gdy była jeszcze tak młoda, że nie przyszło jej nawet do głowy, żeby się badać. Nikt nie ponosił tu winy, ale Fred nigdy sobie tego nie wybaczył i, no cóż, nie był już teraz taki jak wtedy, w 1966 roku, w dniu, w którym przedzierał się przez krzaki razem z Haroldem, szukając chłopca, którego ku swojej zgrozie mieli razem znaleźć.

Wiatr powiał nad ziemią, niosąc z sobą warkot potężnych, wielotonowych ciężarówek hałaśliwie zmieniających biegi. I choć budowę rozpoczęto daleko, aż przy szkole, w samym centrum Arcadii, odgłos był wyraźny i łatwy do rozróżnienia, niczym ostrzeżenie przeznaczone wyłącznie dla nich dwojga.

– Jak myślisz, co oni budują? – spytała Lucille, delikatnymi ruchami zszywając koc, który rozdarł się ostatniej zimy. Teraz była najlepsza pora na naprawę zniszczonych rzeczy.

Harold wypuszczał tylko dym, patrząc na Jacoba, który kręcił się wesoło w nakrapianym słońcem półcieniu wielkiego dębu. Chłopiec śpiewał piosenkę, której ojciec nie rozpoznawał.

– No więc co oni budują? – powtórzyła pytanie Lucille, podnosząc nieco głos.

– Klatki – odparł, wypuszczając chmurę ciemnego dymu.

– Klatki?

– Tak. Dla umarłych.

Lucille przestała szyc. Rzuciła koc na poręcz i starannie ułożyła przybory do szycia w pojemniku.

– Jacob, skarbie! – krzyknęła.

– Tak, mammo?

– Idź się bawić w głębi podwórza, dziecko. Sprawdź no w tych krzewach za magnoliami, czy nie ma tam jagód. Mielibyśmy coś dobrego na deser.

– Tak, mammo.

Wobec jej polecenia patyk w ręku chłopca stał się mieczem. Jacob wydał cichy okrzyk wojenny i pobiegł w stronę magnolii rosnących w zachodniej części ogrodu.

– I nie znikaj mi z oczu! – krzyknęła za nim. – Słyszysz?

– Tak, mammo – odpowiedział, atakując już magnolie swą wyimaginowaną szablą. Nieczęsto pozwalano mu się oddalać, nawet na tak niewielką odległość, toteż zrobił to bardzo chętnie.

Lucille wstała i podeszła do poręczy ganku. Miała na sobie zieloną suknię z białym ścięciem wokół kołnierzyka i agrafkami wpiętymi w rękawy, gdyż będąc w domu, często ich potrzebowała. Z jej srebrzystych, związanych w koński ogon włosów wysunęło się kilka pasm, opadając na brwi.

Zbyt długo siedziała, a wcześniej bawiła się z Jacobem, dlatego bolała ją noga w biodrze. Jęknęła, pomasowała ją i wydała ciche, pełne rezygnacji westchnienie. Potem położyła ręce na poręczy i wbiła wzrok w ziemię.

– Nie będę się upierał. – Harold się zaciągnął, po czym zdeptał obcasem niedopałek papierosa. Głęboko z płuc wypuścił resztkę dymu. – No dobrze, nie będę używał tego słowa. Będę mówił o nich Przywróceniu, choć nie rozumiem, dlaczego miałyby to brzmieć lepiej. To prawie jak „zwrócenie”. Chciałabyś, żeby nazywano cię jak jakąś cholerną paczkę?

– Mógłbyś spróbować uznać ich za ludzi.

– Ale oni nie są lu... – Dostrzegł w oczach żony, że to nie najlepszy moment na takie opinie.

– Są po prostu bardzo... wyjątkowi. Zresztą równie dobrze można kogoś określać na podstawie przynależności do republikanów lub demokratów. Albo na podstawie grupy krwi. – Nerwowo potarł brodę, zdumiony, że wyczuwa zarost. Jak mógł zapomnieć o czymś tak elementarnym jak golenie? – W każdym razie – ciągnął, odpychając od siebie zagadkę nieogolonej brody – musimy nadać im jakąś nazwę, żeby

wiedzieć, o kim mówimy.

– Oni nie są martwi. Ani Przywrócenii. To ludzie. Najzwyczajniejsi na świecie.

– Musisz jednak przyznać, że bardzo szczególni.

– On jest twoim synem, Haroldzie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Mój syn nie żyje.

– Nieprawda. Jest tu obok. – Podniosła palec i wskazała w stronę ogrodu.

Zapadła cisza. Wypełniał ją tylko szum wiatru, odgłosy dalekiej budowy i lekki trzask patyka, którym Jacob uderzał w pnie rosnących nad rowem magnolii.

– Budują dla nich klatki – rzekł Harold.

– Nie zrobią czegoś takiego. Tyle że nikt nie wie, co z nimi począć. Jest ich już za wielu. Gdziekolwiek się obrócisz, zewsząd napływają nowi. Niezależnie od tych głupców z telewizji, prawda jest taka, że nic o nich nie wiemy.

– Wcześniej mówiłaś co innego. Twierdziłaś, że to diabły. Pamiętasz?

– No cóż, to było dawno. Od tamtej pory wiele zrozumiałam. Pan uświadomił mi, że popełniam błąd, zamykając serce.

Harold prychnął.

– Rany, mówisz jak ci fanatycy w telewizji. Ci, którzy chcą z nich zrobić żywych świętych.

– Są dziełem cudu.

– To nie żaden cud, to zaraza. Czemuż by inaczej rząd zakazał im opuszczać domy. I dlaczego w chwili, gdy to mówimy, w całym mieście trwa budowa klatek. Widziałem to na własne oczy, Lucille. Zaledwie wczoraj, gdy wybrałem się do centrum po zakupy. Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie widać żołnierzy, wojskowe samochody, ciężarówki i zasieki. Całe kilometry zasieków. Sterty drutu na wyładowanych po brzegi platformach ciężarówek. Wszyscy zdolni do służby mężczyźni, którzy nie noszą karabinów, kierowani są do budowy zasieków. Wysokich na trzy metry. Z mocnej stali. Zwieńczonych drutem kolczastym. Otoczyli nimi szkołę. Cały budynek. Od wystąpienia prezydenta w telewizji nie odbywają się tam lekcje. Zapewne władze uważają, że w tym małym miasteczku nie ma zbyt wielu dzieci, co zresztą jest prawdą. Nic się więc nie stanie, jeśli przeniesiemy szkołę gdzie indziej, a wtedy oni zmienią budynek szkolny w obóz śmierci.

– Czy to miał być żart?

– Najwyżej gra słów. Mam spróbować innej?

– Zamknij się! – Tupnęła nogą. – Zawsze widziałeś w ludziach to, co najgorsze.

Taki już jesteś. Dlatego twoja świadomość jest tak ograniczona. I dlatego nie widzisz cudu, który się dokonał na twoich oczach.

– Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku.

Lucille przemaszerowała przez ganek i uderzyła męża w twarz. Odgłos uderzenia poniósł się nad podwórzem jak strzał z małokalibrowej broni.

– Mamo?

Nagle jak cień wyrósł spod ziemi Jacob. Lucille wciąż drżała z nadmiaru adrenaliny, złości i żalu. Ręka jej ścierpła. Zaciśnęła ją, a potem rozprostowała, jakby niepewna, czy wciąż należy do niej.

– O co chodzi, synu?

– Potrzebuję miski.

Chłopiec stał u podnóża prowadzących na ganek schodów. Jego wypchana na brzuchu koszula niemal pękała od nadmiaru jagód. A zabarwione na granatowo usta wygięły się nerwowo.

– Dobrze, skarbie.

Otworzyła siatkowe drzwi i wpuściła go do domu. Oboje wolno ruszyli do kuchni, bacząc, by nie rozsypać cennych zbiorów. Lucille zanurzyła się w kredensie i w końcu wyciągnęła odpowiednią miskę, po czym wspólnie z synem zabrali się do mycia jagód.

Harold siedział samotnie na ganku. Po raz pierwszy od tygodni nie chciało mu się palić. Lucille uderzyła go dotąd tylko raz. Przed wielu, wielu laty. Tak dawno, że niemal nie pamiętał dlaczego. Chodziło chyba o jakąś uwagę, którą wygłosił na temat jej matki. Zdarzyło się to jeszcze wtedy, gdy byli młodzi i przejmowali się takimi sprawami.

Wiedział tylko tyle, że wtedy, tak jak i teraz, zrobił coś bardzo złego.

Usiadł w swym fotelu, odchrząknął i rozejrzał się wokół za czymś, co mogłoby go zainteresować. Niczego jednak nie dostrzegł. Siedział więc i słuchał.

Ale słyszał tylko głos swego syna.

Jakby na świecie nie istniało nic oprócz Jacoba. Pomyślał wtedy, a może mu się przyśniło, że tak było zawsze. Pamięć przywróciła minione lata. A wraz z nimi rok 1966. Ta wizja przejęła go zgrozą. Przecież tak dzielnie się trzymał po śmierci syna. Był dumny z siebie i swojego życia. Nie miał czego żałować. Nie zrobił przecież nic złego.

Jego ręka sięgnęła do prawej kieszeni. W głębi, obok zapalniczki i kilku zapomnianych monet znalazł mały srebrny krzyżyk, ten sam, który wyłonił się nie

wiadomo skąd przed kilku tygodniami, gładko wypolerowany przez upływ czasu.

Wtedy w jego głowie pojawiła się pewna myśl. A może było to odczucie, tak jednak wyraźne, że zdawało się myślą – ukryte gdzieś głęboko w mrokach pamięci, zagrzebane w sąsiedztwie wspomnień matki i ojca, którzy stali się teraz zaledwie niewyraźnym, martwym obrazem zachowanym w przyćmionym świetle pamięci.

Być może właśnie to, ta myśl czy uczucie zrodzone wtedy w jego świadomości, było jeszcze czymś innym, bardziej namacalnym. Jak ojcostwo. Wiele myślał ostatnio o ojcostwie. Przez pięćdziesiąt lat zapomniał o związanych z nim powinnościach, a teraz był zbyt stary, by wywiązać się z nich właściwie. A przecież za sprawą dziwnego zrzędzenia losu znów został powołany do tej roli – nigdy by nie przypisał tego wydarzenia boskiej interwencji, kategorycznie bowiem odmawiał wszelkich kontaktów z Bogiem.

Zastanawiał się teraz, co właściwie oznacza słowo „ojciec”. Wcielał się w tę rolę zaledwie przez osiem lat, ale gdy te lata minęły, nie był w stanie się od niej uwolnić. Nigdy nie powiedział o tym Lucille, ale przez dziesięć lat po śmierci Jacoba ulegał nagłym atakom nieokreślonych emocji, które czasem, gdy wracał z pracy do domu, ogarniały go niczym fale oceanu. Teraz nazywają to atakami paniki.

Harold nie lubił, by przypisywano mu cokolwiek, co wiąże się z paniką. Musiał jednak przyznać, że to właśnie odczuwał. Ręce zaczynały mu drżeć, a serce biło tak, jak gdyby w piersi więził stado bydła. Zjeżdżał na pobocze i dygocąc, zapalał papierosa, zaciągając się nim co sił w płucach. Serce biło mu tak, że czuł je w pulsujących skroniach. Zdawało mu się, że nawet oczy pulsują.

Równie nagle wszystko mijało. Czasem zostawiając tylko ulotne wspomnienie Jacoba, jak obraz świetlistego księżyca w pełni, który pozostaje w zamkniętych oczach, choć powinny widzieć tylko ciemność.

Teraz, trzymając w palcach mały srebrny krzyżyk, Harold znów poczuł nadchodzący atak. Jego oczy zaczęły wzbierać łzami i jak każdy mężczyzna w obliczu bezwzględного terroru uczuć, uległ perswazjom żony i ukrył swe myśli głęboko w sercu.

– Okay – powiedział do siebie.

We dwóch ruszyli przez podwórze. Harold szedł wolno, równym krokiem, a Jacob biegał wokół niego.

– Spróbuj spędzić z nim trochę czasu – powiedziała w końcu Lucille. – Tylko we dwóch. Znajdź mu jakieś zajęcie. Jak kiedyś. On tego potrzebuje. – Tak więc teraz wraz

z odzyskanym synem dreptali po ziemi, a Harold nie miał pojęcia, co powinni robić.

Zatem po prostu szli.

Minęli podwórze, dotarli do granic posiadłości i wyszli na gruntową drogę, która prowadziła w stronę autostrady. Pomimo zakazu opuszczania domów, który obowiązywał Przywróconych, maszerowali po spieczonym słońcem asfalcie, którym przejeżdżały wojskowe wozy, a żołnierze z platform ciężarówek i z terenowych samochodów przypatrywali się pomarszczonemu, staremu mężczyźnie, który prowadził małego syna.

Harold nie był pewien, czy odczuł lęk, czy ulgę, gdy jeden z wozów, który ich minął, zahamował, zawrócił na pasie dzielącej drogę zieleni i z warkotem ruszył w ich stronę. Jacob wyraźnie się przestraszył. Złapał ojca za rękę i ukrył się za jego nogą, zerkając wokół, gdy samochód zwalniał, by się zatrzymać.

– Dzień dobry – odezwał się żołnierz siedzący na miejscu pasażera. Miał około czterdziestki, niemal kwadratową głowę, blond włosy, twardo zarysowaną szczękę i zimne, czujne, błękitne oczy.

– Dzień dobry – odparł Harold.

– Jak się panowie miewacie?

– Żyjemy.

Żołnierz parsknął śmiechem. Nachylił się do przodu, przyglądając się Jacobowi.

– A jak pan się nazywa?

– Ja?

– Tak, proszę pana – odparł żołnierz. – Bo ja jestem pułkownik Willis. A pan?

Chłopiec wysunął się zza ojca.

– Jacob.

– Ile masz lat, Jacobie?

– Osiem, proszę pana.

– Ho, ho. To wspomniały wiek. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy miałem osiem lat. Wiesz, ile mam teraz? Zgadnij.

– Dwadzieścia pięć?

– Zimno. Ale dzięki. – Pułkownik uśmiechnął się, nie zdejmując ręki z okna swojego humvee. – Dobiegam pięćdziesiątki.

– Łał!

– Masz rację. Jestem naprawdę starym człowiekiem. – Potem zwrócił się do Harolda. – A jak pan się miewa? – Jego głos brzmiał teraz twardo.

– Dziękuję, dobrze.

– Pańskie nazwisko?

– Harold. Harold Hargrave.

Pułkownik Willis spojrział przez ramię na młodszego żołnierza siedzącego obok w ciężarówce, i ten coś zapisał.

– A gdzie to panowie się wybieracie w taki piękny dzień? – spytał pułkownik. Spojrzał na złote słońce, błękitne niebo i małe chmurki leniwie przesuwane nad ziemią z jednego krańca na drugi.

– Nigdzie w szczególności – odparł Harold, nie patrząc w niebo, tylko obejmując wzrokiem wojskowy wóz. – Wyszliśmy po prostu rozprostować nogi.

– I jak długo jeszcze zamierzacie je rozprostowywać? A może podwieźć panów do domu?

– Skoro potrafiliśmy dotrzeć tutaj – rzekł Harold – potrafimy i wrócić.

– Proponujemy tylko pomoc, panie... Hargrave, czy tak? Harold Hargrave?

Harold wziął Jacoba za rękę i obaj stanęli nieruchomo jak posagi, aż w końcu pułkownik zrozumiał. Obrócił się do młodego żołnierza siedzącego za kierownicą i coś powiedział, wskazując ruchem głowy starego mężczyznę i chłopca.

Humvee ożył i oddalił się z rykiem silnika.

– Był dość uprzejmy – stwierdził Jacob. – Jak na pułkownika.

Instynkt podpowiadał Haroldowi, by wracać do domu, ale Jacob ciągnął go w innym kierunku. Obrócił się na północ i wciąż trzymając ojca za rękę, poprowadził go w stronę lasu, a potem dalej w głąb. Posuwali się wolno pod koronami sosen i rosnących gdzieś tam białych dębów. Co pewien czas w niewielkiej odległości słyszeli odgłosy leśnych zwierząt. Potem trzepot ptaków, które zerwały się z wierzchołków drzew. A potem już tylko wiatr, niosący woń ziemi i sosen pod dalekim niebem, który mógł niebawem przynieść deszcz.

– Dokąd idziemy? – zwrócił się do syna Harold.

– Jakie zwierzę lubi leżeć na drodze? – spytał Jacob.

– Żebyśmy się tylko nie zgubili – ostrzegł Harold.

– Zebra.

Harold się roześmiał.

Wkrótce poczuli zapach wody. Ojciec i syn zmierzali teraz w jej stronę. Harold przypomniał sobie, jak kiedyś z Jacobem i Lucille wybrali się na ryby w pobliżu jeziora Waccamaw. Rozłożyli się na niewielkim mostku, który szczęśliwie nie był wysoki, gdyż jakieś pół godziny później Lucille uznała, że zabawnie będzie zepchnąć męża do wody.

On jednak w porę się połapał i zdołał odsunąć w bok, jednocześnie popychając ją dość mocno, by z krzykiem wpadła do rzeczki.

Kiedy w końcu wygramoliła się na brzeg, przedstawiała żalosny widok – dzinsy i bawełniana bluzka oblepiały jej ciało, a w ociekające wodą włosy wplątały się liście rosnących nad brzegiem krzewów.

– Złowiłaś coś, mamu? – spytał Jacob, uśmiechając się od ucha do ucha.

Nie odzywając się słowem, Harold złapał chłopca za rękę, a Lucille chwyciła syna za nogi, i pękając ze śmiechu, wrzucili go do wody.

Wydaje się, że to było nie dalej niż przed tygodniem – pomyślał.

Wtem las się przerzedził i po chwili wyłoniła się przed nimi rzeka, ciemna i leniwie płynąca.

– Nie mamy ubrań na zmianę – powiedział Harold, patrząc na powierzchnię wody. – Co pomyśli mama, gdy pojawimy się w domu brudni i ociekający wodą. Napytamy sobie kłopotów. – Mówiąc te słowa, zdejmował buty i podwijał spodnie, po raz pierwszy odkąd pamiętał, wystawiając swe chude, stare nogi na światło dnia.

Potem pomógł Jacobowi podwinąć nogawki nad kolana. Chłopak z uśmiechem ściągnął koszulę i puścił się biegiem w dół, po stromiznie brzegu, aż dotarł do wody i wszedł w nią po pas. Potem zanurkował pod powierzchnią i wynurzył się z głośnym śmiechem.

Harold potrząsnął głową i wbrew swym zamiarom zdjął koszulę, by tak szybko, jak wiek mu pozwalał, ruszyć do wody i dołączyć do chłopca.

Chlapani się tak długo, aż w końcu obaj mieli naprawdę dość. Wolno wyszli na brzeg i znaleźli płaski, trawiasty spłachetek, gdzie położyli się niczym krokodyle, pozwalając słońcu głąskać swoje ciała.

Harold był zmęczony, lecz szczęśliwy. Czuł, jak coś w jego wnętrzu ulega oczyszczeniu.

Otworzył oczy, by patrzeć na niebo i drzewa. Trzy sosny pięły się ku górze, łącząc się koronami pod nisko wiszącym niebem i zasłaniając słońce, które chyliło się ku zachodowi. Sposób, w jaki ich wierzchołki się splatały, wydawał mu się dziwaczny. Długo leżał na trawie wpatrzony w ich gąszcz.

Potem usiadł, czując, że ból przenika całe jego ciało. Był w końcu dużo starszy niż kiedyś. Jak dziecko przyciągnął kolana do brody i objął nogi rękami. Potem przesunął dłonią po szorstkiej brodzie i wbił wzrok w rzekę. Był tu już kiedyś. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie trzy sosny leniwie pięły się w niebo, łącząc się z sobą na małym skrawku błękitu.

Jacob leżał w trawie i mocno spał, a gasnące słońce z wolna osuszało mu skórę. Jeśli nawet ktoś twierdził, że Przywrócenie nie wymagają dużo snu, to patrząc na niego, trudno było wątpić, że gdy wreszcie usnęli, doświadczali cudownego, niczym niezakłóconego wypoczynku. Chłopiec zdawał się tak spokojny i zadowolony, że każdy mógł mu tego pozazdrościć. Jak gdyby funkcjonowanie jego ciała sprowadzało się wyłącznie do spokojnego, miarowego bicia serca.

Wygląda jak martwy – pomyślał Harold.

– Bo jest martwy – przypomniał sobie na głos.

Jacob otworzył oczy. Spojrzał w niebo, zamrugał powiekami i siadł wyprostowany.

– Tato? – zawołał. – Tato!

– Jestem tutaj.

Na widok ojca jego lęk zniknął równie nagle, jak się pojawił.

– Miałem sen.

Harold instynktownie chciał go przywołać, powiedzieć, by podszedł, usiadł mu na kolanach i wszystko opowiedział. Tak właśnie zrobiłby przed wielu laty. Ale przypomniał sobie, że nie jest to jego syn. 15 sierpnia 1966 roku Jacob William Hargrave odszedł. Bezwrotnie.

Ta istota obok była kimś innym. Martwą imitacją życia. Chodziła, mówiła, uśmiechała się, śmiała i bawiła jak Jacob. Ale to nie był Jacob. To nie mógł być on. Wedle wszelkich praw rządzących wszechświatem nie wchodziło to w rachubę.

A jeśli nawet za sprawą jakiegoś cudu okazałoby się to możliwe, Harold nigdy by w to nie uwierzył.

Ale jeżeli nawet nie był to jego syn, tylko wymyślny twór powstały ze światła i jakiegoś precyzyjnego mechanizmu, jeśli nawet istota siedząca w trawie obok stanowiła tylko dzieło jego wyobraźni, w pewnym sensie było to dziecko. A on nie stał się człowiekiem tak starym i zgorzkniałym, by obojętnie patrzeć na cierpienie dziecka.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie mogę sobie przypomnieć.

– Tak czasem bywa ze snami. – Wstał i powoli się przeciągnął, po czym zaczął wkładać koszulę. Jacob zrobił to samo. – Czy ktoś cię ścigał? – spytał Harold. – Tak się czasem dzieje w snach. Przynajmniej w moich. To bywa naprawdę przerażające.

Jacob pokiwał głową.

Harold uznał to za znak, by mówić dalej.

– W każdym razie nie śniło ci się, że spadasz.

– Skąd wiesz?

– Bo wtedy wierzgałbyś i machał rękami. – Wyrzucił w górę ręce i zaczął wymachiwać nogami. Było to komiczne przedstawienie, a on wyglądał głupiej niż przed dziesiątkami lat: na pół ubrany i wciąż mokry, kopiając i młócąc powietrze. – I musiałbym cię wrzucić do rzeki, żebyś się obudził.

I wtedy sobie przypomniał. Z przerażającą ostrością powróciło wspomnienie.

To właśnie tu, w tym miejscu, pod tymi trzema sosnami łączącymi się w jedno na tle błękitnego nieba, przed wielu, wielu laty, znaleźli Jacoba. To tutaj wszelka obietnica, jaką niosło im życie, rozpadła się w proch i pył. Tu właśnie trzymał syna w ramionach i łkał, dygocząc, na widok martwego, bezwładnego ciała.

Uświadomiwszy sobie, że stoi pod znanymi sobie drzewami obok istoty, która wyglądała jak jego syn, zdobył się tylko na jedną reakcję – śmiech.

– Niezłe – powiedział.

– Co takiego? – spytał Jacob.

Ale w odpowiedzi znów usłyszał śmiech. A potem obaj zaczęli się śmiać. Wkrótce jednak odgłos ich śmiechu zamilkł, zagłuszony przez kroki żołnierzy, którzy wyszli z lasu.

Byli na tyle uprzejmi, że zostawili karabiny w humvee, a ich pistolety spoczywały w kaburach, zamiast w dłoniach, gotowe do strzału. Na ich czele szedł pułkownik Willis. Maszerował z rękami założonymi w tył i wysuniętą w przód pierśią. Jacob szybko ukrył się za nogą ojca.

– Nie chcę tego robić – odezwał się pułkownik. – I naprawdę próbowałem tego uniknąć. Ale obaj powinniście wracać do domu.

Tak zaczynał się bardzo trudny czas dla Harolda, Lucille, Jacoba i wielu, wielu innych.

Teraz jednak słyhać było tylko śmiech.

Nico Sutil. Erik Bellof. Timo Heidfeld

Ta spokojna uliczka w Rochester nigdy nie widziała takiego zamieszania. Znaki wypisano po angielsku i niemiecku, ale Niemcy rozumieliby je równie dobrze, nawet gdyby nie było ich wcale. Przez całe dni tłum otaczał dom, krzycząc i wymachując pięściami. Od czasu do czasu cegła lub butelka uderzały o ścianę. Zdarzało się to tak często, że ten odgłos już ich nie przerażał.

„Precz z faszystami!” – głosiły liczne plakaty. „Do piekła, niemieckie świni!” –

wołały inne.

– Oni się po prostu boją, Nicolasio – powiedział pan Gershon, wyglądając przez okno ze ściągniętą twarzą. – To przekracza ich wyobraźnię. – Był to mały, chudy mężczyzna o posiwiałej brodzie, a gdy śpiewał, jego głos drżał.

– Tak mi przykro – rzekł Eric. Był tylko kilka lat starszy od Nica i panu Gershonowi wciąż wydawał się chłopcem.

Gershon przysiadł się do Nica i Erica, uważając, by nie zbliżyć się do okna. Poklepał Nica po ręce.

– Bez względu na to, co się wydarzy, nie ma w tym twojej winy. To ja podjąłem tę decyzję. Razem z całą moją rodziną.

Nico pokiwał głową.

– Jeśli o mnie chodzi, to moja matka podjęła decyzję, żebym wstąpił do armii – rzekł. – Uwielbiała Führera. Ja sam chciałem wstąpić do college’u, a potem uczyć angielskiego.

– Dość już na temat przeszłości – przerwał im Timo. Był w wieku Nica, ale brakowało mu jego wrażliwości. Miał ciemne włosy, szczupłą twarz i surowe oczy. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać niemiecki żołnierz, nawet jeśli nie zachowywał się niczym germański wojownik.

Na zewnątrz wojsko usiłowało rozpędzić tłum. Przez kilka ostatnich dni utrzymywało protestujących w bezpiecznej odległości od budynku. W pewnej chwili kilka wielkich ciemnych ciężarówek wtoczyło się z łoskotem na trawnik przed domem Gershonów. Gdy się zatrzymały, wysypali się z nich żołnierze uzbrojeni w karabiny.

– Muszę znów z nimi pogadać. – Pan Gershon westchnął.

– Im chodzi o nas – rzekł Eric, wskazując gestem sześciu niemieckich żołnierzy, których Gershonowie ukrywali przez ostatni miesiąc. Byli to w większości chłopcy, których przerastała sytuacja, w jakiej się znaleźli. Tak jak i tamta, w którą uwikłali się w poprzednim życiu. – To nas chcą zabić, prawda?

Jeden z mężczyzn na zewnątrz wziął megafon i zaczął wykrzykiwać coś w stronę domu Gershonów. Tłum wiwatował i wznosił okrzyki: „Do piekła z nimi!”.

– Zabieraj rodzinę i uciekaj – powiedział Nico. Inni go poparli. – Poddajemy się. To trwa już zbyt długo. Za udział w wojnie pójdziemy do niewoli.

Pan Gershon skulił się, coś mrużąc. Jego chude, stare ciało drżało. Położył ręce na ramieniu Nica.

– Każdy z was już raz umarł. Czy to niewystarczająca kara? Nie wydamy was. Przekonamy ich, że wojny są dziełem ludzi, ale w czasie pokoju ci sami ludzie potrafią

kierować się rozsądkiem. Potrafią razem żyć. Nawet taka niemądra żydowska rodzina jak moja i niemieccy chłopcy, których pewien szaleniec ubrał w mundury, każąc im zabijać lub ginać. – Spojrzał na swoją żonę. – Musimy dowieść, że na tym świecie istnieje przebaczenie.

Odpowiedziała mu spojrzeniem, w którym malowała się podobna stanowczość.

Z góry dobiegł ich odgłos rozbijanej szyby, po czym nastąpił głośny syk. Potem coś uderzyło w ścianę budynku przy oknie. Syk się nasilił. W oknie rozkwitła biała chmura i zaczęła się rozprzestrzeniać.

– To gaz – powiedział Tim, zakrywając usta dłonią.

– No dobrze – odezwał się pan Gershon cichym głosem. – Spróbujmy to załatwić pokojowo. – Objął spojrzeniem niemieckich żołnierzy. – Musimy doprowadzić do pokojowego wyjścia. Najwyżej nas aresztują.

– Oni chcą nas zabić – powiedział Timo. – Musimy walczyć.

– Tak – poparł go Erik, wstając. Podeszedł do okna i wyjrzał, by ocenić liczbę uzbrojonych mężczyzn.

– Nie – sprzeciwił się pan Gershon. – Nie możemy do tego dopuścić. Jeśli zaczniecie walczyć, oni was zabiją. A potem powiedzą, że w tym domu byli niemieccy żołnierze, którzy nawet po wyjściu z grobów potrafili tylko walczyć i zabijać.

Rozległo się walenie w drzwi.

– Dziękuję – rzekł Nico.

A potem ktoś wyważył drzwi.

Rozdział 8

Przed trzema tygodniami gderliwy mąż Lucille i jej odzyskany syn zostali aresztowani pod podwójnym, choć wydumanym, jak twierdziła, zarzutem – demonstrowali ponoć opór i łamali zakaz obecności Przywróconych w miejscach publicznych. Ponieważ każdy z nich był winny przypisywanego mu wykroczenia, żaden prawnik na świecie nie zdołałby dowieść, że Harold Hargrave w swym zaciekłym uporze respektował prawo, podobnie jak ongiś zmarły, lecz teraz żywy Jacob.

Jednak Lucille, kierując się własną i niepodważalną oceną dobra i zła, żywiła głębokie przekonanie, że wyłączną odpowiedzialność za te wydarzenia ponosi Biuro.

Mąż i syn, jej zdaniem, w niczym nie zawinili. Wybrali się na zwykły spacer po prywatnym terenie – bo należy podkreślić, że nie była to posiadłość państwowa – i tak się złożyło, że dotarli do drogi, którą jechali funkcjonariusze Biura. Ci natychmiast ruszyli w ślad za Haroldem i Jacobem, by niezwłocznie ich aresztować.

Od tamtej pory, bez względu na wszystkie starania, Lucille nie zaznała spokojnego snu. Nawet wtedy, gdy się pojawiał, był niczym wezwanie do sądu, które zawsze przychodzi o najbardziej nieprzewidzianej i niestosownej porze. Teraz właśnie, ubrana w swój najlepszy niedzielny strój, siedziała w kościelnej ławce, a jej głowa opadała na piersi w sposób właściwy małym dzieciom, wówczas gdy przeoczą zwyczajową porę drzemki. Była nieco spocona, gdyż nastał czerwiec i powietrze miało temperaturę sauny.

W czasie tej niezamierzonej drzemki przyśniły jej się ryby. Stała pośród tłumu głodnych, mając u swych stóp plastikowy kubek pełen pstrągów, fląder i okoni.

– Pomogę ci. Proszę – mówiła, zwracając się do kolejnych łaknących. – Proszę, weź. Proszę. Przepraszam. Tak. Proszę, weź. Przepraszam. – Jej usta bezwiednie się poruszały, gdy osuwała się bezwładnie na kościelną ławkę. – Przepraszam – powiedziała w końcu na głos. – Pomogę ci. Nie martw się.

W jej śnie tłum nagle się zwarł i zaczął na nią napierać. Wraz z Przywróconymi została wtłoczona do ogromnej klatki ogrodzonej stalowymi prętami zwieńczonymi drutem kolczastym, która z wolna się kurczyła.

– Wielki Boże! – odezwała się głośno. – To nic, pomogę ci!

Wtedy się przebudziła i spostrzegła, że jest obiektem zainteresowania całej kongregacji Kościoła Baptystów Arcadii.

– Amen – skwitował pastor Peters z ambony, uśmiechając się do zebranych. – Nawet we śnie siostra Hargrave gotowa jest nieść pomoc. Dlaczego więc tak niewielu

zdolnych jest do tego na jawie? – A potem kontynuował kazanie, mówiąc o czymś, co miało związek z cierpliwością w nawiązaniu do Księgi Hioba.

Zażenowanie, jakie odczuwała z powodu drzemki w kościele, było niczym w zestawieniu ze wstydem, jaki ją ogarnął, gdy uświadomiła sobie, że zakłóciła kazanie. Ale nie był to wstyd zbyt dotkliwy, zważywszy na to, że ostatnio stale coś zakłócało kazania pastora Petersa. Coś, co musiało tkwić w jego świadomości, leżeć mu na sercu. I choć nikt z wiernych nie potrafił określić dokładnej przyczyny takiego stanu rzeczy, nietrudno było dostrzec, że go to dręczy.

Lucille wyprostowała się, otarła pot z czoła i wymamrotała pod nosem „Amen”, wtórując pastorowi, jak sądziła, w ważnym momencie kazania. Powieki wciąż ją piekły i opadały. Sięgnęła po swoją Biblię, otworzyła ją i sennie zaczęła szukać wersów, do których nawiązywał duchowny. Księga Hioba nie była najdłuższą z ksiąg, ale wystarczająco długą. Przerzucała strony, aż w końcu znalazła tę, która zdawała się właściwa. Spojrzała na nią i natychmiast znów zapadła w sen.

Gdy się ocknęła, nabożeństwo już się skończyło. Powietrze stało nieruchomo, a ławki opustoszały. Zupełnie jakby dobry Bóg wstał i stwierdził, że musi jeszcze wybrać się gdzie indziej. W kościele pozostał tylko pastor i jego mała żona, której imienia Lucille wciąż nie mogła zapamiętać. Usiedli w pierwszej ławce, oglądając się na starą kobietę, która łagodnie uśmiechała się przez sen.

Pierwszy przemówił pastor Peters.

– Parokrotnie myślałem o dodaniu moim kazaniom nieco ognia, ale straż pożarna zgasła ten pomysł. – Wzruszył ramionami, które uniosły się niczym dwie góry.

Na brwiach perlily mu się małe krople potu, on jednak siedział w swoim ciemnym wełnianym ubraniu, jak przystało Bożemu słudze – gotów cierpliwie znosić przeciwności losu.

Potem odezwała się jego mała żona, swoim cienkim, bezbarwnym głosem.

– Martwiliśmy się o panią. – Miała na sobie jasną suknię i mały kapeluszek z kwiatami. Nawet jej uśmiech wydawał się mały. Wyglądała jak osoba, która nie tylko może, lecz wręcz pragnie lada chwila upaść.

– Proszę się o mnie nie martwić – odparła Lucille. Usiadła prosto, zamknęła Biblię i przycisnęła ją do piersi. – Pan udzieli mi wsparcia.

– Chwileczkę, sestro Hargrave, wkracza pani w moją dziedzinę – rzekł pastor z szerokim, dobrodusznym uśmiechem.

Jego żona sięgnęła przez oparcie ławki i położyła rękę na ramieniu Lucille.

– Nie wyglądasz dobrze – powiedziała zatroskanym tonem. – Kiedy ostatnio

spalaś?

– Kilka minut temu – padła odpowiedź. – Nie widziałaś? – Krótko zachichotała. – Proszę mi wybaczyć, to nie ja, to ten nicpoń, mój mąż, przemawia przeze mnie, a raczej diabeł, który się w niego wcielił. – Mocniej ścisnęła Biblię i fuknęła ze złością. – Chyba nie ma lepszego miejsca niż kościół, by odpocząć. No bo gdzie indziej mogłoby mi być lepiej? Myślę, że nigdzie.

– A w domu?

Nie wiedziała, czy potraktować to jak obrazę czy szczere pytanie. Ale ze względu na miniaturowe rozmiary żony pastora postanowiła wziąć jej słowa za dobrą monetę.

– Mój dom nie jest już dla mnie domem – odparła.

Peters położył rękę na jej ramieniu, tuż obok ręki żony.

– Rozmawiałem z agentem Bellamym – powiedział.

– Tak jak i ja – oświadczyła. Jej rysy stwardniały. – I założę się, że powiedział wielebnemu to samo co i mnie: „Ta sprawa nie leży w mojej gestii”. – Ponownie fuknęła i poprawiła włosy. – Jaki z niego przedstawiciel rządu, skoro nie ma wpływów ani władzy? Jest taki jak każdy z nas.

– No cóż, mogę tylko powiedzieć na jego obronę, że rząd ma znacznie większą władzę niż ci, którzy dla niego pracują. Jestem pewien, że agent Bellamy robi wszystko, co w jego mocy, by pomóc. Wydaje mi się, że to uczciwy człowiek. Ale to nie on przetrzymuje Jacoba i Harolda, lecz wymogi prawa. Zresztą Harold sam postanowił zostać z Jacobem.

– A co miał zrobić? Przecież to jego syn!

– Wiem. Ale nie wszyscy tak robią. Z tego, co mówił mi Bellamy, wynika, że to miejsce przeznaczone jest wyłącznie dla Przywróconych. No ale tacy ludzie jak Harold nie zostawiają swoich najbliższych, i teraz... – Pastor zamilkł. Po chwili znów się odezwał: – Uważam jednak, że to najlepsze wyjście. Nie możemy dopuścić do segregacji. W każdym razie nie w sposób tak bezwzględny, jak niektórzy się domagają.

– Postanowił tam zostać... – powtórzyła cicho Lucille, jakby coś sobie przypominając.

– Owszem – potwierdził pastor. – A Bellamy będzie się nimi opiekował. Jak już powiedziałem, to przyzwoity człowiek.

– Też tak myślałam. Wtedy, kiedy spotkałam go pierwszy raz, wydał mi się dobrym człowiekiem. Nie przeszkadzało mi nawet, że pochodzi z Nowego Jorku ani że jest czarny. – Ostatnie słowa wyraźnie podkreśliła. Jej rodzice głęboko wierzyli w podziały rasowe, ona jednak nie podzielała ich poglądów. Przecież Słowo Boże głosiło,

że wszyscy ludzie są równi, a kolor skóry ma nie większe znaczenie niż kolor bielizny. – Ale gdy patrzę na niego teraz – ciągnęła – zastanawiam się, jak to możliwe, by przyzwoity człowiek, bez względu na swą rasę, mógł reprezentować coś, co porywa ludzi z ich własnych domów, w tym również dzieci, i zamyka ich w więzieniu? – Jej głos nabierał siły grzmotu.

– Moja droga Lucille – powiedział pastor.

– Moja droga... – powtórzyła za nim żona.

Peters okrążył ławkę, stanął za starą kobietą i objął ją swym potężnym ramieniem. – Oni naprawdę nikogo nie porywają, choć wiem, że może się tak wydawać. Biuro usiłuje tylko... no cóż, mam wrażenie, że próbuje zaradzić sytuacji. Jest coraz więcej Przywróconych. Myślę, że władze chcą zapewnić ludziom poczucie bezpieczeństwa.

– Zabierając z domu pod bronią starego człowieka i dziecko? – Lucille niemal wypuściła Biblię, ponieważ zaczęła nagle wymachiwać rękami. Zawsze tak było, gdy wpadała w gniew. – Zatrzymując ich przez trzy tygodnie? Zamykając w więzieniu bez... Och!... Sama nie wiem, bez przedstawienia zarzutów lub czegokolwiek, co odwoływałoby się do prawa? – Spojrzała w stronę jednego z okien. Nawet z miejsca, w którym siedziała, widać było miasto, które rozciągało się w oddali, poniżej stojącego na wzgórzu kościoła. Widziała szkołę, wzniesione wokół niej nowe zabudowania i zasieki, licznych żołnierzy pośród tłumu Przywróconych, a także grupę zabudowań leżących poza granicami ogrodzonego terenu. Coś jej mówiło, że nie na długo.

W oddali, po drugiej stronie, ukryty pośród drzew w miejscu, gdzie kończyło się miasto i otwierała wolna przestrzeń wsi, znajdował się jej dom, teraz ciemny i pusty.

– Boże... – jęknęła.

– Moja droga Lucille... – powiedziała żona pastora, niczego nie osiągając.

– Wiele razy rozmawiałam z Martinem Bellamym – ciągnęła stara kobieta. – Powtarzałam mu, że to bezprawie i że Biuro nie może tego robić, ale on tylko odpowiadał, że nie ma na to wpływu. Powtarzał, że wszystko zależy od pułkownika Willisa. I że to on rządzi. Tak przynajmniej twierdził. Co to znaczy, że nic nie może zrobić? Przecież jest ludzką istotą. A ludzką istotę na bardzo wiele stać.

Krople potu wystąpiły jej na czoło. Zarówno pastor, jak i jego żona zdjęli ręce z jej ramienia, jakby to była płyta kuchenna, która nagle zaczęła parzyć.

– Lucille – Peters zniżył głos i mówił wolno, co, jak się przekonał, uspokajało słuchaczy bez względu na to, czy tego chciał. Ale ona patrzyła tylko w Biblię leżącą na jej kolanach, a cała jej twarz wyrażała nieme pytanie.

– Bóg ma zawsze plan – rzekł pastor. – Nawet jeśli Bellamy nie ma żadnego.

– Ale to już trwa tygodnie – zauważyła.

– Obaj są zdrowi i żywi, prawda?

– Mam nadzieję. – Otworzyła Biblię, nie szukając żadnej konkretnej strony. Jakby robiła to po to, by sprawdzić, czy Słowo Boże wciąż istnieje. – Ale są... – próbowała znaleźć odpowiednie określenie. Czułaby się lepiej, gdyby natychmiast się to udało. – Oni są... zamurowani.

– Są w tej samej szkole, w której niemal każde tutejsze dziecko uczyło się czytać i pisać – odparł pastor. Jego ramię znów objęło Lucille. – Wiem, że teraz, z całą tą wojskową obstawą wygląda to inaczej. Ale to wciąż nasza szkoła. Ten sam budynek, do którego Jacob uczęszczał przed laty.

– Wtedy był całkiem nowy. – Nagle uległa wspomnieniom.

– I jestem pewien, że piękny.

– O tak, aż lśnił. Ale był znacznie mniejszy. Dopiero potem, gdy miasto zaczęło się rozrastać, z czasem rozbudowano go i unowocześniono.

– Czy więc nie moglibyśmy sobie wyobrazić, że mieszkają w tamtej szkole?

Nie odpowiedziała.

– Jest im ciepło i są dobrze żywieni.

– Bo to ja noszę im jedzenie!

– Najlepsze w całym hrabstwie! – Pastor znacząco spojrzał na żonę. – Wciąż powtarzam drogiej małżonce, że powinna spędzić z tobą kilka tygodni, by poznać sekret twego ciasta brzoskwiniowego.

Lucille uśmiechnęła się i machnęła lekceważąco ręką.

– To nic takiego – powiedziała. – Noszę je nawet Martinowi Bellamy'emu. – Zamilkła. – Jak już powiedziałam, naprawdę go lubię. Wydaje mi się, że to dobry człowiek.

Pastor poklepał ją po plecach.

– Oczywiście, że tak. Zarówno on, jak wszyscy, którzy mieszkają teraz w szkole i spróbowali twój ciasta, gdyż, jak słyszę, każdego nim obdarowujesz, wiele ci zawdzięczają. Dziękują ci za to dzień w dzień, dobrze o tym wiem.

– Skoro już są więźniami, to przynajmniej nie muszą jeść tych rządowych pomyj, którymi karmią ich żołnierze.

– Słyszałem, że posiłki dostarcza tam serwis cateringowy pani Brown. Zaraz, jak on się nazywa? Smakowity Kąsek?

– Wiem swoje. To pomyje.

Cała trójka parsknęła śmiechem.

– Wszystko się z czasem ułoży – zapewnił pastor, gdy śmiech ucichł. – Haroldowi i Jacobowi naprawdę nic nie grozi.

– Wielebny tam bywa?

– Oczywiście.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekła, klepiąc jego dłoń. – Potrzebują pasterza. Każdy, kto mieszka w tym budynku, potrzebuje pasterza.

– Robię, co mogę. Rozmawiałem z agentem Bellamym. W gruncie rzeczy dość często z sobą rozmawiamy. I jak już mówiłem, to przyzwoity człowiek. Jestem przekonany, że próbuje robić wszystko, co w jego mocy. Ale w związku z narastaniem problemu oraz liczbą osób, z jakimi Biuro ma do czynienia...

– Powierzyli dowództwo temu straszmemu pułkownikowi Willisowi.

– Tak mi się zdaje.

Lucille zacisnęła usta.

– Ktoś musi coś zrobić. – Jej głos brzmiał teraz cicho jak woda płynąca z głębi skalnej szczeliny. – To okrutny człowiek. Widać to w jego oczach. Im dłużej w nie patrzysz, tym bardziej są obce. Trzeba go było widzieć, gdy tam poszłam, żeby wyciągnąć Harolda i Jacoba. Zimny jak grudniowa noc. Szczyt obojętności.

– Bóg znajdzie jakiś sposób.

– Tak. – Skinęła głową, choć od trzech tygodni coraz bardziej się niepokoiła. – Bóg znajdzie jakiś sposób. A jednak wciąż się martwię.

– Wszyscy mamy swoje zmartwienia – rzekł pastor.

Fred Green od kilku dziesięcioleci wracał do pustego domu. Przywykł już do ciszy. A ponieważ nie chciało mu się gotować, od dawna zadowalał się mrożonkami, które czasem urozmaicał zbyt mocno wysmażonym stekiem.

To Mary dawniej zajmowała się gotowaniem.

Jeśli nie miał pracy w polu, najmował się w tartaku, usiłując złapać każde zajęcie, jakie się trafiło. Rzadko wracał do domu przed zmierzchem i codziennie czuł się nieco bardziej zmęczony niż poprzedniego wieczoru. Ostatnio z coraz większym trudem znajdował robotę, gdyż wszędzie wokół byli młodszy od niego – mężczyźni, którzy od świtu czekali, by pojawił się jakiś pracodawca i wybrał odpowiednich kandydatów do roboty.

Wprawdzie doświadczenie ma swoje zalety, ale w przypadku pracy fizycznej trudno konkurować z młodością. Czuł, że nie daje już rady. Wysilek go przerastał.

Co wieczór po powrocie do domu zasiadał przed telewizorem i wpatrzony w popularny program kulinarny zjadał byle co, a następnie włączał serwis informacyjny, w którym mówiono wyłącznie o Przywróconych.

Niemal nie słyszał słów prezenterów, gdyż przez większość czasu przemawiał sam, wymyślając dziennikarzom od wichrzycieli i głupców, którzy wyłapują tylko sensacyjne historie, podczas gdy strumień powrotów wzbiera z każdym dniem w potężną, groźną rzekę.

Wszystko to wprawiało go w niepokój i coraz silniej rozbudzało złe przeczucia.

Ale było coś jeszcze. Coś, nad czym nie panował. Od wielu tygodni nie mógł spać. Co wieczór kładł się do łóżka w pustym, cichym domu, tak jak robił to od dziesięcioleci, i do północy, a nawet dłużej, bezskutecznie czekał na sen. A kiedy w końcu usypiał, spał płytko, bez snów, nerwowo i niespokojnie.

Czasem budził się z rękami w sińcach, obwiniając o to twarde, drewniane oparcie łóżka. Pewnej nocy poczuł, że spada, i ocknął się w chwili, gdy lądował na podłodze. Z oczu płynęły mu łzy, a w powietrzu wokół ciążył wielki, niewyobrażalny smutek.

Leżał, łkając, niezdolny wyrazić, co czuje, przepełniony żalem i tęsknotą.

I wtedy zawołał żonę po imieniu.

Nie pamiętał już, od kiedy go nie wymawiał. Ułożył je w ustach, a następnie wyrzucił w przestrzeń, wsłuchując się w dźwięk, który odbił się echem w zagraconym, butwiejącym domu.

Leżał na podłodze i czekał. Jak gdyby nagle mogła wyjść z ukrycia, objąć go, pocałować i zaśpiewać piosenkę tym swoim olśniewającym, srebrzystym głosem, do którego tak tęsknił – obdarzyć go muzyką po wszystkich latach dręczącej pustki i ciszy.

Ale nie usłyszał odpowiedzi.

W końcu dźwignął się z podłogi i podszedł do szafy, by wyciągnąć walizkę, która od dziesięcioleci nie widziała światła. Była czarna ze starości, a jej zawiasy dawno już zaśniedziały. Gdy ją otwierał, miał wrażenie, że westchnęła.

Wypełniały ją książki, nuty i małe pudełeczka z ozdobami biżuteryjnymi oraz ceramiczne bibeloty, których nikt już w tym domu nie potrzebował. Mniej więcej w połowie jej głębokości, pod małą jedwabną bluzeczką z kołnierzykiem haftowanym w różę, leżał album ze zdjęciami. Fred wyjął go, usiadł na łóżku i otrzepał. Kiedy go otwierał, rozległo się ciche skrzypnięcie.

I oto nagle ujrzał przed sobą żonę, która się do niego uśmiechała.

Zapomniał już, jak krągłą miała twarz i jakie ciemne oczy. Że wydawała się wciąż zafrasowana i jak bardzo w niej to kochał. Nawet gdy się spirali, wydawała się

zmieszana, jakby widziała świat w sposób niedostępny dla nikogo innego i absolutnie nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy postępują tak, jak postępują.

Usiadł i zaczął przeglądać kartki albumu, usiłując nie myśleć o brzmieniu jej głosu ani o tym, jak zawsze wtedy, gdy w długie noce nie mógł zasnąć, śpiewała mu do snu. Otworzył i zamknął usta, jakby chciał sformułować jakieś pytanie, które utknęło mu w gardle.

A potem dotarł do fotografii, przy której się zatrzymał. Jej uśmiech utracił blask, a wyraz zakłopotania na twarzy ustąpił miejsca stanowczości. Było to pewnego słonecznego popołudnia, niedługo po tym, jak poroniła.

Zachowali tę tragedię w głębokim sekrecie. Wkrótce po tym, jak lekarz oznajmił Mary, że jest w upragnionej ciąży, wszystko się zawaliło. Pewnej nocy Fred obudził się, słysząc szlochanie dobiegające z łazienki, gdzie uświadomiła sobie rozmiar nieszczęścia.

Zawsze spał kamiennym snem.

– Łatwiej jest obudzić umarłego niż ciebie – powiedziała pewnego razu.

Do tej pory zastanawiał się, czy tamtej nocy nie próbowała go zawołać. Czy nie prosiła o pomoc, której jej nie udzielili. Przecież na pewno mógłby coś zrobić.

Jaki mąż śpi, gdy dzieje się coś takiego! – zadręczał się bez końca. Jaki mężczyzna leży, jak tępe zwierzę, podczas gdy gaśnie małe płomyk życia jego dziecka.

Zamierzali ogłosić radosną nowinę podczas jej przyjęcia urodzinowego, które miało się odbyć niecały miesiąc później. Ale wtedy nie mieli już się czym cieszyć i tylko lekarz wiedział, co ich spotkało.

Jedyną wskazówką, że stało się coś złego, był smutek, który odtąd przesłonił jej uśmiech – smutek, którego nie potrafił zapomnieć.

Wyjął fotografię spod lepkiej osłony. Pachniała starym klejem i pleśnią. Tej nocy po raz pierwszy od jej śmierci zapłakał.

Nazajutrz rano ruszył do tartaku, ale nie dostał roboty. Wrócił więc do domu i poszedł sprawdzić, co dzieje się w polu, ale też nie znalazł tam zajęcia. Wsiadł w końcu do furgonetki i pojechał do Marvina Parkera.

Marvin mieszkał naprzeciwko bramy szkolnego budynku, w którym umieszczono Przywróconych. Siedząc przed domem, mógł obserwować autobusy, którymi ich dowożono. I w ten właśnie sposób spędzał większość poranków, od czasu gdy zaczęły się powroty.

Z jakiegoś powodu Fred czuł, że i on powinien tam być. Chciał zobaczyć na własne oczy, do czego zmierza świat. Chciał zobaczyć twarze tajemniczych przybyszy.

Zupełnie jakby kogoś wśród nich szukał.

Harold spokojnie siedział na swej pryczy pośrodku pomieszczenia, które kiedyś było galerią sztuki pani Johnson. Żałował, że nie boli go krzyż, gdyż wtedy mógłby solidnie ponarzekać. Zawsze lepiej mu szły rozważania na temat spraw trudnych i skomplikowanych, gdy wcześniej mógł pomstować na temat bólu w plecach. Nie chciał nawet myśleć, co by było, gdyby ktoś odebrał mu tę przyjemność. Lucille zapewne zdołałaby go już kanonizować.

Pryczę obok Harolda zajmował Jacob. Poduszka i kołdra chłopca, dostarczone tu przez Lucille, leżały starannie złożone. Hafty i ściegi kołdry były tak kunsztowne, że jedynie atak nuklearny mógłby je rozpruć, a wszystkie rogi tworzyły idealny kąt prosty. Ułożona symetrycznie poduszka nie miała najmniejszego załamania.

Jaki to porządny chłopiec – pomyślał Harold, usiłując sobie przypomnieć, czy zawsze tak było.

– Charles?

Westchnął. W drzwiach dawnego studia połączonego z sypialnią stała stara kobieta. Jedna z Przywróconych. Popołudniowe słońce przenikało przez okna i padało na jej twarz, a wokół framugi drzwi widniały plamy farb w różnych kolorach i odcieniach – pozostałość wykonywanych tu latami projektów artystycznych. Jaskrawa żółć i wściekła czerwień wydawały się Haroldowi żywsze, niż powinny, zważywszy na ich wiek.

Otaczały starą kobietę tęczą kolorów, spowijając ją magiczną aurą.

– Tak? – powiedział.

– Charles, o której wychodzimy?

– Wkrótce – odparł Harold.

– Spóźnimy się, Charles. Nie mogę do tego dopuścić. To bardzo nieuprzejme.

– Nic nie szkodzi. Poczekają na nas.

Wstał, rozprostował się i wolno podszedł do starej pani Stone, by przeprowadzić ją przez pokój do stojącej w rogu pryczy. Była to tęga, czarnoskóra kobieta około osiemdziesiątki, nieco już zniedołężniała. Ale bez względu na swój stan, zawsze dbała o siebie i swoje posłanie. Była czysta i starannie uczesana, a jej skromna garderoba wyglądała nieskazitelnie.

– Nie martw się, babciu – uspokajał ją Harold. – Nie spóźnimy się.

– Przecież już jesteśmy spóźnieni.

– Mamy mnóstwo czasu.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie, kochana. – Uśmiechnął się i poklepał ją po ręce, gdy układała się na posłaniu. Usiadł obok niej, gdy obróciła się na bok i zapadła w sen. Tak było z nią zawsze. Najpierw ogarniało ją gwałtowne podniecenie, potem następował nieunikniony stres, a na koniec równie nagle zasypiała.

Siedział obok pani Stone – miała na imię Patricia – aż głęboko usnęła. Potem, mimo czerwcowego upału, przykrył ją kołdrą zdjętą z łóżka Jacoba. Mamrotała coś, że nie wypada zmuszać ludzi do czekania, ale po chwili jej usta znieruchomiały, a oddech stał się równy i powolny.

Wrócił na swoją pryczę i usiadł. Żałował, że nie ma żadnej książki. Może gdy odwiedzi ich Lucille, poprosi, żeby coś przyniosła, pod warunkiem że nie będzie to Biblia czy jakaś inna bzdura.

Nie, myślał, pocierając brodę. Bellamy odgrywa jednak jakąś rolę. Wprawdzie od czasu, gdy Biuro zaczęło zamykać tu ludzi, jego autorytet zmaleł, jednak był wciąż najlepiej poinformowaną osobą na tym terenie.

W pewien sposób wciąż wszystkim dyrygował. Decydował o aprowizacji i zakwaterowaniu, a także przydziale garderoby, artykułów higienicznych i wielu innych. Kontrolował na bieżąco zarówno działania Prawdziwie Żywych, jak i Przywróconych.

To on wszystkim kierował, choć inni wykonywali czarną robotę. Ale podsłuchując żołnierzy, którzy lubili głośno plotkować podczas obchodu szkoły, Harold odkrył, że ostatnio czarnej roboty było coraz mniej.

Polityka władz stopniowo zmierzała do przetrzymywania Przywróconych w określonym miejscu, tak jak przechowuje się w magazynie nadmiar żywności. Od czasu do czasu, jeśli powrócił ktoś szczególnie ważny lub cieszący się szczególnie złą sławą, odstępowano od tej zasady i kupowano mu bilet lotniczy do domu. Z reguły jednak osadzano wszystkich tam, gdzie się pojawili.

Może na razie nie dzieje się tak wszędzie, myślał, ale czuł, że niebawem do tego dojdzie. Najwyraźniej uznano, że będzie łatwiej i taniej przypisać każdemu z Przywróconych numer, wpisać go do rejestru, nacisnąć kilka klawiszy w komputerze, zadać parę pytań, znowu wcisnąć kilka klawiszy i o wszystkim zapomnieć. Jeśli ktoś chciał kogoś odnaleźć, co zdarzało się coraz rzadziej, zdobywali się najwyżej na tyle, by poszukać w Internecie potrzebnego nazwiska. Na tym się kończyło. Coraz częściej kilka uderzeń w klawisze, wysiłek niemal nieznaczący, ostatecznie kwitowało sprawę.

Gdy stara kobieta zasnęła, Harold opuścił pokój i zaczął się przedzierać przez

zatłoczony budynek. Od momentu, w którym rozpoczęły się aresztowania Przywróconych, wszystko przebiegało nieudolnie. A z każdym kolejnym dniem działo się coraz gorzej. Przestronne pomieszczenia i korytarze, po których jeszcze niedawno można było spacerować, teraz wypełniły rzędy pryczy, do których ich użytkownicy przywarli w obawie, że kolejni przybysze mogą je zawłaszczyć. Ponieważ wciąż jeszcze liczba aresztowanych nie przekraczała liczby łóżek, zaczęła rodzić się pewna hierarchia.

Ci, którzy mieli dłuższy staż, byli wygodnie zakwaterowani w głównym budynku, gdzie wszystko funkcjonowało i skąd wszędzie było blisko. Natomiast nowi przybysze, z wyjątkiem osób starych i niedołącznych, dla których wydzielono osobne pomieszczenie w szkole, lokowali się poza budynkiem w miejscu zwanym Miasteczkiem Namiotów, obejmującym parking i mały fragment ulicy otaczającej szkołę.

Było to zielone, monotonne zbiorowisko namiotów tak starych, że Harold, patrząc na nie, czuł, jak zalewają go wspomnienia chłopięcych lat. Tak odległych, że ukazywały się na ekranie pamięci w czarno-białych barwach.

Szczęściem, jak dotąd, pogoda była łaskawa, wprawdzie gorąca i parna, ale na ogół sucha.

Przeszedł przez Miasteczko Namiotów, kierując się w odległy kraniec obozu, ku jego południowej granicy, gdzie mieszkał przyjaciel Jacoba, chłopiec o imieniu Max. Za ogrodzeniem wolno przechadzali się strażnicy z bronią.

– Bezmózgie dranie! – warknął jak zwykle na ich widok.

Podniósł głowę, by spojrzeć na słońce. Wciąż było tam, gdzie zawsze, to nie ulegało wątpliwości, ale nagle wydało się gorętsze. Smużka potu spłynęła mu z czoła, by na koniec zawisnąć na czubku nosa.

Nagle zrobiło się jeszcze goręcej. Co najmniej o dziesięć stopni, jakby słońce zniżyło się do jego ramion, by szepnąć mu do ucha coś bardzo ważnego.

Otarł pot z twarzy, a następnie wytarł dłoń o nogawkę.

– Jacob! – zawołał. U podstawy kręgosłupa poczuł drzenie, które po chwili objęło nogi, docierając do kolan. – Jacob! Gdzie jesteś?

A potem nagle ziemia usunęła mu się spod stóp.

Jeff Edgeson

Jeśli wierzyć zegarowi na ścianie, to spędził z pułkownikiem blisko godzinę. Przez ostatnie pięćdziesiąt pięć minut ten zadawał mu pytania, które obaj znali już na

pamięć. Zdecydowanie wolałby coś poczytać. Jakaś fantastykę cyberpunkową lub choćby miejską fantasy. Miał słabość do autorów o bogatej wyobraźni. Uważał to za dar ważny i rzadko spotykany.

– Jak sądzisz, co się dzieje, gdy umieramy? – pytał pułkownik.

Było to nowe, choć niezbyt oryginalne pytanie. Jeff przez chwilę myślał, nieco zaniepokojony perspektywą wymiany poglądów religijnych z wojskowym, którego zdążył jednak polubić. Przypominał mu bowiem ojca.

– Idziemy do piekła lub nieba – odparł. – Przypuszczam, że w zależności od tego, jak dobrze bawimy się za życia. – Cicho zachichotał.

– Jesteś pewien?

– Nie – odparł. – Przez długi czas byłem ateistą. Nie miałem żadnej pewności.

– A teraz? – Pułkownik siedział wyprostowany na krześle, a jego ręce zniknęły pod stołem, jakby po coś sięgał.

– Wciąż nie mam pewności – rzekł Jeff. – Tak jak przez całe życie.

Wtedy Willis wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę młodego człowieka.

– Dzięki. – Jeff się rozjaśnił.

– To nie musi być trudne do wytrzymania – powiedział pułkownik. – Wszyscy mamy tu do odegrania swoje role. Tacy jak ja i tacy jak ty.

Jeff pokiwał głową. Odchylił się w tył i długo wypuszczał z płuc biały dym. Zobojętniał w tej chwili na niewygodne krzesło i nijaką barwę ścian, a także na to, że gdzieś w tym świecie żył jego brat, którego pułkownik i jego ludzie nie pozwalali mu szukać.

– Nie jestem człowiekiem okrutnym – odezwał się Willis, jakby czytając w jego myślach. – Po prostu mam do odegrania nieciekawą rolę. – Wstał. – A teraz muszę iść. Dziś wieczorem przybywa kolejny transport.

Rozdział 9

Harold ocknął się, patrząc na słońce, które wydało mu się jaśniejsze i bardziej gorące niż kiedykolwiek dotąd. Wszystko było odległe i chybotliwe jak po zażyciu zbyt dużej dawki leków. Wokół niego zgromadził się tłum dziwnie wysokich, jakby przesadnie wyrośniętych ludzi. Zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze. Gdy znów je otworzył, ujrzał nad sobą Martina Bellamy'ego w oficjalnym ciemnym ubraniu. Nawet w taki upał nosi ten cholerny garnitur, pomyślał.

Usiadł. Bolała go głowa. Miał szczęście, że upadł na skrawek trawy, a nie na chodnik. Coś dławilo go w płucach. Ciężkiego i mokrego. Zaczął gwałtownie kaszleć. A potem kaszel przeszedł w niekończącą się, ochryplą kanonadę.

Gdy w końcu ucichła, leżał rozciągnięty na trawie z kocem pod głową. Słońce paliło go w oczy, a pot zrosił całe jego ciało.

– Co to było? – spytał, czując, że w gardle tkwi mu coś ostrego i mokrego.

– Stracił pan przytomność – wyjaśnił Martin Bellamy. – Jak się pan teraz czuje?

– Jest mi gorąco.

Bellamy się uśmiechnął.

– Mamy gorący dzień.

Harold próbował usiąść, ale siły go zawiodły i wszystko wokół zaczęło wirować. Zamknął oczy i opadł na trawę. Poczul jej zapach i przypomniał sobie, jak będąc chłopcem, wylegiwał się na trawie w upalne czerwcowe popołudnia bynajmniej nie z powodu utraty przytomności.

– Gdzie Jacob? – spytał z wciąż zamkniętymi oczyma.

– Tu jestem – usłyszał. Jacob wyłonił się z tłumu, który zebrał się wokół. W milczeniu podbiegł ze swym przyjacielem Maksem do ojca, ukląkł przy nim i ujął go za rękę.

– Wystraszyłem cię, chłopcze?

– Nie, tato.

– To dobrze.

Max, który okazał się chłopcem bardzo delikatnym i troskliwym, ukląkł przy głowie Harolda, a potem się pochylił i zdjął z siebie koszulę, by otrzeć mu pot z czoła.

– Czy dobrze się pan czuje, proszę pana? – spytał.

Max miał brytyjskie korzenie, na co wskazywał nie tylko jego akcent, lecz i maniery. Pojawił się w Bladen County niedaleko miejsca, gdzie kilka tygodni wcześniej znaleziono Japończyka. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że Bladen County przyciąga

różnych egzotycznych przybyszy.

– Tak, Max.

– Bo wydaje się pan naprawdę chory, a jeśli jest pan chory, to powinien pan pójść do szpitala, proszę pana.

Pomimo spokojnego, stoickiego sposobu bycia typowego dla Przywróconych, a także wytwornego brytyjskiego akcentu, Max terkotał jak karabin maszynowy.

– Mój wujek zachorował dawno, dawno temu – kontynuował. – I musiał iść do szpitala. A potem jeszcze bardziej mu się pogorszyło i kaszłał tak jak pan, ale jeszcze gorzej, no i proszę pana, umarł.

Harold kiwał głową na potwierdzenie, że się ze wszystkim zgadza, ale jego słuch zarejestrował tylko początkową salwę: „Mój wujek zachorował...”.

– To dobrze, Max – powiedział z wciąż zamkniętymi oczyma. – To świetnie.

Leżał na ziemi przez długi czas, a ciepło słońca przenikało go na wskroś. Gdzieś z góry docierały strzępy rozmów, które wzbijały się ponad odgłos miarowych kroków żołnierzy maszerujących wokół ogrodzenia. Gdy wstrząsnął nim pierwszy atak kaszlu, nie zdawał sobie sprawy, że znalazł się tak blisko granicy obozu. Teraz jednak uświadomił sobie to w pełni.

Wyobraźnia podsuwała mu kolejne, napływające falami obrazy, ukazując tereny, które rozciągały się za ogrodzeniem. Najpierw widział nawierzchnię szkolnego parkingu, a potem skręcił w Main Street, minął stację benzynową i małe, stare sklepy pobudowane dawno, dawno temu. Jego oczom ukazały się twarze przyjaciół i znajomych, którzy jak zwykle krzatali się przy pracy. Jedni z uśmiechem do niego machali, a inni głośno go witali.

Uświadomił sobie, że prowadzi swego starego pikapa kupionego w 1966 roku. Przez lata zupełnie o nim nie myślał, ale teraz przypomniał sobie najdrobniejsze szczegóły – szerokie, miękkie siedzenia, a także wysiłek, jakiego wymagał każdy skręt tej cholernej maszyny. Zastanawiał się, czy obecna generacja docenia luksus wspomagania kierownicy, czy też – podobnie jak w przypadku komputerów – uznaje to za tak oczywiste, że nie ma o czym mówić.

Z wolna mijał miasto, zdając sobie stopniowo sprawę, że na żadnej z ulic nie widzi Przywróconych. Po pewnym czasie minął granice Arcadii i wjechał na drogę prowadzącą do domu, a silnik furgonetki łagodnie mruczał.

Gdy dojeżdżał na miejsce, zmusił kierownicę, by skręciła w stronę podjazdu, i po chwili ujrzał Lucille, młodą i piękną. Siedziała na ganku w blasku słońca, idealnie wyprostowana, tak królewska i władcza, że nigdy w życiu nie widział podobnej

kobiety. Jej długie kruczoczarne włosy opadały na ramiona i lśniły w ciepłym świetle słońca. Była wcieleniem wdzięku i powagi. Onieśmiała go i dlatego tak bardzo ją kochał. Jacob natomiast biegał wokół dębu rosnącego przed gankiem, wykrzykując coś na temat bohaterów i złoczyńców.

Wszystko było tak, jak być powinno.

A potem chłopiec wbiegł za pień drzewa, lecz nie wyłonił się z drugiej strony. Zniknął w jednej chwili.

Agent Bellamy klęczał na trawie obok Harolda, a za nim stało dwóch zaaferowanych ratowników medycznych, których cienie padały na jego spoconą twarz.

– Czy pan na coś choruje? – spytał jeden z nich.

– Nie – odparł.

– Jest pan pewien? Czy mam sprawdzić pańską kartotekę?

– Możecie robić, co chcecie. – Poczuł, że wracają mu siły, a zarazem ogarnia go gniew. – To jedna z zalet pracy w aparacie państwowym, prawda? Macie wszystkie informacje w jakichś cholernych kartotekach.

– Zapewne tak jest – rzekł Bellamy. – Ale spróbujmy rozwiązać to prościej. – Skinął na ratowników. – Zaopiekujcie się nim. Może będzie chętniej współpracował z wami niż ze mną.

– Nie liczcie na to – mruknął Harold. Nie lubił konwersować rozciągnięty płasko na ziemi, ale chwilowo nie miał wyboru. Za każdym razem, gdy próbował się podnieść, Jacob delikatnie przyciskał mu ramię, a na jego drobnej twarzyczce pojawiał się wyraz zmartwienia.

Bellamy wstał i otrzepał trawę z kolan.

– Postaram się dotrzeć do jego dokumentacji medycznej. Oczywiście proszę wpisać wszystko w kartę. – Pomachał ręką, przywołując kogoś.

Po chwili stanęli przed nim dwaj żołnierze.

– Tyle hałasu z powodu jednego starego człowieka, który się trochę zmęczył – mruknął z irytacją Harold, który w końcu usiadł.

– Chwileczkę, zaraz. – Jeden z ratowników złapał go za rękę ze zdumiewającą siłą. – Proszę się położyć i pozwolić nam sprawdzić pański stan.

– Spokojnie, tato – odezwał się Jacob błagalnym tonem.

– Tak, panie Haroldzie. Powinien pan leżeć – wtrącił się Max. – Już mówiłem panu o moim wujku. Pewnego razu zachorował i nie chciał, żeby kręcili się koło niego lekarze, cały czas na nich krzyczał, gdy tylko podchodzili, a potem umarł.

– Okay, okay, okay – skapitulował. Tempo, w jakim chłopiec wyrzucał z siebie słowa, wystarczyło, by poskromić bunt starego człowieka. Nagle poczuł się bardzo, bardzo zmęczony, toteż poddał się i położył na trawie, pozwalając ratownikom robić, co do nich należało.

Jeśli mi zaszkodzą, pomyślał, zawsze mogę ich pozwać. W końcu to Ameryka.

A kiedy Max rozpoczął kolejną tyradę na temat śmierci wujka, zapadł w nieświadomość, ukołyszany bębniącym rytmem słów chłopca.

– Spóźnimy się – niepokoiła się stara, niedołężna kobieta.

Harold usiadł na pryczy, nie bardzo wiedząc, jak tam dotarł. Był w swoim pokoju, upał wyraźnie zelżał, a słońce za oknem zgasło, uznał więc, że zbliża się już wieczór. Na przedramieniu, zapewne w miejscu po zastrzyku, dostrzegł opatrunek.

– Cholerni doktorzy.

– To brzydkie słowo – odezwał się Jacob. Siedzieli z Maksem na podłodze nad jakąś grą. Obaj jednocześnie zerwali się i dopadli łóżka. – Nic nikomu nie powiem – ciągnął – ale mama by nie chciała, żebyś mówił „cholerni”.

– Tak, to nieładne słowo – zgodził się Harold. – Lepiej jej nie mów.

– Jasne – ucieszył się Jacob. – Chcesz, to opowiem ci kawał?

– O, tak! – przerwał mu Max. – To wspaniały kawał, jeden z najlepszych, jakie słyszałem. Mój wujek...

Harold podniósł dłoń, by go powstrzymać.

– Jaki to kawał, synu?

– Kim byłaby ciocia, gdyby miała wąsy?

– Nie mam pojęcia – odparł, choć dobrze pamiętał, że opowiedział Jacobowi ten dowcip niedługo przed jego śmiercią.

– Wujkiem!

Wszyscy wybuchli śmiechem.

– Nie możemy tu siedzieć cały dzień – odezwała się Patricia ze swego łóżka. – Jesteśmy już spóźnieni. Okropnie spóźnieni. To bardzo niegrzecznie kazać ludziom czekać. Zaczną się o nas niepokoić! – Wyciągnęła swą ciemną rękę i położyła ją na kolanie Harolda. – Proszę – powiedziała. – Nie lubię być niegrzeczna. Mama dobrze mnie wychowała. Czy możemy już iść? Jestem całkiem gotowa.

– Niedługo – odparł, choć nie wiedział, dlaczego to mówi.

– Czy nic jej nie jest? – spytał Max.

Zazwyczaj wygłaszał dłuższe kwestie, toteż Harold czekał na dalszy ciąg. Ale ten

nie nastąpił. Tymczasem Patricia zaczęła nerwowo skubać swoje ubranie. Przyglądając im się, doszła zapewne do wniosku, że nie są gotowi do wyjścia, i bardzo ją to przygnębiło.

– Jest po prostu zdezorientowana – wyjaśnił.

– Nic podobnego – zaprotestowała, chwytając torebkę.

– Oczywiście! – Harold podszedł do jej pryczy, z ulgą czując, że odzyskuje siły. Może ci cholerni lekarz coś jednak potrafią? Objął potężną postać Patricii i poklepał ją po ramieniu. – Zmienili godzinę zaproszenia. Zdaje się, że mieli jakiś kłopot z cateringiem. Coś wydarzyło się w kuchni i wszystko się skomplikowało. Dlatego potrzebują więcej czasu. To wszystko.

– Jesteś pewny?

– Całkowicie – potwierdził. – W gruncie rzeczy mamy tyle czasu, że mogłabyś uciąć sobie drzemkę. Jesteś zmęczona?

– Nie. – Zacisnęła usta. A potem powiedziała: – Tak. – I zaczęła płakać. – Jestem bardzo, bardzo zmęczona.

– Znam to uczucie.

– Och – westchnęła. – Och, Charles, co się ze mną dzieje?

– Ależ nic. – Pogłaskał ją po włosach. – Jesteś tylko zmęczona. To wszystko.

Wtedy spojrzała na niego, a jej twarz przez moment wyrażała głęboki lęk. Jak gdyby nagle zdała sobie sprawę, że Harold nie jest tym, za kogo się podaje, i że nic nie jest takie, jak się wydaje. A potem chwila jasności minęła i Patricia znów stała się zmęczoną, zagubioną, starą kobietą, on zaś był jej Charlesem. Położyła mu głowę na ramieniu i zapłakała, choćby tylko dlatego, że wydawało jej się to właściwe.

Wkrótce stara kobieta zasnęła. Harold ułożył ją na narzucie okrywającej łóżko i odsunął z twarzy opadające na nią włosy. A potem na nią spojrzał, jakby w głowie kłębiło mu się od pytań.

– To naprawdę okropne – powiedział.

– Co takiego? – spytał Jacob spokojnym, beznamiętnym głosem.

Jego ojciec siedział na brzegu pryczy i przyglądał się swym dłoniom. Złożył dwa palce tak, jakby trzymał w nich jeden z tych małych, cudownych cylindrów z rakotwórczą nikotyną. Przytknął puste palce do ust i głęboko się zaciągnął. Wstrzymał powietrze, a potem je wypuścił, lekko kaszłąc, gdy zabrakło mu w płucach tchu.

– Nie powinien pan tego robić – powiedział Max.

Jacob skinieniem głowy wyraził poparcie dla jego stanowiska.

– To pomaga mi myśleć – rzekł Harold.

– A o czym pan myśli? – zaciekał się Max.

– O mojej żonie.

– Mama jest zdrowa – oznajmił Jacob.

– Oczywiście – potwierdził Harold.

– Jacob ma rację – wtrącił się Max. – Mamy są zawsze zdrowe, bo świat nie może się bez nich obyć. Tak mówił mój tata, zanim umarł. Mówił, że to dzięki mamom świat tak długo przetrwał i że bez nich wszyscy byliby źli i głodni, i walczyliby z sobą, i nic dobrego nigdy by nikogo nie spotkało.

– Na to wygląda – przytaknął Harold.

– Tata mówił, że moja mama jest najlepsza na świecie. I że nigdy nie zamieniłby jej na nikogo innego, ale myślę, że każdy tata powinien tak mówić, bo to dobrze brzmi. No i się założę, że Jacob myśli tak samo o swojej mamie, to znaczy o pana żonie, bo tak właśnie powinniście myśleć. Tak to już jest...

Wtem zamilkł, patrząc na nich oczyma pozbawionymi wyrazu. Harold z ulgą powitał ciszę, ale jednocześnie zaniepokoił się, że nastąpiła tak gwałtownie. Max sprawiał wrażenie nieobecnego. Wydawało się, że coś wymiotło mu z głowy wszystko, co sekundę wcześniej zaprzętało jego uwagę.

Nagle oczy chłopca wywróciły się białkami do góry, jakby ktoś przekreślił główny wyłącznik w jego mózgu. Upadł na podłogę i tak leżał, na pozór pogrążony we śnie. Jedynie cienka smużka krwi na wardze wskazywała na to, że stało się coś złego.

Tatiana Rusesa

Byli biali, toteż wiedziała, że jej nie zabiją. Co więcej, byli Amerykanami, miała więc pewność, że potraktują ją uprzejmie. To nie szkodzi, myślała, że nie pozwalają jej odejść. Pragnęła tylko bardziej im pomóc.

Zanim ją tu przywieźli – choć wciąż nie wiedziała, gdzie jest – przebywała w jakimś innym miejscu. Nie było tak przestronne jak to, i ludzie, którzy ją teraz otaczali, różnili się od tamtych, ale nie aż tak bardzo. Wszyscy mówili, że pracują dla czegoś, co nazywali Biurem.

Przynieśli jej jedzenie i wskazali łóżko, na którym mogła spać. Wciąż miała na sobie niebiesko-białą bluzkę, którą dała jej pewna kobieta w poprzednim miejscu. Zapamiętała jej imię – Cara, i to, że mówiła po angielsku i po francusku i była bardzo, bardzo miła. Ale Tatiana widziała również, że niechętnie pomagała ludziom z Biura i to

się jej nie podobało.

Co ranka o godzinie dziesiątej przychodził pewien mężczyzna, zabierał ją do pokoju bez okien i tam przemawiał do niej wolno i wyraźnie, jakby nie był pewny, czy rozumie po angielsku. Ale przecież dobrze się uczyła i angielski nie sprawiał jej trudu. Mężczyzna miał dziwny akcent i odnosiła wrażenie, że jej akcent też mu się taki wydaje. Odpowiadała zatem na jego pytania równie wolno i wyraźnie, jak je zadawał, co przyjmował z wyraźnym zadowoleniem.

Zależało jej na tym, by był zadowolony. Obawiała się, że jeśli sprawi mu (lub im) zawód, to mogą odesłać ją do domu.

Tak więc codziennie, od wielu już dni, przychodził po nią, prowadził do tego pokoju i zadawał pytania, a ona próbowała na nie odpowiedzieć najlepiej, jak umiała. Początkowo wzbudzał w niej lęk. Potężnie zbudowany, patrzył na nią wzrokiem tak zimnym i twardym, jak zmarznięta ziemia w zimie. Był jednak zawsze bardzo uprzejmy, mimo że – dobrze zdawała sobie z tego sprawę – nie okazała się pomocna.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że jest przystojny. Jego oczy twardo patrzyły, ale były dziwnie błękitne, a włosy miały barwę wysokich, suchych traw o zachodzie. No i wydawał się bardzo, bardzo silny. A wiedziała, że przystojni mężczyźni powinni być silni.

Kiedy przyszedł po nią dzisiaj, zachowywał się bardziej oficjalnie niż zazwyczaj. Czasami przynosił jej cukierki, które oboje jedli w drodze do pokoju bez okien. Ale dziś niczego nie przyniósł i choć bywało tak i przedtem, czuła, że tym razem jest inaczej.

W drodze do pokoju nie próbował nawet rozmawiać, tak jak często robił wcześniej. Maszerował tylko w milczeniu, a ona próbowała dotrzymać mu kroku, czując, że tego dnia sprawy przybiorą inny obrót. Być może poważniejszy niż dotąd.

Gdy znaleźli się w pokoju, jak zwykle zamknął drzwi. Na chwilę się zatrzymał i spojrzał w zainstalowaną w rogu kamerę. Wcześniej tego nie robił. A potem zaczął zadawać swoje pytania, wolno i wyraźnie jak zawsze.

– Co pamiętasz do chwili, gdy znaleziono cię w Michigan?

– Żołnierzy – odparła. – I mój dom w Sierra Leone.

– Co robili ci żołnierze?

– Zabijali.

– Czy to oni cię zabili?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Nie.

Mimo iż minęło już kilka dni od czasu, gdy zadał te pytania, znała odpowiedzi na pamięć. Równie dobrze jak on znał pytania. Początkowo zadawał je raz po raz. Potem przestał i zaczął prosić, by mówiła o sobie. Sprawiało jej to przyjemność. Opisywała, jak jej matka opowiadała wieczorami historie o bogach i potworach. Powtórzyła mu również jej słowa, że ludzie i cudowne wydarzenia to życiodajna krew świata.

Przez cały czas spotkania powtarzał pytania, które oboje znali na pamięć, a gdy minęła godzina, bo tyle czasu trwała ich rozmowa, padło pytanie zupełnie nowe.

– Jak myślisz, co się dzieje z nami po śmierci?

Przez chwilę się zastanawiała, nagle zaniepokojona i nieco wystraszona. Ale przecież był biały. I był Amerykaninem, toteż wiedziała, że nie może jej skrzywdzić.

– Nie wiem – odparła.

– Jesteś pewna?

– Tak – potwierdziła.

A potem przypomniała sobie, co kiedyś mówiła jej matka: „Śmierć to zaledwie początek więzi, której, nie wiedząc o tym, zawsze pragniemy”. Właśnie miała to powiedzieć pułkownikowi Willisowi, gdy ten wyciągnął pistolet i strzelił.

A potem usiadł, patrząc na nią, i czekał, ciekaw, co nastąpi.

Nie bardzo wiedząc, czego się właściwie spodziewał, nagle został sam z martwym, zakrwawionym ciałem, choć zaledwie przed chwilą była to młoda dziewczyna, która go lubiła i uważała za przyzwoitego człowieka.

Naraz powietrze w pokoju wydało mu się stęchłe. Wstał i wyszedł, przez cały czas udając, że nie słyszy głosu Tatiany, który tak dobrze znał z licznych rozmów i który wciąż słyszał, mimo bezustannie dźwięczącego mu w uszach odgłosu wystrzału.

Rozdział 10

– Biedny, biedny chłopiec – wzdychała Lucille, przyciskając Jacoba do piersi. – Jaki biedny, biedny chłopiec. – Tyle tylko umiała powiedzieć w związku ze śmiercią Maksa, ale powtarzała to po wielokroć z głębokim żalem.

Cóż to za świat, myślała, w którym mogą dziać się takie rzeczy. Jak to możliwe, żeby dziecko w jednej chwili zdrowe i żywotne, odchodziło w następnej do wiecznej chwały.

– Biedny, biedny chłopiec – powtórzyła jeszcze raz.

Wczesnym rankiem pokój odwiedzin, który Biuro dobudowało do szkoły w Arcadii, był niemal pusty. Tu i tam kręcili się strażnicy, półsenni lub zajęci rozmową na jakiś błahy temat. Nie przejmowali się zbytnio poczynaniami starego człowieka, którego aresztowano razem z synem przywróconym do życia pięćdziesiąt lat po śmierci, ani też starą, siwą kobietą, która ich odwiedzała.

Nie przejęła ich także śmierć innego z Przywróconych, zmarłego w ostatnich dniach chłopca, co silnie wzburzyło Lucille. Nie umiała powiedzieć, co właściwie jej zdaniem powinni byli zrobić dla upamiętnienia tego, że zgasło czyjeś życie. Jak mieli ogłosić, że wymaga żałoby i chwili zadumy? Czy powinni założyć na ręce czarne opaski lub coś w tym rodzaju? Zapewne tak. Ale pomysł wydał jej się głupi, gdy tylko na niego wpadła. Ludzie umierają, nawet dzieci. Tak już po prostu bywa.

Pokój gościnny był konstrukcją zbudowaną z metalowych słupów, na których położono blachę falistą. Przy wejściu i przy wyjściu ustawiono olbrzymie, głośno warkoczące wiatraki, które miały wprawić w ruch ciężkie, wilgotne powietrze. Wewnątrz sali stały chaotycznie rozstawione ławki i stoły.

Jacob cicho siedział na kolanach Lucille, dręczony poczuciem winy, jakie dzieci zawsze odczuwają na widok płaczącej matki. Harold zajmował miejsce obok żony, obejmując ją ramieniem.

– No już nie płacz, nie płacz, moja stara nemezis – powiedział miękko, pełnym współczucia i powagi głosem. Zapomniał, że jest do tego zdolny po tych wszystkich latach bycia... no cóż, określenie „nieznośny” niezbyt mu się podobało, ale... – Tak się czasem zdarza – próbował ją uspokoić. – Lekarze mówią, że to był tętniak.

– Dzieci nie mają tętniaków – odpowiedziała.

– Bywa i tak. I, być może, właśnie tak się stało poprzednim razem. Może to właśnie stało się powodem.

– Krażą pogłoski, że oni wszyscy są na coś chorzy. Ja w to nie wierzę, ale tak

mówią.

– Nie ma gorszej choroby niż głupota – skwitował Harold.

Lucille otarła oczy i poprawiła kołnierzyk sukni.

Jacob wysunął się z objęć matki. Miał na sobie nowe ubranie, które mu kupiła.

Było czyste i miękkie w ów szczególny, właściwy nowym rzeczom sposób.

– Mogę powiedzieć ci kawał, mamó?

Skinęła głową.

– Tylko nic ordynarnego, dobrze?

– To nie wchodzi w rachubę – wtrącił z przekąsem Harold. – Uczę go wyłącznie chrześcijańskich kawałów.

– Mam już was naprawdę dość!

– Nie martw się Maksem – powiedział Harold, rozglądając się po sali. – Max odszedł do... no wiesz, tam gdzie wszyscy idą... już dawno temu. To był jedynie cień, który...

– Przestań – syknęła. – Max był dobrym chłopcem. Wiesz o tym.

– Owszem – zgodził się Harold. – Był dobrym chłopcem.

– Czy był inny? – spytał Jacob z twarzą ściągniętą z przejęcia.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Harold. Jacob nigdy jeszcze tak bardzo nie zbliżył się do kwestii, która nurtowała cały świat, a mianowicie, co Przywrócenie mają do powiedzenia na własny temat.

– Czy był inny niż kiedyś? – rozwinął pytanie Jacob.

– Nie wiem, skarbie. – Lucille wzięła syna za rękę. Nie mogła oprzeć się myśli, że tak robią zawsze w serialach telewizyjnych i że ostatnio oglądała ich zbyt wiele. – Nie znałam Maksa zbyt dobrze – dodała. – Obaj z ojcem widywaliście go częściej niż ja.

– I też nie znaliśmy go dobrze – stwierdził Harold tonem mniej zgryźliwym niż zwykle.

Jacob odwrócił się i spojrzał na pomarszczoną twarz ojca.

– Ale myślisz, że był inny?

– Inny niż kto? Od kiedy?

Pytanie zawisło między nimi jak mgła. Harold pragnął, by chłopiec w końcu to powiedział. By potwierdził, że Max już raz umarł. A także przyznał, że wokół dzieje się coś niezwykłego, dziwnego i przerażającego, a nade wszystko – nienaturalnego. I chciał usłyszeć jeszcze jedno – że Jacob nie jest tym samym chłopcem, który utonął 15 sierpnia 1966.

Gorąco łaknął tych słów.

– Nie wiem – padła beznamiętna odpowiedź.

– Oczywiście, że nie wiesz – przerwała im Lucille. – Bo jestem pewna, że nie było w nim nic odmiennego. Tak jak nic odmiennego nie ma w tobie. Ani w nikim z was, poza tym, że jesteście dziełem wielkiego cudu. To wszystko. Dowodem Bożego błogosławieństwa, a nie gniewu, jak niektórzy próbują twierdzić. – Przyciągnęła go bliżej i ucałowała w czoło. – Jesteś moim najdroższym chłopcem – powiedziała, a srebrne włosy opadły jej na twarz. – Nasz dobry Pan roztoczy nad tobą opiekę i sprawi, że wrócisz do domu. Albo ja to zrobię.

Wracała głęboko przygnębiona, a świat przesłaniała ściana łez. Płakała, choć zdała sobie z tego sprawę dopiero w chwili, gdy wjechała na podwórze i głośny warkot silnika furgonetki w końcu ucichł. Przed nią wyrastał wysoki, drewniany pusty dom, jakby czekając, by ją pochłonąć. Otarła oczy i ostro przywołała się do porządku.

Przeszła przez podwórze, trzymając w rękach puste plastikowe pojemniki, w których woziła jedzenie dla Jacoba, Harolda i agenta Bellamy'ego. Przywiązywała ogromną wagę do ich żywienia. Dobrze wiedziała, że jedzenie potrafi zmiękczyć serca i dodać sił.

Gdyby ludzie więcej gotowali i więcej jedli, myślała, świat byłby znacznie miłszy.

Lucille Abigail Daniels Hargrave nigdy nie lubiła być sama. Nawet w dzieciństwie nade wszystko uwielbiała dom pełen ludzi. Była najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa, które wraz z rodzicami gnieździło się w szarym domku na przedmieściach małego miasteczka Lumberton w Północnej Karolinie. Jej ojciec pracował w tartaku, a matka służyła w jednej z bogatszych rodzin w okolicy, gdy zaś nadarzała się okazja, szyła i reperowała wszystko, co ktokolwiek jej przyniósł.

Ojciec nigdy nie mówił źle o matce, a matka źle o ojcu. Podczas swego długiego małżeństwa z Haroldem Lucille utwierdziła się w przekonaniu, że brak wzajemnych oskarżeń to najpewniejsza oznaka dobrego, długiego związku. Wszystkie pocałunki, bukiety kwiatów i prezenty znaczą tyle co nic, jeśli mąż źle odnosi się do żony, a ona opowiada o tym wszystkim wokół.

Jak wiele osób, spędziła sporą część dorosłego życia, próbując odtworzyć własne dzieciństwo, powrócić do niego tak, jakby czas nie miał nad nimi żadnej władzy. W związku z komplikacjami przy porodzie Jacob był dla niej jedyną szansą na macierzyństwo. Nigdy jednak nie rozpaczała z tego powodu, nawet w dniu, gdy lekarze poinformowali ją o tym. Skinęła tylko głową, bo w głębi serca wiedziała, że Jacob jej

wystarczy.

I przez osiem lat była szczęśliwą matką. A przez następne pięćdziesiąt już tylko żoną, baptystką i miłośniczką słów, lecz nie matką. Zbyt wiele czasu upłynęło pomiędzy tymi dwoma rozdziałami jej życia.

A teraz Jacob unieważnił czas. Zakłócił jego rytm i uczynił doskonalszym niż kiedykolwiek wcześniej. Przywrócił jej życie – takie, jakie miało stać się ich udziałem przed wielu, wielu laty. Uświadomiła sobie, że tak właśnie było z każdym z nich, z wszystkimi, którzy wrócili. Przez resztę wieczoru nie płakała, kamień, który ciążył jej na sercu, nagle spadł, a gdy przyszła pora snu, zasnęła bez trudu.

Tej nocy śniły jej się dzieci. A gdy nadszedł świt, gwałtownie zapragnęła coś ugotować. Energicznie zabrała się do roboty. Wkrótce na kuchence smażył się bekon z jajkami, a na jednym z tylnych palników bulgotała w rondlu owsianka. Wyrzała przez okno na podwórze, usiłując zignorować wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Oczywiście nikogo tam nie było. Skierowała więc uwagę na kuchnię i nadmierną ilość jedzenia, które przygotowała.

Dotkliwie odczuwała nieobecność Harolda również dlatego, że nie miała pojęcia, jak gotować dla jednej osoby. Oczywiście tęskniła za nim, bardzo tęskniła, ale paliła się ze wstydu, nieustannie wyrzucając ogromne ilości jedzenia. Mimo że pakowała i woziła potężne porcje do szkoły, jej lodówka pękała z nadmiaru tego, co zostało. Ale resztki nigdy jej nie smakowały. Zawsze miała delikatne podniebienie i żywność, która zbyt długo leżała w chłodzie lodówki, nabierała dla niej smaku metalu.

Codziennie woziła posiłki do szkoły (a raczej tego straszego więzienia i obozu dla Upartych i Przywróconych). Skoro Jacob i Harold mieli być więźniami, to przynajmniej dobrze odżywionymi. Nie była jednak w stanie dostarczać im śniadań. Przez ostatnich dwadzieścia lat, a może więcej, to Harold prowadził samochód. Sama czuła się za kierownicą zbyt niepewnie, by dowozić do szkoły trzy gorące dania dziennie. Tak więc jadła śniadanie samotnie, osaczona przez pustkę domu, który jakby ją obserwował. Odpowiadał jej tylko dźwięk własnego głosu.

– Do czego zmierza ten świat? – rzuciła w przestrzeń, a jej pytanie popłynęło nad drewnianą podłogą, minęło drzwi frontowe i małe biurczko, w którym Harold trzymał papierosy, by dotrzeć do kuchni z lodówką pełną jedzenia, a także stołu, przy którym nikt nie siadał. A potem odbiło się echem po innych pokojach i poniosło nad schodami, w górę, do sypialni, w których nikt nie sypiał.

Odchrząknęła, jakby chcąc przyciągnąć czyjąś uwagę, lecz odpowiedziała jej

tylko cisza.

Może telewizja by pomogła? – pomyślała. Jeśli włączy odbiornik, będzie mogła przynajmniej udawać. Rozlegną się śmiechy i rozmowy, a ona sobie wyobrazi, że docierają z sąsiedniego pokoju, w którym odbywa się huczne przyjęcie. Takie, jakie urządziła przed wielu laty, zanim jeszcze Jacob poszedł nad tę rzekę i wszystko w życiu jej i Harolda straciło cel.

Korciło ją, by włączyć serwis informacyjny. Może usłyszy coś na temat zaginionego artysty Jeana Jakiegoś-tam. Wciąż mówiono o tym, jak powrócił z zaświatów, znów zaczął rzeźbić, zrobił majątek, jakiego w poprzednim życiu nie mógł sobie nawet wyobrazić, i zniknął z pięćdziesięciokilkuletnią kobietą, która przyczyniła się do odkrycia jego dzieł.

Lucille nigdy by nie przypuszczała, że z powodu zaginionego artysty może dojść do zamieszek, a przecież tak właśnie było. Przez kilka tygodni władze Francji nie mogły unormować sytuacji.

Tymczasem słynny francuski artysta, cudownie przywrócony światu, zniknął bez śladu. Niektórzy mówili, że nie mógł udźwignąć brzemienia sławy, inni, że sukces nie sprzyja sztuce i dlatego Jean chciał się ukryć. Zdaniem tych ostatnich pragnął znów marznąć i przymierać głodem, by prawdziwie obcować ze sztuką.

Słyszając to, Lucille parsknęła śmiechem. Pomysł, że ktoś mógłby chcieć głodować, był beznadziejnie głupi.

– Może po prostu chciał, żeby mu dali spokój – stwierdziła na głos.

Przez chwilę o tym myślała, ale potem cisza zaczęła ją dławić jak zbyt ciasny kołnierz. Przeszła więc do salonu, włączyła „Wiadomości” i świat wtargnął w jej życie.

– Sytuacja globalnie ulega pogorszeniu – oznajmił głos prezentera. Był nim Hiszpan w jasnym garniturze, o poważnym wyrazie twarzy. Przez chwilę sądziła, że mówi coś na temat finansów, światowej ekonomii, cen gazu lub którejkolwiek z rzeczy, które nieuchronnie, rok w rok się pogarszają. Okazało się jednak, że nie. Komentował sytuację związaną z powrotami.

– O co tu chodzi? – spytała cicho, stając przed ekranem telewizora z rękami złożonymi na piersi.

– Jeśli właśnie zaczynacie nas oglądać – jakby w odpowiedzi oznajmił prezenter – rzecz dotyczy licznych odbywających się dziś dyskusji na temat roli i zasięgu kontroli nowego, lecz nieustannie rozwijającego się Międzynarodowego Biura do spraw Przywróconych. Według najnowszych doniesień Biuro otrzymało finansowe wsparcie ze strony państw NATO, a także kilku innych, niewchodzących w skład tej organizacji.

Charakter i rozmiary pomocy nie zostały dotąd ujawnione.

Ponad ramieniem prezentera pojawił się mały znak – złota flaga z centralnie umieszczonym napisem „Międzynarodowe Biuro ds. Przywróconych”. Potem logo zniknęło i cały ekran wypełniły obrazy żołnierzy w wojskowych samochodach oraz uzbrojonych mężczyzn biegnących po asfaltowej płycie lotniska w stronę potężnych szarych samolotów, które mogłyby pomieścić w swej czeluści całą kościelną kongregację, nie narażając nikogo na niewygodę.

– O Boże! – jęknęła. Wyłączyła telewizor i potrząsnęła głową. – Wielki Boże! To nie może być prawda!

Zastanawiała się, ile świat wie o tym, co dzieje się w Arcadii. Czy ktokolwiek słyszał, że przejęto miejscową szkołę i że Biuro zdążyło się tu stać instytucją potężną i przerażającą.

Nagle uświadomiła sobie obecną sytuację Arcadii. Przywrócenie było już wszędzie. Napływali setkami, jakby coś ich ciągnęło do tego miasta. I choć prezydent wydał polecenie, by nie opuszczali domów, przybyło wielu takich, których domy znajdowały się na drugim końcu świata. Czasami, widząc kolejne aresztowania, myślała, że nie było w historii równie złowieszczego sposobu zapewnienia bezpieczeństwa.

Zdarzało jej się widywać tych, którzy się ukrywali. Mieli dość rozsądku, by za wszelką cenę unikać żołnierzy i nie zbliżać się do centrum, gdzie za kolczastymi drutami znajdowała się szkoła-obóz. Ale idąc nieco dalej Main Street, dostrzegała ich w oknach starych budynków i domów, w których nikt nie powinien mieszkać. Przechodząc, machała im na powitanie, gdyż tak ją wychowano, oni zaś odpowiadali jej tym samym, jak gdyby dobrze ją znali i byli nieodłącznie z nią związani – jakby dysponowała magnetyczną siłą, która przygarnia i udziela wsparcia.

Ale była tylko starą kobietą, żyjącą samotnie w domu zbudowanym dla trojga. Ktoś inny powinien w końcu tu przybyć i położyć temu kres. Tak by należało. Sprawy wielkiej wagi zależą od działania wielkich ludzi. Takich, jakich widuje się w filmach. Młodych, silnych i elokwentnych. A nie takich, którzy mieszkają w miasteczku, o którym nikt nie słyszał.

Nie, powtarzała sobie, nie ma obowiązku pomagać Przywróconym. Być może nie ma też obowiązku wspierać Jacoba i Harolda. Mógłby to robić ktoś inny. Być może pastor Peters, choć bardziej prawdopodobne, że agent Bellamy.

Ale Bellamy nie był rodzicem skazanym na życie w opustoszałym domu ani tym, do kogo – Lucille wyraźnie to czuła – garnęli się przybysze z tamtej strony. Tym kimś

była ona. Zawsze ona.

– Coś należy z tym zrobić – powiedziała w pustą przestrzeń.

Kiedy w domu zapadła cisza i umilkło echo telewizji, powróciła do codziennych zajęć, jakby wokół nic się nie zmieniło. Umyła ręce pod kranem zlewu, wytarła je i rozbiła jajka, by usmażyć jajecznicę. Pierwsza porcja zbyt dużej ilości bekonu była już gotowa, toteż zdjęła ją z patelni i położyła na papierowym ręczniku, by ociekła z tłuszczu – doktor zawsze się rozwodził na ten temat – a potem skubnęła kawałek i chrupiąc go, dalej smażyła jajecznicę i mieszała w rondlu owsiankę.

Myślała o Haroldzie i Jacobie zamkniętych w budynku, którego strzegło wojsko i kolczaste druty, a także, co najgorsze, rządowa biurokracja. Wciąż ze złością wspominała, jak żołnierze wyciągnęli jej męża i syna z rzeki – tej samej, do której w gruncie rzeczy nabyli prawo, zważywszy na to, co się tam wydarzyło.

Siedziała zamyślona przy kuchennym stole i jadła, nie słysząc kroków dobiegających z ganku.

Owsianka, ciepła i delikatna, gładko spływała do żołądka, pozostawiając w ustach przyjemny, maślany smak. Po niej przyszła kolej na bekon i jajecznicę – jedno chrupiące i słone, drugie łagodne i miękkie.

– Jestem dla ciebie świątynią – powiedziała głośno do pełnego talerza.

A potem roześmiała się w poczuciu winy. To pachniało bluźnierstwem. Ale Pan Bóg ma poczucie humoru – była tego pewna, choć nigdy nie przyznałaby się Haroldowi. Pan Bóg rozumiał, że jest tylko starą kobietą, samotną w wielkim, opustoszałym domu.

Była w połowie śniadania, gdy uświadomiła sobie czyjaś obecność. Niemal zeskoczyła z krzesła, gdy dostrzegła po drugiej stronie siatkowych drzwi drobną blondynkę, potarganą i ubłoconą.

– O Boże! – krzyknęła, zasłaniając usta dłonią.

Było to jedno z dzieci Wilsonów – Hannah, jeśli się nie myliła, co rzadko się zdarzało. Nie widziała jej od spotkania mieszkańców Arcadii, które odbyło się w kościele przed kilku tygodniami.

– Bardzo przepraszam – odezwała się mała.

Lucille otarła usta.

– Ależ nic się nie stało. Po prostu nie sądziłam, że ktoś tu jest.

Podeszła do drzwi.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Nazywam się Hannah. Hannah Wilson.

– Wiem, dobrze wiem, skarbie. Córka Jima Wilsona. Jesteśmy rodziną.

– Tak, proszę pani.

– Twój ojciec jest moim dalekim kuzynem. Mamy wspólną ciotkę... Ale nie bardzo pamiętam jej imienia.

– Tak, proszę pani – zabrzmiał niepewny głosik.

Lucille otworzyła drzwi i gestem zaprosiła ją do środka.

– Wyglądasz na zagłodzoną, dziecko. Kiedy ostatnio jadłaś?

Dziewczynka cicho stała w drzwiach. Wniosła zapach błota i wiatru, jakby tego ranka spadła z nieba i jednocześnie wyrosła z ziemi. Lucille uśmiechnęła się do niej, ale mała wciąż się wahała.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, dziecko – rzekła. – Pod warunkiem, że wejdiesz i coś zjesz. Bo jeśli nie, to poszukam wielkiej różgi i zmuszę cię, byś usiadła i spokojnie coś zjadła.

Dziewczynka odwzajemniła w końcu jej uśmiech, w ów typowy dla Przywróconych, naturalny, nieco obojętny sposób.

– Tak, proszę pani.

Gdy wchodziła do domu, siatkowe drzwi zamknęły się za nią z lekkim trzaskiem, jakby przyklaskując nieoczekiwanej zmianie losu Lucille.

Dziewczynka spałaszowała wszystko, co miała na talerzu, choć dostała niemało. Kiedy Lucille zdała sobie sprawę, że zaraz zniknie resztkę potraw, które przygotowała na śniadanie, zaczęła nerwowo grzebać w lodówce.

– Nie będę tego jadła – zapewniała. – Nie mam na to ochoty.

– Dziękuję pani – odparła mała. – Już się najadłam. Dziękuję.

Lucille sięgnęła ręką w głąb lodówki.

– Nie – powiedziała – to wciąż za mało. Nie wiem wprawdzie, ile może pomieścić twój żołądek, ale zamierzam to sprawdzić. Będę cię karmić dotąd, aż wykupię cały sklep spożywczy. – Wybuchła śmiechem, który poniósł się echem przez dom. – Ale nie gotuję za darmo – oznajmiła, zdejmując skórkę z parówki. – Dla nikogo. Nawet Pan Jezus musiałby mi się odpłacić, gdyby chciał dostać coś do zjedzenia. Mam tu dla ciebie trochę roboty. – Zgarbiła się, kładąc rękę na plecach i przemieniając się nagle w rachityczną staruszkę, po czym wydała głęboki jęk. – O, nie jestem już taka młoda jak kiedyś!

– Mama mówi, że nie wolno mi żebrać – powiedziała dziewczynka.

– Mama ma rację. Ale to nie jest żebranina. Proszę cię przecież o pomoc, czyż nie? A w zamian cię karmię. To uczciwy układ, prawda?

Hannah pokiwała głową. Machała nogami w tył i w przód, wierząc się na krześle zbyt dla niej wysokim i obszernym.

– A skoro mowa o twojej mamie – podjęła Lucille, wciąż obierając parówkę – to będzie się o ciebie martwić. Twój tata też. Czy oni wiedzą, gdzie jesteś?

– Chyba tak.

– Co to znaczy?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, ale Lucille obrócona do niej tyłem i wciąż zajęta parówką nie mogła tego widzieć. Kiedy po chwili Hannah zdała sobie z tego sprawę, odpowiedziała:

– Nie wiem.

– Daj spokój, dziecko. – Lucille wlała olej na grubą, żelazną patelnię, by podsmażyć parówkę. – Nie próbuj mnie nabierać. Wiem przecież wszystko o twojej rodzinie. Twoja mama... wróciła. Podobnie jak tata. I brat. Gdzie oni są? Ostatnio słyszałam, że wyprowadziliście się z kościoła po tym, jak zaczęły się aresztowania.

Położyła parówkę na patelni i zmniejszyła ogień na palniku.

– Nie powinnam o tym rozmawiać – rzekła dziewczynka.

– No, no, to brzmi bardzo poważnie. Sekrety są zawsze bardzo poważne.

– Tak, proszę pani.

– Na ogół nie lubię sekretów. Mogą prowadzić do różnych kłopotów, jeśli człowiek nie jest dość ostrożny. Przez całe moje małżeństwo, skarbie, nigdy nie miałam sekretów przed swoim mężem – powiedziała. A potem podeszła do małej i cicho szepnęła jej do ucha: – Ale wiesz co?

– Co? – wyszeptała Hannah.

– Mówiąc w sekrecie, to nieprawda. Ale nikomu tego nie mów.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i promiennie, przypominając w tym Jacoba.

– Czy mówiłam ci o moim synu? Przyszedł stąd, skąd i wy. Cała twoja rodzina.

– Gdzie on jest?

Lucille westchnęła.

– W szkole. Żołnierze go zabrali.

Hannah pobladła.

– Wiem – przytaknęła Lucille. – To straszne. Zabrali także męża. Obaj byli nad

rzeką, gdy po nich przyszli.

– Nad rzeką?

– Tak, dziecko – potwierdziła. Parówka zaczynała już skwierczeć. – Żołnierze lubią rzekę. Wiedzą, że jest tam mnóstwo miejsc, gdzie można się ukryć, toteż często sprawdzają ten teren w poszukiwaniu takich jak wy. Och, oni nie są źli. Mam nadzieję, że nie. Nigdy nikogo nie krzywdzą, tylko odrywają od rodzin. Nie, na pewno cię nie skrzywdzą. Tylko zabiorą. Z dala od tych, którzy cię kochają i się o ciebie troszczą.

Kiedy się odwróciła, Hannah zniknęła, jedynym znakiem jej obecności były chwiejące się drzwi.

– Do zobaczenia – powiedziała Lucille w pustą przestrzeń domu, wiedząc, że już niedługo nie będzie pusta.

Przecież poprzedniej nocy śniły jej się dzieci.

Alicia Hulme

– To, co się stało z chłopcem, to był wypadek. Nie jakaś choroba. Ale zdarzają się zniknięcia. – Dziewczyna nerwowo przekazywała wiadomość ciemnoskóremu mężczyźnie w dobrze skrojonym garniturze, który siedział po drugiej stronie biurka. – Nic z tego nie rozumiem – powiedziała. – Ale to nie brzmi dobrze, prawda?

– Owszem – potwierdził agent Bellamy. – To dziwna sytuacja.

– I co teraz będzie? Nie chcę tu zostać. Tak samo jak nie chciałam zostać w Utah.

– Nie będziesz tu długo – odparł. – Dopilnuję tego. Tak jak ci obiecała agent Mitchell.

Uśmiechnęła się na wspomnienie agent Mitchell.

– To dobra kobieta – zauważyła.

Bellamy wstał i obszedł biurko. Przysunął małe krzesło do jej krzesła i usiadł. Potem sięgnął do rękawa i wyjął kopertę.

– Masz tu ich adres – rzekł, podając ją Alicii. – Nie wiedzą, że wróciłaś, ale z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, bardzo tego pragną.

Wzięła od niego kopertę i otworzyła ją drżącymi rękami. Adres w stanie Kentucky.

– Tata pochodzi z Kentucky – powiedziała załamującym się nagle głosem. – Nigdy nie lubił Bostonu, ale mama nie chciała stamtąd wyjechać. Widać w końcu ją przekonał.

Objęła czarnoskórego agenta w dobrze skrojonym ubraniu i pocałowała go w

policzek.

– Dziękuję.

– Na zewnątrz czeka żołnierz imieniem Harris. Jest młody, niewiele młodszy od ciebie. Ma może osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Trzymaj się go, gdy stąd wyjdiesz. Rób, co ci poleci. Idź tam, gdzie wskaże. Wyprowadzi cię stąd. – Poklepał jej dłoń. – To dobrze, że wyjechali do Kentucky. Biuro jest aktywne w miejscach gęściej zaludnionych. Tam bez trudu zdołasz się ukryć.

– A co z agent Mitchell? – spytała. – Czy odeślesz mnie do niej z inną wiadomością?

– Nie, to byłoby niebezpieczne dla ciebie i dla niej. Pamiętaj tylko, że masz się trzymać Harrisa i robić, co powie. Zaprowadzi cię do rodziców.

– Będę go słuchać – obiecała, wstając. Gdy była już przy drzwiach, zawahała się, ale ciekawość wzięła górę nad nieśmiałością. – Zniknięcia? – spytała. – O czym ona mówi?

Agent w eleganckim ubraniu westchnął.

– Szczerze mówiąc – odparł – sam nie wiem, czy to koniec, czy początek.

Rozdział 11

Niemal codziennie Fred Green spotykał się z kumplami na trawniku Marvina Parkera. Stali w palącym słońcu, gotując się ze złości na widok ciężarówek, które nadjeżdżały główną ulicą Arcadii, wioząc kolejne transporty.

Przez kilka pierwszych dni John Watkins spisywał liczbę przybyłych na kawałku drewna, który znalazł w swojej furgonetce. Znaczył grube kreski, które grupował piątkami. Po tygodniu doliczył się ponad dwustu.

– Kończ mi się ołówek, a oni wciąż ich dowożą – powiedział w pewnej chwili.

Nikt nie odpowiedział.

– Nie możemy się na to zgodzić – powtarzał od czasu do czasu Fred. Potrząsając głową, wypijał haust piwa, a nogi mu drżały, jakby się gdzieś spieszył. – To się dzieje tutaj, w naszym mieście.

Nikt nie umiał określić znaczenia owego „to”, ale wszyscy rozumieli, o co chodzi. Zdawali sobie sprawę, że są świadkami czegoś, co przerasta wszelką wyobraźnię.

– Czy ktoś by pomyślał, że gdzieś, nagle, może wyrosnąć wulkan? – spytał pewnego popołudnia Marvin Parker, gdy stali, obserwując przyjazd kolejnego transportu. Był wysokim, patykowatym mężczyzną o bladej skórze i włosach koloru rdzy. – A jednak to możliwe – ciągnął. – Absolutnie. Kiedyś opowiadano mi o kobiecie, u której na podwórku wyrósł wulkan. Najpierw na trawniku powstał mały pagórek, jak kopiec kreta czy coś w tym rodzaju. Nazajutrz zrobił się większy, a dzień później jeszcze większy. I tak dalej.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy słuchali i wyobrażali sobie śmiertcionośny kopiec z ziemi, ognia i kamieni, podczas gdy po drugiej stronie ulicy rozładowywano kolejne transporty, a następnie odliczano i wprowadzano do szkoły nowe grupy Przywróconych.

– Ale pewnego dnia, kiedy kopiec miał już ze trzy metry, kobieta się złąła. Nikt by nie pomyślał, że może upłynąć tyle czasu, zanim człowiek się złął, prawda? A jednak tak było. Jeśli się nie spieszysz i pozwalasz niebezpieczeństwu stopniowo narastać, nim oprzytomniejesz, może być za późno.

– A co mogła zrobić? – spytał któryś z zebranych.

Pytanie nie doczekało się odpowiedzi. Marvin kontynuował:

– Do czasu, gdy w końcu kogoś zawołała, wszędzie wokół jej domu unosił się smród siarki. Dopiero wtedy włączyli się sąsiedzi. Ruszyli w końcu tyłki i postanowili

zbadać ten kopiec, który stopniowo stawał się górą na podwórzu obok nich. Ale wtedy było już za późno, no nie?

– Ale co mogli z tym zrobić? – znów ktoś zapytał.

Ale i to pytanie pozostało bez odpowiedzi. Marvin ciągnął swoją historię:

– Przyjechali tam różni naukowcy, by zobaczyć to z bliska. Dokonywali jakichś pomiarów, robili testy i to, co zawsze. I wiecie, co jej powiedzieli? „Powinna się pani wyprowadzić”. Dacie wiarę? Tyle tylko mieli do powiedzenia. Kobieta traci dom, jedyną rzecz na tym świecie, do której każdy ma prawo, i jedyną, jaką naprawdę, dzięki Bogu, możemy mieć, a oni rzucają od niechcenia: „No cóż, masz pecha, kotku”.

Niedługo potem faktycznie się wyniosła. Spakowała całe swoje życie i dała za wygraną. Za nią podążyli inni mieszkańcy miasta. A przecież uciekali od czegoś, co wyrosło obok nich, i na co zarówno ona, jak i oni patrzyli przez cały czas.

Skończył swoje piwo, zgiął puszkę w dłoni, rzucił ją na trawnik i mruknął:

– Należało zabrać się do tego od początku. Zareagować od razu, w chwili gdy zobaczyli ten dziwny pagór na trawniku i zdali sobie sprawę, że coś jest nie tak. Ale nie, oni się wahali, a zwłaszcza kobieta, do której należało podwórze. Tak długo zwlekała, aż zgubiła wszystkich.

Do wieczora patrzyli w milczeniu na wciąż napływające transporty, dławieni uczuciem, że coś w tym świecie zawiodło ich zaufanie i że, być może, byli zdradzani od lat.

Zrozumieli, że zostali okłamani.

Nazajutrz Fred Green pojawił się z plakatem. Na kwadratowej, pomalowanej na zielono sklejce widniał wielki czerwony napis: „Precz z Arcadii!”.

Właściwie nie wiedział, co miałyby to dać i jakie przynieść korzyści. Ale przynajmniej nie siedział z założonymi rękami. Czuł, że wyraża w końcu to, co sprawiało, że nie mógł zasnąć, a gdy zasnął, spał niespokojnie i budził się wykończony.

Nic lepszego nie potrafił wymyślić, bez względu na to, co miało się stać.

* * *

Agent Bellamy siedział przy stole, założywszy nogę na nogę. Miał rozpiętą marynarkę, a jego jedwabny krawat nieco się poluzował. Harold nigdy dotąd nie widział go w tak naturalnej pozie. Nie potrafił właściwie określić swojego stosunku do Bellamy’ego, ale uznał, że skoro do tej pory nie zdołał go znienawidzić, to zapewne polubił tego człowieka. Tak z nim zwykle bywało.

Pochłaniał prażone solone fistaszki, jednocześnie trzymając między palcami papierosa, a kredowobiały dym przesłaniał mu twarz. Przełknął i otarł z palców tłuszcz i sól, wycierając je o nogawki – przecież Lucille nie mogła teraz zaprotestować – a od czasu do czasu zaciągał się papierosem i wypuszczał dym, wstrzymując kaszel. Wymagało to ostatnio coraz więcej wysiłku, ale wciąż szło mu nie najgorzej.

Dla agenta Bellamy'ego była to jedna z niewielu okazji, by porozmawiać z Haroldem sam na sam, od czasu gdy Arcadia stała się centrum nieoczekiwanych wydarzeń. Nieczęsto bowiem rozstawał się z Jacobem.

– Ona mi nigdy nie wybaczy, jeśli coś mu się stanie – mawiał.

Czasami jednak zgadzał się zostawić chłopca w sąsiednim pokoju pod opieką jednego z żołnierzy – jeśli wiedział którego – na wystarczająco długi czas, by Bellamy mógł zadać kilka pytań.

– Jak się pan czuje? – zaczął agent, otwierając swój notatnik.

– Chyba wciąż żyję. – Harold strzepnął popiół z papierosa do małej metalowej popielniczki. – Ale kto dziś nie żyje? – Ponownie się zaciągnął. – Czy Elvis już wrócił?

– Muszę sprawdzić, może ktoś coś wie.

Harold zachichotał. Bellamy wygodniej rozsiadł się na krześle i z ciekawością patrzył na starego Południowca.

– A więc, jak się pan miewa?

– Czy grał pan kiedyś w rzut podkową?

– Nie. Tylko w bocce.

– Co to takiego?

– Włoska wersja.

Harold pokiwał głową.

– Powinniśmy rzucać podkowami. Zamiast tego tutaj. – Rozpostarł ręce, obejmując spojrzeniem mały, duszny pokój.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział Bellamy z uśmiechem. – Jak się pan czuje?

– Już mnie pan pytał.

– A pan nie odpowiedział.

– Odpowiedziałem. – Harold ponownie rozejrzał się po pokoju.

Bellamy zamknął leżący na stole notes i nieco go odsunął. Na wierzchu położył ołówek i demonstracyjnie poklepał okładkę, jakby chciał powiedzieć: jest nas tu tylko dwóch, Haroldzie. Daję słowo. Żadnych magnetofonów ani ukrytych kamer. Jedynie stojący na zewnątrz strażnik, który nie może cię usłyszeć, a gdyby nawet mógł, to nie

będzie chciał. Jest tam tylko dlatego, bo tak kazał pułkownik Willis.

Harold w milczeniu wyjadł z miseczki resztę fistaszków, a potem dopalił papierosa. Bellamy siedział po drugiej stronie stołu, milcząc i czekając. Staruszek zapalił kolejnego papierosa i głęboko się zaciągnął. Wstrzymał dym w płucach tak długo, jak mógł, a potem go wypuścił i zaniósł się kaszlem. Kaszlał tak spazmatycznie, że w końcu zaczął ciężko dyszeć, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

Kiedy wreszcie zdołał złapać oddech, Bellamy ponowił swoje pytanie.

– Jak się pan czuje?

– Po prostu łapie mnie to coraz częściej.

– I nie chce się pan zgodzić na badania?

– O nie, dzięki, panie agencie. Jestem po prostu stary, ot, co mi dolega. Zresztą tacy dranie jak ja nie miewają tętniaków jak ten chłopiec. I nie jestem tak głupi, żeby wierzyć w jakąś chorobę, o której bredzą ci wasi żołnierze.

– Bystry z pana człowiek.

Harold ponownie się zaciągnął.

– Mam pewne podejrzenia co do przyczyny pańskiego kaszlu – rzekł Bellamy.

– Podobnie jak moja żona. – Wypuścił nosem długą, równą smugę dymu. Zgasił papierosa i odsunął na bok miseczkę po orzeszkach. Położył dłonie na stole i przyjrzał im się uważnie. Były stare i pomarszczone, jeszcze bardziej suche i kościste, niż zapamiętał. – Może porozmawiamy, agencie Bellamy?

Czarnoskóra mężczyzna przesunął się w przód i wyprostował, jakby się sposobił do poważnego wysiłku.

– Co chciałby pan wiedzieć? Proszę sformułować pytanie, a ja odpowiem najlepiej, jak potrafię. Tyle tylko mogę obiecać. I tyle może pan oczekiwać.

– W porządku, panie agencie. Pytanie numer jeden: czy Przywróceni są prawdziwymi ludźmi?

Bellamy milczał. Coś pochłaniało jego uwagę, jakby wyobraźnia podsuwała mu jakiś obraz. Potem odpowiedział z taką dozą pewności, na jaką było go stać.

– Wydaje się, że tak. Jedzą, nawet bardzo dużo. Śpią, co prawda nieregularnie, ale śpią. Chodzą. Mówią. Pamiętają. Robią to, co ludzie.

– Ale trochę dziwni.

– Owszem, są trochę dziwni.

Harold stłumił chichot.

– Trochę... – powtórzył, kiwając głową. – A od kiedy to, panie agencie, przywróceni do życia zmarli są „trochę dziwni”?

– Od kilku miesięcy – odparł beznamiętnie Bellamy.

– Pytanie drugie, panie agencie... a może trzecie?

– Myślę, że trzecie.

Harold parsknął suchym śmiechem.

– Jest pan czujny. To dobrze.

– Staram się.

– A więc pytanie numer trzy... Odkąd sięga nasza pamięć, ludzie nie mieli zwyczaju bywać tu po śmierci. Czy można zatem uznać, że istoty, które tak postępują, są ludźmi?

– Czy moglibyśmy przejść do sedna sprawy? – spytał krótko agent.

– Ci Jankesi... – burknął Harold i poruszył się na krześle. Nogi mu drżały, jakby przez całe jego ciało przepływały zmienne fale energii.

– Jesteśmy tu sami. – Bellamy nachylił się w przód, jakby chciał sięgnąć przez stół i wziąć stare dłonie Harolda w swoje ręce. I zapewne by tak zrobił, gdyby tamten nie przemówił.

– Nie powinien tu być – powiedział. – Umarł. Mój syn umarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku. Utonął w rzece. I wie pan co?

– Co takiego?

– Pogrzebaliśmy go, ot, co. Znaleźliśmy jego ciało, bo Bóg jest okrutny. Sam wyciągnąłem go z rzeki, zimnego jak lód, choć był środek lata. Pomyślałem wtedy, że ryby są cieplejsze niż on. Zsiniał już i napuchł. – Oczy mu załśniły. – Niosłem go, choć wszyscy wokół płakali i mówili, że nie muszę tego robić. Wszyscy chcieli odebrać mi go z rąk. Nie rozumieli, że to ja powinienem wyciągnąć go z tej rzeki. I ja powinienem poczuć, jaki jest zimny i obcy. Że powinienem uzyskać niezbitą pewność, iż jest martwy. I że już nigdy nie wróci. Pogrzebaliśmy go. Bo tak się robi z ludźmi, kiedy umrą. Trzeba ich pogrzebać. Wykopuje się dziurę w ziemi i tam ich wkłada. Na tym koniec.

– A co z wiarą w życie po śmierci?

– Nie, nie! – gwałtownie zaprotestował. – Nie mówmy o tym. Uważam, że z chwilą śmierci wszystko się kończy. – Sięgnął przez stół i złapał Bellamy'ego za rękę. Ścisnął je tak silnie, że tamten zaczął odczuwać ból. Gdy agent zdał sobie sprawę, że jego rozmówca jest silniejszy, niż się wydaje, próbował się oswobodzić. Ale wtedy było już za późno. Harold trzymał go w żelaznym uścisku. – Raz na zawsze trzeba położyć temu kres – oświadczył, patrząc przenikliwie szeroko otwartymi oczyma. – Skończyć z tym! – krzyknął.

– Rozumiem – odparł agent swoim gładkim nowojorskim akcentem,

wyswobadzając się z rąk Harolda. – To trudna i kłopotliwa sprawa, wiem.

– Wszystko się wtedy skończyło – podjął po chwili stary człowiek. – Uczucia. Wspomnienia. Wszystko. – Zamilkł. – Teraz budzę się, myśląc, jak to kiedyś było. Wspominam urodziny i święta Bożego Narodzenia. – Zachichotał i spojrzał na Bellamy'ego, nagle rozchmurzony. – Czy kiedykolwiek przeganiał pan krowy, panie agencie? – spytał z uśmiechem.

– Nie – roześmiał się tamten. – Nie miałem okazji.

– To było, kiedy Jacob miał sześć lat, w czasie świąt Bożego Narodzenia. Wcześniej przez trzy dni bez przerwy lało. Gdy nadeszły święta, drogi wyglądały tak, że mimo wcześniejszych planów nikt nie odważył się wyjechać w odwiedziny. Wszyscy siedzieli w domach i składali sobie życzenia przez telefon. – Usiadł wygodniej i zaczął gestykulować. – Niedaleko miejsca, gdzie teraz mieszkam, znajdowała się farma. Należała do starego Robinsona. Gdy umarł, kupiłem od jego syna kawałek ziemi, ale wtedy, w tamto Boże Narodzenie, było tam pastwisko dla krów. Nie miał ich wiele. Zaledwie kilka. Mniej więcej raz na dwa lata sprzedawał którąś do rzeźni. Ale na ogół po prostu je trzymał. Bez żadnego określonego powodu. Z tego co słyszałem, jego ojciec też hodował krowy, i tak sobie myślę, że Robinson nie wiedział, jak inaczej żyć.

Bellamy skinął głową. Nie potrafił zgadnąć, do czego zmierza ta historia, ale chętnie słuchał, jak się rozwija.

– No i nadeszło to błotniste Boże Narodzenie – ciągnął Harold. – Lało jak z cebra. Dosłownie kubłami. I oto nagle w środku najgorszej ulewy ktoś zaczął pukać do moich drzwi. I kogóż zobaczyłem? Starego Robinsona we własnej osobie. To był potężny facet. Łysy jak kolano i zbudowany jak drwal. Jego pierś przypominała beczkę na ropę. Stał na moim progu cały pokryty błotem. „Co się stało?” – spytałem. „Krowy mi uciekły” – odparł, wskazując ogrodzenie. Dostrzegłem miejsce, w którym sforsowały płot i przedostały się na zewnątrz. Zanim zdołałem coś powiedzieć, choćby zaproponować pomoc, coś przemknęło obok mnie do wyjścia, zbiegło z ganku i pognało dalej w deszcz i błoto.

Harold się uśmiechnął.

– Jacob? – spytał Bellamy.

– Chciałem na niego nakrzyczeć. Zawołać z powrotem. Ale pomyślałem: „A niech tam!”. I zanim jeszcze zdołałem dojść do drzwi frontowych, obok mnie przemknęła Lucille, prawie tak szybko jak Jacob, wciąż ubrana w jedną ze swych najlepszych sukienek. Nie zdołała przebiec nawet trzech metrów od ganku, a już była cała ubłocona i wszyscy troje, łącznie ze starym Robinsonem, zaczęliśmy się śmiać. –

Jego ręce w końcu znieruchomiały. – Może mieliśmy po prostu dość siedzenia w domu – powiedział.

– No i? – spytał Bellamy.

– No i co?

– Czy zdołaliście zagnać te krowy z powrotem?

Harold zachichotał.

– Owszem – odparł. Po chwili jego uśmiech przybladł, a głos spoważniał i przybrał matowe brzmienie, jakby coś dławiło go od środka. – I nagle wszystko się skończyło, a z czasem stało coraz bardziej odległe. Teraz jednak... czuję się tak, jakbym stał w rozkroku nad przepaścią. – Spojrzał na swoje ręce, a w jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz. – Nie wiem, co mam począć. Rozum mi mówi, że to nie mój syn. Przypomina, że Jacob utonął, odszedł na zawsze w piękny sierpniowy dzień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Ale kiedy się do mnie odzywa, coś szepcze mi, że jest mój. Moje oczy widzą to, co przed laty. – Walnął pięścią w stół. – I co ja mam z tym zrobić? Czasami w nocy, gdy jest ciemno, cicho i wszyscy śpią, wstaje z łóżka, podchodzi do mnie i kładzie się obok. Tak jak kiedyś. Jakby dręczyły go senne koszmary. Lub, jeszcze gorzej, jakby po prostu mnie potrzebował. Przychodzi, układa się obok i... do diabła, nie mogę się oprzeć, więc obejmuję go jak kiedyś. I wie pan co, Bellamy?

– Co takiego, Haroldzie?

– Po raz pierwszy od wielu lat czuję się dobrze. Jakbym był spełniony. Jakbym w moim życiu niczego nie brakowało. – Zakaszłał. – Co ja mam robić?

– Są ludzie, którzy kurczowo się tego trzymają – rzekł Bellamy.

Harold zamilkł, głęboko zdumiony odpowiedzią.

– On mnie zmienia – odezwał się po chwili. – Do diabła, on mnie zmienia.

Bobby Wiles

Bobby zawsze miał dar wciskania się tam, gdzie nie powinien być. Widząc, na ile sposobów chłopiec potrafi nieoczekiwanie rozpląnąć się w powietrzu, jego ojciec przewidywał, że gdy syn dorośnie, zostanie sztukmistrzem. Teraz, ukryty wewnątrz rury wentylacyjnej prowadzącej do biura pułkownika, przyglądał mu się przez szpary między listwami.

Nie miał tu nic do roboty. Siedział tylko, czekał i nigdzie nie wychodził. Ale zakradając się tu i ówdzie, odkrywał różne ciekawe rzeczy. W szkole było wiele

interesujących miejsc. Zdążył już poznać drogę do dawnej kuchni. Myślał, że zdobędzie tam jakiś nóż, którym mógłby się bawić, ale żadnego nie znalazł. Kiedy indziej przez kanał powietrzny biegnący po zewnętrznej ścianie budynku dostał się do kotłowni. Wszystko tam było zardzewiałe, twarde i zabawne.

Pułkownik siedział za biurkiem, wpatrzony w rząd ekranów komputerowych. Czuł się już zmęczony Arcadią. Zmęczony nieustającym napływem Przywróconych. A także całą tą niezwykłą sytuacją, w której znalazła się ludzkość. Lepiej niż ktokolwiek inny widział, do czego to zmierza – przewidywał zbiorową histerię, rozruchy i Bóg wie, co jeszcze. Życie obfituje w aż nazbyt wiele wyzwania nawet wtedy, gdy świat bez przeszkód kręci się wokół osi, a umarli spokojnie leżą w grobach. Czegóż się zatem spodziewać w obecnym stanie rzeczy?

Wiedział, że sytuacji powstałej w związku z lawiną powrotów nie da się opanować pokojowymi środkami. Robił więc, co mu kazano, postępował w jedyny sposób, w jaki mógł być przydatny – strzegł porządku i chronił autorytet władz, pilnując, by wszystko było tak, jak być powinno.

W odróżnieniu od wielu innych pułkownik nie obawiał się tajemniczych przybyszy. Większy lęk budzili w nim normalni śmiertelnicy, a zwłaszcza ich reakcja na widok tych, których kochali i utracili, a którzy nagle stawali obok, oddychając jak gdyby nigdy nic i domagając się pamięci.

Sam miał wiele szczęścia. Gdy się okazało, że wśród Przywróconych znajduje się jego rodzony ojciec, powiadomiono go o tym, umożliwiając podjęcie decyzji, czy chce go zobaczyć. Zrezygnował z tego spotkania tylko dlatego, iż uznał, że tak będzie najlepiej dla nich obu. Przecież nie mógł sobie pozwolić na zaangażowanie, ulec sile wspomnień i iluzji przyszłości związanej z kimś, kto utracił tę przyszłość przed wielu laty.

Sytuacja, do której doprowadziły powroty z zaświatów, naruszała porządek świata i wiedział, że wkrótce wszyscy zaczną zdawać sobie z tego sprawę. Do czasu gdy to nastąpi, na barkach takich ludzi jak on spoczywał obowiązek utrzymania ładu.

Powiadomił więc Biuro, że nie pragnie kontaktu z ojcem. Dopilnował jednak, by umieszczono go w jednym z lepszych ośrodków. Nie potrafił zwalczyć w sobie tego odruchu i zaniechać skromnego działania na rzecz istoty, która, być może, była jego ojcem.

Wprawdzie powinien być twardy i robić, co należało, nie potrafił jednak zrezygnować z tej drobnej interwencji. W końcu to mógł być jego ojciec.

Na wszystkich ekranach, które miał przed oczyma, pojawił się ten sam obraz.

Stara, otyła czarnoskóra kobieta siedziała przy biurku naprzeciwko Jenkinsa, zadbanego agenta o kwadratowej szczęce. Kiedyś przesłuchiwał również Bobby'ego. Ale rozmowa z pułkownikiem to było zupełnie co innego.

Chłopak wolno oddychał, najciszej jak mógł, przenosząc ciężar ciała z boku na bok. Cienkie ścianki rury wentylacyjnej pokrywała warstwa brudu.

Pułkownik popijał kawę z kubka i obserwował rozmowę Jenkinsa ze starą kobietą. Słysząc było ich głosy, ale Bobby znajdował się za daleko, by zrozumieć dobiegające z komputera słowa. Kilkakrotnie wychwycił padające z ust kobiety imię „Charles”, co najwyraźniej Jenkinsa denerwowało.

Pewnie mówi o mężu, pomyślał Bobby.

Pułkownik nie odrywał wzroku od monitorów. Czasem tylko przełączał któryś z nich na czarnoskórego mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze. Ten siedział przy biurku i pracował. Willis przyglądał mu się, a potem przenosił wzrok na ekran ze starą kobietą.

Niebawem agent Jenkins wstał i zapukał w drzwi. Do pokoju przesłuchań wszedł jeden z żołnierzy i uprzejmie wyprowadził staruszkę. Jenkins spojrzał w kamerę, jakby wiedział, że pułkownik go widzi, i z rezygnacją potrząsnął głową. Bobby usłyszał, jak mówi: „Nic z tego”.

Pułkownik milczał. Wcisnął tylko jakiś przełącznik i nagle wszystkie ekrany wypełniła postać agenta w dobrze skrojonym garniturze, który pracował za biurkiem. Willis przyglądał mu się poważnie i surowo, aż w końcu Bobby zasnął ze znużenia.

Zbudził się, gdy żołnierze wyciągali go z rury, wykrzykując coś, szarpiąc i popychając. W chwili gdy zamykali go w pokoju bez okien, zdążył jeszcze zobaczyć pułkownika, który wskazywał palcem któregoś z nich.

– Idziemy, mały – powiedział żołnierz.

– Przepraszam – wykrztusił Bobby. – Nigdy już tego nie zrobię.

– Ruszamy – powtórzył tamten. Był młody, miał jasne włosy i twarz naznaczoną bliznami po trądziku, ale pomimo wyraźnego gniewu pułkownika z trudem ukrywał uśmiech, wyprowadzając chłopca z pokoju. – Przypominasz mi mojego brata – mruknął pod nosem, gdy już wyszli z biura.

– Jak ma na imię?- spytał po chwili Bobby. Nigdy nie potrafił oprzeć się ciekawości.

– Nazywał się Randy – odparł tamten. A potem dodał: – Nie obawiaj się. Zajmę się tobą.

I Bobby poczuł, że opuszcza go lęk.

Rozdział 12

W swym następnym wcieleniu Lucille powinna zostać kucharzem liniowym. Co dzień zaczynałyby pracę z uśmiechem na twarzy i co wieczór wracała do domu przesiąknięta wonią tłuszczu, przypraw i korzeni. Piekielby ją stopy, puchły zmęczone nogi, ale ona by to kochała. Bezwarunkowo.

Stała teraz w zagraconej, lecz czystej kuchni, czekając, aż dosmaży się kolejna, skwiercząca na patelni porcja kurczaka. Tymczasem w salonie rodzina Wilsonów śmiała się i rozmawiała, powstrzymując się przed włączeniem telewizora podczas lunchu. Usiedli w kręgu na podłodze – Lucille nie rozumiała, dlaczego wybrali to miejsce, a nie wygodny stół, który stał obok – i trzymając talerze na kolanach, pochłaniali góry ryżu z sosem, kukurydzy, zielonego groszku i smażonych kurcząt, a na koniec biskwity. Od czasu do czasu rozlegał się wybuch śmiechu, po którym zapadała cisza, co oznaczało, że jedzą.

Trwało to do czasu, aż cała rodzina najadła się do syta i na małym półmisku obok kuchenki zostało tylko kilka kawałków kurczaka. Lucille wstawiła je do piekarnika, na wypadek gdyby ktoś zgłodniał później, po czym zabrała się do porządkowania kuchni.

Pracowała powoli i sprawiało jej to przyjemność.

– Czy mógłbym pomóc? – W drzwiach stanął Jim Wilson. Gdzieś ze schodów dobiegał śmiech jego żony, która uganiała się za dziećmi.

– Nie, dzięki – odparła, zaglądając do jednej z kuchennych szafek. Dopisała coś do listy zakupów. – Wszystko jest pod kontrolą.

Jim podszedł do niej, spojrzał na stertę naczyń i zakasał rękawy.

– Co ty robisz? – spytała, odwracając się od szafki.

– Pomagam.

– Zostaw to. Zmywać powinny dzieci. – Trzepnęła go po ręce.

– One się bawią.

– Chyba nie będą się bawić przez cały dzień? Powinniście im wpajać poczucie odpowiedzialności.

– Tak, proszę pani.

Lucille krążyła po kuchni tam i z powrotem, drepcąc obok mężczyzny, który zastygł przy zlewie. Mimo uznania dla jej stanowiska w kwestii wychowania dzieci zmywał, wycierał i ustawiał naczynia na półce, przy czym każde z nich traktował indywidualnie i za każdym razem powtarzał te same czynności od nowa.

Jedną po drugiej.

Zmywał. Wycierał. Ustawiał.

– Skarbie – zaczęła Lucille – dlaczego po prostu nie włożysz ich wszystkich do zlewu?

Milczał i nie przerywał roboty.

Zmywał. Wycierał. Ustawiał.

– No cóż, rób, jak chcesz. – Westchnęła.

Nie chciała przypisywać jego dziwnego zachowania tej niepojętej sile, która wyrwała go z grobu i przywróciła do życia. Chociaż w jej przeświadczeniu byli kuzynostwem, nigdy nie spędziła z nim i jego rodziną tyle czasu, ile powinna. Przyprawiało ją to o wyrzuty sumienia.

Pamiętała Jima głównie z tego, że zawsze ciężko pracował, co potwierdzała większość mieszkańców Arcadii. I robił to do chwili, gdy wraz z całą swoją rodziną został zamordowany.

Morderstwo Wilsonów było czymś potwornym. Chwilami udawało jej się o tym nie myśleć. Ale takie chwile nie trwały długo. Przez większość czasu, patrząc na nich, miała przed oczyma tamten straszliwy obraz. Zapewne widok ich rodziny budził podobne odczucia we wszystkich mieszkańcach miasta. Nikt w końcu nie lubi przypominać sobie własnych porażek i nienaprawionych błędów. A tym właśnie była dla miasteczka sprawa Wilsonów.

Jeśli pamięć jej nie zawodziła, wydarzyło się to zimą 1963 roku. Zapamiętała wszystko tak, jak często się zapamiętuje tragiczne wydarzenia – w formie obrazu.

Stała w kuchni, usiłując uporać się ze stertą naczyń. Na zewnątrz panował lodowaty chłód. Wyjrzała przez okno i dostrzegła, że dąb, bezlistny jak wtedy, gdy go sadzili, gnie się w przód i w tył pod naporem wiatru.

– Wielkie nieba! – jęknęła.

Harolda nie było. Pomimo zimna i ciemności wybrał się wieczorem do sklepu spożywczego, co, jak uważała, zupełnie nie miało sensu. W chwili gdy to myślała, na podjeździe ukazały się światła podskakującego na wybojach samochodu.

– Lepiej usiądź – powiedział, wchodząc do domu.

– Co się stało? – spytała, czując gwałtowne bicie serca. Jego ton mówił wszystko.

– Proszę cię, usiądź! – warknął. Pocierał dłonią brodę, a jego usta nerwowo się poruszały, rozpaczliwie łaknąc papierosa. Usiadł za kuchennym stołem. A potem wstał. Po czym znów usiadł.

– Zabili ich – odezwał się w końcu niemal szeptem. – Wszystkich. Zastrzelili. Jim leżał martwy w holu. Nie zdążył złapać karabinu, zapewne biegł po niego, ale nie

zdążył. Zresztą z tego, co mówią, wynika, że broń nie była nabita, nie przypuszczam więc, by miał czas to zrobić. Nigdy nie chciał jej załadować ze względu na dzieci. – Harold otarł oczy. – Hannah... znaleziono ją pod łóżkiem. Myślę, że była ostatnia.

– O Boże! – wyjąkała Lucille. – O Boże! O Boże!

Harold mruknął coś, co wyrażało podobne odczucia.

– Powinniśmy byli częściej ich odwiedzać – powiedziała z płaczem.

– Co?

– Powinniśmy byli częściej ich odwiedzać. Spędzać wspólnie więcej czasu. Byli naszą rodziną. Już ci mówiłam, że Jim i ja jesteśmy spokrewnieni.

Nigdy nie wiedział, czy to prawda. Ale się nie przejmował. Skoro w to wierzyła, uznawał, że tak jest, a zatem sprawa stawała się jeszcze bardziej bolesna.

– Kto to zrobił? – spytała.

Ale on potrząsnął tylko głową, z trudem hamując płacz.

– Nikt nie wie.

Nad Arcadią zawisły czarne chmury, by pozostać tam nie tylko tej nocy, lecz przez wszystkie nadchodzące lata. Śmierć Wilsonów, choć sama w sobie tragiczna i przerażająca, miała tajemniczy wpływ na mieszkańców miasteczka i poczucie ich miejsca w świecie.

Od czasu tej tragedii ludzie zaczęli dostrzegać drobne złodziejstwa, które niekiedy się zdarzały. Zauważali również, że są wśród nich tacy, którzy mają problemy małżeńskie, a nawet pokątne romanse. Nad miasteczkiem zawisła aura przemocy. Rozprzestrzeniła się jak pleśń, wpełzając rok po roku coraz głębiej w ludzkie życie.

Do czasu gdy Jim Wilson skończył myć naczynia swoją dziwną metodą, Lucille miała gotową listę zakupów. Weszła na górę, umyła się, ubrała, wsunęła listę do torebki i stanęła w drzwiach. Kiedy po raz kolejny upewniła się, że jest gotowa, trzymając w dłoni klucze do furgonetki i patrząc na starego niebieskiego forda Harolda, głęboko wciągnęła powietrze. Nie potrafiła oprzeć się myśli, że nienawidzi prowadzić. Co gorsza, ta cholerna maszyna była bydlęciem tak narowistym i nieokiełznanym, że wręcz trudno sobie wyobrazić. Ruszała, gdy miała ochotę, a jej hamulce wydawały przeraźliwy pisk. Nieraz mówiła Haroldowi, że ta bestia jest żywa. Żywa i pełna pogardy dla kobiet... a może nawet całej ludzkości. Podobnie jak jej właściciel...

– Bardzo przepraszam za to wszystko – powiedział Jim Wilson, zaskakując ją znienacka. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do jego cichych, miękkich kroków.

Pochyliła się nad torebką. Była tam lista zakupów. Były pieniądze. I było zdjęcie

Jacoba. Ona jednak wciąż w niej szperała i przemawiała do rodziny Wilsonów, nie odwracając się do nich. Domyślała się, że stoją za nią wszyscy, jedno obok drugiego, jak na okładce kartki świątecznej.

– Mówisz tak jak cała twoja rodzina – zaczęła. – Teraz wiem, skąd się to bierze, wszystkie te przeprosiny bez powodu. Nie chcę tego słuchać. – Zamknęła torebkę, wciąż pełna niepokoju.

Czuła się tak, jak wtedy, gdy nadciąga burza.

– Oczywiście – odparł Jim. – Nie chcę sprawiać kłopotu. Pragnę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo cenimy twoją pomoc, to wszystko. I jacy wdzięczni jesteśmy za to, co dla nas robisz.

Lucille odwróciła się z uśmiechem.

– Zamknijcie się, gdy wyjdę. Powiedz Connie, że pogadamy po moim powrocie. Mam przepis na zapiekanekę, który chciałabym jej dać. Należał do Gertrudy, naszej babki ciotecznej... zdaje się. – Umilkła, by pomyśleć. A potem dodała: – I trzymaj dzieci na górze. Nikt nie powinien tu przyjść, ale gdyby...

– Nie będziemy schodzić.

– I nie zapomnij...

– ...że jedzenie jest w piekarniku – dokończył i zasalutował.

– No dobra, już dobra – zakończyła i pomaszerowała w stronę starego błękitnego forda, nie oglądając się za siebie, by nie dostrzegli, że nagle ogarnął ją lęk.

Sklep spożywczy stanowił jeden z najdalej wysuniętych bastionów oporu przeciwko projektowi renowacji i rekultywacji Arcadii z 1974 roku. Wtedy po raz ostatni miasto dostało spore fundusze na rozwój. Stary budynek z cegły był jedną z nielicznych ości cywilizacji na zachodniej granicy miasta, gdyż zaraz potem teren miejski przechodził w dwupasmową drogę biegnącą wśród pól, drzew i rzadko rozrzuconych domów. Stał na samym końcu Main Street, majestatyczny i zwalisty, taki jak w dawnych czasach, gdy pełnił funkcję ratusza.

W gruncie rzeczy należało tylko zerwać umieszczone w strategicznych miejscach banery i ogłoszenia, a w konturze starych cegieł, choć wyblakłych i tkniętych zębem czasu, kształt ratusza stawał się wyraźnie widoczny. Zanim jeszcze wojsko utworzyło w mieście obóz, przy największym nasileniu ruchu sklep obsługiwał najwyżej trzydziestu klientów dziennie. A i ta liczba była zawyżona, gdyż obejmowała również wielu starych ludzi, którzy wałęsali się po magazynie, niczego nie kupując. Przychodzili tylko po to, by zasiąść w bujanych fotelach i opowiadać sobie nawzajem różne bujdy.

Gdy Lucille ruszyła w stronę schodów, jakiś młody żołnierz podał jej ramię.

Mówił do niej: „Szanowna pani”, traktując ją uprzejmie i niezwykle cierpliwie, choć w tym samym czasie inni wojskowi mijali ich w biegu, jakby za chwilę zamykano sklep.

Wewnątrz budynku grupka plotkujących mężczyzn okupowała wszystkie miejsca siedzące. Byli to: Fred Green, Marvin Parker, John Watkins i kilku innych. W ciągu ostatnich dwóch tygodni widziała, jak protestują – gdyż zapewne o to im chodziło – na podwórku Marvina Parkera. Wydali jej się żałośni, zważywszy na to, że było ich zaledwie sześciu, a na dodatek nie mieli żadnego rozsądnego hasła. Pewnego dnia, jadąc w odwiedzinach do Harolda i Jacoba, słyszała, jak wrzeszczą: „Arcadia dla żywych, nie dla fałszywych! Nie oddamy miasta!”.

Nie miała pojęcia, o co im chodzi, i pomyślała, że i oni go nie mają. Zapewne wykrzykiwali takie rzeczy, bo brzmiały buntowniczo, a tego przecież wymaga protest.

Kiedy młody żołnierz doprowadził ją do drzwi, Lucille przystanęła przed rozgadanymi mężczyznami.

– Powinniście się wstydzić – powiedziała. Poklepała żołnierza po ręce, zwalniając go w ten sposób z obowiązku towarzyszenia jej dalej.

– To skandaliczne – dodała.

Starzy kumple mruknęli coś do siebie, a potem Fred Green, ten cholerny wichrzyciel, oznajmił:

– Żyjemy w wolnym kraju.

Lucille aż cmoknęła.

– A co to ma do rzeczy?

– Chyba możemy sobie posiedzieć i pogadać?

– Nie powinniście czasem wrócić na trawnik i dalej wykrzykiwać te wasze głupoty?

– Mamy teraz przerwę – odparł Fred.

Nie potrafiła nic wyczytać z jego tonu. Nie była pewna, czy to ironia, czy rzeczywiście zrobili sobie przerwę. Na to wyglądało. Mieli spalone słońcem, zmęczone twarze.

– A więc robicie teraz włoski strajk? Jak ci kolorowi, co chcieli równych praw?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, wężąc jakiś podstęp.

– O co ci chodzi? – spytał Fred, zapominając o ostrożności.

– Chciałabym wiedzieć, czego właściwie chcecie. To wszystko. Każdy protest ma jakiś cel. Musicie czegoś żądać, skoro tak się ciskacie. – Któryś z biegnących żołnierzy niechcący na nią wpadł. Zatrzymał się, żeby przeprosić, ona jednak nie przerwała tyrady. – Udało wam się wprowadzić zamęt – zwróciła się do Freda. – Ale co dalej?

Czego się domagacie?

Oczy Freda pojaśniały. Wyprostował się w fotelu i głęboko wciągnął powietrze. Pozostali zastygli jak kamienie nagrobne.

– Bronimy żywych – odparł spokojnym, beznamiętnym głosem.

Było to hasło Ruchu Prawdziwie Żywych – tych samych idiotów, których razem z Haroldem dawno temu oglądała w telewizji. Tych, którzy najpierw zapowiadali wojnę ras, a potem dokonali pełnej rasowej integracji zwróconej przeciw Przywróconym. No a teraz cytował ich Fred Green.

Pomyślała, że nadciąga zbiorowy obłęd.

Towarzysze Freda wciągnęli powietrze i nadęli się, dodając sobie powagi. A potem chórem wyrecytowali: „Bronimy żywych”.

– Nie wiedziałam, że żywi wymagają obrony – rzekła zdziwionym tonem. – Ale cóż, lepsze to niż brednie w rodzaju: „Nie oddamy miasta”. Komu je mamy oddawać? – Machnęła lekceważąco ręką.

Fred spojrział na nią, a tryby jego mózgu z wolna zaczęły się kręcić.

– A jak się miewa twój syn? – spytał.

– W porządku.

– Czyli wciąż przebywa w budynku szkoły?

– Jeśli chodzi ci o więzienie, to owszem.

– A Harold? Słyszę, że też jest w szkole.

– To nie jest już szkoła, tylko więzienie. Tak, i on tam jest.

Poprawiła pasek wiszącej na ramieniu torebki, jednocześnie porządkując myśli.

– A cóż to dziś kupujesz? – spytał Fred. Jego kumple kiwnęli głowami, również wyrażając zainteresowanie. Wszyscy siedzieli w niewielkim przedsionku sklepu. W pierwotnym zamyśle właściciela obiektu pomieszczenie to miało być czymś w rodzaju recepcji, podobnie jak w Walmarcie, ale wkrótce po otwarciu zaczęli okupować je starzy mężczyźni, którzy beczynnie stojąc, przyglądali się wchodzącym i wychodzącym. Jakiś czas później ktoś popełnił błąd, wstawiając tam bujane fotele, odtąd bowiem zainstalowali się na dobre.

Trudno byłoby to już zmienić. Wejście do niewielkiego magazynu okupowała grupa rozgadanych starców.

Kiedy jednak klient zdołał w końcu przedrzeć się do środka, nie znajdował tam wielu atrakcji. Wzdłuż kilku wąskich alejek stały półki wypełnione konserwami mięsnymi, ręcznikami papierowymi i papierem toaletowym; oferowano również dość skromny wybór środków czyszczących. Z haków na ścianach w pobliżu okien zwisały

artykuły żelazne, a na krokwiach dyndały narzędzia ogrodnicze. Mogłoby się wydawać, że gdzieś w pobliżu eksplodowała szopa na narzędzia, rozrzucając je po całej okolicy. Właściciel sklepu, otyły mężczyzna, zwany powszechnie Kartoflem, usiłował pomieścić cały dostępny asortyment na bardzo ograniczonej powierzchni.

Zwykle mu to nie wychodziło, ale Lucille doceniała jego wysiłki. I choć trudno było w tym sklepie znaleźć coś, o czym można by marzyć, zawsze jednak znajdowało się tam wszystko, co bezwzględnie potrzebne.

– Kupuję, co mi się podoba – odparła zadziornie. – Co cię to obchodzi?

Fred zaśmiał się krótko.

– Daj spokój, Lucille – odchylił się na oparcie bujanego fotela. – Pytałem z życzliwości. Bez żadnych złych zamiarów.

– Doprawdy?

– Oczywiście. – Oparł się łokciem na oparciu fotela i podparł pięścią brodę. – Nie rozumiem, dlaczego to proste pytanie miałoby zdenerwować taką kobietę jak ty? – Parsknął śmiechem. – Chyba nie ukrywasz nikogo w swoim domu, Lucille? Co prawda Wilsonowie zniknęli z kościoła już jakiś czas temu. Podobno żołnierze przyszli ich zabrać, ale pastor sprawił, że puścili ich wolno.

– Puścili wolno? – prychnęła. – To są ludzie, a nie dzikie zwierzęta.

– Ludzie? – Fred zmrużył oczy, widząc, że lekko się stropiła. – Nie – odezwał się w końcu. – I przykro mi, że w to wierzysz. To byli ludzie. Kiedyś. Dawno temu. – Potrząsnął głową. – Nie, to nie są ludzie.

– Chcesz powiedzieć, że przestali nimi być, od kiedy ich zamordowano?

– Żołnierze byliby bardzo zadowoleni, gdyby ktoś im wskazał, gdzie Wilsonowie się ukrywają.

– Niewątpliwie – odparła, kierując się do środka sklepu. – Ale ja nic nie wiem na ten temat. – Miała już odejść, zostawić Freda Greena z jego godnymi wzgardy przekonaniem, gdy wtem stanęła, pytając:

– Co się stało?

Spojrzał na kumpli.

– O co ci chodzi? – odpowiedział pytaniem. – Co się miało stać?

– O ciebie, Fred. Co się stało z tobą po śmierci Mary? Jak mogłeś się tak zmienić? Odwiedzaliście nas co niedziela. Na miłość boską, przecież to ty w ten straszny dzień znalazłeś Jacoba razem z Haroldem. Kiedy zginęli Wilsonowie, razem z Mary i nami wszystkimi byłeś na ich pogrzebie. A potem, gdy odeszła, zupełnie się zmieniłeś. Co się z tobą stało? Dlaczego jesteś przeciwko nim? I to wszystkim. Kogo obwiniasz? Pana

Boga? Czy siebie?

Kiedy nie odpowiedział, przeszła obok niego i weszła do sklepowej hali, pragnąc czym prędzej zniknąć w ciasnych alejkach. Zostawiła grupkę mężczyzn, by dalej plotkowali, planowali i snuli przypuszczenia. Fred Green długo za nią patrzył, a potem wstał i wolno ruszył do wyjścia. Miał coś ważnego do zrobienia.

W drodze do domu Lucille nie przestawała myśleć o tym, jak źle ludzie odnoszą się do Przywróconych. Dziękowała Bogu za to, że obdarzył ją łaską i cierpliwością, by się nie poddać. Dziękowała mu również, że skierował małą rodzinę Wilsonów do jej drzwi w chwili, gdy tego potrzebowali. I że była to również chwila, w której ona ich potrzebowała. Odtąd bowiem jej dom nie świecił już pustkami, a serce mniej bolało, gdy wracała furgonetką wyładowaną produktami spożywczymi, wiedząc, że czekają na nią żywe istoty. Tak jak zawsze powinno być.

Podskakując na wybojach, wjechała na dwupasmówkę, by znaleźć się wkrótce wśród pól i drzew. Dawno temu razem z Haroldem zastanawiali się, czy nie zamieszkać w centrum miasteczka, ale tuż przed narodzinami Jacoba zmienili zdanie. Ulegli dziwnej pokusie odseparowania się od świata. Na tyle, na ile było to możliwe, pragnęli się ukryć wśród pól i lasów, które niebawem pokochała.

Gdy dotarła na miejsce, dostrzegła na trawniku głęboko wyżłobione ślady opon ciężarówki, a obok wyraźne odciski żołnierskich butów. Drzwi frontowe wisiały na zawiasach, a z ganku do domu wydeptano błotnistą ścieżkę.

Zatrzymała się pod dębem i nie wyłączając silnika, siedziała za kierownicą w wyładowanej żywnością kabinie, a łzy wzbierały w oczach.

– Gdzie byłeś? – spytała łamiącym się głosem, dobrze wiedząc, że słyszy ją tylko Bóg.

Samuel Daniels

Samuel Daniels urodził się, wychował i nauczył modlić tutaj, w Arcadii. A potem umarł. I teraz tu wrócił. Ale Arcadia się zmieniła. Nie była już, jak kiedyś, małym przelotowym miasteczkiem, przez które podróżni przejeżdżali, nawet się nie zatrzymując i najwyżej chwilę poświęcając pytaniu, co właściwie ludzie mogą tu robić. Miasteczkiem niskich, podupadających domów, z dwoma stacjami benzynowymi i dwoma sygnalizatorami. Miasteczkiem z drewna, gliny i blachy, którego mieszkańcy zdawali się zrodzeni z lasów rysujących się za polami.

Teraz Arcadia nie była już tranzytem. Stała się celem podróży, pomyślał Samuel,

wyglądając za ogrodzenie i patrząc, jak miasto wolno rozrasta się na wschód. W oddali widniał kościół, nieruchomy i cichy pod firmamentem nieba. Dawniej gładka i wygodna dwupasmowa droga prowadząca do centrum była teraz nierówna i pełna dziur. Przyjeżdżało tu bowiem coraz więcej samochodów. A wyjeżdżało coraz mniej.

Pomyślał, że dawni mieszkańcy nie są już u siebie. To nie jest już ich miasto. Stali się w nim gośćmi, turystami na własnej ziemi. Krzątali się wokół swych codziennych spraw, niepewni tego, gdzie są. Gdy mogli, zbijali się w grupki i stali, patrząc na świat, który ich otacza, w oszołomieniu i z niedowierzaniem.

Nawet ich pastor, przy całej swej wierze i rozumieniu Boga, zachowywał się dziwnie. Samuel poszedł do niego, oczekując słów otuchy i wyjaśnienia tego, co dzieje się na świecie i w tym mieście. Ale wielebny był inny, niż zapamiętał. Choć wciąż wielki jak góra i niemal kwadratowy, zdawał się teraz dziwnie odległy. Stali w drzwiach kościoła, rozmawiając o tym, jak do Arcadii przybywają wciąż nowe transporty, a dawna szkoła zaczyna pękać w szwach. Ale gdy obok przejeżdżały ciężarówki, z których od czasu do czasu wyglądali ich pasażerowie, pastor Peters skupiał na nich całą swoją uwagę, przyglądając im się badawczo, jakby kogoś szukał.

– Myślisz, że ona żyje? – odezwał się po chwili, zupełnie ignorując omawiany temat.

– Kto taki? – spytał Samuel.

Ale Peters nie odpowiedział, jak gdyby to pytanie nie było skierowane do rozmówcy.

Arcadia się zmieniła, pomyślał Samuel. Otoczona murami i zasiekami stała się klatką, odciętą od świata twierdzą. Roilo się tu od wojska. To nie było miejsce, gdzie wyrastał – małe miasteczko przycupnięte pośród pól i lasów, otwarte na wszystkie strony. To było coś zupełnie innego.

Oddalając się od ogrodzenia, mocniej ścisnął Biblię. Tak, Arcadia i wszystko w jej murach zmieniło się, by już nigdy nie odzyskać poprzedniego kształtu.

Rozdział 13

Ogłoszono, że pewien zmarły ongiś francuski artysta został odnaleziony po tygodniach poszukiwań, w które włączyła się cała światowa społeczność. Poślubił pięćdziesięciokilkuletnią kobietę, która dała mu schronienie i zrobiła wszystko, by jego imię zdobyło światową sławę.

Odnaleziony Jean Rideau nie złożył żadnego oświadczenia dla prasy, w którym wyjaśniałby przyczyny swego zniknięcia, ale to nie powstrzymało mediów od prób rozwikłania zagadki. Maleńki domek, wręcz chatka, na przedmieściach Rio, gdzie chronił się przed tłumem, stała się celem najazdu reporterów i śledczych, a niedługo potem wysłano tam żołnierzy, by zaprowadzili spokój. Jean i jego żona przetrwali prawie tydzień, odcięci kordonem policji od tłumu, który co dzień zbierał się wokół.

Niebawem jednak tłum stał się zbyt liczny, a siły policji zbyt małe, toteż francuskiego artystę wywieziono z miasta. Wtedy zaczęły się zamieszki. Tego dnia zginęło równie wielu Przywróconych, jak i Prawdziwie Żywych. Pośmiertna sztuka Jeana Rideau pociągała wszystkich jednakowo.

Jeśli wierzyć informacjom radiowym i telewizyjnym, liczba śmiertelnych ofiar zamieszek w okolicach Rio sięgała setek. Większość poniosła śmierć w chwili, gdy w odpowiedzi na otwarty przez policję ogień, tłum w panice rzucił się do ucieczki. Pozostałych dosięgły kule.

Kiedy jednak sytuacja została opanowana, a artystę i jego żonę wywieziono w końcu z Rio – mimo nieustających apeli francuskiego rządu, który domagał się ich powrotu – cały plan legł w gruzach, bowiem w trakcie zamieszek żona Jeana dostała cios w głowę i teraz leżała pogrążona w śpiączce. Tymczasem cały świat oczekiwał od niej i jej męża, by odkryli wielką niewiadomą, odgrywając tajemniczą rolę tych, którzy poprzez sztukę zdolni są wyjaśnić sekret życia po śmierci.

Ale Jean pragnął tylko jednego – być przy kobiecie, którą kochał.

Pastor i jego filigranowa żona siedzieli na kanapie, oglądając telewizję, oddzieleni od siebie przestrzenią, w której swobodnie mogłaby się zmieścić jeszcze jedna dorosła osoba. Mąż pił kawę, którą od czasu do czasu mieszał, słuchając, jak łyżeczka uderza w fajans.

Żona siedziała wyprostowana, z podwiniętymi nogami i rękami złożonymi na kolanach. Wyglądała bardzo schludnie, wręcz nieskazitelnie. Mimo to jednak od czasu do czasu podnosiła rękę, by wygładzić włosy, nie bardzo wiedząc po co.

Popularna dziennikarka prowadząca telewizyjny talk-show stawiała pytania dwóm gościom programu – pastorowi i naukowcowi. Dyscyplina, którą ten ostatni się zajmował, nie była całkiem jasna, ale książka na temat Przywróconych, którą napisał w początkowej fazie powrotów, przyniosła mu sławę.

– Kiedy to się skończy? – spytała prowadząca, choć nie wiadomo, do kogo skierowała pytanie. Duchowny milczał. Pastor Peters pomyślał, że być może powoduje nim skromność, a może tylko przyznawał, że nie zna odpowiedzi.

– Wkrótce – odparł uczony. Na tym jednak zakończył wypowiedź, jakby uznał, że wystarczy jedno słowo.

Nazwisko naukowca pojawiło się na pasku u dołu ekranu, ale Peters nie próbował go nawet zapamiętać.

– A co mógłby pan zaoferować tym, którzy oczekują bardziej konkretnej odpowiedzi? – nie poddawała się prowadząca. Ogarnęła spojrzeniem publiczność w studio, a następnie uniosła wzrok na kamerę, jakby chcąc podkreślić, że jest obecna wszędzie.

– Taka sytuacja nie może trwać wiecznie – odparł naukowiec. – Mówiąc prosto, liczba powracających ma swoje granice.

– Jak można wygadywać takie głupoty! – odezwała się żona pastora, machając w stronę ekranu. – Skąd on może wiedzieć, ilu z nich powróci? – Nerwowo poruszyła rękami. – Jak może udawać, że ma jakąś wiedzę na ten temat? To dzieło Boga. On nie musi nam tłumaczyć, dlaczego coś robi!

Pastor siedział w milczeniu i patrzył w telewizor. Żona obróciła się do niego, ale nie zareagował.

– To po prostu komiczne – stwierdziła w końcu.

Tymczasem duchowny na ekranie włączył się wreszcie do rozmowy, lecz zrobił to z daleko posuniętą ostrożnością.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli w tych okolicznościach zachowamy cierpliwość. Nikt z nas nie powinien czuć się uprawniony do zajmowania radykalnego stanowiska. Takie postawy są bardzo niebezpieczne.

– Amen – powiedziała żona pastora.

– Wielebnemu chodzi o to – zaczął uczony, poprawiając krawat – że ostatnie wydarzenia wykraczają poza sferę religii. Być może kiedyś, kiedy jeszcze wierzyliśmy w duchy i zjawy, sprawa ta leżałaby w gestii Kościoła. Ale nie teraz. I nie w odniesieniu do fali powrotów. Przywrócenie to przecież ludzie. Prawdziwi i realni. Byty fizyczne, nie astralne. Możemy ich dotknąć. Możemy do nich mówić. A oni również mogą dotykać

nas i rozmawiać. – Potrząsnął głową i pewien swoich racji usiadł wygodniej na krześle, jakby w przekonaniu, że wszystko to stanowi część wielkiego projektu badawczego. – Obecnie to już przedmiot badań naukowych.

Żona pastora wyprostowała się na swoim krańcu kanapy.

– Próbuje tylko zamącić ludziom w głowie – odezwał się w końcu mąż.

– Najwyraźniej do tego zmierza – odparła. – Nie rozumiem, dlaczego pozwalają takim jak on występować w telewizji.

– A co wielebny chciałby na to powiedzieć? – spytała gospodyni programu. Weszła teraz pomiędzy publiczność, trzymając w jednej ręce mikrofon, a w drugiej niewielki plik jasnoniebieskich karteczek. Stała obok wysokiego, tęgiego mężczyzny odzianego tak, jakby właśnie powrócił z długiej podróży do bardzo zimnego i surowego kraju.

– Odpowiedziałbym na to – rzekł spokojnie pastor – że w ostatecznym rozrachunku cały świat fizyczny wyrasta ze sfery duchowej. Bóg i siły nadprzyrodzone to fundament świata materialnego. Pomimo wszystkich osiągnięć nauki, licznych jej dyscyplin i teorii, pomimo olśniewających triumfów współczesnej technologii, najważniejsze pytania, te, które dotyczą powstania świata, jego przyczyny, a także ostatecznego przeznaczenia i celu ludzkości – pozostają nierozwiązane. Tak jak było zawsze.

– A co ma tu do powiedzenia Bóg? – krzyknął zwalisty facet, nim jeszcze publiczność zdołała zareagować na słowa pastora. Objął wielką, mięsistą ręką zarówno prowadzącą program dziennikarkę, jak i mikrofon, do którego warknął:

– Jeśli twierdzisz, wielebny, że ci cholerni naukowcy nic nie wiedzą, to powiedz nam, co sam wiesz.

Pastor Peters westchnął. Podniósł rękę i zaczął pocierać skroń.

– No to się teraz zacznij – mruknął pod nosem.

– O co ci chodzi? – spytała żona. Ale nie musiała czekać na odpowiedź.

W telewizji wybuchł hałas i odtąd wydarzenia potoczyły się gwałtownie. Zwalisty facet wyrwał mikrofon prowadzącej i zaczął wrzeszczeć, że zarówno pastor, jak i słynny badacz są diabła warci, gdyż obiecują wyjaśnienia, których żaden z nich nie zna.

– Kiedy dochodzi do sedna sprawy – ryczał – obaj jesteście bezużyteczni!

Publiczność zaczęła głośno krzyczeć i klaskać, na co wielkolud odpowiedział tyradą, w której oskarżał wszystkich – kościół, naukowców i władze – o to, że nie wiedzą, co począć z zalewem Przywróconych, w którym wkrótce zatoną Prawdziwie

Żywi.

– Wszyscy potraficie tylko siedzieć i powtarzać nam jak dzieciom, żebyśmy byli cierpliwi, a tymczasem ci, co wyszli z grobów, będą nas tam kolejno wpychać.

– Wyłącz to – zażądał pastor Peters.

– Ale dlaczego?

– No to zostaw. – Wstał. – Idę do gabinetu. Muszę przygotować kazanie.

– Myślałam, że już to zrobiłeś.

– Zawsze można napisać jeszcze jedno.

– Może mogłabym ci pomóc? – spytała, wyłączając telewizor. – Nie muszę tego oglądać.

Wziął swój kubek z kawą i wytarł stół w miejscu, gdzie stała, poruszając się swoim zwyczajem wolno i ostrożnie. Jego żona też się podniosła, dopijając resztkę kawy.

– Ten program podsunął mi temat kazania. Mógłbyś ostrzec wiernych, by nie dali się zwieść fałszywym prorokom.

Pastor mruknął coś wymijająco.

– Myślę, że wszyscy powinni zrozumieć, iż nie ma w tym nic z przypadku. Ludzie muszą wiedzieć, że to część wyższego planu. Poczucie, że to on kieruje ich życiem.

– A jeśli mnie pytają, jaki jest ten plan? – odparł, nie patrząc na nią. Spokojnie ruszył do kuchni, a ona podążyła za nim.

– Powiesz im prawdę. Że nie wiesz. Ale masz pewność, że taki plan istnieje. To bardzo ważne. Oni na to czekają.

– Wszyscy mają już dość czekania. To problem, z jakim spotyka się każdy pastor, kaznodzieja, szaman, czarownik wudu czy kogo tam jeszcze masz. Mają dość słuchania, że istnieje jakiś plan, tylko nie wiadomo jaki. – Obrócił się do niej. Nagle wydała mu się jeszcze mniejsza niż zwykle. Mała i słaba. Ona zawsze będzie obrazem porażki – przemknęło mu nagle przez myśl. Tak go to zmroziło, że zastygł w milczeniu.

Jego mała żona też milczała. Od kiedy to wszystko się zaczęło, mąż się zmienił. W ostatnim czasie coś ich dzieliło. Coś, czego nie chciał wyznać. I czego nie miał odwagi poruszyć w swych kazaniach.

– Muszę siadać do pracy – powiedział, kierując się do wyjścia z kuchni. Ale ona zastąpiła mu drogę niczym kwiat, który chce powstrzymać górę. A góra się zatrzymała. Tak jak zawsze.

– Czy ty mnie jeszcze kochasz? – spytała, podnosząc na niego oczy.

Wziął jej dłoń w swoją. A potem się nachylił i delikatnie pocałował. Obejmując

twarz żony, przesunął kciukiem po jej wargach i znów ją pocałował, tym razem namiętnie i długo.

– Oczywiście, że tak – rzekł miękko. I była to prawda.

A potem delikatnie ją unioś, odstawił na bok i poszedł dalej.

* * *

Tego dnia Harold był wyjątkowo skwaszony. Pomyślał, że jest za gorąco, by robić cokolwiek poza umieraniem, chociaż ostatnio śmierć w nikim nie budziła większego zainteresowania.

Siedział na pryczy z podkulonymi nogami, niezapalony papieros zwisał mu z warg, a czoło pokrywała mgiełka potu. W korytarzu szumiały wentylatory, poruszając powietrze w budynku zaledwie na tyle, by zaszeleścił jakiś zagubiony papier.

Czekał, aż Jacob wróci z łazienki, by móc tam pójść. Pozostawianie łóżka bez nadzoru stało się niebezpieczne. Zbyt wielu ludzi nie miało miejsca do spania i ten, kto nawet na chwilę zostawił łóżko bez opieki, z reguły dowiadywał się po powrocie, że najbliższą noc spędzi na twardym chodniku pod gwiazdami.

Jedynym dobytkiem tych, którzy znaleźli się w obozie, było teraz to, co mieli na sobie. Harold uważał się za szczęściarza, gdyż poślubił kobietę, która go odwiedzała i przynosiła czyste ubrania, gdy ich potrzebował, oraz jedzenie, gdy zgłodniał. Ale i to stawało się coraz trudniejsze. Wojskowi nie zezwalali na odwiedziny tak często jak dawniej. Mówili, że panuje zbyt wielki tłok.

Nikt już nie potrafił określić liczby przebywających w ośrodku – zarówno Przywróconych, jak i Prawdziwie Żywych. Obawiano się także, iż, co gorsze, mogą tam wtargnąć niepożądane indywidua i doprowadzić do rozruchów. Tak jak zdarzyło się w Utah, gdzie do tej pory przetrzymywano na pustyni rebeliantów, którzy nieustannie domagali się uwolnienia.

Władze wciąż nie umiały podjąć decyzji, co z nimi zrobić, toteż trzymano ich pod nadzorem dużej liczby żołnierzy.

Impas trwał od tygodnia i jedynie zainteresowanie mediów oraz pamięć o incydencie w Rochester utrzymywały wojsko na dystans.

Tak więc uzbrojeni żołnierze dostarczali żywność, podczas gdy rebelianci – pod przywództwem członków Ruchu Prawdziwie Żywych – hałaśliwie domagali się uwolnienia i równych praw dla Przywróconych, którzy niepewnie wyłaniali się z miejsc odosobnienia, by pobrać prowiant z rąk wojskowych. Potem wracali za zasięgi do

takiego życia, do jakiego zmusiły ich okoliczności.

Mimo iż w porównaniu z Rochester i takimi wypadkami jak śmierć niemieckich żołnierzy, a także pewnej żydowskiej rodziny, sytuacja nie budziła niepokoju, to Biuro nie mogło dopuścić do osłabienia kontroli. Na każdym kroku więc czuwały służby bezpieczeństwa sprawujące nad wszystkim żelazny nadzór, a Lucille mogła teraz odwiedzać męża i syna tylko raz w tygodniu. Zbyt wielu ludzi tłoczyło się w ciasnej, nieprzeznaczonej do tego celu przestrzeni. Według pogłosek krążących po obozie władze zamierzały zapewnić mieszkańcom ośrodka więcej miejsca, a to oznaczało, że wielu z nich odtransportują gdzie indziej. Harold nie potrafił zlekceważyć niebezpieczeństwa tej nowej perspektywy.

Od pewnego czasu więźni w szkole w Arcadii zorientowali się, że mają znacznie mniej wody niż wcześniej. Teraz wszystko podlegało racjonowaniu. I choć już wydzielanie żywności na kartki było trudne do zniesienia, ograniczenie wody uznano za drakońską karę.

Wprawdzie nikt jeszcze nie umierał z pragnienia, ale szczęście miał ten, kto mógł wziąć prysznic co trzy lub cztery dni. Starano się również za wszelką cenę utrzymywać w czystości ubrania.

Początkowo wydawało się to sprawą błahą, a nawet zabawną. Wszyscy uśmiechali się, jedząc z uniesionym małym palcem, jedną papierową serwetką na kolanach, a drugą wsuniętą za kołnierzyk koszuli. Gdy coś się komuś rozlało, rzucono się na pomoc z dramatycznie przesadnym zapalem. Początkowo obawiano się niestosowności zachowań, łamania obowiązującej etykiety, a co za tym idzie wpływu sytuacji na to, kim byli i jaki mieli status.

W pierwszych dniach zachowywali godność. Jakby wierzyli, że wszystko wkrótce się skończy, a oni pod wieczór wrócą do domu, usadowią się na kanapie i będą mogli oglądać w telewizji dowolny reality show.

Ale potem tygodnie stały się miesiącem, a oni wciąż nie oglądali telewizji na własnej kanapie. W końcu, gdy minął pierwszy miesiąc i najstarsi z aresztowanych zrozumieli, że nie wrócą już do swych domów, a także, iż sytuacja pogarsza się z dnia na dzień, wszyscy stopniowo przestali troszczyć się o wygląd, a także o to, co myślą o nich inni.

Biuro w równym stopniu lekceważyło obowiązek utrzymywania w czystości obiektu zamieszkanego przez tak wielką liczbę osób, jak dostarczania żywności oraz wody. W związku z nieustanną eksploatacją toalety w zachodnim skrzydle szkoły przestały funkcjonować. Nie przestały wszakże być niezbędne. W tej sytuacji część

pensjonariuszy ośrodka uznała, że nie pozostaje im nic innego, niż korzystać z niedrożnych sanitariatów, dopóki jeszcze można to znieść.

Inni po prostu przestali się przejmować. Załatwiali swoje potrzeby wszędzie tam, gdzie zdołali znaleźć jakieś ustronne miejsce. A niektórzy nie próbowali nawet tego.

Wszystkich te dowody nieudolności władz prowadziły do pogłębiającego się rozdrażnienia i rozgoryczenia. Ci, których ujęto i przetrzymywano wbrew woli, tak jak normalni ludzie, nie mogli się z tym pogodzić. Ich odzyskane życie wypełniała tęsknota i pragnienie powrotu do bliskich, a przynajmniej do normalnego świata. I choć niektórzy nie mieli pojęcia, czego chcą i gdzie chcieliby być, jedno wiedzieli na pewno. Nikt z nich nie pragnął pozostać więźniem Arcadii.

W obozie zaczęło wrzeć. Przywróceniu zaczęli tracić cierpliwość.

Gdyby ktoś przyjrzał się temu bliżej, mógłby przewidzieć, co może się stać.

Co dzień od kilku tygodni, tuż po piątej rano, szóstkę mężczyzn alarmował telefon od Freda Greena. Nie tracił czasu na próżną gadaninę, przedstawianie się i przeproszanie za wczesną porę. Ostрым głosem wydawał rozkazy: „Zbiórka za godzinę! Wziąć żarcie na cały dzień! Bronimy Arcadii!”.

W pierwszych dniach protestu Fred i jego kumple stali w pewnej odległości od żołnierzy i bramy, ku której kierowały się transporty. Początkowo nie byli pewni, z kim właściwie chcą walczyć – z rządem czy tymi, których im narzucono.

Owszem, dziwni przybysze byli zjawiskiem strasznym i nienaturalnym, ale czy władze nie okazały się równie groźne? Przecież to one zawłaszczyły Arcadię. To za ich sprawą do cichego miasteczka wtargnęło wojsko, mężczyźni w garniturach, przedsiębiorcy budowlani i cała reszta.

Akcja protestacyjna była niełatwym zadaniem. Znacznie trudniejszym, niż sądzili. Chwilami zupełnie opadali z sił, a ich wyschnięte gardła nieustannie piekły i bolały. Ale gdy tylko nadciągał transport, telepiąc się po ulicy w stronę szkoły, w drużynę Freda nagle wstępowała energia. Podnosili swoje plakaty i szturmówki, zmuszając zdarte głosy do najwyższego wysiłku, zaciskali dłonie w pięści i zaczęli nimi wymachiwać.

Na widok przepelnionych autobusów zapominali o wypisanych hasłach i każdy z nich wrzeszczał na własny rachunek: „Wynocha z Arcadii! Nie chcemy was tutaj! Precz!”.

W miarę jak mijały dni, wrzaski na odległość przestały ich bawić. Zaczęli zastępować autobusom drogę. Byli jednak ostrożni. Domagali się tylko wolności słowa,

utrzymując wszystkich w przekonaniu, że wciąż są przyzwoitymi, dobrymi ludźmi, którzy nie potrafią beczynnie siedzieć, podczas gdy ich miastu grozi zagłada. Nie zamierzały się rzucać pod nadjeżdżające pojazdy i nie pragnęli lauru męczeństwa.

Zachowywali spokój do chwili, gdy autobusy zatrzymały się przy bramie w oczekiwaniu na zezwolenie, by wjechać na teren ośrodka. Wtedy pędem puszczali się przez ulicę, wysoko wznosili plakaty i wściekle wrzeszcząc, wymachiwali pięściami. Pewnego razu któryś z nich złapał kamień i cisnął nim w stronę pojazdu, choć trzeba przyznać, że uważał, by nikogo nie zranić.

Niemniej z każdym dniem czuli się pewniej.

Po tygodniu, na posterunku w pobliżu pikiety Freda stał już nie jeden, lecz czterech żołnierzy. Z poważnymi, pozbawionymi wyrazu twarzami i założonymi w tył rękami nie spuszczały wzroku z protestujących, niczym ich jednak nie prowokując.

Gdy nadjeżdżały transporty, wychodzili z budki strażniczej i tworzyli szpaler, blokując dostęp do autobusów.

Fred Green i jego paczka odnosili się z szacunkiem do tej demonstracji siły. Wykrzykiwali swoje hasła i protesty zza pleców żołnierzy i bynajmniej nie szukali zaczepki. Był to kulturalny akt obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Tuż po wschodzie słońca, około szóstej rano w dniu, który miał okazać się pamiętny, Fred Green wjechał na podjazd Marvina.

– Zaraz zaczynamy! – zawołał John Watkins. Siedział w otwartych drzwiach furgonetki z nogą zwisającą na zewnątrz. Z włączonego radia płynęła przez tandetne głośniki metaliczna, zniekształcona muzyka. Jakaś piosenka o mściwej ekszonie.

– Czy coś mnie ominęło? – spytał ostro Fred. Wysiadł z wozu, trzymając swój plakat. Po kolejnej bezsennej nocy był w złym humorze i jak się to zdarza pewnym mężczyznom, uważał, że wylewając złość na wszystko wokół, zrzuci z serca niezrozumiały ciężar, który go dławił.

– Co się z tobą dzieje? – spytał John. – Dobrze się czujesz?

– W porządku – odparł Fred. Zmarszczył czoło i otarł brwi, nie bardzo wiedząc, czemu się poci. – Ile ich wjechało?

– Dotąd żaden.

Fred obrócił się z poczerwieniałą twarzą, gdy stanął za nim Marvin, pytając:

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nic – prychnął w odpowiedzi.

– Też go o to pytałem – odezwał się John. – Kiepsko wygląda.

– Do cholery! – wrzasnął Fred. – Ruszajmy wreszcie!

Skierowali się w stronę głównej ulicy, tak jak robili co dzień rano. Nie zajmowali się teraz niczym innym. Pochłaniały ich całkowicie te małe demonstracje obywatelskiego nieposłuszeństwa. Pola Freda zarosły chwastami, a niezebrana dotąd kukurydza zaczynała gnić. Od tygodni nie odwiedził również tartaku.

Wszystko straciło dla niego znaczenie. Normalne życie – takie, jakie przez lata prowadził – przestało istnieć. Obwinał o to bezsenne noce, a te z kolei przypisywał inwazji Przywróconych.

W końcu pojawiły się transporty. Za każdym razem, gdy go mijaly, Fred wykrzykiwał: „Do piekła, cudaki!”. Pozostałym udzielił się jego zapał. Był dziś bardziej podniecony niż zazwyczaj, więc i oni zwawiej sobie poczynali. Krzyczeli głośniejszym niż zwykle, bardziej energicznie potrząsali szturmówkami, a niektórzy rozglądali się za kamieniami odpowiedniej wielkości.

Widząc, że sprawy zaczynają przybierać niebezpieczny obrót, a temperamenty Południowców wymykają się spod kontroli, wartownicy wezwali posiłki. Jeden z nich ostrzegł ekipę Freda, by się uspokoili.

– Do diabła z odmieńcami! – krzyknął ten w odpowiedzi.

Żołnierz powtórzył żądanie, tym razem ostrzejszym tonem.

– Do diabła z Biurem! – wrzasnął Fred.

– Ostrzegam po raz ostatni – powiedział wartownik, podnosząc pojemnik z gazem pieprzowym.

– Do diabła z tobą! – ryknął Fred i splunął mu w twarz, rezygnując z dalszej dyplomacji.

Zaczął się od tego, że Marvin Parker wybiegł tuż przed jeden z nadjeżdżających autobusów. Była to zapewne najgłupsza rzecz, jaką zrobił w życiu, ale teraz stał pośrodku ulicy, wrzeszcząc, wymachując szturmówką i nie zamierzając zejść na bok. Dwaj żołnierze dopadli go jednym susem i przygwoździli do ziemi, ale jak na człowieka w tym wieku okazał się zdumiewająco zwinny i zdołał się wyślizgnąć. Przepelniony autobus z piskiem hamulców zatrzymał się przed skłębioną grupą mężczyzn.

Fred i pozostali, a było ich blisko tuzin, zaatakowali pojazd, waląc w niego pięściami, krzycząc i miotając obelgi. Wartownicy próbowali odciągnąć ich, ale wciąż nie chcieli używać gazu i uciekać się do przemocy. Pamiętali przecież, że Fred i jego kumple przez wiele tygodni byli nieszkodliwi. Wciąż nie mogli pojąć, co w nich, u diabła, wstąpiło.

Tymczasem, korzystając z okazji, Marvin Parker wymierzył prawy sierpowy jednemu z żołnierzy, pozbawiając go przytomności. Marvin był chudy jak patyk, ale w

młodości uprawiał boks, co zupełnie wystarczyło, by nieźle sobie radzić w podobnych sytuacjach.

Chwilę później wszystko utonęło we wrzaskach towarzyszących zapasom kłębiących się ciał.

Para mocnych rąk objęła Freda w pasie i uniosła go. Usiłował się z nich wyswobodzić, ale trzymały zbyt mocno. Wściekle wierzgając, uderzył w tył czyjejs głowy. Żelazny uścisk wokół pasa osłabł i Fred runął u stóp żołnierza, który wcześniej go obezwładnił.

Ktoś wrzeszczał: „Faszyści!”, powtarzając to raz po raz, co nadawało całemu zamieszaniu jeszcze bardziej surrealistyczny charakter. Pasażerowie autobusu obserwowali wszystko przez okna, nie wiedząc, na ile groźne są dla nich toczące się obok potyczki. Większość z nich nie po raz pierwszy spotykała się z tego rodzaju akcjami protestacyjnymi, nie osłabiało to jednak wrażenia, jakie na nich wywierały.

– Nie przejmujcie się – uspokajał ich kierowca autobusu. – Widuję tych facetów od tygodni. – Zmarszczył brwi. – Zwykle są nieszkodliwi – zakończył.

Fred, przeklinając, szamotał się z jakimś młodym żołnierzem, na którego przewrócił się w chwili, gdy inna para rąk próbowała go podnieść, a głos Marvina Parkera ryczał mu nad uchem: „Rusz no się, Fred, szybciej!”. Pomimo całej bojowej werwy zarówno Fredowi, jak i jego kumplom brakowało kondycji, a także, co ważniejsze, młodości przeciwników.

Dźwignął się i zaczął uciekać. Przyptyw adrenaliny osłabł, a on poczuł się wyczerpany. Był już za stary na takie ekscesy i nie takiej konfrontacji oczekiwał.

Nie doprowadziła do żadnych decyzji ani ustaleń.

Wszystko wydarzyło się za szybko, a ponieważ nic z tego nie wynikło, przyniosło jedynie zawód.

Tymczasem Marvin, biegnąc, radośnie rżał. Najwyraźniej w odróżnieniu od Freda nie odczuwał zawodu ani wyczerpania. Wprawdzie wzdłuż skroni spływała mu strużka potu, ale jego długa, chuda twarz promieniała z podniecenia.

– Ale jazda! – wrzeszczał. – Daliśmy czadu!

Fred obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy nie biegną za nimi żołnierze. Ale ich nie było. Zmagali się z kilkoma członkami jego ekipy, których powalili na ziemię i siłą przygwoździli do asfaltu. Reszta bandy biegła tuż za nim. Na twarzach niektórych pojawiły się niewielkie sińce i zadrapania, ale nikt nie odniósł większych obrażeń.

Gdy dotarli do swych furgonetek, wszyscy wskoczyli do kabin i błyskawicznie włączyli silniki. Marvin wdrapał się do wozu Freda, który z piskiem opon wyjechał z

podjazdu.

– Pewnie im się wydaje, że dali nam nauczkę – powiedział, patrząc w lusterko wsteczne. Nikt ich nie ścigał.

Marvin parsknął śmiechem.

– Ha, ha! To nas nie znają, co nie? Jutro znów tam wracamy.

– To się zobaczy – mruknął tylko Fred. Jego umysł zaczął pracować. – Chyba mam lepszy pomysł – powiedział po chwili. – Coś, co ci się spodoba, bo, jak widzę, jesteś w niezłej formie.

– Uaaa! – wykrzyknął Marvin.

– Co byś powiedział na przecięcie drutów?

Harolda bolały stopy. Siedząc na swojej pryczy, zdjął buty i skarpetki, by sprawdzić dlaczego. Był zaniepokojony. Skóra między palcami swędziała i cuchnęła. Pewnie to grzybica, pomyślał. Potarł palce i drapał się tak długo, aż w końcu poczuł palący ból, gdy zdarł skórę do żywego.

Tak, to grzybica.

– Charles? – zawołała Patricia z łóżka stojącego za nim, budząc się ze snu.

– Tak? – odparł. Wciągnął skarpetki, ale postanowił nie wkładać butów.

– Charles, czy to ty?

– Tak, ja – potwierdził. Przesunął się na brzeg łóżka i poklepał ją po ramieniu, by się ocknęła. – Wstawaj – powiedział. – Zasnął.

– Och, Charles! – Usiadła, a po jej policzku spłynęła łza. – To było straszne. Po prostu straszne. Wszyscy leżeli martwi.

– Dobrze, już dobrze – uciskał ją. Wstał z pryczy i usiadł obok niej. Jakiś chłopak o niechlujnym wyglądzie, przechodząc korytarzem, zerknął przez drzwi. Widząc puste łóżko, ruszył w jego stronę.

– To moje łóżko – powstrzymał go Harold. – Podobnie jak to obok.

– Nie może pan zajmować dwu łóżek – zaprotestował chłopak.

– I nie zajmuję – odparł. – Wszystkie te trzy prycze zajmuje moja rodzina.

Pierwsza jest moja, a ta obok należy do mojego syna.

Chłopak powiódł po nim i czarnoskórej kobiecie podejrzliwym spojrzeniem.

– A to pańska żona?

– Owszem – usłyszał w odpowiedzi.

Młody wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Charles, Charles, Charles! – powtarzała Patricia, klepiąc Harolda po udzie. – Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda? Oczywiście, że wiesz. Co z Martinem? –

Spojrzała na chłopaka w drzwiach. – Martin, skarbie, gdzie ty się podziewałeś? Chodź tu, dziecko, i mnie obejmij. Tak długo cię nie było. Chodź, pocałuj mamę. – Mówiła wolnym, równym głosem, całkowicie pozbawionym intonacji, co sprawiało, że jej słowa brzmiały jeszcze bardziej niepokojąco.

Harold uśmiechnął się i wziął ją za rękę. Nie był pewien, na ile jest w tej chwili świadoma, ale nie miało to znaczenia.

– Jestem tu, skarbie – powiedział i delikatnie pocałował jej dłoń. – Potem spojrzał na chłopca. – A teraz się wynoś – syknął. – To, że stłoczyli nas tu jak zwierzęta, nie znaczy, że możemy zachowywać się jak one.

Chłopak obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju. Biegając dalej korytarzem, zerkał to w lewo, to w prawo, w poszukiwaniu pustej pryczy, którą można by zawłaszczyć.

Harold prychnął ze złością.

– Jak się spisałam? – spytała Patricia, cicho chichocząc.

Ucisnął jej dłoń.

– Wspaniale.

Wrócił na swoje łóżko, od czasu do czasu zerkając przez ramię, czy nikt się nie zakrada, by zająć miejsce Jacoba.

– Nie musisz mi dziękować, Charles.

Zmusił się do uśmiechu.

– Chciałbyś cukierka? – spytała, klepiąc się nagle po kieszeniach sukienki. – Zaraz zobaczę, co tu dla ciebie mam.

– Nie przejmuj się – rzekł. – Wiem, że nic nie masz.

– Powinno tu coś być. – Zaraz jednak na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie, gdy stwierdziła, że się myli. Kieszenie były puste.

Harold wyciągnął się na swym pościeliu i otarł pot z twarzy. Nie pamiętał równie okropnego sierpnia.

– Nigdy nic nie masz – powiedział.

Kobieta wstała, a potem usiadła z westchnieniem obok niego.

– Jestem teraz Martym – domyślił się.

– Nie zaczynaj grymasić. Przyniosę ci cukierki, jak pojedę do miasta. Ale nie możesz się tak zachowywać. Twój ojciec i ja dajemy ci lepszy przykład. Zachowujesz się jak zepsuty dzieciak, nie pozwolę na to.

Przywykł już do zmienności funkcji jej umysłu. Zazwyczaj to Jacob odgrywał rolę Marty'ego. Ale zdarzało się, że tryby mózgu Patricii zaczynały pracować na innych obrotach niż zazwyczaj i bez ostrzeżenia narzucały Haroldowi rolę jej dziecka, które, jak

przypuszczał, mogło mieć jakieś siedem lat.

Nie budziło w nim to sprzeciwu, a poza tym nie miał wyboru. Zamykał więc oczy i pomimo swego zgryźliwego charakteru pozwalał, by łagodnie go pouczała, jak ma się zachowywać.

Przez chwilę usiłował się odprężyć, ale bez skutku. Nie przestawał myśleć o Jacobie. Chłopiec wyszedł do łazienki już dość dawno i wciąż nie wracał. Harold powtarzał, że nie ma powodów do niepokoju, i na wiele sposobów próbował się w tym utwierdzić. Wmawiał sobie zatem, że – po pierwsze – nie trwa to tak długo, jak mu się wydaje. Przecież ostatnio mierzył czas zupełnie inną miarą niż dawniej. Od lat nie nosił zegarka, gdyż rzadko się zdarzało, by miał się gdzieś stawić o ściśle określonej porze. Nie mógł więc dokładnie powiedzieć, jak długo syn jest nieobecny, a tym bardziej ocenić, co znaczy „zbyt długo” i zdecydować, kiedy to nastąpi.

Teraz jednak nieuchronnie zbliżał się do tej decyzji.

Usiadł na pryczy i spojrzął na drzwi, jakby wpatrując się w nie dość intensywnie, mógł sprowadzić do siebie Jacoba. Przez kilka minut nie spuszczał z nich wzroku, lecz syna wciąż nie było.

Choć nie występował w roli ojca przez ponad pół wieku, wciąż jednak nie przestał nim być. Przeszukał więc w myślach wszystkie miejsca, jakie każdy rodzic wzięłby pod uwagę. Zaczął od toalet, z których – choć większość nie nadawała się do użytku – wciąż korzystano z braku innych możliwości. Być może chłopak spotkał kogoś po drodze i wdał się w pogawędkę? Jednak po chwili wyobraźnia nasunęła mu inny obraz: Jacob opuszcza łazienkę i zostaje zatrzymany przez jednego z żołnierzy, który poleca, by poszedł za nim. Chłopiec protestuje, lecz żołnierz chwyta go, podnosi i przerzuca sobie przez ramię, podczas gdy Jacob krzyczy i wzywa ojca na pomoc.

– Nie, to niemożliwe. – Potrzęsnał głową, perswadując sobie podobne pomysły.

Wyszedł na korytarz, rozglądając się w prawo i lewo. Na widok wchodzących i wychodzących pomyślał, że co dzień ich przybywa. Spojrzął na panią Stone pogrążoną w głębokim śnie, a potem na dwa puste połowe łóżka.

Jeżeli je zostawi, zapewne po powrocie zastanie nowego lokatora.

Ale wyobraźnia znów podsunęła mu obraz Jacoba siłą ciągniętego przez jakiegoś żołdaka. Musiał zaryzykować.

Szybkim krokiem ruszył do drzwi w nadziei, że nikt nie zauważy, który pokój opuścił. Gdy szedł korytarzem, wpadając na jednych i potrącany przez innych, nie przestawał się dziwić różnorodności postaci, które ostatnio pojawiły się w ośrodku. I

choć byli to w większości Amerykanie, wydawało się, że pochodzą z najbardziej odległych od siebie części kraju. Nie pamiętał, by kiedykolwiek, przemierzając tak niewielką odległość, słyszał taką wielość odmiennych akcentów.

W pobliżu toalet wyprzedził go młody żołnierz zmierzający gdzieś szybkim krokiem. Wyprostowany i sprężysty, intensywnie wpatrywał się przed siebie, jakby nagle zobaczył coś nader ważnego.

– Halo! – zawołał Harold. – Chwileczkę!

Ponieważ żołnierz – rudowłosy chłopak z twarzą oszpeconą trądzikiem – nie słyszał, Harold wyciągnął rękę i złapał go za ramię, nim tamten zdążył pomknąć dalej.

– O co chodzi? – spytał pospiesznie żołnierz. Na jego mundurze widniała plakietka z nazwiskiem Smith.

– Cześć, Smith! – Harold starał się nadać głosowi ton zarazem uprzejmy i poważny. To nie była pora na impertynencje. – Bardzo przepraszam, że cię zatrzymuję.

– Jestem spóźniony na spotkanie, proszę pana – odparł młodzian. – Czym mogę służyć?

– Szukam syna.

– I zapewne nie jest pan jedyny – rzucił Smith. – Proszę zwrócić się do żandarmerii. Powinni panu pomóc.

– Na miłość boską! Dlaczego ty nie możesz tego zrobić? – Harold wyprostował się na całą swoją wysokość. Żołnierz był postawny, barczysty i muskularny – ucieleśnienie młodości w nieskazitelnie męskiej postaci.

Zmierzył starego człowieka spojrzeniem zmrużonych oczu.

– Chciałbym tylko, żeby ktoś pomógł mi go wypatrzyć – wyjaśnił tamten. – Wyszedł do łazienki jakiś czas temu i...

– A więc tam nie był?

– Hmm... – Harold zamilkł. Uświadomił sobie, że od dawna nie zachowywał się równie głupio. – W gruncie rzeczy nie mam pewności – zakończył.

Smith westchnął z rozdrażnieniem.

– Nie będę cię zatrzymywać. – Staruszek dał za wygraną. – Sam go odszukam.

Żołnierz nie czekał, aż zmieni zdanie. Obrócił się i pomknął korytarzem, zręcznie torując sobie drogę wśród tłumu.

– Cholerny gówniarz – mruknął Harold pod nosem. Choć wiedział, że Smith niczemu nie zawinił, od razu mu ulżyło.

Gdy w końcu dotarł do łazienki, ujrzał wychodzącego stamtąd Jacoba. Chłopiec miał potargane włosy, rozchełstane ubranie i poczerwieniałą twarz.

– Co ci się stało? – wykrzyknął ojciec.

Oczy Jacoba się rozszerzyły. Zaczął wpychać koszulę w spodnie i próbował przygładzić włosy.

– Nic – odparł.

Harold przykucnął i ujął go pod brodę, długo patrząc mu w twarz.

– Biłeś się – stwierdził.

– To oni zaczęli.

– Kto taki?

Jacob wzruszył ramionami.

– Są tam jeszcze? – Harold spojrzął w stronę łazienki.

– Nie – padła odpowiedź. – Wyszli.

– Co się stało?

– Poszło o to, że mamy własny pokój.

Harold wstał i rozejrzał się wokół w nadziei, że napastnicy wciąż są w pobliżu. Był zły, że się spóźnił, choć gdzieś w głębi duszy odczuwał dumę, że dzieciak potrafi się bić. (Zdarzyło się to już kiedyś, gdy miał zaledwie siedem lat. Wdał się wtedy w bójkę na pięści z chłopcem Adamsów. Ojciec był świadkiem tej awantury i nawet ich rozdzielał. Zresztą po dziś dzień nękało go lekkie poczucie winy z powodu zwycięstwa Jacoba).

– Spuściłem im łomot – oznajmił chłopiec z uśmiechem.

Harold obrócił się, by nie dostrzegł satysfakcji na jego twarzy.

– Chodź, wracamy – powiedział. – Dość już przygód na dzisiaj.

Po powrocie stwierdzili, że na szczęście nikt nie zajął ich miejsc. Stara kobieta wciąż głęboko spała.

– Czy mama dziś przyjdzie?

– Nie.

– Jutro?

– Chyba też nie.

– Pojutrze?

– Tak, pojutrze.

– To znaczy za dwa dni?

– Owszem.

– To dobrze. – Jacob stanął na swoim łóżku, wyjął z kieszeni resztki ołówka i zaznaczył na ścianie dwie kreski.

– Chciałbyś, żeby ci coś przyniosła?

- Do jedzenia?
 - Cokolwiek chcesz.
- Chłopiec przez chwilę myślał.
- Nowy ołówek. I papier.
 - Jasne. To bardzo rozsądne. Pewnie chciałbyś rysować?
 - Chcę napisać nowe kawały.
 - Co takiego?
 - Wszyscy już słyszeli te, które znam.
 - Och, no tak... - Harold cicho westchnął. - To zdarza się najlepszym.
 - Znasz jakiś, żeby mnie nauczyć?

Pokręcił głową. Chłopiec prosił go o to już po raz ósmy, a on po raz ósmy odmawiał.

- Marty? - odezwała się przez sen stara kobieta.
- Co jej jest? - spytał Jacob.
- Czuje się trochę dezorientowana. Tak na starość bywa.

Jacob spojrział na Patricję, potem na ojca, a potem znów na nią.

- Mnie to nie dotyczy - zapewnił go Harold.

To właśnie chciał usłyszeć. Przesunął się na koniec łóżka i usiadł na krawędzi, machając nogami, które niemal dotykały podłogi. Wyprostowany wpatrywał się w otwarte drzwi, za którymi tłum przepływał tam i z powrotem niczym gęsta, bezwładna masa.

W ostatnich tygodniach agent Bellamy zdawał się coraz bardziej przygnębiony swoją życiową sytuacją, choć nikt nic o niej nie wiedział. Nie spotykał się już z Haroldem w pozbawionym klimatyzacji i przewiewu budynku, gdzie dusili się w upale i ciężkim odorze zbyt wielu ciał stłoczonych na zbyt małej przestrzeni.

Teraz w skwarnym sierpniowym upale zabawiali się rzucaniem podków. Podobnie jak w budynku, i tutaj brakowało choć cienia przewiewu, a ciężar parnego powietrza dławił im płuca, niczym zaciskająca się pięść.

A jednak nastąpił postęp. Bellamy się zmieniał.

Harold dostrzegł to już od pewnego czasu. Twarz agenta porośł miejscami ciemny zarost, a jego zmęczone oczy poczerwieniały jak oczy kogoś, kto właśnie przestał płakać, a może od bardzo dawna nie spał. Hargrave nie należał jednak do mężczyzn, którzy skłonni byliby wypytywać o takie sprawy.

- Jak się wam ostatnio układa z Jacobem? - spytał Bellamy. Kończąc pytanie,

lekką chrząknął, wziął rozmach i rzucił podkową. Poszybowała w powietrzu, a potem głucho spadła na ziemię, omijając słupek i nie przysparzając mu żadnych punktów.

To było niezłe pole do gry – kawałek gruntu na tyłach szkoły pomiędzy zbudowanymi przez Biuro drogami dojazdowymi dla nieustannie napływających transportów.

W budynku wciąż panował nieznośny tłok. Nawet teraz, gdy część zakwaterowania przejęło miasto. Kiedy już świeżo przybyli zdołali się zdomowić na zdobytym kawałku miejskiej przestrzeni, bądź to w namiocie na jednym z trawników, bądź też, gdy mieli szczęście, w jednym z domów zarekwirowanych przez Biuro, napływały kolejne transporty i kolejni przybysze. Robiło się coraz ciasniej. I coraz trudniej. Przed tygodniem jeden z żołnierzy wdał się w bójkę z jednym z Przywróconych. Nikt nie umiał powiedzieć, o co właściwie poszło. Wszyscy się jednak zgadzali, że o jakiś drobiazg. Skończyło się natomiast na rozbitym nosie mundurowego i podbitym oku jego przeciwnika.

Niektórzy uważali, że to dopiero początek.

Ale Harold i agent Bellamy trzymali się z daleka od takich spraw. Obserwowali je z dystansem i nie dawali się wciągnąć. Gra w podkowy bardzo w tym pomagała.

Gdy rozgrywali kolejne rundy, często miały ich wprowadzane na teren ośrodka grupy Przywróconych i Prawdziwie Żywych, tak że z bliska widzieli zaleknione, przygnębione twarze.

– Wszystko w porządku – odparł Harold. Zaciągnął się głęboko, zajął pozycję i zamachnął się do rzutu. Podkowa dźwięcznie uderzyła w metalowy słupek.

Na czystym, błękitnym niebie nad nimi jaśniało słońce. Było tak pięknie, że mógł sobie niemal wyobrazić, iż razem z funkcjonariuszem Biura, jak prawdziwi przyjaciele, bez troski spędzają letnie popołudnie. Ale nagle zmienił się wiatr i w nozdrza uderzał ich odór, nasuwając zarazem myśl o smutnym stanie obozu, a także smutnym stanie świata.

Gdy przyszła kolej na Bellamy'ego, ten ponownie chybił i znów nie zdobył żadnych punktów. Na widok małej grupy Przywróconych, których prowadzono z punktu rozdzielczego do głównego budynku, zdjął tylko z szyi krawat.

– Nie uwierzyłby pan w niektóre rzeczy, do których dochodzi na świecie – powiedział, gdy procesja ich minęła.

– Z trudem wierzę w to, co dzieje się tutaj – odparł Harold. – Jeśli chodzi o resztę, mógłbym sobie lepiej wyrobić zdanie, gdybyśmy mieli telewizję i mogli ją oglądać. – Zaciągnął się dymem papierosa. – Trudno poważnie traktować przypadkiem zasłyszane

plotki i pogłoski. – Rzucił podkową, która precyzyjnie opadła na słupek.

– Nie ja o tym zdecydowałem – rzekł Bellamy w swym nowojorskim tempie. Obaj zaczęli chodzić po polu, by zebrać bezładnie leżące podkowy. Harold miał przewagę siedmiu punktów. – Pułkownik omawiał tę sprawę telefonicznie – ciągnął. – I, szczerze mówiąc, nie mogę go obciążać tą decyzją. To wybrane władze z Waszyngtonu poleciły wycofać z ośrodków zatrzymań prasę i telewizję. Nie mam z tym nic wspólnego. Wszystko rozgrywa się na znacznie wyższym szczeblu.

– No tak – mruknął Harold. Zebrał swoje podkowy, okręcił się na pięcie i wykonał rzut. Perfekcyjnie. – Czyż nie jest to wygodne? – dodał po chwili. – Pewnie zaraz usłyszę, że nie ma w tym również winy tych waszyngtońskich polityków. To sprawka amerykańskich obywateli. W końcu to oni wybrali ich na urząd i uprawnili do podejmowania takich decyzji. Nie masz z tym nic wspólnego, co? Jesteś tylko częścią znacznie większej maszyny.

– Owszem – potwierdził bez przekonania Bellamy. – Coś w tym rodzaju. – Nadeszła jego kolej, toteż wykonał rzut i w końcu zarzucił podkową na słupek. Mruknął coś pod nosem, skromnie wyrażając zadowolenie.

Harold potrząsnął głową.

– Wszystko to źle wróży – powiedział.

Bellamy milczał.

– A jak się miewa pułkownik?

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– To straszne, co się stało. A raczej mogło stać. – Harold ustawił się do rzutu. Znow wykonał go bezbłędnie i zdobył kolejne punkty.

– Taa... – Agent pokiwał głową. – Wciąż nie mogę zrozumieć, jak ten wąż dostał się do jego pokoju. – Po raz kolejny rzucona przez niego podkowa chybiła celu. Tym razem jednak dlatego, że z trudem hamował śmiech.

Przez chwilę kontynuowali grę w milczeniu, zwyczajnie żyjąc i ciesząc się słońcem tak jak reszta świata. W Arcadii tłoczyło się teraz więcej ludzi, niż ośrodek zdolny był pomieścić, więcej, niż Bellamy kiedykolwiek mógłby przesłuchać lub wesprzeć radą – co stało się jego głównym obowiązkiem, z chwilą gdy pułkownik przejął kontrolę nad bezpieczeństwem, a także bieżące zarządzanie obozem. Mimo to jednak agent nie rezygnował ze spotkań ze starszym panem. Zaniechał natomiast przesłuchiwania Jacoba.

– A więc opowiedz mi o tej kobiecie – odezwał się po chwili Harold. Przygotował się do zamachu, a następnie wykonał rzut. Nieźły, lecz nie idealny.

– Czy mógłbym liczyć na bardziej szczegółowe pytanie?

– Mówię o starej kobiecie.

– Wciąż nie bardzo rozumiem. – Bellamy rzucił podkową, o centymetry mijając palik.

– Jak wiemy, na tym świecie jest sporo starych kobiet. Krąży nawet teoria, że w odpowiednio długim czasie wszystkie kobiety staną się stare. To prawdziwie rewolucyjna myśl.

Harold parsknął śmiechem.

Agent wykonał rzut, a jego podkowa zatoczyła znacznie szerszy łuk niż poprzednio. Następnie, nie czekając na partnera, zakasał rękawy i pomaszerował na przeciwną stronę pola gry. Pomimo upału i duchoty wcale się nie pocił.

Harold obserwował go przez chwilę, a w końcu za nim podążył.

– No dobrze – rzekł Bellamy. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Kiedyś wspominałeś o swojej matce. Opowiedz mi o niej.

– Była bardzo dobrą kobietą. Kochałem ją. Co mam jeszcze dodać?

– Powiedziałeś chyba, że dotąd nie wróciła.

– To prawda. Moja matka wciąż nie żyje.

Spojrzał na swoje nogawki. Strzepnął z nich kurz, po czym skierował wzrok na ciężkie podkowy, które ścisnął w ręce. Były całe w ziemi, podobnie jak jego dłonie. Wtedy dostrzegł, że spodnie garnituru też pokrywa ziemia. Jakże mógł tego nie zauważyć?

– Umierała powoli – powiedział po chwili.

Harold spokojnie się zaciągał. Drogą obok nich prowadzono do obozu kolejną grupę Przywróconych, którzy z zaciekawieniem przyglądali się staremu człowiekowi i jego ciemnoskóremu partnerowi.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania? – spytał w końcu Bellamy. Wyprostował się, ignorując opłakany stan swego garnituru. Ręka mu zeszywniała, gdy wykonywał kolejny zamach. Podkowa rozpaczliwie chybiła celu.

John Hamilton

Siedział w kajdankach pomiędzy parą imponująco wysokich i barczystych żołnierzy, podczas gdy dwaj mężczyźni w gabinecie zażarcie dyskutowali.

Czarnoskóry agent w eleganckim garniturze – John przypomniał sobie nagle, że nazywał się Bellamy – kończył go właśnie przesłuchiwać, kiedy do pokoju wkroczył

pułkownik Willis w asyście owych potężnie zbudowanych wojskowych, którzy błyskawicznie zakuli Johna w kajdanki. Następnie cała grupa przemaszerowała przez budynek do gabinetu pułkownika, a on czuł się tak, jakby go złapano na ściąganiu podczas sprawdzianu z matematyki.

– O co tu chodzi? – spytał jednego z żołnierzy, ale ten uprzejmie go ignorował.

Wtem otworzyły się drzwi gabinetu pułkownika i ukazał się Bellamy. Szedł szybkim krokiem z wysuniętą w przód klatką piersiową.

– Wypuście go – warknął do żołnierzy, którzy spojrzeli po sobie. – Natychmiast – dodał.

– Róbcie, co wam każe – potwierdził pułkownik.

Gdy uwolniono Johna z kajdanków, Bellamy pomógł mu wstać i skierował się wraz z nim w przeciwną stronę korytarza.

– Chciałbym, żebyśmy się rozumieli – rzucił pułkownik, nim zniknęli za rogiem.

Bellamy mruknął coś pod nosem.

– Co ja takiego zrobiłem? – dopytywał się John.

– Nic. Po prostu chodź ze mną.

Wyszli z budynku na światło dnia. Wokół, pod chmurami, na wietrze, ludzie roili się jak mrówki.

– O co tu chodzi? Co ja takiego zrobiłem? – powtarzał.

Niebawem dotarli do wysokiego, chudego żołnierza z rudą czupryną i piegowatą twarzą.

– O nie! – oznajmił twardo, gdy ujrzał Bellamy'ego z jego podopiecznym.

– To już ostatni – zapewnił agent. – Masz moje słowo, Harris.

– Gównu mnie obchodzi pańskie słowo – odparł. – Nie możemy tak robić. To się w końcu wyda.

– Już się wydało.

– Co?

– Wiedzą, ale niczego nie mogą udowodnić. Dlatego ten jest ostatni. – Wskazał aresztanta.

– Mógłbym spytać, o czym mówicie? – ponownie zapytał John.

– Po prostu idź z Harrisem – rzekł Bellamy. – Wyprowadzi cię stąd. – Sięgnął do kieszeni i wyjął duży plik banknotów. – To wszystko, co mi zostało. Dlatego to już koniec. Czy chcę tego, czy nie.

– Cholera – warknął Harris. Najwyraźniej nie miał ochoty tego robić, ale nie chciał również zrezygnować z grubego, przetłuszczonego pliku forsy. Zlustrował

wzrokiem aresztanta. – Ostatni?

– Ostatni. – Bellamy wcisnął mu plik w dłoń. A potem poklepał Johna po ramieniu. – Idź z nim – polecił. – Zrobiłbym więcej, gdybym miał więcej czasu – dodał. – Na razie mogę tylko cię stąd wyciągnąć. Ruszaj do Kentucky, jeśli możesz. Tam jest bezpieczniej niż gdzie indziej. – Odszedł, oświetlony letnim blaskiem słońca.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał John Harrisa.

– Chyba właśnie ocalił ci życie – rzekł tamten. – Pułkownik uważa, że jesteś predysponowany.

– Predysponowany? Do czego?

– W każdym razie – Harris liczył banknoty trzymane w dłoni – choć będziesz daleko, przynajmniej będziesz żył.

Rozdział 14

Harold siedział na łóżku, patrząc na swoje stopy, rozwścieczony na cały świat.

Cholerny sierpień – kłął w myślach. Cholerny kaszel.

Jacob i Patricia spali na swych polówkach. Na brwiach Jacoba perliły się krople potu, natomiast czoło starej kobiety było zupełnie suche. Wciąż skarżyła się na chłód, choć wszystko wokół nasiąkało jak gąbka parną wilgocią.

Słyszał, jak za oknem nad jego łóżkiem ludzie chodzą i rozmawiają. Byli wśród nich żołnierze, ale stanowili wyraźną mniejszość. Liczba pensjonariuszy tego dziwnego więzienia dawno już przekroczyła liczbę strażników. Sięgała tysięcy. Trudno byłoby nawet prowadzić ich rachubę, pomyślał.

Zza okna dobiegała przyciszona rozmowa dwu mężczyzn. Wstrzymał oddech i chciał stanąć na łóżku, by lepiej słyszeć, ale po chwili zrezygnował, niepewny, czy polówka wytrzyma jego ciężar. Nasłuchiwał, wychwytyując niewiele ponad pełne przygnębienia szeptu.

Zsunął się z łóżka, postawił stopy na podłodze i wolno się przeciągnął. Potem wstał i spojrział przez okno w nadziei, że zdoła coś zrozumieć z podsłuchiwanej rozmowy, ale te cholerne dmuchawy w korytarzu buczały jak armie gigantycznych pszczół, zagłuszając wszystkie dźwięki.

Wsunął swoje świerzbujące stopy w buty i ruszył w stronę drzwi.

- Co się stało? – odezwał się Jacob z ciemności w głębi pokoju.
- Idę rozprostować nogi – odparł łagodnie. – Leż i śpij.
- Mogę iść z tobą?
- Zaraz wracam – rzekł Harold. – Poza tym ktoś musi zostać z naszą przyjaciółką.
- Wskazał głową Patricję. – Nie może być tu sama. Tak jak i ty.
- Nic nie zauważy – przekonywał go chłopiec.
- A jeśli się obudzi?
- Mogę iść z tobą? – powtórzył błagalnie.
- Nie. – Harold nie ustępował. – Powinieneś tu zostać.
- Ale dlaczego?

Za murami budynku rozległy się odgłosy nadjeżdżających drogą ciężkich pojazdów, nawoływania żołnierzy i szczęk broni.

– Marty? – Stara kobieta ocknęła się, machając w powietrzu rękami. – Marty, gdzie jesteś? – wykrzyknęła.

Jacob spojrział na nią, a potem na ojca. Harold potarł usta dłonią i zwilżył wargi.

Pomacał kieszeń, ale nie znalazł papierosa.

– No dobra. – Lekko zakaszła. – Skoro sen nie jest nam pisany, spróbujemy ewakuować się zespołowo. Weź z sobą to, na czym ci zależy – powiedział. – Zapewne nie zdołamy tu już przenocować. Ani się obejrzymy, gdy pozbawią nas łóżek.

– Och, Charles – westchnęła staruszka. Usiadła na swym pościaniu i wsunęła ręce w rękawy cienkiego żakietu.

Zanim jeszcze zniknęli za rogiem, do opuszczonego pomieszczenia dawnej galerii wtargnęli łowcy wolnych miejsc i błyskawicznie się tam zadomowili.

Największą z przysług, jakie Bellamy mógł wyświadczyć Haroldowi, było zakwaterowanie go wraz z Jacobem i panią Stone w dawnym studio, gdzie przynajmniej nie dokuczał im tłok. Nigdy nie padło na ten temat żadne słowo, ale Harold nie musiał się zastanawiać, by odgadnąć, komu to zawdzięcza.

Teraz, gdy porzucał te wygodę, by wyruszyć w nieznane, dręczyła go lekka wątpliwość, czy nie dopuszcza się swego rodzaju zdrady.

Ale niczego nie mógł już zmienić.

Powietrze na zewnątrz było wilgotne i gęste. Niebo na wschodzie z wolna się przejaśniało. Spojrzał na zegarek i zdał sobie sprawę, że nastał świt. A zatem nie spał przez całą noc.

Wokół stały ciężarówka, zewsząd dobiegały krzyki i nawoływania żołnierzy. Jacob wyciągnął rękę i chwycił dłoń ojca. Patricia też przysunęła się do Harolda.

– Co się dzieje, Marty?

– Nie wiem, skarbie – odparł.

Lekko drżąc, położyła dłoń na jego dłoni.

– Nie bój się – uspokajał ją. – Zaopiekuję się wami.

Chwilę później podszedł do nich żołnierz. Nawet w bladym świetle poranka trudno było dostrzec, jaki jest młody. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat.

– Chodźcie za mną – polecił.

– Dlaczego? Co się tu dzieje? – zaniepokoił się Harold.

Obawiał się, że lada chwila mogą wybuchnąć zamieszki. Od kilku tygodni w Arcadii narastała atmosfera napięcia. Zbyt wiele osób tłoczyło się w zbyt małej przestrzeni. Zbyt wielu Przywróconych chciało powrócić do dawnego życia. Zbyt wielu Prawdziwie Żywych sprzeciwiało się traktowaniu Przywróconych jak przedmioty. Zbyt wielu żołnierzy stanęło w obliczu sytuacji, która ich przerastała. Harold uważał sprawę za przesadzoną. To musiało się źle skończyć.

Trudno byłoby oczekiwać, że ludzie zechcą to dłużej znosić.

– Proszę za mną – powtórzył żołnierz – Przenosimy was stąd.

– Dokąd nas przenosicie?

– Na bardziej zielone pastwiska.

W tej samej chwili od strony bramy prowadzącej na teren szkoły dobiegł czyjś krzyk. Harold miał wrażenie, że zna skądś ten głos. Gwałtownie się obrócił i choć krzyk dobiegał z dość daleka, a światło dnia nie rozproszyło jeszcze szarości świtu, zdołał rozpoznać sylwetkę. Fred Green stał pierś w pierś z jednym ze strażników przy głównej bramie, wrzeszczał jak szaleniec i wskazywał coś palcem, przyciągając powszechną uwagę.

– Kto to jest, do cholery? – spytał stojący obok żołnierz.

Harold westchnął.

– Fred Green – odparł. – Przewiduję kłopoty.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy z wnętrza budynku dobiegł pomruk wzburzonych głosów i fala ludzi wylała się na dwór. Dwadzieścia pięć, jak sądził, a może trzydzieści osób. Biegli na oślep przed siebie, spychając żołnierzy z drogi. Wszyscy kaszleli i krzyczeli. Z drzwi wejściowych, a także z niektórych okien zaczął wypełzać gęsty, biały dym.

Z tyłu za uciekającymi, od strony, z której napływał dym i coraz głośniejsze krzyki, rozległo się wołanie: „Bronimy żywych!”. Zduszony głos wyraźnie zbliżał się do drzwi, na które napierali mieszkańcy budynku.

– Niech mnie diabli! – Harold obrócił się w stronę bramy. Żołnierze biegali wokół w pośpiechu, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

Fred Green zniknął.

Dam głowę, że to jego robota, pomyślał Harold.

Nagle w chmurze białego dymu wyłonił się ze szkoły Marvin Parker. Miał na sobie wysokie robocze buty, T-shirt z napisem: „Precz z Arcadii!”, a na twarzy maskę gazową. Sprawnym ruchem rzucił na ziemię przed drzwiami mały zielony metalowy kanister. Po sekundzie rozległ się cichy trzask i w górę strzelił biały dym.

– Bronimy żywych! – wykrzyknął ponownie Marvin głosem lekko stłumionym przez maskę.

– Co się dzieje? – spytała pani Stone.

– Chodź do mnie – rzekł Harold, odciągając ją od zbiegowiska.

Młody żołnierz, z którym przed chwilą rozmawiał, ruszył w stronę tłumu, trzymając broń w pogotowiu i wrzeszcząc, by wszyscy się cofnęli.

Dwaj inni obezwładnili Marvina Parkera. Jeśli nawet zdobywali się dotąd na uprzejmość, teraz zupełnie o tym zapomnieli. Marvin wściekle się rzucał i zdołał nawet wymierzyć jednemu silny cios, lecz na tym się skończyło. Zręcznym ruchem podcięli mu nogi, a on głucho uderzył w ziemię, wydając zduszony jęk bólu.

Było już jednak za późno, by powstrzymać rozwój wydarzeń. Wszyscy kipieli gniewem. Napięcie w obozie rosło już zbyt długo. Przybysze byli zmęczeni. Dość mieli odosobnienia. Życia z dala od wszystkich, których kochali. Coraz bardziej im ciążył status Przywróconych, pozbawiając praw dostępnych normalnym ludziom.

W powietrzu zaczęły latać kamienie i coś, co wyglądało na szklane butelki. W pewnej chwili Harold dostrzegł nawet krzesło – wyciągnięte zapewne z jednej z klas. Szybowało w powietrzu poranka, by wylądować wprost na głowie jednego z żołnierzy. Chłopak upadł na ziemię, kurczowo chwytając hełm.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła pani Stone.

Wszyscy troje zdołali ukryć się za jedną z ciężarówek na przeciwległym krańcu dziedzińca. Gdy biegli w tamtą stronę, rozległy się za nimi krzyki i przekleństwa. Harold czekał tylko na odgłos wystrzału i rozkaz, by się zatrzymać.

Podniósł Jacoba i mocno go objął jedną ręką. Drugą przyciskał do siebie panią Stone, która cicho płakała, powtarzając nieustannie: „Wielki Boże!”.

– Co się dzieje? – nie rozumiał chłopiec. Harold czuł na szyi jego gorący oddech, a w głosie słyszał strach.

– Nic takiego – uspokajał go. – To się zaraz skończy. Po prostu wszyscy się wystraszyli. Tak, ludzie są przerażeni i rozdrażnieni. – Zaczęły go piec oczy, drapało w gardle. – Zamknij oczy i wstrzymaj oddech – polecił.

– Dlaczego? – Jacob wciąż nie mógł zrozumieć.

– Rób, co ci każe, synu. – Surowym tonem próbował pokryć lęk. Rozglądał się wokół w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby ich zaprowadzić – jakiejś bezpiecznej kryjówki. Bał się jednak, że któryś z żołnierzy weźmie ich za prowodyrów zamieszek. Bo przecież to były zamieszki. Czy kiedykolwiek by uwierzył, że mogą wybuchnąć tutaj? Przecież wydarzenia, które pokazują w telewizji, dzieją się tylko w wielkich, przeludnionych miastach, gdzie jest zbyt wielu pokrzywdzonych ludzi.

Gaz łzawiący działał coraz mocniej. Szczypał i piekł. Haroldowi ciekło z nosa i nie mógł powstrzymać kaszlu.

– Tato? – Jacob był przerażony.

– To drobiazg – uspokajał go ojciec. – Nie ma się czego bać. Wszystko będzie dobrze. – Wyjrzał zza ciężarówki, za którą się ukryli. Potężny słup białego dymu

dobrywający się ze szkoły wzbijał się w poranne powietrze, ale odgłosy walki ucichły. Słychać było jedynie dobiegające zewsząd paroksyzmy kaszlu. Tu i ówdzie, przez chmurę dymu przenikał czyjś płacz.

Ludzie wyłaniali się spoza białej przesłony, stąpając jak ślepcy z wyciągniętymi przed siebie rękami i zanosząc się kaszlem. Żołnierze stali poza zasięgiem dymu najwyraźniej zadowoleni, że gaz wykonał za nich czarną robotę i przywrócił wszystkich do porządku.

– Już się uspokoiło. – Harold objął wzrokiem Marvinina Parkera, który leżał brzuchem do ziemi, pozbawiony maski gazowej.

Zupełnie nie przypominał człowieka, którego zapamiętał. Owszem, był wysoki, chudy i blady, miał głębokie zmarszczki wokół oczu i ogniście rude włosy, ale jego twarz stężała w wyrazie zimnej zaciekłości. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy wykręcono mu ręce w tył i zakładano kajdanki.

– To nie koniec! – krzyknął. W oczach łzawiących od gazu czaiło się okrucieństwo.

– Wielki Boże! – po raz setny powtórzyła pani Stone, chwytając Harolda za ramię. – Co w tych ludzi wstąpiło?

– Wszystko będzie dobrze – odparł. – Nie pozwolę was skrzywdzić. – Próbował przypomnieć sobie to, co wiedział o Marvinie Parkerze. Ale poza tym, że facet trenował kiedyś boks, nic nie tłumaczyło jego zachowania.

– A gdzie się podział Fred Green? – zastanawiał się głośno, przeszukując wzrokiem tłum. Nigdzie go jednak nie znalazł.

Żona pastora Petersa rzadko mu przeszkadzała, kiedy się udawał w zacisze swego gabinetu. Jeśli nie prosił jej o pomoc w pisaniu, nie zakłócała mu spokoju niezbędnego do pracy. Teraz jednak na progu ich domu stanęła zrozpaczona, stara kobieta, która błagała o rozmowę ze swym duchowym przewodnikiem.

Pani Peters, trzymając ją pod rękę, ostrożnie prowadziła Lucille przez hol, podczas gdy ta posuwała się, wsparta na ramieniu małej kobietki.

– Jesteś taka dobra – westchnęła, poruszając się z pewnym trudem. Wolną ręką ścisnęła podniszczoną Biblię w skórzanej oprawie. Księga miała naddarte strony, pęknięty grzbiet oraz brudną, pogiętą okładkę. Wydawała się równie sfatygowana jak jej właścicielka.

– Potrzebuję błogosławieństwa, wielebny – oznajmiła, gdy usiadła przed biurkiem pastora, a jego mała, bezimienna żona zostawiła ich samych.

Otarła chusteczką czoło i poklepała dłonią Biblię, jakby ta mogła przynieść jej ratunek.

– Jestem zagubiona – powiedziała. – Zbłąkana na pustkowiu pełnej zwątpienia duszy.

Pastor się uśmiechnął.

– Pięknie powiedziane. – Miał nadzieję, że nie brzmi to tak protekcyjnie, jak mu się wydawało.

– Bo tak jest naprawdę. – Otarła chusteczką kąciaki oczu i pociągnęła nosem. Łzy cisnęły jej się pod powieki.

– O co chodzi, Lucille?

– O wszystko. – Głos uwiązał jej w gardle. Odchrząknęła, próbując mówić dalej. – Cały świat oszalał. Kto daje ludziom prawo, by wchodzić do cudzych domów i wyciągać z nich mieszkańców jak przestępców? Pastorze, wyrwali mi z zawiasów całe cholerne drzwi! Przez ponad godzinę nie mogłam ich założyć. Kto widział coś podobnego?! Nadchodzi Sądny Dzień! Niech Bóg ma nas w opiece.

– Wiesz, Lucille, jakoś nigdy nie kojarzyłem twojej osoby z Dniem Sądu.

– Ani ja. Ale proszę się rozejrzeć. Proszę spojrzeć, co się tu dzieje. To po prostu straszne. Zaczynam myśleć, że to nie Szatan ponosi winę za losy świata. A w każdym razie nie taką, jak mówią. Może wcale nie zakradł się do Ogrodu? Może to Adam i Ewa, sami, z własnej inicjatywy, zerwali ten owoc, a potem się zmówili, by zrzucić winę na niego. Nigdy bym wcześniej tak nie pomyślała, ale gdy patrzę na wszystko... – Reszta zdania rozplynęła się w powietrzu.

– Czy nie zechciałabyś się czegoś napić, Lucille?

– Kto by tam pił w takich czasach – odparła. Po czym szybko dodała: – W takim razie poproszę o herbatę.

Peters klasnął w swe wielkie dłonie.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

Gdy wrócił z filiżanką herbaty, była już spokojniejsza. Przestała ścisnąć Biblię i położyła ją na stole. Jej ręce spoczywały na kolanach, a oczy wydawały się mniej spuchnięte i zaczerwienione.

– Proszę bardzo. – Postawił przed nią filiżankę.

– Dziękuję. – Pociągnęła łyk. – A jak miewa się pańska żona? Sprawia wrażenie strapionej.

– Niepokoi ją nieco rozwój wydarzeń. To wszystko.

– No tak, jest wiele powodów do niepokoju.

– Takich jak Dzień Sądu? – Uśmiechnął się.

Westchnęła.

– Trzymają ich w zamknięciu od wielu tygodni.

Pokiwał głową.

– Mogłaś ich dotąd odwiedzać, prawda?

– Na początku chodziłam tam co dzień. Nosiłam im jedzenie, prałam ubrania i starałam się utwierdzić syna w przekonaniu, że matka go kocha i pamięta o nim. Było to trudne, ale wciąż jeszcze do zniesienia. Ale teraz... teraz wszystko stało się potworne.

– Słyszałam, że nie zezwalają już na wizyty.

– Bo tak jest. Od czasu, gdy opanowali całe miasto. Nigdy nie wpadłabym na to, że można ot tak, po prostu, odciąć miasto od świata. Nigdy w życiu. Ale cóż, z faktu, że nie mogę sobie czegoś wyobrazić, nie wynika, że nie jest to możliwe. To bardzo subiektywny punkt widzenia. Prawda jest obiektywna. Wystarczy otworzyć drzwi, by ją zobaczyć. Wszystko, czego nie potrafię sobie wyobrazić, tam jest. Na wyciągnięcie ręki. – Głos jej się załamał.

Pastor nachylił się w przód.

– Mówisz tak, jakbyś się czuła winna, moja droga.

– Jak mogę czuć się winna? Co takiego zrobiłam, by się do tego przyczynić? Czy to ja stworzyłam świat takim, jaki jest? Czy to ja powołałam do życia ludzi małych i słabych, zazdrosnych, okrutnych i złych? Czy to moje dzieło? – Znów zaczęła drżeć.

Ujął jej dłoń i delikatnie pogłaskał.

– Oczywiście, że nie. A teraz powiedz, kiedy ostatnio rozmawiałaś z Haroldem i Jacobem. Jak oni się czują?

Otarła oczy, rzuciła Biblię na podłogę i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Przecież w tym musi być jakiś zamysł. Jakiś plan. Prawda, pastorze?

– Mam nadzieję – odparł ostrożnie.

Fuknęła ze złością.

– Och, wy, młodzi kaznodzieje! Wiernym potrzeba wsparcia, złudzenia, że znacie wszystkie odpowiedzi. Czy nikt was tego nie uczył?

Peters parsknął śmiechem.

– Ostatnio wyzbyłem się złudzeń.

– Naprawdę nie wiem, co powinnam zrobić.

– To wszystko się zmieni – powiedział. – Jestem tego pewien. Ale nie umiem przewidzieć, w jaki sposób do tego dojdzie i jakie będą te zmiany.

Lucille podniosła Biblię.

- Co zatem mamy robić? – spytała.
– To, co możemy.

* * *

Przez długi czas siedziała w milczeniu. Patrzyła tylko na Biblię i zastanawiała się nad słowami pastora. Co miał na myśli, mówiąc: „Zrobimy to, co możemy”? Zawsze należała do osób, które posłusznie wykonywały polecenia. A najlepszych wskazówek, jak kierować swym życiem, dostarczała jej Biblia. Dyktowała, jak ma się zachowywać, gdy była dzieckiem, a także wtedy, gdy zaczęła dorastać. Trzeba przyznać, że nie zawsze podporządkowywała się jej zasadom i czasem postępowała w sposób nie tyle może przez Księgę zakazany, ile nieakceptowany w pełni. To były piękne czasy i w gruncie rzeczy nikt nie ucierpiał z powodu tych drobnych odstępstw, nie wyłączając jej samej.

Po ślubie Biblia wciąż towarzyszyła jej w życiu, gdyż stając wobec trudnych pytań, zawsze szukała w niej odpowiedzi. Znalazła tam również wskazówki, jak stać się dobrą żoną, mimo że część z nich traktowała dość wybiórczo. Pewne zalecenia dla żon zupełnie straciły sens w obecnych czasach. Szczerze mówiąc, myślała, zapewne i w czasach biblijnych nie były zbyt rozumne. Gdyby miała postępować z mężem tak jak te biblijne kobiety... No cóż, świat wyglądałby zupełnie inaczej, a Harold pewnie zapiłby się na śmierć i nie doczekał cudu, jakim był powrót Jacoba.

Jacob. To on stanowił sens jej życia. To z jego powodu wylewała morze łez.

Dowiedziała się ostatnio, że gdzieś na świecie zabijają Przywróconych. Po to, by się ich pozbyć.

Nie działa się tak wszędzie, ale już się zaczęło.

Od tygodnia mówiono o tym w telewizji. W niektórych krajach, słynnych ze swego okrucieństwa, likwidowano ich natychmiast. Zabijano, a potem palono ciała, jakby zmarli z powodu jakiejś zakaźnej choroby. Co wieczór napływały nowe wiadomości, zdjęcia i nagrania wideo, a także coraz groźniejsze informacje w sieci.

Tego ranka Lucille zeszła na dół, nasłuchując swych samotnych kroków w ciemnym, opustoszałym domu. Gdy dotarła do salonu, dostrzegła, że telewizor jest włączony i cicho szepcze w pustym pokoju. Nie rozumiała, jak się to stało. Była przekonana, że wyłączyła go, nim poszła spać. Ale nie dałaby głowy. W końcu miała siedemdziesiąt trzy lata i omyłki tego rodzaju mogły jej się przydarzyć.

Było jeszcze wcześniej i łysy, czarnoskóry mężczyzna z cienkim, starannie

przystrzyżonym wąsikiem mamrotał coś pod nosem. W studio za jego plecami roiło się od ludzi. Wszyscy wyglądali młodo, mieli na sobie białe koszule i krawaty dyskretnej barwy. Pomyślała, że zżera ich ambicja i marzą tylko o tym, by pewnego dnia znaleźć się na pierwszym planie i zająć miejsce tysego.

Wzmocniła fonię, usiadła na kanapie i słuchała, co miał do powiedzenia, choć w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodziło.

– Dzień dobry. – Prezenter na ekranie najwyraźniej podjął jakiś wcześniej omawiany temat. – Główne informacje napływają dziś z Rumunii, gdzie władze uznały, że Przywrócenie nie mogą korzystać z praw obywatelskich, gdyż stanowią zjawisko zbyt „osobliwe”, by podlegać zasadom ochrony przysługującej normalnym obywatelom.

Lucille westchnęła. Nie potrafiła zrobić nic innego.

Czarnoskóry prezenter zniknął z ekranu, ustępując miejsca filmowej relacji z wydarzeń, które, jak przypuszczała, rozgrywały się w Rumunii. Dwaj żołnierze wyprowadzali z domu bladego, chudego mężczyznę. Szczupli, o gładko ogolonych, chłopięcych twarzach, poruszali się nieco niepewnie, jakby byli za młodzi, by zrozumieć działanie mechanizmu swych ciał.

– Los tych dzieci... – rzuciła w pustą przestrzeń domu. Na myśl o Jacobie, Wilsonach i Haroldzie poczuła, że żelazna obręcz ścisła jej pierś. Ręce zaczęły drżeć, a obraz w telewizji nagle zasnuła mgła. Na chwilę zastygła w oszołomieniu, łzy spływały jej po policzkach i zatrzymały się w kącikach ust.

W którymś momencie życia – choć nie pamiętała dokładnie którym – obiecała sobie, że nigdy więcej nie pozwoli sobie na łzy. Uznała, że jest na to za stara. Osiągnęła etap, w którym wszystko, co doprowadza człowieka do płaczu, powinno stracić znaczenie. I choć nie utraciła zdolności odczuwania, przestała płakać. Stało się to, być może, i dlatego, że w ciągu wszystkich lat, które spędziła z Haroldem, nigdy nie widziała, by uronił choć łzę. Nigdy.

Teraz jednak było już za późno. Płakała, nie mogąc się powstrzymać, i po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna czuła, że żyje.

Prezenter mówił coś w tle, podczas gdy na ekranie zakuwano mężczyznę w kajdanki i wpychano go na platformę dużej wojskowej ciężarówki, gdzie tłoczyli się już inni Przywrócenie.

– Rumuńska inicjatywa nie została dotąd skomentowana przez NATO, ONZ a także Biuro do spraw Przywróconych. Jednakże nieliczne opinie kilku państw są mocno podzielone. Jedne popierają rumuńskie rozwiązanie, według innych natomiast rumuńskie władze winne są pogwałcenia podstawowych praw człowieka.

Potrząsnęła głową. Z twarzą wciąż mokrą od łez powtórzyła:

– Los tych dzieci...

To nie dotyczyło tylko odległych państw. Bynajmniej. To działo się tutaj, w Ameryce. Ci cholerni głupcy z Ruchu Prawdziwie Żywych rozplenili się wszędzie, tworząc różne ugrupowania na obszarze całego kraju, od jednego krańca do drugiego. W większości przypadków ograniczali się do gadania. Ale od czasu do czasu ktoś ginął w tajemniczy sposób, a wkrótce potem jakaś grupa powołująca się na „obronę żywych” przyznawała się do odpowiedzialności.

Taki przypadek miał miejsce również w Arcadii, choć o tym nie mówiono. Jeden z Przywróconych, cudzoziemiec, leżał martwy w rowie przy autostradzie. Zginął od strzału z karabinu.

Z każdym dniem sytuacja coraz bardziej się pogarszała, a ona potrafiła myśleć tylko o Jacobie.

Biedny, biedny Jacob.

Gdy Lucille wyszła, a żona w końcu zapadła w sen, Pastor Peters usiadł samotnie w gabinecie, odczytując po raz kolejny list, który przyszedł z Biura do spraw Przywróconych.

Ze względów bezpieczeństwa publicznego Elizabeth Pinch i wszyscy Przywrócenie pochodzący z określonego okręgu Missisipi zostali umieszczeni na terenie wyznaczonego w tym celu obiektu w Meridian. List nie podawał żadnych szczegółów. Zapewniał tylko, że zatrzymani traktowani są w sposób stosowny do okoliczności i z poszanowaniem praw człowieka. Utrzymany w typowo biurokratycznym stylu tekst brzmiał rzeczowo i oficjalnie.

W całym domu zapadła cisza. Jedynie z końca holu dobiegało głośnie tykanie starego zegara, który należał ongiś do pradziadka żony. Dostała go w prezencie od ojca zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak zachorował na raka i niebawem zmarł. Wyrastała obok tego wielkiego, starego zegara, którego uderzenia odmierzały wszystkie chwile jej dzieciństwa. Gdy wyszła za mąż, brak znajomego dźwięku tak dalece wytrącał ją z równowagi, że musieli kupić metronom, by zastąpić nim rytmiczne tykanie. Inaczej nie mogła zasnąć.

Pastor wyszedł na korytarz i stanął przed zegarem. Wysoka, niemal dwumetrowa obudowa była bogato rzeźbiona, a wahadło miało wielkość pięści. Poruszało się tam i z powrotem tak bezszelestnie, jakby zegar zmontowano wczoraj, a nie przed stu laty.

Dla rodzeństwa żony stanowił on niemal klejnot rodowy. Kiedy zmarł ich ojciec, między siostrami i bratem wybuchł gwałtowny spór. Nie dotyczył jednak kosztów pogrzebu, domu ojca ani jego skromnych oszczędności. Wszyscy domagali się tylko zegara pradziadka. Po dziś dzień stosunki rodzinne były z tego powodu mocno nadwerężone.

Ale gdzie teraz jest ich ojciec? – zastanawiał się pastor.

Zauważył, z jaką starannością żona pielęgnowała zegar od chwili, gdy zaczęły się powroty. Pachniał świeżym woskiem i olejkami do czyszczenia.

Odsunął się od starego zegara i ruszył dalej, obchodząc dom. Wszedł do salonu i stał tam przez chwilę, patrząc na różne przedmioty, jakby chciał zachować je w pamięci.

Stół pośrodku pokoju znaleźli w trakcie swej długiej przeprowadzki z Missisipi. Kanapę zaś kupili podczas kościelnej wizyty w Wilmington. Był to jeden z nielicznych zakupów, który popierali oboje. Miała wzory białe i błękitne – „To błękit Karoliny”, dumnie oznajmił sprzedawca – oraz białe i niebieskie lamówki na ozdobnych poduszkach. Oparcia boczne miękko odchyłały się na zewnątrz, a poduchy siedziska były szerokie, miękkie i obfite.

Stanowiła całkowite przeciwieństwo stołu, który żona kupiła w Tennessee. Kiedy zobaczyli go po raz pierwszy, z miejsca wykluczył ten zakup. Mebel wydawał się zbyt delikatny, wykonany ze zbyt ciemnego drewna i zdobiony zbyt płaskim ornamentem. Pastor uznał, że nie wart jest swojej ceny.

Przeszedł przez salon, zbierając książki z miejsc, w których przypadkiem się znalazły. Robił to powoli i ostrożnie – ocierał z kurzu każdą, którą podniósł, a następnie wkładał na półkę tam, gdzie było jej miejsce. Od czasu do czasu rozchyłał jakąś okładkę, wsuwał palec pomiędzy kartki i przesuwiał nim z góry na dół, wciągając zapach i delektując się dotykiem, jak gdyby nigdy już nie miał zobaczyć żadnej z nich. Jak gdyby w końcu przegrał z nieubłagany marszem czasu.

Porządkował książki bardzo długo, nie zdając sobie sprawy z upływu godzin. Ocknął się dopiero wtedy, gdy ucichły świerszcze i gdzieś w oddali zaszczekał pies, ogłaszając nadejście świtu.

Czekał już zbyt długo.

Ale pomimo zwłoki i lęku, który go ogarnął, wciąż spokojnie i wolno poruszał się po domu.

Najpierw wszedł do swego gabinetu i odszukał list z Biura do spraw Przywróconych. Następnie wziął swój notes i, owszem, Biblię, by włożyć je do torby kurierskiej, którą dostał od żony w ostatnie święta Bożego Narodzenia.

Następnie wyciągnął zza stolika z komputerem worek z ubraniami. Przygotował je zaledwie poprzedniego dnia, gdyż żona bardzo często zabierała rzeczy do prania. Gdyby spakował się wcześniej, z pewnością zauważyłaby ich brak w szafie. On zaś chciał odejść, nie wywołując scen. Tak tchórzliwie, jak tylko było to możliwe.

Cicho dotarł do drzwi i wyszedł na dwór. Gdy kładł ubrania i kurierską torbę na tylnym siedzeniu samochodu, słońce już wschodziło i choć wciąż jeszcze nie wyłoniło się zza drzew, z każdą sekundą wspinało się wyżej.

Po chwili wrócił do domu i wolno ruszył w stronę sypialni. Żona zwinięta w mały kłębek leżała pośrodku łóżka.

To ją głęboko zrani – pomyślał.

Wiedział, że wkrótce się obudzi. Zawsze wstawała wcześnie. Położył małą kartkę na stoliku przy łóżku i przez chwilę chciał pocałować śpiącą.

W końcu jednak porzucił ten zamiar i wyszedł.

Obudziła się w pustym domu. W holu zegar pradziadka odmierzał czas. Słońce przeciskało się przez żaluzje i pomimo tak wczesnej pory było już bardzo ciepło. Zapowiadał się upalny dzień.

Zawołała męża, lecz nie odpowiedział.

Pewnie znów zasnął w gabinecie, pomyślała. Ostatnio często mu się to zdarzało, czym nieco ją martwił. Właśnie miała zawołać go ponownie, gdy dostrzegła karteczkę na stoliku nocnym, a na niej swoje imię wypisane dużymi, prostymi literami.

Nie miał zwyczaju zostawiać jej listów.

Nie płakała, czytając, co napisał. Odchrząknęła tylko, jak gdyby chciała wydobyć z gardła głos, by odpowiedzieć. Potem siedziała, słuchając własnego oddechu i mechanicznego dźwięku zegara w holu. Pomyślała o ojcu i jej oczy nabrzmiały łzami, choć wciąż jeszcze nie pozwalała im spłynąć.

Słowa męża były rozmazane i odległe, jakby wyłaniały się zza gęstej mgły. Mimo to przeczytała je ponownie:

„Kocham Cię” – napisał krótko.

A pod spodem dodał: „Ale muszę wiedzieć”.

Jim Wilson

Jim nic z tego nie rozumiał. Skąd wzięli się ci żołnierze i jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Fred Green? Pamiętał go przecież jako sympatycznego faceta. Nigdy

wprawdzie nie byli kumplami, ale tylko dlatego, że każdy pracował gdzie indziej i obracali się w innych kręgach. Po prostu brakowało czasu i okazji, żeby się zaprzyjaźnić. Ale czy mogło to wpłynąć na obecną sytuację?

Był teraz więźniem. Do domu wtargnęli żołnierze i wyprowadzili go pod bronią razem z rodziną. Tyle że z niezrozumiałych powodów przyjechał tam również Fred Green, by wszystko obserwować. Zatrzymał się swym starym pikapem za wojskowymi pojazdami i siedział w kabinie, gdy wyprowadzano ich w kajdankach.

Co go tak zmieniło? To pytanie nie dawało Jimowi spokoju przez całą noc. Gdyby spróbował odpowiedzieć na nie wcześniej, być może nie zostaliby zatrzymani.

Stał teraz w zatłoczonej szkole razem z tulącą się do niego rodziną, czekając w kolejce na lunch, który nie zasługiwał na swą nazwę.

– Co się z nim stało? – zwrócił się do żony. Pytał już o to wcześniej, ale żadna z odpowiedzi, których mu udzieliła, nie wyjaśniała tej zagadki. Uznał zatem, że próba rozwiązania mrocznej tajemnicy Freda Greena to najlepszy sposób, by oderwać myśli od sytuacji, w której się znaleźli.

– On nie był dawniej taki...

– Kto? – spytała Connie. Otarła usta Hannah, ponieważ od chwili gdy ich aresztowano... czy może zatrzymano... dziewczynka nieustannie coś żuła. Lęk, jak wiadomo, objawia się na różne dziwne sposoby.

– Jesteś za duża, żeby zachowywać się jak niemowlę – upomniwała ją matka.

Na szczęście Tommy nie przysparzał kłopotów. Od kiedy wyciągnięto ich z domu Hargrave'ów, wciąż jeszcze nie doszedł do siebie i nie miał dość energii, by psocić. Siedział spokojnie, niewiele mówił i wydawał się bardzo odległy.

– Myślę, że nigdy taki nie był – powtarzał w kółko Jim. – Co się zmieniło? To on się zmienił, czy może my? Wydaje się niebezpieczny.

– O kim ty mówisz? – zaniepokoiła się Connie.

– O Fredzie. Fredzie Greenie.

– Słyszałam, że umarła mu żona – odparła bezbarwnym głosem. – Podobno od tamtej pory nie jest już taki sam.

Jim zamilkł. Z trudem wygrzebał z pamięci obraz żony Freda. Była śpiewaczką. I to cholernie dobrą. Wysoka i smukła, przypominała pięknego, królewskiego ptaka.

Objął wzrokiem swoją rodzinę. Patrzył na żonę i dzieci, uświadamiając sobie nagle, czym dla niego są i jak wiele znaczą, a także, jak wiele człowiek może znaczyć dla drugiego człowieka.

– Sądzę, że to możliwe – powiedział. A potem nachylił się i pocałował żonę,

wstrzymując oddech, jak gdyby mógł w ten sposób zatrzymać czas – jakby ten pocałunek mógł uchronić ją, jego rodzinę i wszystko, co kochał, od wszelkiego zła. Sprawić, że nigdy go nie opuszczą.

– Za co to było? – spytała Connie, gdy w końcu ich usta się rozstały. Zaróżowiła się nieco i zawstydzila jak wtedy, gdy byli młodszy i dopiero uczyli się całować.

– Za wszystko, czego nie potrafię wyrazić słowami – wyszeptał.

Rozdział 15

Harold nie posunąłby się do tego, by twierdzić, że polubił młodego żołnierza, ale przyznawał, że widzi w nim pewne zalety. W każdym razie coś, co było mu bliskie. A w świecie, w którym zmarli przestają być zmarłymi, bliskość w każdej postaci zdawała się błogosławieństwem.

Był to ten sam młodzieniec, z którym zetknął się przed ponad tygodniem, w dniu zamieszek. To ich połączyło.

Gdy opadł kurz bitewny, okazało się, że jakimś cudem nikt poważnie nie ucierpiał. Skończyło się na kilku sińcach i zadrapaniach. Odnieśli je nieliczni, których żołnierze przygnietli do ziemi, chroniąc ich przed atakiem. Do szpitala trafiła tylko jedna osoba z powodu alergicznej reakcji na gaz łzawiący. Ogólnie rzecz biorąc, nikomu nic się nie stało.

Wszystko to wydawało się teraz tak odległe, jakby się wydarzyło przed wielu laty. Ale Harold wiedział, że podobnie jak w przypadku innych wydarzeń rozgrywających się na Południu, niczego nie zapomniano. Tyle tylko, że pamięć chwilowo przytłumił upał, a reakcje łagodziła uprzejmość, z jaką straż odnosiła się do „szanownych pań i panów”.

Pod pozorami spokoju wrzało jednak nieustanne napięcie.

Siedział na drewnianym stołku pod najeżonym drutem kolczastym ogrodzeniem, które nazwano Barykadą.

Te odrażające w swej brzydocie zasieki wyrosły w groźnym tempie. Wyłoniły się z południowego krańca miasta, obok starej, rozpadającej się stacji benzynowej, by popęznąć dalej, przecinając podwórza i owijając się wokół domów. Te zresztą dawno przestały być domami, gdyż przekształciły się w wojskowe posterunki. Barykada niebawem otoczyła całe miasto – opasała cuchnącą, zrujnowaną szkołę, okrążyła domy i sklepy, objęła straż pożarną i biuro szeryfa, które mieściły się obok siebie. Strzeżona przez uzbrojonych żołnierzy zagarnęła wszystko.

Jedynie domy stojące na uboczu, własność farmerów i tych, którzy stronili od miasta, takich jak Harold, Lucille, pastor i kilkoro innych, znajdowały się poza jej granicami. Domostwa mieszkańców centrum zamieniono na internaty. Ich samych natomiast – wobec skrajnego przepełnienia szkoły – przeniesiono pod przymusem do hoteli w Whiteville. Do opuszczonych domów wkraczało wojsko, by wstawić tam łóżka polowe i zakwaterować Przywróconych. Budziło to powszechne protesty, ale Arcadia

nie była jedynym miastem, w którym tak się działo, ani Ameryka jedynym krajem, który tego doświadczał.

Nagle się okazało, że na świecie jest zbyt wielu ludzi. Wydawanie koncesji na życie wydawało się kwestią czasu.

Miasto zostało wchłonięte przez falę wydarzeń, odcięte zasiekami, opanowane przez wojsko i tłumy Przywróconych, a nadto dławił je przymus, który towarzyszył rozwojowi spraw.

Ale Arcadia nie mogła pomieścić wszystkich. Jeśli nawet przeniesienie części mieszkańców szkoły do prywatnych domów przyniosło pewną ulgę, to na bardzo krótko. Wkrótce bowiem wolne miejsca znów się zapełniły. Przejęcie całego miasta przez władze nie zapewniło nikomu spokoju.

Harolda cieszyła myśl, że przed laty wspólnie z Lucille podjęli decyzję, by zamieszkać z dala od centrum. Nie wyobrażał sobie, by mógł oddać swój dom, nawet gdyby wymagał tego obowiązek obywatelski.

Za Barykadą otaczającą Arcadię rozciągał się sześciometrowej szerokości pas nagiej ziemi zamknięty zewnętrznym ogrodzeniem. Żołnierzy rozstawiono co sto metrów. Niekiedy patrolowali nie tylko Barykadę, lecz i całe miasto. Maszerując przez nie, zbijali się w grupy, a szczęk ich broni rozlegał się na tych samych ulicach, na których kiedyś bawiły się dzieci. Na ich widok ludzie przystawali i wypytywali o rozwój sytuacji, nie tylko w Arcadii, ale i gdzie indziej, w oczekiwaniu nadziei na zmiany.

Ale żołnierze nieczęsto odpowiadali na te pytania.

Na ogół jednak stali, a czasem nawet siadali przy Barykadzie, sprawiając wrażenie obojętnych lub znudzonych, w zależności od światła, jakie w danej chwili padało na ich twarze.

Młodzieniec, który zwrócił uwagę Harolda, zwany był powszechnie Juniorem. Stanowiło to pewną zagadkę, ponieważ sam twierdził, że nigdy nie znał swojego ojca i nie mógł odziedziczyć po nim imienia. Naprawdę nazywał się Quinton, ale jak daleko sięgała pamięć, zwracano się do niego „Junior”, a on uznał to za imię równie dobre jak każde inne.

Junior był gładko ogolony i chętny do pomocy. Spełniał wszystkie warunki, jakie armia stawia rekrutowi. Będąc nastolatkiem, nim jeszcze założył mundur, nie przekłuł sobie uszu, nie wytatuował twarzy, rąk ani nóg i nie zrobił nic, co stanowiłoby przejaw buntu. Zaciągnął się do wojska na prośbę matki, która twierdziła, że prawdziwi

mężczyźni są tylko w armii. Gdy w wieku siedemnastu lat ukończył szkołę średnią, matka zawiozła go do biura rekrutacji i zgłosiła do służby.

Wyniki jego testów nie były imponujące, ale potrafił stać, trzymać broń i wykonywać polecenia, a tego właśnie od niego wymagano, gdy przez większość dnia pilnował miasta, które pękało w szwach z nadmiaru Przywróconych. Uświadomił sobie również, że ostatnio coraz więcej czasu spędza w towarzystwie pewnego zgryźliwego Południowca i jego zmarłego przed pół wiekiem syna. Junior tolerował starego, lecz z trudem znosił chłopca, który nie odstępował ojca.

– Jak długo jeszcze będą cię tu trzymać? – spytał Harold ze swego drewnianego stołka za Barykadą. Zwracał się do pleców Juniora, w ten bowiem sposób przebiegały na ogół ich konwersacje. W pewnej odległości od nich, tuż za zasięgiem słuchu, siedział Jacob, patrząc, jak ojciec rozmawia z żołnierzem.

– Nie wiem – odparł Junior. – Pewnie tak długo jak pana.

– Hmm – mruknął Harold znużonym głosem. – Myślę, że potrwa to krócej niż dotąd. Tyle, na ile pozwolą istniejące warunki. Ktoś chyba w końcu znajdzie jakieś rozwiązanie, jak pragnę łaski koguta.

Od wielu dni wymyślał dla Juniora różne powiedzenia, im bardziej dziwaczne, tym lepiej. Szło mu znakomicie. Wystarczyło bez sensu wpleść w kontekst wzmiankę na temat pogody, zwierząt hodowlanych lub krajobrazu. A gdy chłopak pytał, co to znaczy, raczył go na poczekaniu dowolnym wyjaśnieniem. Cała sztuka polegała na tym, by zapamiętać, co dotąd wymyślił, i unikać powtórzeń.

– O rany, co to znaczy, proszę pana?

– Na Boga! Nigdy nie słyszałeś o łasce koguta?

Junior obrócił się do niego twarzą.

– Nie, proszę pana, nigdy.

– To naprawdę niesłychane! Prędzej mi rzepa wyrośnie na dłoni, niż w to uwierzę, synu!

– Tak, proszę pana.

Harold zgasił obcasem papierosa i wymacał kolejnego w na pół opróżnionym pudełku. Junior przyglądał mu się z uwagą.

– Palisz, synu?

– Nie na służbie, proszę pana.

– Zostawię ci jednego – obiecał szeptem. Efektownym ruchem zapalił papierosa i zaciągnął się wolno i długo. Pomimo bólu w piersiach nadrabiał miną.

Junior spojrział w niebo. Panował upał większy, niż się spodziewał, gdy

skierowano go w to miejsce. Wcześniej wiele słyszał o Południu, a Topeka była już wystarczająco ciepła. Ale tutaj, w tym mieście, upał trwał nieustannie. Każdego dnia.

– Mogę cię o coś spytać? – ponownie odezwał się Harold.

Junior nie znosił tego miejsca. Co do tego nie miał wątpliwości. Ale stary był zabawny.

– Niech pan pyta – odparł.

– Jak tam jest?

– Gorąco. Tak jak u pana.

– Nie. – Harold z uśmiechem pokręcił głową. – Zabrali nam telewizję i komputery. Pytam, co słysząc na świecie.

– To nie nasza wina – zaczął się bronić Junior, nim jeszcze został oskarżony. – Taki mieliśmy rozkaz.

Zbliżał się mały patrol. Byli to dwaj żołnierze z Kalifornii, którzy, jak się zdawało, zawsze pełnili służbę o tej samej porze. Szli tą samą drogą co zwykle, skinęli głowami i pomaszrowali dalej, nie zwracając większej uwagi na Juniora i starego człowieka.

– Dziwne – rzekł młodzian.

– Co jest dziwne?

– No... to... coś.

Harold się uśmiechnął.

– Będziemy musieli popracować nad twoim słownictwem, synu.

– No bo... wszyscy są zagubieni.

Stary człowiek pokiwał głową.

– Zagubieni i wystraszeni – dodał z ociąganiem żołnierz.

– No to wyobraź sobie, jak jest tutaj.

– Inaczej – odparł Junior. – U was wszystko jest pod kontrolą. Macie wyżywienie. I czystą wodę.

– Nareszcie – westchnął Harold.

– No dobra – zgodził się chłopak. – To zabrało nam trochę czasu, ale nawaliła logistyka. W każdym razie i tak jest u was lepiej niż tutaj. W końcu jesteście tam z własnej woli.

– Ja nie.

– Bo nie chciał pan zostawić tego czegoś. – Wskazał Jacoba, który wciąż spokojnie siedział tuż za zasięgiem słuchu, posłuszny poleceniu. Miał na sobie bawełnianą koszulę w paski i dżinsy, które Lucille przyniosła przed tygodniem. Przez cały czas wpatrywał się w ojca, niekiedy tylko podnosząc wzrok na lśniąca stal Barykady. Wodził po niej

oczyrna, jakby nie rozumiejąc, skąd się tu wzięła i co oznacza.

Junior skierował na niego wzrok.

– Chcieli zabrać to coś – mruknął. – Proponowali, że zabiorą. Ale pan postanowił z tym zostać, tak jak cała reszta tych Prawdziwie Żywych, którzy się tu wprowadzili. Sami podjęliście taką decyzję, więc nie macie powodu denerwować się i niepokoić. To niezła sytuacja.

– Pewnie nie widziałeś naszych toalet.

– Za tym ogrodzeniem jest całe miasto. – Żołnierz odwrócił się do niego twarzą. – Macie jedzenie i wodę, wszystko, czego możecie potrzebować. Nawet boisko baseballowe.

– Na boisku mieszkają ludzie. Stoją tam namioty. To slumsy.

– A obok Renta-Johns z pełnym wyposażeniem. – Wskazał ręką w dal, w kierunku rzędu błękitno-białych, prostokątnych kabin sanitarnych.

Harold westchnął.

– Nie jest pan zadowolony – rzekł. – Ale to luksus w porównaniu z tym, co dzieje się gdzie indziej. Mój kumpel stacjonuje w Korei. Najgorzej jest w małych krajach. Duże państwa mają wiele terenów, gdzie można umieścić Przywróconych. Ale Korea, a także Japonia, są w ciężkiej sytuacji. Po prostu brak dla nich miejsca.

– Mają tam tankowce – Junior zniżył głos. Szeroko rozpostarł ręce, pokazując coś ogromnego. – Prawie tak wielkie jak te na ropę. Całe są nimi zapchane. – Odwrócił wzrok. – Są ich tłumy.

Harold patrzył na dopalającego się papierosa.

– Jest ich po prostu za dużo i wszyscy mają dość – ciągnął tamten. – Nie ma ich gdzie pomieścić i nikt nie chce się tym zajmować. Ludzie już nie dzwonią, żeby powiedzieć, że znaleźli kolejnego. Po prostu pozwalają im wałęsać się po ulicach – mówił Junior przez siatkę. Mimo powagi sprawy z zupełną obojętnością przekazywał posiadane informacje. – Nazywamy te tankowce „barkami śmierci”. W telewizji inaczej o nich mówią, ale to prawdziwe barki śmierci. Ładownie pełne zmarłych.

Nie przerywał swojej tyrady, ale Harold nie słuchał. Wyobraźnia podsunęła mu obraz potężnego, ciemnego statku dryfującego bez celu po płaskim, matowym oceanie. Jego kadłub – stal, nity i spawy – groźnie wynurzał się z wody. Była to wizja z horroru – przeklęty statek sunący po przeklętym morzu. Na pokładzie, spiętrzone jedne na drugich, każdy ciemniejszy i cięższy niż ten pod nim, stały towarowe kontenery. A w każdym z nich zduszona masa Przywróconych. Od czasu do czasu statek się poruszał, kołysany to w przód, to w tył niewidocznym drgnieniem oceanu. Ale oni tkwili w

stalowych kapsułach, nieporuszeni i zapomniani. Było ich tysiące. Dziesiątki tysięcy stłoczone w ciemnych kontenerach popychanych i przesuwanych po ziemi.

Patrzył na nich z oddali, widząc wszystkich razem i każdego z osobna, tak wyraźnie i szczegółowo, jak to możliwe tylko we śnie. W tej flotyli umarłych rozpoznał wszystkich, których znał. A także własnego syna.

Nagle ogarnął go chłód.

– Powinien ich pan zobaczyć – mówił Junior.

Zanim jednak Harold zdołał odpowiedzieć, wstrząsnął nim atak kaszlu. Potem niewiele już pamiętał. Poczuł tylko przeszywający ból i nagle, tak jak poprzednim razem, słońce zawisło mu nad twarzą, a ziemia nieoczekiwanie się zbliżyła i delikatnie dotknęła pleców.

Ocknął się z tym samym uczuciem niepokoju, jakiego doświadczył, gdy wydarzyło się to poprzednio. Wszystko wydawało się odległe i nierzeczywiste. Pierś przeszywał mu ostry ból, a płuca dławiło coś mokrego i ciężkiego. Próbował odetchnąć, ale nie pracowały, jak powinny. Jacob stał tuż przy nim, a obok niego Junior.

– Panie Haroldzie... – wyjąkał Junior, klękając.

– Nic mi nie jest – odparł. – Dajcie mi tylko minutę. – Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny. W każdym razie wystarczająco długo, by żołnierz zdołał dojść do jednej z bram i przedostać się na drugą stronę ogrodzenia. Wciąż miał karabin na ramieniu.

– Tato? – szepnął przerażony Jacob.

– Co? – wychrypiał z trudem.

– Nie umieraj, tato.

* * *

W ostatnich czasach życie zbyt często przypominało zły sen, toteż Lucille zupełnie przestała sypiać. Tak dalece zapomniała o śnie, że wręcz nie odczuwała jego braku. Chwilami tylko niewyraźnie, jakby z oddali, przypominała sobie, czym on jest. Czasem przypominamy sobie w ten sposób odgłos samochodu, którym jeździliśmy w dzieciństwie, słysząc jego brzmienie pośród szumu odległej autostrady.

A gdy w końcu udało jej się zasnąć, działo się to tylko przypadkiem i budziła się potem gwałtownie w niewygodnej pozycji. Odnosiła wrażenie, że książka, którą zazwyczaj trzymała na kolanach, wpatruje się w nią, z trudem utrzymując się w

miejscu, jakby czekała, aż czytelniczka powróci do przerwanej lektury. Zdarzało się też niekiedy, że okulary wpadały między kartki, zsuwając się z nosa podczas snu.

Czasem wchodziła nocą do kuchni i po prostu tam stała, wsłuchana w otaczającą ją pustkę. Wtedy z ciemności jak dym wypływały wspomnienia, a dom znów tętnił obecnością Jacoba i Harolda. Najczęściej wspominała pewien październikowy wieczór. Nie był on niczym niezwykłym, lecz dlatego właśnie stał się tak ważny.

W świecie, w którym wszystko zdawało się magią, przypominał, że nie istnieje nic cenniejszego niż chwile normalności.

Owego wieczoru, podobnego do wielu innych, Harold siedział w salonie i nieudolnie brzękał w struny gitary. Był okropnym muzykiem, ale miał wiele energii i prawdziwej pasji. W każdym razie dopóki żył Jacob. Gdy nie pracował, uczył się grać, majsterkował lub zajmował się synem.

Jacob hałasował na górze, wyciągając z pudła zabawki i rozrzucając je po drewnianej podłodze. Przypomniała sobie, jak przesuwiał meble w swoim pokoju, co wciąż się powtarzało mimo surowego zakazu. Kiedy rodzice spytali, czemu to robi, odpowiedział po prostu: „Czasem zabawki tego wymagają”.

Podczas gdy Harold fałszował na gitarze, a Jacob zajmował się zabawkami, Lucille w kuchni z zapalem przygotowywała świąteczny obiad. W piekarniku piekła się szynka, a na kuchni dochodziły kurczak i kapusta. Był też oczywiście sos pieczeniowy, ziemniaki piure, doprawiony tymiankiem ryż, kukurydza i papryka, fasolka biała i szparagowa, ciasto czekoladowe, pierniczki i pieczony indyk.

– Nie rób u siebie bałaganu, Jacob! – zawołała. – Zaraz siadamy do stołu.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedział, a potem dodał: – Tylko jeszcze coś zbuduję!

– Co chcesz budować? – spytała z dołu.

Harold siedział w salonie. Trącał w struny, piłując jakąś piosenkę Hanka Williamsa, którą próbował opanować.

– Nie wiem – odparł Jacob.

– Chyba najpierw powinienes się dowiedzieć.

Wyjrzała przez okno i spojrzała na chmury, które przepływały na tle bladego, idealnie wyraźnego księżyca.

– Potrafiłbyś zbudować dom? – zaciekawiała się.

– Dom? – Chłopiec się zamyślił.

– Wysoki, duży dom ze sklepionym stropem i tuzinem sypialni.

– Przecież nas jest tylko troje. A ty i tata śpicie w jednym łóżku. Potrzebujemy

tylko dwóch sypialni.

– A jeśli ktoś nas odwiedzi?

– To może spać w moim łóżku.

Coś w jego pokoju głośno upadło na podłogę.

– Co tam się dzieje?

– Nic.

Rozległy się dźwięki maltretowanej przez Harolda gitary.

– Ej, chyba jednak coś.

– Wszystko jest w porządku – upierał się Jacob.

Lucille sprawdziła, czy nic się nie przypala, ale wszystko było bez zarzutu. Zapach potraw rozchodził się po całym domu, przenikał szczeliny w ścianach i niósł się dalej w świat.

Zadowolona wyszła z kuchni i poszła sprawdzić, co robi Jacob.

Jego pokój wyglądał tak, jak się spodziewała. Chłopiec przewrócił łóżko na bok i zepchnął je pod ścianę, tak że materac sterczał jak barykada, a wezgłowie i oparcie nóg przypominały potężne przypory. Z wnętrza tej prowizorycznej fortecy wysypywała się góra chaotycznie rozrzuconych klocków.

Lucille stała w drzwiach, wycierając dłonie ścierką. Od czasu do czasu chłopiec wyciągał rękę zza barykady i sięgał po któryś z klocków, by dołożyć go do jakiejś niewidocznej budowli.

Westchnęła, lecz nie czuła irytacji.

– On będzie architektem – oznajmiła, wchodząc do salonu i ze zmęczenia osuwając się na kanapę. Demonstracyjnie otarła ścierką czoło.

Harold znów nieudolnie trącił w struny.

– Być może – zdołał powiedzieć, lecz chwila nieuwagi sprawiła, że palce do reszty mu się poplątały. Ułożył je ponownie i znów zaczął grać.

Lucille wyciągnęła się na kanapie. Obróciła się na bok, podciągnęła nogi, podłożyła ręce pod głowę i sennie patrzyła, jak mąż boryka się ze swą muzyczną nieudolnością.

Jest taki piękny, myślała. A najbardziej zachwycił ją wtedy, gdy coś mu nie szło.

Jego ręce, choć niestworzone do gitary, były mocne i zwinne. A palce gładkie i dziwnie miękkie. Miał na sobie niebiesko-czerwoną flanelową koszulę, którą mu kupiła z nadejściem pierwszych mrozów. Zaprotestował, gdy zobaczył, jak ciasno go opina. Ale nazajutrz włożył ją do pracy, a po powrocie oznajmił, że jest wspaniała.

– Nie przeszkadzała mi w robocie – dorzucił. Był to drobiazg, ale przecież

drobiazgi mają znaczenie.

Spodobało jej się, że nosił dżinsy – spłowiałe, ale czyste. Jej ojciec spędził większość swojego życia, głosząc kazania dla ludzi, którzy prawie go nie słuchali. Zawsze jednak wkładał eleganckie ubrania, na które ani on, ani jego rodzina nie mogli sobie pozwolić. Jednak matka Lucille przywiązywała ogromną wagę do tego, by mąż wyglądał, jak przystało na członka Armii Zbawienia. Nieważne, jakim kosztem.

Tak więc gdy przed laty pojawił się Harold w dżinsach, poplamionej koszuli i z tym swoim nieufnym uśmiechem, zakochała się najpierw w jego ubiorze, a po pewnym czasie w mężczyźnie, który go nosił.

– Rozpraszasz mnie – powiedział, uderzając kolejny raz w szóstą strunę.

Ziewnęła, ogarnięta niepohamowaną sennością.

– Nie chciałam – odparła.

– Idzie mi coraz lepiej – oznajmił.

Uśmiechnęła się.

– Po prostu musisz ćwiczyć. Masz grube palce, to utrudnia grę.

– Myślisz, że to jest powód? Moje grube palce?

– Tak – mruknęła bardzo, bardzo senna. – Ale ja lubię grube palce.

Uniósł brew.

– Tato? – zawołał Jacob ze swego pokoju. – Z czego robi się mosty?

– On będzie architektem – wyszeptwała.

– Z różnych rzeczy! – krzyknął Harold.

– Jakich?

– Zależy, co kto ma.

– Och, Haroldzie! – westchnęła Lucille.

Oboje czekali na następne pytanie, ale nie padło. Rozległ się tylko odgłos przewracanych klocków, jakby ktoś burzył budowlę, by rozpocząć prace od nowa.

– Będzie budował domy – powtórzyła.

– Pewnie za tydzień zmieni zdanie.

– Nie zmieni – upierała się przy swoim.

– Skąd wiesz?

– Matka wie takie rzeczy.

Harold położył gitarę na podłodze obok swojej nogi. Lucille zdążyła już zapaść w sen. Wziął z szafki w holu niewielki koc i ją przykrył.

– Czy nie powinienem zrobić czegoś z jedzeniem? – spytał.

Ale ona zdołała tylko wymamrotać:

– Będzie budował różne rzeczy. – A potem pogrążyła się w głębokim śnie. Zarówno we wspomnieniach, jak i teraz w swym pustym, samotnym domu.

Obudziła się na kanapie w salonie, leżąc na boku z rękami pod głową i podkulonymi nogami. Krzesło, na którym powinien siedzieć Harold, brzdąkając na swej gitarze, było puste. Zaczęła nasłuchiwać, czy z sypialni Jacoba nie dobiegają odgłosy rzucanych klocków. Ale odpowiedziała jej jeszcze głębsza cisza.

Usiadła, wciąż niezbyt przytomna, czując, że z wyczerpania pieką ją oczy. Nie wiedziała, jak się w tym miejscu znalazła i kiedy zasnęła. Jej pamięć zatrzymała się w chwili, gdy stojąc przy kuchennym zlewie, wyglądała przez okno i przygotowywała się do zmywania.

Musiało być bardzo późno albo bardzo wcześnie. Powietrze przenikał chłód, jak to bywa z początkiem jesieni, a na dworze trwał koncert świerszczy. Jeden z nich wtargnął do środka, zainstalował się na górze w jakimś zakurzonej kącie i wywodził tam swoje trele.

Bolały ją wszystkie kości i, co znacznie gorsze, ogarnął ją strach.

Nie chodziło tu jednak o realność snu ani o to, że był to pierwszy sen od tygodni i przypuszczała, że nie zapowiada nic dobrego. Najbardziej wstrząsnęło nią, że znalazła się na powrót w swym starym, zmęczonym ciele.

We śnie miała mocne i zdrowe nogi, a teraz spuchły jej kostki i bolały kolana. We śnie czuła się silna. Pewna, że zwycięży wszelkie trudności. Złe przeczucia, które ją ogarnęły, zdawały się mniej groźne. Nawet gdyby przemieniły się w koszmar, mogłaby się z nim zmierzyć. Była przecież młoda. We śnie.

Obudziła się jednak starą kobietą. I, co gorsza, samotną starą kobietą. Samotność ją przerażała. Zawsze tak było i wiedziała, że zawsze tak będzie.

– Miał zostać architektem – powiedziała w pustkę. A potem zaczęła płakać.

Uspokoili się dopiero po pewnym czasie. Miała wrażenie, że jakiś wewnętrzny wentyl znalazł ujście i nieznośne napięcie osłabło. Gdy zmusiła się, by wstać, artretyczny ból zaatakował jej kości. Głęboko wciągnęła powietrze i opadła z powrotem na sofę.

– O mój Boże! – jęknęła.

Następna próba wypadła nieco lepiej. Wciąż odczuwała ból, ale tym razem nie zdołał jej zaskoczyć. Była przygotowana. Szła, powłócząc nogami, które lekko szurały, gdy przemierzała dom w drodze do kuchni.

Zaparzyła sobie filiżankę kawy i stanęła w drzwiach wychodzących na ganek,

sluchajac swierszczy. Wkrótce zaczęły cichnąć, rozwiewając tym samym wątpliwości, czy jest bardzo wczesnie, czy bardzo późno. Na wschodzie pojawiła się różowa poświata, zwiastując wschód słońca.

– Dzięki Bogu – szepnęła.

Miała coś do zrobienia. I musiała opracować plan, skoro chciała to zrobić. Jeśli zajmie się planowaniem, przestanie wreszcie myśleć o tym pustym, cichym domu. Również telewizja mimo swej czechy paplaniny była pożądanym towarzyszem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała na głos, siadając z małym notatnikiem.

Początkowo zapisywała tylko rzeczy oczywiste. To, czego była pewna i co nie budziło jej wątpliwości. „Świat jest dziwnym miejscem” – zanotowała u góry swej listy. Spojrzała na to zdanie i cicho się roześmiała.

– Za długo jestem twoją żoną – zwróciła się do nieobecnego męża.

Telewizor bełkotał coś na temat niebezpieczeństw erekcji trwającej ponad cztery godziny.

Potem napisała:

„Sprawiedliwi zostali niesprawiedliwie uwięzieni”.

A następnie:

„Mój mąż i syn są więźniami”.

Spojrzała na kartkę. Zdania brzmiały jasno i przekonująco. Dobrze jest opierać się na faktach. Ale fakty rzadko wskazują drogę zbawienia, pomyślała. Fakty jedynie istnieją, wyzierają z mroku możliwości i zagładają nam w duszę, sprawdzając, jak się zachowa, gdy spojrzy im w twarz.

„Czy powinnam się tego podjąć? – napisała. – Czy ktoś na tym świecie próbuje jeszcze ratować ludzi? Czy naprawdę tak jest? Czy jeśli tam pójde, uznają mnie za starą wariatkę, aresztują, a może coś jeszcze gorszego? Może mnie zabiją? A także Harolda. I Jacoba”.

– O Boże! – jęknęła.

Telewizor parsknął śmiechem. Ona jednak ciągnęła swą listę, aż w końcu zbrakło miejsca na kartce, ręka zdrętwiała, słońce wspięło się wysoko nad horyzont, a telewizja zaczęła nadawać bieżące informacje.

Na pół słuchając, nie przestawała pisać. Sytuacja się nie zmieniła. Liczba Przywróconych wciąż rosła. Nikt nie umiał wyjaśnić dlaczego. Ośrodki zatrzymań nieustannie się rozprzestrzeniały. Obejmowały już całe miasta. Nie tylko małe, zapadłe miejscowości położone na wiejskich terenach, takie jak Arcadia, ale naprawdę duże miejskie centra. Ruch Prawdziwie Żywych uzurpuje sobie władzę, twierdził jeden z

prezenterów.

Lucille pomyślała, że przesadza. Natomiast kobieta, z którą przeprowadzano wywiad w Los Angeles, uważała, że dziennikarz nie docenia powagi sytuacji.

Gdy w końcu zamknęła swą listę, usiadła i uważnie się jej przyjrzała. Czytając ją powtórnie, uznała, że większość pozycji ma błahe znaczenie. Ale waga pierwszych zdań, tych, które umieściła na początku, nie zmieniła się nawet w pełnym świetle dnia. Nadszedł czas, by podjąć jakieś kroki, bo przecież, choć gorąco się o to modliła, musiała przyznać, że niczego w tej sprawie nie zrobiono.

– O Boże! – westchnęła.

Potem wstała i ruszyła do sypialni. Nie powłóczyła już nogami. Maszerowała. Głęboko na dnie szafy, pod stertami pudeł i starych butów, których ona ani Harold już nie nosili, pod zeznaniami podatkowymi i nieprzeczytanymi książkami, pokryty kurzem, pleśnią i pajęczyną leżał pistolet jej męża.

Przypomniała sobie, że po raz ostatni widziała go przed pięćdziesięciu laty, tej okropnej nocy, gdy na autostradzie pod ich samochód wpadł pies. Zabrali go do domu, ale nic już nie dało się zrobić i w końcu Harold musiał go uśmiercić. Jej pamięć rozjarzyła się nagłym płomieniem, a potem zgasła, jakby nie chciała wracać do szczegółów tego wydarzenia.

Pistolet był cięższy, niż zapamiętała. Trzymała go tylko raz w życiu – w dniu, w którym Harold przyniósł go do domu. Z jakiegoś powodu przepelniała go duma. W tamtym czasie nie rozumiała, co takiego ma w sobie broń, że każdy wydaje się dumny z jej posiadania.

Patrzyła na gładki, oksydowany prostokątny zamek, idealnie pasujący do rękojeści z drewna i stali. Stal była solidna – czuła to wyraźnie, ważąc pistolet w ręce, ale drewniane okładziny rękojeści sprawiały, że idealnie leżał w dłoni. Wyglądał zupełnie jak na filmach.

Pomyślała o wszystkich filmach, które oglądała, a także o tym, czemu służyła broń. Zabijała, eksplodowała, terroryzowała. Zabijała, ratowała, dawała pewność i poczucie bezpieczeństwa. Zabijała.

Poczuła dotyk śmierci. Zimny. Twardy. Nieubłagany.

* * *

W życiu Freda Greena liczyło się tylko jedno – Ruch Prawdziwie Żywych.

Jego pola zarosły chwastami, a dom pokryły brud i kurz. Od tygodni nie chodził

już do tartaku, by szukać roboty.

W wyniku rozruchów w szkole Marvin Parker został zatrzymany bez prawa zwolnienia za kaucją i oskarżony o poważne przestępstwo. Miał zwichnięty bark i złamane żebro. Chociaż obaj zdawali sobie sprawę z podjętego ryzyka, Freda nękały wyrzuty, że do tego dopuścił. Patrząc wstecz, uznał, że zrobili głupio. Pamiętał, że powiedział do Marvina: „Dajmy im nauczkę. Niech przewiozą ich gdzie indziej. Niech zabiorą ich do innego miasta”. I Marvin gorąco go poparł. No a teraz, pobity, siedział za kratkami, co nie uspokajało sumienia Freda.

Nic jednak nie mógł dla niego zrobić. I, co gorsza, czuł, że to, co się wydarzyło, mimo wszystkich konsekwencji ich akcji, nie zamykało sprawy.

Może obaj nie mieli dość wyobraźni. A przecież tyle jeszcze zostało do zrobienia.

W noc, która nastąpiła po rozruchach, zgłosili się do niego kolejni ochotnicy – mieszkańcy, którzy zrozumieli, co Fred i Marvin chcieli osiągnąć, i pragnęli udzielić im wsparcia. Nie było ich wielu i na ogół zdawali się tylko silni w gębie. Ale w przypadku dwóch, a może trzech, Fred miał pewność, że zrobią, co należy, gdy nadejdzie czas.

A czas nadchodził w szybkim tempie. Władze przejęły już całe miasto. Wszyscy zostali zmuszeni do opuszczenia domów lub udostępnienia ich Przywróconym. U diabła, zajęli nawet dom Marvina. Przejęło go Biuro i ci cholerni przybysze. Ktoś musiał wreszcie położyć temu kres. Ktoś musiał zająć stanowisko. Dla dobra Arcadii. I dla dobra żywych. Gdyby wszyscy mieszkańcy się zbuntowali, gdyby od początku wystąpili przeciw tej straszliwej inwazji, sprawy nie zaszłyby tak daleko. Tymczasem wszystko wyglądało tak, jak w tej opowieści Marvina o wulkanie, który wyrósł na podwórzu pewnej kobiety. Zbyt wielu ludzi siedziało beczynnie, widząc to, co się dzieje. Fred nie mógł do tego dopuścić. Nadszedł czas działania.

Tego samego wieczoru, gdy już obmyślił, co powinien zrobić, Fred położył się spać i po raz pierwszy od miesiący coś mu się przyśniło. Obudził się głęboką nocą, zachrypnięty i z piekącym gardłem, nie rozumiejąc dlaczego. Nie pamiętał wiele ze swego snu. Głównie to, że był sam w ciemnym domu. Ale w uszach brzmiała mu muzyka i dźwięk kobiecego głosu, który śpiewał.

Wyciągnął rękę, macając pustą przestrzeń obok siebie – miejsce, w którym od dawna nikt już nie sypiał.

– Mary? – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Podniósł się z łóżka i wyszedł do łazienki. Zapalił światło i stał, wpatrując się w

zimne kafle pomieszczenia, w którym jego żona opłakiwała stratę dziecka. Zastanawiał się, co pomyślałaby o nim teraz, gdyby mogła tu być.

W końcu jednak zgasił światło i wyszedł. Ruszył w stronę pomieszczenia, które w miarę upływu lat zaczął nazywać „pracownią”. Był to obszerny pokój, w którym unosiła się woń kurzu i pleśni – zagracony narzędziami, nieukończonymi pracami stolarskimi i różnego rodzaju zaniechanymi przedsięwzięciami. Fred stał w drzwiach, przyglądając się przedmiotom, które zaczął robić i których nie ukończył. Patrzył na zestaw szachów z drewna sekwoi (nigdy nie nauczył się grać, ale podobało mu się usłojenie drewna), na ozdobne podium ze spróchniałego pnia dębu (nigdy w całym swym życiu nie wygłosił przemówienia, ale lubił oglądać mówców na dobrze wykonanym podium), a także na małego, na w pół gotowego konia na biegunach.

Nie mógł sobie przypomnieć, czemu się do niego zabrał, ani dlaczego przerwał robotę. Zapomniana zabawka tkwiła teraz w kącie pracowni, na pół przywalona pudłami i kołdrami przechowywanymi tam przed zimą.

Jak coś tak głupiego mogło mu przyjść do głowy?

Przedarł się przez graty, kurz i pajęczyny w miejsce, w którym stał koń. Wolno przesunął dłonią po drewnie. Dotknięcie nieheblowanej, chropowatej powierzchni sprawiło mu dziwną przyjemność. Jakby lata zapomnienia zdołały ją wygładzić.

Choć nie była to najlepsza z jego niedokończonych prac, uznał, że nie jest najgorsza. Może tylko nieco amatorska. Pysk budził zastrzeżenia z powodu przesadnej wielkości końskich zębów, ale podobały mu się uszy zwierzęcia. Przypomniał sobie nagle, z jakim wysiłkiem je rzeźbił. Ale zrobił to naprawdę dobrze. Rzecz nie była łatwa i minęło wiele dni, nim zdołał w końcu rozprostować obolałe palce. Teraz jednak, patrząc wstecz, czuł, że jego trud nie poszedł na marne.

Tuż za uszami, przy grzywie, w miejscu, które zobaczyć mógł tylko jeździec tak mały, by usiąść na tym koniku, Fred dostrzegł wyryte w drewnie litery.

H-E-A-T-H-E-R.

Czy nie było to imię, które razem z Mary wybrali dla dziecka?

– Mary! – zawołał po raz ostatni.

Nikt nie odpowiedział. Opatrzność ostatecznie zatwierdziła jego plany. A zatem wszystko to, co musiało się stać. Mógł się jeszcze wycofać. Zmienić swoje zamiary. Dał jej przecież szansę. Ona jednak ofiarowała mu tylko ciszę i pusty dom.

Nathaniel Schumacher

Od jego powrotu minęły dwa miesiące, a rodzina kochała go nie mniej niż w dawnych, słonecznych dniach życia. Żona, choć teraz starsza, powitała go, zarzucając mu ręce na szyję, łkając i mocno ściskając. Dzieci, które dawno przestały być dziećmi, tuliły się do niego tak, jak robiły to dawniej. Wciąż rywalizowały ze sobą o względy rodziców i nie zmieniło się to pomimo dwudziestu lat, które upłynęły od czasu, gdy zmarł, do chwili, gdy powrócił.

Bill, jego syn, miał już własną rodzinę, lecz nie odstępował ojca na krok i wciąż powtarzał, że siostra jest „głupia” i „nieznośna”, jak zwykł to robić w dzieciństwie.

Oboje przenieśli się do domu rodziców, jakby przeczuwali kruchość i ulotność otrzymanego daru, i przez całe dni krążyli wokół niego, wchłaniając wszystko, co wnosił swoją obecnością. Czasem można było odnieść wrażenie, że przyciąga ich siła jego grawitacji. Siedzieli przy nim do późna w nocy, objaśniając wszystkie zawiłe zjawiska, które pojawiły się od czasu, gdy odszedł. Uśmiechał się, słuchając o tych nowościach, nie szczędził wszakże krytyki, gdy się z czymś nie godził. Oni natomiast przyjmowali jego uwagi w stosowny sposób, jakby uznając to, że naprawdę był tym, kim się wydawał.

Ich przywróconym do życia ojcem.

I nagle pewnego dnia zniknął. Nikt nie umiał powiedzieć, jak to się stało. Wiedzieli tylko, że go nie ma. Wszczęli próby poszukiwań, ale bez przekonania, jakby zmuszeni przyznać, że jego powrót był od początku niewiarygodny i niepewny. Czemuż więc odejście miałoby się okazać inne?

Przez krótki czas rozpaczali. Płakali i rozpamiętywali, a Bill i Helen prowadzili zacięty spór o to, kto ponosi odpowiedzialność za jego zniknięcie. Kłócili się tak zawzięcie, iż w końcu interweniować musiała matka, gdyż stało się to żenujące. Pogodzili się zatem na pozór, nie wykazując skruchy, i znów waczeli na siebie, ustalając dalszy ciąg postępowania. Poszli na policję i wypełnili odpowiednie formularze, zgłaszając zaginięcie. Rozmawiali nawet z żołnierzami pozostającymi w służbie Biura, informując, że zaginął ich ojciec. „Po prostu zniknął” – oświadczyli.

Żołnierze zanotowali zgłoszenie, nie okazując zdziwienia.

W końcu wyczerpali już wszystkie możliwości. Nigdzie go nie było. Myśleli nawet o tym, by otworzyć grób i wyciągnąć trumnę z poświęconej krypty. Chcieli się upewnić, że wrócił tam, skąd przyszedł, i nie błąka się gdzieś po świecie, zagubiony i opuszczony.

Ale matka nie chciała się zgodzić.

– Nasz wspólny czas minął – oświadczyła.

Rozdział 16

Była szczuplejsza. Poza tym nic się nie zmieniła.

– Jak się masz? – spytał.

Pogłaskała go po rękę i przytuliła się do ramienia.

– Dobrze.

– Czy coś jesz? To znaczy czy cię karmią?

Skinęła głową i delikatnie przesunęła paznokciami po jego przedramieniu.

– Tęskniłam za tobą.

Ośrodek internowania w Meridian w stanie Missisipi dopuszczał kontakty Przywróconych z Prawdziwie Żywymi. Sytuacja była tu zła, lecz nie tak zła jak w Arcadii. Jedni i drudzy mogli się spotykać na ogrodzonym patio pomiędzy dużym obiektem przeznaczonym dla zatrzymanych i strefą ochrony, gdzie sprawdzano, czy żywi nie są uzbrojeni i czy ogólnie rzecz biorąc, nie mają złych intencji.

– Ja też za tobą tęskniłem – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

– Próbowałam cię odnaleźć.

– Wiem. Wysłali do mnie list.

– Jaki list?

– Napisali tylko, że mnie szukasz.

Skinęła głową.

– Zanim jeszcze zaczęli wszystkich zamykać – wyjaśnił.

– Jak się miewa twoja matka?

– Umarła – odparł tonem chłodniejszym, niż chciał. – A może nie? W tych czasach trudno o pewność.

Wciąż pocierała jego dłoń wolnym, hipnotyzującym ruchem, charakterystycznym dla starej zażyłości. Siedząc tak blisko niej, czując jej zapach i dotyk ręki, słuchając, jak w jej płucach pulsuje życie, pastor Peters zapomniał o wszystkich minionych latach, o wszystkich błędach, porażkach, cierpieniu i samotności.

Nachyliła się do niego przez stół.

– Możemy uciec – szepnęła.

– Nie, nie możemy.

– Ależ tak, możemy. Uciekniemy tak, jak zrobiliśmy to ostatnim razem.

Poklepał jej dłoń z niemal ojcowską czułością.

– To był błąd – powiedział. – Powinniśmy byli zaczekać.

– Na co?

– Nie wiem. Ale trzeba było tak zrobić. Z czasem wszystko się układa. Nauczyłem się tego. Jestem już starym człowiekiem. – Przez chwilę myślał, a potem sprostował: – No cóż, może nie całkiem starym, ale już nie młodym. Zdołałem zrozumieć, że w miarę upływu czasu wszystko, naprawdę wszystko, staje się do zniesienia.

Czyż jednak nie było to jego największym kłamstwem? Czyż nie dlatego, że każdy dzień bez niej stawał się nie do zniesienia, przyjechał aż tutaj? Nigdy o niej nie zapomniał i nigdy nie wybaczył sobie tego, że ją skrzywdził. Ożenił się, oddał swe życie Bogu i zrobił wszystko, co człowiek zrobić powinien. Cóż, skoro nie mógł zapomnieć. Kochał ją bardziej, niż kochał ojca i matkę, bardziej, niż kochał Boga. A przecież ją opuścił. Nie zniosła tego rozstania. Wskoczyła do samochodu i zrobiła tak, jak zapowiedziała. Porzucona, po prostu się zabiła.

A on myślał o tym każdego dnia.

Dla jego zbolełej duszy małżeństwo było ustępstwem. Wydawało się posunięciem logicznym, toteż zawarł je z takim entuzjazmem, z jakim kupuje się dom lub inwestuje w fundusze emerytalne. A gdy później wraz z żoną zdali sobie sprawę, że skazani są na bezdztetność, utwierdziło to jeszcze stan rzeczy.

Prawda była taka, że nigdy nie wyobrażał sobie, by mogli cieszyć się dziećmi. Chociaż gorąco wierzył w instytucję małżeństwa, choć na ten temat wygłosił wiele kazań, choć osobiście pomógł uratować wiele związków i zawsze powtarzał poróżnionym parom: „Bóg nie uznaje rozwodów”, choć robił wszystko, co powinien robić pastor, zawsze pragnął uwolnić się z tych więzów.

Trzeba było powrotu zmarłych z zaświatów, by w końcu się na to zdobył.

A teraz miał ją tuż obok. I choć nie wszystko wyglądało idealnie, czuł się lepiej niż kiedykolwiek. Trzymał jej dłoń w swojej. Dotyk i zapach Elizabeth nie zmieniły się pomimo upływu lat. Wreszcie było tak, jak powinno być.

Tymczasem w miejsce odwiedzin wkroczyli strażnicy i zaczęli rozdzielać Przywróconych oraz ich gości. Czas wizyt dobiegł końca.

– Nie mogą cię tu tak trzymać. To nieludzkie. – Mocniej ścisnął jej dłoń.

– Wszystko jest w porządku.

– To nieprawda. Nie jest.

Objął ją ramieniem i głęboko wciągnął jej zapach.

– Czy przyjeżdżają cię odwiedzać?

– Nie.

– Tak mi przykro.

- Nie musisz mi współczuć.
 - Przecież cię kochają.
 - Wiem.
 - Wciąż jesteś ich córką. Wiedzą o tym. Muszą o tym wiedzieć.
- Pokiwiała głową.
- Strażnicy obchodzili teren. Czasem byli zmuszeni rozdzielać ludzi siłą.
- Koniec odwiedzin. – Tyle tylko mieli do powiedzenia.
 - Wyciągnę cię stąd – obiecał.
 - Dobrze – odparła. – Ale jeśli tego nie zrobisz, nic się nie stanie. Zrozumiem.
- W końcu i do nich podeszli. Spotkanie się skończyło.

Tej nocy pastor spał niespokojnie, wciąż nękany tym samym snem.

Miał szesnaście lat i siedział w swej sypialni. Rodzice głęboko spali w odległym krańcu domu. Wokół zapadła ciężka cisza. Miał wrażenie, że żar kłótni, którą z nią stoczył, rozpała powietrze nocy.

Wstał i cicho się ubrał. Tak, by nikt nie słyszał. A potem wymknął się, stąpając boso po drewnianej podłodze. Letnia, parna noc nabrzmiała głosem świerszczy. Oczekiwał bardziej dramatycznego rozwoju wydarzeń. Obawiał się, że wychodząc, obudzi ojca lub matkę i wtedy dojdzie do przykrew konfrontacji. Tymczasem nic się nie wydarzyło. Być może naczytał się zbyt wielu złych powieści, a może widział zbyt wiele filmów. W kinie rozstania rozgrywały się bardzo efektownie. Zawsze ktoś krzyczał, a czasem nawet uciekał się do przemocy. No a na koniec nieodmiennie padało jakieś złowróżbne ostrzeżenie w rodzaju: „Obym cię nigdy więcej nie zobaczył”. Co ostatecznie przesądzało los bohaterów.

W rzeczywistości wyszedł, gdy wszyscy spali. Kiedy się obudzą, zobaczą, że go nie ma. Na tym się skończy. Będą wiedzieć, dokąd poszedł i dlaczego. I nikt nie zechce go ścigać, nie leżało to bowiem w zwyczajach ojca. Jego miłość była jak otwarte drzwi – drzwi, które nigdy się nie zamykały. Ani, by kogoś zamknąć, ani – by wypuścić.

Szedł w umówione miejsce prawie godzinę. Księżyc rzucał na nią blade światło i wyciągał jej rysy. Zawsze była chudziutka, ale teraz, w tym dziwnym świetle, wyglądała jak umierająca.

- Niech go szlag! – syknęła z furją.

Pastor – wówczas jeszcze nie pastor, tylko zwykły chłopiec – stał wpatrzony w jej twarz. Miała podbite oko, a w zagłębieniu między ustami i nosem ciemniała smużka krwi. Nie potrafił dostrzec, skąd spływała.

To nie on, lecz ona opuściła dom w okolicznościach, jakie podsunęła mu wyobraźnia.

– Nie mów takich rzeczy – poprosił.

– Niech go szlag! Niech go przejedzie jakiś pieprzony świr! Niech mu pies przegryzie grdykę! Oby konał w męczarniach przez tysiąc cholernych dni! – wyrzucała z siebie przez zaciśnięte zęby, machając pięściami.

– Lizzy... – powiedział.

Wrzasnęła. W jej głosie brzmiał gniew, ból i strach.

– Liz, proszę!

Wciąż wrzeszczała.

Wiele rzeczy zapomniał. W miarę upływu lat pamięć zatarła różnice między tym, kim naprawdę była Elizabeth Pinch, a tym, jaką ją zapamiętał.

Obudził go warkot potężnej ciężarówki nadjeżdżającej pobliską szosą. Motel miał cienkie ściany, toteż do jego wnętrza wdzierał się nieustannie łoskot wozów, które zmierzały do ośrodka internowanych lub stamtąd wyjeżdżały. Były to potężne, ciemne maszyny, które wyglądały jak jakieś gigantyczne prehistoryczne żuki. Czasem tak zatłoczone, że niemieszczący się wewnątrz żołnierze jechali, wisząc na burtach.

Pastor zastanawiał się, czy podróżowali w ten sposób przez całą drogę. Wydawało się to dość ryzykowne. Choć biorąc pod uwagę, jak ambiwalentnie zachowywała się ostatnio śmierć, może nie było aż tak niebezpieczne jak kiedyś.

Gdy wracał z ośrodka, w radio podano informację, że w pobliżu Atlanty zamordowano grupę Przywróconych. Ukrywali się w domu położonym w małym miasteczku – jakby wszystko co złe, zdarzało się najpierw w małych miasteczkach – gdzie znalazła ich grupa zwolenników Ruchu Prawdziwie Żywych, żądając, by poddali się bez oporu. Przy okazji złapano również zwykłych śmiertelników, którzy udzielili Przywróconym pomocy.

Z chwilą gdy fanatycy z Ruchu przekroczyli próg, wypadki potoczyły się dramatycznie. Na koniec dom stanął w ogniu i wszyscy, którzy znajdowali się wewnątrz, zarówno zwykli obywatele, jak i Przywrócenie, zginęli w płomieniach.

Radio informowało, że dokonano licznych aresztowań, ale nikomu nie przedstawiono dotąd oficjalnych zarzutów.

Pastor Peters długo stał w oknie, obserwując, co dzieje się wokół, i myśląc o Elizabeth. Tak ją w myślach nazywał. Ale zawsze mówił do niej „Liz”.

Nazajutrz znów miał ją odwiedzić. Pod warunkiem, że żołnierze nie sprawią

jakichś kłopotów. Musi porozmawiać z kim trzeba, domagając się, by ją uwolnili i powierzyli jego opiece. W niezbędnych przypadkach umiał się odwołać do autorytetu duchownego i rozbudzić w rozmówcy poczucie winy. Nikt nie mógł mu w tym dorównać.

To nie będzie łatwe, pomyślał, ale przyniesie rezultaty. Wydobędzie ją w końcu.

Z Bożą łaską wszystko się uda. Musi się tylko postarać.

– Z Bożą łaską – oświadczył Robert – wszystko się uda. – Musimy się tylko postarać.

Roześmiała się.

– Odkąd to jesteś taki religijny, Bertie?

Ścisnął jej dłoń. Nikt inny nie zwracał się do niego tym zdrobnieniem.

Znów położyła mu głowę na ramieniu. Czuł się zupełnie tak jak przed laty, kiedy siedzieli na starym dębie rosnącym na farmie jej ojca, a nie wśród internowanych w Meridian.

Pogłaskał ją po włosach. Zapomniał już, że miały barwę miodu i przelewały się przez palce płynnie jak woda. Co dzień na nowo ją odkrywał.

– Po prostu trzeba ich przekonać – powiedział.

– Zrobisz, co będziesz mógł.

– Obiecuję.

– Na pewno ci się uda.

Pocałował jej brew, co wywołało oburzone spojrzenia siedzących w pobliżu gości. Miała przecież tylko szesnaście lat. Choć wróciła z zaświatów, wciąż pozostała dzieckiem. W dodatku małym jak na swój wiek.

On zaś, męczyzna potężnej postury, przekroczył już czterdziestkę.

– Odkąd to jesteś tak cierpliwa? – spytał.

– Co masz na myśli?

– Przestałaś się złościć.

Wzruszyła ramionami.

– To nic nie daje. Choćbyś się wściekał na świat, on i tak trwa.

Spojrzał na nią, szeroko otwierając oczy.

– To bardzo głęboka myśl – stwierdził.

Roześmiała się.

– Co cię tak śmieszy?

– Ty! Jesteś taki poważny.

– Zapewne – zgodził się z nią. – Postarzałem się.

Znów oparła mu głowę na ramieniu.

– Dokąd się wybierzemy? – spytała. – To znaczy wtedy, kiedy mnie stąd wyciągniesz.

– Postarzałem się – powtórzył.

– Moglibyśmy pojechać do Nowego Jorku – ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Na Broadway. Zawsze chciałam zobaczyć Broadway.

Pokiwał głową, patrząc na małą dłoń, którą trzymał w swojej. Czas nie zostawił na niej żadnych śladów. Wciąż była gładka i miękka jak dawniej. Nie powinno to dziwić Roberta Petersa – w końcu Przywrócenie podważało prawa natury. Dlaczego więc jej dłoń, tak czysta i gładka, wzbudziła w nim niepokój?

– Myślisz, że jestem stary? – spytał.

– A może byśmy pojechali do Nowego Orleanu! – wykrzyknęła. Ogarnęło ją podniecenie. – Och tak! Do Nowego Orleanu!

– Być może – powiedział.

Wstała i spojrzała na niego z góry, a kąciki jej oczu radośnie się uniosły.

– Wyobraź sobie tylko – ciągnęła. – Ty i ja na Bourbon Street. Zewsząd słychać jazz. I to jedzenie! Nie chcę nawet zaczynać o tym mówić.

– Brzmi nieźle – stwierdził.

Wzięła go za rękę i przyciągnęła ku sobie całą jego potężną postać.

– Zatańcz ze mną – poprosiła.

Spełnił jej życzenie pomimo spojrzeń i szeptów, które prowokowali. Gdy wolno obracali się w tańcu, jej głowa z trudem sięgała mu piersi. Była taka mała – niemal tak mała, jak jego żona.

– Zobaczysz, wszystko się uda. – Przytuliła się do szerokiej klatki piersiowej.

– A jeśli nie pozwolą ci odejść?

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła.

Kołysali się objęci, podczas gdy żołnierze obserwowali ich w milczeniu. Tak będzie odtąd zawsze – myślał pastor Peters.

– Pamiętasz, że cię opuściłem? – spytał.

– Słyszę, jak bije twoje serce – usłyszał w odpowiedzi.

– No tak – powiedział. A po chwili znowu: – No tak.

Inaczej wyobrażał sobie ich rozmowę. Elizabeth Pinch – ta, którą pamiętał i której wspomnienie ciążyło nad całym jego małżeństwem, nie uchylała się od trudnych odpowiedzi. O, nie. Zawsze zachowywała się wojowniczo, nawet w miejscach i

okolicznościach, które wykluczały agresję. Kłęła, rzucała obelgi, ciskała przedmiotami. Podobnie jak jej ojciec była wcieleniem gniewu.

Dlatego tak bardzo ją kochał.

– Wydobędę cię jakoś – zapewnił, choć gdzieś głęboko w duszy zdał sobie sprawę, że właśnie ją zostawił – tańczącą samotnie w tym więzieniu.

Robert Peters wiedział, co zrobi. Pozostawi ją i nie wróci. Tak jak kiedyś. To nie była jego Elizabeth. I tym razem ułatwiało to sprawę.

Ale jeśli nawet to ona – jego Liz – nie miało to już znaczenia. Odszedł od niej, gdyż wiedział – zawsze wiedział – że w przeciwnym razie ona go zostawi. Z czasem po prostu znudzi ją cały – jego religijność, jego potężna postać, wolne ruchy i głęboka normalność.

Liz była osobą, która tańczyła bez muzyki. On zaś należał do tych, którzy tańczą tylko pod przymusem.

Gdyby wtedy, przed laty, nie zostawił jej i nie wrócił do domu, porzuciłaby go i wyjechała do Nowego Orleanu, tak jak pragnęło tego teraz jej widmowe odbicie.

Tyle z niej pozostało w tej Przywróconej, tyle jeszcze tliło się w niej z Lizzy, by przypomnieć mu wszystko, co było w nim wielkie i małe. Ale to wystarczyło, by uświadomił sobie prawdę. Bez względu na to, jak bardzo ją kochał i jak gorąco jej pragnął, ich romans nie miał przyszłości. Choćby nawet jej los potoczył się inaczej, choćby spędzili razem wszystkie te lata, choćby uciekł z nią i, być może, ocalił od śmierci, nic by to nie zmieniło. W miarę upływu czasu gasłoby w niej to, co kochał, aż w końcu sama by odeszła. Być może nie dosłownie, ale utraciłby jej miłość.

I oboje pogrążyliby się w rozpacz.

Tak więc w ośrodku internowanych w Meridian pastor Robert Peters tańczył z szesnastoletnią dziewczyną, którą kiedyś kochał, i kłamał, obiecując, że ją uwolni. Ona zaś też kłamała, mówiąc, że będzie czekać i że nigdy go nie opuści.

Tańczyli razem swój ostatni taniec, szepcząc sobie puste obietnice i powtarzając je raz po raz.

Connie Wilson

Nadciągała katastrofa. Nieuchronnie. Wyraźnie to czuła. Ziemia stała się sucha i jałowa, drzewa szare i kruche, a trawa brązowa i spalona słońcem. Connie była pewna, że wszyscy w Arcadii dzielają jej odczucia. Nikt jednak nie potrafił dokładnie ich

określić. Próbowwała zlekceważyć swe lęki i zagłuszyć je codzienną krzątaniną – troską o męża i dzieci, które musiała ubrać i nakarmić. Obawiała się tylko o panią Lucille. W czasie pobytu w tym miejscu zaledwie raz spotkali jej męża, Harolda. Connie zamierzała trzymać się blisko niego i Jacoba, by mieć nad nimi pieczę, jak pewnie pragnęłaby tego Lucille. Ale wkrótce sprawy wymknęły się spod kontroli i teraz nie wiedziała, gdzie obaj są.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzała, próbując zadać kłam oczywistości.

Przywrócenie wciąż pozostawali więźniami tego małego miasteczka i więźniami Biura, a świat przestał być miejscem bezpiecznym. Ofiarami tej sytuacji stali się również Prawdziwie Żywi mieszkańcy Arkadii. Zawłaszczono bowiem ich miasto i unicestwiono jego tożsamość.

– To nie skończy się dobrze – westchnęła, widząc wyraźnie, co nastąpi.

A potem objęła dzieci, lecz wciąż nie mogła uwolnić się od trwogi.

Rozdział 17

W lejącym się z nieba letnim żarze Bellamy i Harold stali obok siebie, spotykając się zapewne po raz ostatni. Nie martwiło to zbytnio Harolda. Nowojorczyk osiągał coraz lepsze wyniki w rzucaniu podków. Zbyt dobre.

Decyzją pułkownika, który powoływał się na przeludnienie obozu i brak czasu na dalsze wywiady, Bellamy miał opuścić ośrodek w Arcadii. Na agentach Biura ciążyło wiele znacznie bardziej naglących obowiązków, on jednak nie zamierzał się w nie angażować. Dla pułkownika był to wystarczający powód, by się go pozbyć.

Bellamy usiłował o tym nie myśleć. A także o konsekwencjach, jakie będzie to miało dla jego matki. Rzucił podkową, licząc na lepsze jutro. Trafiła prosto w cel.

Bang.

– Zapewne wiesz, że wyjeżdżam – odezwał się z właściwą sobie bezpośredniością.

– Coś na ten temat słyszałem – odparł Harold. – Zresztą przypuszczałem, że to nastąpi. – Teraz on wykonał rzut.

Bang.

Żaden z nich nie liczył już punktów.

Wciąż grali na małym skrawku trawy pośrodku terenu dawnej szkoły, jakby nie mieli innych miejsc do wyboru. Ale było tu coś, do czego obaj przywykli. Prywatność.

Cenili ją tym bardziej, że od pewnego czasu miasto zostało bez reszty opanowane przez więźniów. Opuścili szkołę i przyległe budynki przekazane im przez Biuro, by rozpełznąć się po całej miejscowości. Teraz Arcadia pękała w szwach. Wszystkie domy opuszczone przez lata powolnej degrengolady przekształcono w kwatery i wypełniono nowymi mieszkańcami. Nawet ulice zmieniły się w koczowiska. Rozbito na nich namioty, obok których rozmieszczono punkty dystrybucji artykułów niezbędnych do przetrwania.

Z Arcadii pozostała już tylko nazwa.

Niepomni na to, co działo się wokół, tygodniami spędzali czas na tym małym skrawku trawnika, usiłując wybadać się nawzajem.

Bellamy się uśmiechnął.

– Jasne, że przypuszczałeś. – Po czystym błękitnie nieba żeglowały drobne kłębki małych chmur. Nic nie zapowiadało zmiany pogody, mimo że w oddali, w lesie, wiał wiatr i szumiał pośród drzew, by w końcu dotrzeć do miasta i objąć rozpalone mury swym oddechem.

Teraz jego powiew niósł upał i duchotę, a z nimi woń potu i uryny, tak znamienne dla miejsc, gdzie zbyt wielu ludzi tłoczy się zbyt długo w urągających im warunkach. Niemal cała Arcadia cuchnęła. Fetor docierał wszędzie. Tyle tylko, że nikt – włączając Bellamy'ego – już tego nie dostrzegał.

– Zadasz mi w końcu to pytanie? – zniecierpliwiał się Harold. W upale potęgującym jeszcze woń wyziewów obaj ruszyli na drugą stronę boiska, pozbierać rozrzucone podkowy. Jacob był niedaleko, wewnątrz budynku szkoły razem z panią Stone. To właśnie o nią chodziło Haroldowi. – I żeby nie tracić czasu na dalsze gierki, zresztą w podwójnym tego słowa znaczeniu, darujmy sobie kręactwa. Obaj dobrze wiemy, kim ona jest.

– Kiedy się zorientowałeś?

– Wkrótce po tym, jak się tu zjawiała. Wiedziałem, że nie przypadkiem trafiła do naszego pokoju.

– Coś mi się wydaje, że nie jestem tak sprytny, jak myślałem.

– Skądże. Po prostu mylnie mnie oceniałeś. Spróbuję nie mieć ci tego za złe.

Wykonali kolejne dwa rzuty. Bang. Bang. Wiatr znów się zerwał i przez chwilę powiało świeżością, jakby z wolna nadciągała jakaś zmiana. Po chwili jednak ucichł, a powietrze zastygło w upale, w miarę jak słońce przesunęło się po niebie.

– Jak się czuje? – spytał Bellamy.

Bang.

– Dobrze. Przecież wiesz.

– Czy pyta o mnie?

– Cały czas.

Bang.

Agent zamyślił się na chwilę, ale Harold jeszcze nie skończył.

– Nie poznałaby cię, nawet gdybyś usiadł obok niej i pocałował ją w czoło. Raz myśli, że jestem tobą, a kiedy indziej bierze mnie za twojego tatę.

– Przepraszam – powiedział cicho Bellamy.

– Za co?

– Za to, że cię w to wciągnąłem.

Harold wyprostował się, ustawił do rzutu i wycelował. Wykonał dobry, prawidłowy zamach i kompletnie chybił. Uśmiechnął się do siebie.

– Chętnie zrobiłbym to samo. W gruncie rzeczy – ciągnął – wciąż mam taki plan.

– Zapewne myślisz: przysługa za przysługę.

– Oko za oko. To brzmi lepiej.

– Jak wolisz – zgodził się jego partner.

– Co wiesz o Lucille?

Bellamy westchnął i podrapał się po głowie.

– Z tego, co słyszę, wszystko w porządku. Mało wychodzi z domu, ale szczerze mówiąc, nie ma w tym mieście nic, po co warto by wychodzić.

– Załatwili nas – mruknął Harold.

Bellamy zamachnął się i rzucił. Podkowa idealnie opadła na kołek.

– Zaczęła nosić broń – powiedział.

– Co takiego? – Haroldowi nagle stanął przed oczyma jego stary pistolet, a potem przypomniał sobie noc, kiedy musiał dobić rannego psa.

– Tak mi przynajmniej mówiono. Trzyma broń pod siedzeniem twojej furgonetki. Kiedy ją zatrzymali przed jednym z posterunków na głównej drodze i zapytali, do czego jej potrzebna, wygłosiła mowę na temat „prawa do obrony” czy coś w tym rodzaju. A potem ostrzegła, że będzie strzelać. Choć nie wiadomo, czy mówiła serio.

Gdy Bellamy, wzbijając stopami kurz, przeszedł na drugą stronę placu gry, Harold spojrzął w niebo i otarł pot z twarzy.

– To niepodobne do kobiety, którą poślubiłem – stwierdził. – Tamta zaczęłaby strzelać, a potem przeszła do przemówień.

– Zawsze miałem ją za osobę, która woli zdawać się na wyroki Opatrzności – zdziwił się Bellamy.

– Taka stała się później – wyjaśnił Harold. – Wcześniej ostro rozrabiała. Nie uwierzyłybyś, cośmy wyczyniali, gdy byliśmy młodszy.

– W każdym razie nie jesteście notowani. Sprawdziłem wasze kartoteki.

– Najważniejsze to nie dać się złapać.

Bellamy się uśmiechnął.

Bang.

– Pytałeś już raz o moją matkę – zaczął.

– Owszem.

– Ostateczną przyczyną jej śmierci było zapalenie płuc. Ale to nastąpiło na samym końcu. Umierała stopniowo na demencję. Dzień po dniu.

– I w takim stanie powróciła?

Agent skinął głową.

– A teraz ją opuszczasz.

– To nie ona – zaprzeczył. – To jakaś fotokopia jej osoby. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Mówisz o moim chłopcu? – Głos Harolda zabrzmiał lodowato.

– Obaj, ty i ja, jesteśmy w podobnej sytuacji – rzekł Bellamy. – I obaj dobrze wiemy, że umiera się raz. Na tym koniec.

– To dlaczego przyprowadziłeś ją do mnie? Po co zadałeś sobie tyle trudu?

– Z tego samego powodu, dla którego ty nie opuściłeś syna.

Powietrze wciąż było ciężkie od upału, a czysty, nieprzenikniony błękit nieba wręcz oślepiał. Dwaj mężczyźni w dalszym ciągu rozgrywali partię za partią, nie licząc punktów. Nie wiedzieli nawet, ile odbyli rund i po co właściwie to robili. Krążyli wokół siebie pośrodku miasta, które nie było takie jak kiedyś, w świecie, który nie był taki jak kiedyś, nie mogąc powstrzymać biegu spraw, a ich słowa ulatywały i rozplywały się w przestrzeni.

Gdy nadszedł wieczór, Lucille siedziała nachylona nad biurkiem, a w całym domu unosiła się woń smaru do broni. Słychać było również odgłos drucianej szczotki szorującej o stal.

Pod pistoletem znalazła małe pudełko z przyborami do czyszczenia, których nikt nie używał przez długie lata. A także instrukcję obsługi. Jedyne problem stanowiła konieczność rozłożenia broni.

Z niepokojem przeczytała, że należy za pomocą jakiegoś narzędzia wcisnąć tuleję, odpowiednio ustawiając lufę. Musiała też uważać, by nie zapomnieć o różnych sprężynach i małych twardych elementach, które powinny trafić na miejsce przy składaniu całości. Rozpaczliwie się z tym borykała, co sekundę powtarzając sobie, że broń jest nienabita, więc nie może się z niej postrzelić jak jakaś kretyńka.

Potem wyjęła naboje i ułożyła rzędem na odległym krańcu biurka. Postanowiła i je wyczyścić drucianą szczotką, tym razem rezygnując z użycia rozpuszczalnika. Obawiała się jakiejś tajemniczej reakcji chemicznej, do której mogłoby dojść, gdyby na przykład ów terpentynowy rozpuszczalnik zmieszał się z prochem wewnątrz nich.

Może była nadmiernie ostrożna, ale miała to w naturze.

Rozładowując pistolet, z przyjemnością słuchała odgłosu, który wydawały, jeden po drugim wypadając z wąskiego stalowego magazynka.

Klik.

Klik.

Klik.

Klik.

Klik.

Klik.

Klik.

Siedem razy mogła odebrać życie. Przed oczyma stanął jej obraz Harolda, Jacoba, rodziny Wilsonów i na koniec siebie – martwych. Siedem śmierci.

Obracała małe, ciężkie naboje w dłoni. Zwinęła ją w pięść, by poczuć dotyk gładkich, okrągłych końcówek. Ścisnęła je z całej siły.

Potem ułożyła pociski na biurku, delikatnie i z troską, jakby to były jakieś małe, tajemnicze istoty. Z bronią na kolanach wzięła się do czytania instrukcji.

Zaczęła od rysunku wysuwającej się z zamka lufy. Uniosła pistolet i przyjrzała mu się uważnie. Położyła rękę na zamku, jak pokazywał obrazek, i pociągnęła. Nic się nie wydarzyło. Pociągnęła mocniej. Wciąż nic. Jeszcze raz przyjrzała się instrukcji. Wyglądało na to, że wszystko zrobiła prawidłowo.

Spróbowała po raz ostatni, tym razem z większą siłą. Zagryzła zęby i wydała cichy jęk. Nagle zamek się cofnął, wyrzucając nabój, który potoczył się po podłodze.

– O Boże! – krzyknęła. Ręce zaczęły jej drżeć. Przez długi czas pozostawiła go tam, gdzie leżał, myśląc o tym, co może się wydarzyć. – Powinnam się przygotować – powiedziała w końcu do siebie.

Potem podniosła nabój, położyła go na biurku i znów zaczęła czyścić broń w oczekiwaniu nadchodzącego wieczoru.

Kiedy nadszedł czas, by opuścić dom, Lucille otworzyła drzwi i wyszła na podwórze. Stała obok sfatygowanej, starej furgonetki Harolda, obejrzała się i długo milczała. Wyobraziła sobie, że patrzy na siebie z oddali, i zobaczyła starą kobietę krążącą obok starego domu, gdzie zamieszkała jako młoda mężatka, gdzie była kochana, wychowywała syna i nieustannie spierała się z mężem. Teraz, gdy ich rozdzielono, uświadomiła sobie, że mąż nie był tak uparty i nieznośny, jak często myślała. Bo przecież ją kochał. Tak, kochał ją każdego dnia przez ponad pięćdziesiąt spędzonych wspólnie lat. A ona teraz, gdy wokół zapadał zmierzch, opuszczała ich dom.

Głęboko wciągnęła powietrze, pragnąc zachować obraz wszystkiego, co dla niej znaczył. Wstrzymała oddech niemal do granicy omdlenia, jakby wraz z nim mogła ocalić tamto życie, choć przecież wiedziała, że w końcu musi go uwolnić z klatki płuc.

Tej nocy wartę pełnił młody, naiwny chłopiec z Kansas. Miał na imię Junior i od pewnego czasu przestał zbyt rygorystycznie traktować swe obowiązki, a to z powodu

pewnego złośliwego staruszka, którego naprawdę polubił.

Junior, jak to zazwyczaj bywa z uczestnikami każdej tragedii, czuł wyraźnie, że zapowiada się coś złego. Przez cały wieczór nerwowo wyciągał telefon, sprawdzając, czy nie dostał jakichś wiadomości. Nękało go uczucie, że został powołany, by poinformować kogoś o czymś ważnym.

Siedząc w budce strażniczej, odchrząknął z niepokojem, gdy usłyszał w oddali odgłos toczącego się drogą starego forda. Nieco go dziwiło, że ogrodzenie otaczające miasto urywało się raptownie, z chwilą gdy dwupasmowa droga wjeżdżała w wiejski krajobraz. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że wszystko, co dzieje się za Barykadą, wewnątrz zasieków, w ścisłej przestrzeni miasta, zmierza do równie gwałtownego końca.

Pojazd podskakiwał i się krztusił, a światła błądziły po drodze, jakby ktoś, kto siedział za kierownicą, miał trudności z prowadzeniem. Pomyślał, że to dzieciak, który chce sobie pojeździć – sam pamiętał, jak pewnego jesiennego wieczoru wykradł ojcu starą furgonetkę. Był wówczas w wieku, gdy robi się takie rzeczy.

Kansas i Karolina Północna nie różnią się tak bardzo, myślał Junior. W każdym razie nie ta część Karoliny. Wokół rozciągały się równiny i farmy, gdzie mieszkali zwykli, zapracowani ludzie. Gdyby nie ta cholerna duchota wisząca w powietrzu jak widmo, wówczas, być może, ale tylko być może, spróbowałby tu osiąść na dłużej. Nie słyszał, by tę ziemię pustoszyły tornada, a ludzie ze swą typowo południową gościnnością wydawali się naprawdę przyjaźni.

Pisk hamulców postawił go na baczność. Niebieski pikap przez chwilę parsknął, po czym ucichł. Ale włączone światła wciąż paliły się ostro i jasno. Pamiętał, że kiedyś brał udział w ćwiczeniach na okoliczność takiej sytuacji. Oślepiające światła stwarzały osłonę dla osoby znajdującej się wewnątrz pojazdu. Mogła wyjść i swobodnie się poruszać, obierając dowolny cel, sama nie będąc widzianą.

Junior nigdy nie lubił broni. Na szczęście. Tak się bowiem składało, że był fatalnym strzelcem. W tej samej chwili bijące wysoko w górę światła skierowały się ku ziemi. Wreszcie zdołał coś wypatrzeć – za kierownicą siedziała ponad siedemdziesięcioletnia kobieta. Miała ściągniętą, płonąca gniewem twarz i przyszło mu na myśl, że byłoby lepiej, gdyby nikt w pobliżu nie dysponował bronią. Ale on pełnił wartę. Musiał mieć broń. A gdy Lucille wysiadła w końcu z kabiny, zobaczył, że i ona ją ma.

– Proszę pani! – Wyskoczył z prowizorycznej budki strażniczej. – Proszę natychmiast rzucić broń! – Głos mu drżał, ale nie umiał go opanować.

– Nie o ciebie mi chodzi, dzieciaku – odparła. – Obeszła maskę i stanęła przed samochodem, skąpana w blasku włączonych świateł. Miała na sobie starą błękitną, bawełnianą suknię, która już dawno wyszła z mody; równa i pozbawiona ozdób, sięgała jej do kostek. Zakładała tę suknię na wizyty u lekarza, by już na wstępie dać mu do zrozumienia, że nie zaakceptuje żadnych nowości, które nie będą jej się podobać.

Z platformy furgonetki, a także z kabiny, wysypała się duża grupa Przywróconych. Było ich tak wielu, że Junior przypomniał sobie cyrk, który co jesieni przybywał do jego rodzinnej miejscowości.

Skupili się wokół Lucille niczym zwarty, milczący mur.

– To kwestia przyzwoitości i właściwego zachowania – oznajmiła niekoniecznie pod adresem młodego żołnierza. – Zwyczaj ludzkiej przyzwoitości.

– Szefie! – zawołał Junior, nie bardzo wiedząc, do kogo się zwraca. Pewien był tylko tego, że cokolwiek się teraz stanie, nie chciałby w tym uczestniczyć. – Melduję, że mamy tu problem.

W pobliżu rozległy się kroki obutych stóp. Klap. Klap. Klap.

– Twój kij i Twoja laska mnie prowadzą – oznajmiła Lucille.

– Proszę natychmiast odłożyć broń, proszę pani – rozpaczliwie domagał się Junior.

– Nie przyszedł tu do ciebie, chłopcze. – Skierowała pistolet w dół.

– Tak, proszę pani, ale zechce pani odłożyć broń. Potem możemy rozmawiać o czymkolwiek pani chce. – Teraz pojawili się inni strażnicy, trzymając karabiny w pogotowiu. Coś jednak, być może dawny instruktaż właściwego zachowania, sprawiało, że nie decydowali się wymierzyć ich w Lucille.

– Do cholery, Junior, co się tu dzieje? – wyszeptał jeden z nich.

– Nie mam bladego pojęcia – odparł. – Nagle się tu zjawiała. Z całym ich tłumem. I z tym cholernym pistoletem. Na początku była tylko ona i ci w pikapie, ale...

Patrzyli w osłupieniu, jak zewsząd napływają Przywrócony. Całymi falami. Jeśli nawet żołnierze nie mogli ich zliczyć, nie ulegało wątpliwości, że znacznie przewyższają liczbę strażników. To było oczywiste.

– Przybywam uwolnić tych, których tu więzicie! – wołała Lucille. – I nie was o to winię, chłopcy! Wiem, że robicie, co każą, bo tak was szkolą. Ale przypominam, że waszym obowiązkiem moralnym jest postępować przyzwoicie i uczciwie, nawet pomimo rozkazów. – Jadąc, obmyśliła, że w trakcie swojego przemówienia będzie przechadzać się tam i z powrotem, tak jak to robił pastor, gdy chciał się skupić. Teraz jednak na widok karabinów poczuła, że ogarnia ją lęk.

Ale to nie był czas na trwozę.

– Nie powinnam nawet z wami rozmawiać! – krzyczała coraz głośniej. – Nie jesteście przyczyną zła. O, nie! Jesteście jego symptomem. A ja muszę zmierzyć się z przyczyną. Chcę rozmawiać z pułkownikiem Willisem!

– Proszę rzucić broń, proszę pani – powtarzał Junior. – Jeśli chce pani widzieć pułkownika, pójdziemy do niego. Ale proszę oddać pistolet i przekazać nam Przywróconych do dalszej procedury.

– Nie ma mowy – warknęła, a jej dłoń mocniej zacisnęła się na kolbie. – Do procedury! Też coś! – prychnęła. Żołnierze wciąż nie mogli się zdecydować, by wycelować w nią lufy, toteż skierowali je na tych, którzy ją otaczali. Przywrócenie zwarli się wokół niej, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Stali tylko, czekając, aż Lucille i jej pistolet przemówią w ich imieniu.

– Chcę widzieć pułkownika – powtórzyła.

Choć nagle ogarnęło ją poczucie winy z powodu tego, co robi, nikt już nie był w stanie jej zatrzymać. Szatan to zręczny kusiciel, myślała. Prowadzi swój nieczyny proceder, namawiając do drobnych ustępstw, które w końcu wiodą do wielkich grzechów. Czas skończyć z bezczynnością. Miała jej już dość.

– Pułkowniku Willis! – zawołała, jakby wzywała audytora podatkowego. – Chcę się widzieć z pułkownikiem Willisem – zwróciła się do straży.

W sytuacjach tak napiętych jak ta Junior był zupełnie bezradny.

– Sprowadź kogoś – zaszeptał do żołnierza obok.

– Po co? To tylko stara kobieta. Nic nikomu nie zrobi.

Lucille usłyszała jego słowa i chcąc dowieść, jak bardzo się myli, podniosła rękę i wypaliła w powietrze. Wszyscy aż podskoczyli.

– Muszę natychmiast go widzieć! – wrzasnęła, nieco ogłuszona hukem wystrzału.

– Sprowadź kogoś – powtórzył Junior.

– Sprowadź kogoś – powiedział stojący obok żołnierz do następnego.

– Sprowadź kogoś – polecił następny kolejnemu.

I tak ich słowa niosły się dalej i dalej wzdłuż całej linii zasieków.

W końcu ktoś się pojawił. I tak jak przypuszczała, nie był to pułkownik Willis, lecz agent Bellamy. Wszedł w bramę, pół idąc, pół biegnąc, jak zwykle ubrany w garnitur. Tym razem jednak nie miał krawata. To pewny znak, pomyślała, że nadciąga zagłada.

– Miła noc na przejażdżkę – rzucił lekkim tonem, wyłaniając się zza rzędu żołnierzy. Chciał przyciągnąć jej uwagę, a jednocześnie zasłonić własnymi plecami jak największą liczbę karabinów wymierzonych w starą kobietę.

– Co się dzieje, pani Lucille?

– Nie na pana czekałam, agencie Bellamy.

– Oczywiście, droga pani, oczywiście. Ale wezwano mnie, więc jestem. O co tutaj chodzi?

– Dobrze pan wie, o co chodzi. Równie dobrze jak wszyscy. – Ręka, w której trzymała pistolet, zaczęła drżeć. – Jestem wściekła – oznajmiła bezbarwnym głosem. – I nie zniosę dłużej tej sytuacji.

– Tak, proszę pani – odparł. – Ma pani prawo do takich odczuć. Bardziej niż ktokolwiek inny.

– Proszę tego nie robić, agencie Bellamy. Proszę nie sprowadzać wszystkiego do mojej osoby, bo wiemy, że to nie jest prywatna sprawa. Muszę porozmawiać z pułkownikiem Willisem. Proszę go tu przyprowadzić. Albo kogoś po niego wysłać. Nie obchodzi mnie, kto to będzie.

– Przypuszczam, że już tu jedzie – rzekł Bellamy. – I szczerze mówiąc, bardzo się tego obawiam.

– A ja nie – oświadczyła.

– Broń, którą pani trzyma, pogarsza tylko sytuację.

– Broń? Myśli pan, że się nie boję, bo mam broń? – Westchnęła. – To nie ma nic wspólnego z bronią. Nie boję się dlatego, że wiem, do czego zmierzam. – Wyprostowała się gwałtownie. – Zbyt wielu ludzi na tym świecie boi się zbyt wielu rzeczy. Ja też. Wciąż się czegoś boję. Na przykład tego, co widzę w telewizji. Bałam się, zanim wszystko się zaczęło, i będę się bała, kiedy się to skończy. Ale teraz się nie boję. Nie boję się tego, co dzieje się w tej chwili, ani tego, co może się stać. Jestem spokojna, bo wiem, że robię dobrze. Człowiek nie może się bać, gdy postępuje właściwie.

– To spowoduje konsekwencje. – Bellamy starał się, by w jego głosie nie brzmiała groźba. – Taki jest już świat. Wszystko ma swoje konsekwencje, a my nie zawsze możemy je przewidzieć. Czasem nie potrafimy nawet ich sobie wyobrazić. Bez względu na to, jak potoczą się sprawy tego wieczoru, nie obejdziesz się bez realnych konsekwencji, chociaż chciałbym bardziej, niż pani przypuszcza, by wszystko zakończyło się pokojowo.

Zrobił mały krok w jej stronę. Wysoko w górze, jak gdyby świat był miejscem niezmaconej harmonii, świeciły gwiazdy i płynęły chmury, tworząc w ciszy

skomplikowane wzory.

Pewnie postawił stopę na ziemi i ciągnął:

– Wiem, o co pani chodzi. Chce pani działać. Nie chce się pani pogodzić z obecną sytuacją i dobrze to rozumiem. Ja też nie popieram takiego stanu rzeczy. Czy sądzi pani, że gdybym miał cokolwiek do powiedzenia, opustoszyłbym to miasto, a następnie napakował tu ludzi, jakby to był towar w hurtowni?

– Dlatego właśnie nie chcę z panem rozmawiać, agencie Martinie Bellamy. Pan tu już o niczym nie decyduje. I nie pana wzywałam. Mam do pomówienia z pułkownikiem Willisem.

– Rozumiem – zgodził się agent. – Ale pułkownik też już o niczym nie decyduje. Robi to, co mu każą. Wypełnia rozkazy, tak jak ci młodzi żołnierze, którzy tu stoją.

– Nie chcę tego słuchać – prychnęła.

– Musi pani zwrócić się do jego zwierzchników, chcąc coś uzyskać, Lucille. To wszystko się rozgrywa na wyższym szczeblu drabiny.

– Proszę nie traktować mnie jak idiotki, agencie Bellamy.

– Nad pułkownikiem jest generał, czy ktoś w tym rodzaju. Nie znam gradacji stopni w wojskowej hierarchii. Nigdy nie służyłem w armii. Większość informacji na ten temat czerpię z telewizji. Ale jestem pewny, że żaden żołnierz nie wykona bez polecenia żadnej czynności, a także nie zrobi nic, co nie leży w zakresie jego obowiązków. Ta drabina ma wiele szczebli, które ostatecznie prowadzą do samego prezydenta. A jak oboje wiemy, prezydent niewiele ma do powiedzenia. To wyborcy, lobbisci prywatnego przemysłu i tak dalej, i tak dalej... Bez końca.

Znów postąpił w przód. Był już blisko niej, niemal na wyciągnięcie ręki.

– Ani kroku dalej – ostrzegła.

– Czy pułkownik Willis jest człowiekiem, któremu można by powierzyć dowództwo nad tym wszystkim? – spytał, obracając się nieco przy słowach „tym wszystkim” w kierunku uśpionego, ciemnego miasta, które nie było już miastem, lecz wielkim rozdętym gułagiem. – Nie, proszę pani. Nigdy bym komuś takiemu nie powierzył sprawy równie ważnej i delikatnej. Bo jest to niewątpliwie bardzo delikatna sprawa.

Kolejny krok w przód.

– Martinie Bellamy...

– Otóż jesteśmy tu wszyscy: pani, ja, pułkownik Willis, Harold i Jacob.

Huknął strzał.

A potem następny, oddany w powietrze z ciemnego ciężkiego pistoletu w dłoni

Lucille. Opuściła go i wycelowała w Bellamy'ego.

– Nie mam nic przeciw panu – syknęła. – Dobrze pan o tym wie. Ale nie dam się zwodzić. Chcę odzyskać syna.

– Nie, proszę pani – rozległo się zza pleców czarnoskórego agenta, który wolno i ostrożnie się wycofywał. Był to pułkownik. Obok niego stał Harold z Jacobem. – Nie zamierzamy pani zwodzić – rzekł. – Chciałbym zapewnić, że dokładamy wszelkich starań, by sytuacja uległa zmianie.

Na widok Harolda i Jacoba nogi się pod nią ugięły. Teraz, w chwili gdy ich zobaczyła, zdała sobie sprawę, że należało się tego spodziewać. Błyskawicznie wymierzyła pistolet w pułkownika. Żołnierze poruszyli się niespokojnie, lecz on nakazał im gestem spokój.

Jacob szeroko otworzył oczy. Nigdy przedtem nie widział matki z bronią.

– Lucille! – huknął Harold.

– Nie odzywaj się do mnie takim tonem, Haroldzie Hargrave!

– Do jasnej cholery, kobieto! Co ty robisz?

– Robię to, co należy. I tyle.

– Lucille!

– Cicho bądź. Zrobiłbyś to samo, gdybyś był na moim miejscu, no nie?

Spojrzał na pistolet w jej dłoni.

– Możliwe – odparł. – Ale to znaczy, że teraz muszę zrobić to, co ty byś zrobiła na moim miejscu, gdybym stał tutaj z tym cholernym gnatem.

– Nie przeklinaj!

– Proszę posłuchać męża, pani Lucille – rzekł pułkownik Willis, który pomimo wymierzonej w niego broni zachowywał się spokojnie i wyniośle. – To nie skończy się dobrze, jeśli pani i wszyscy, którzy tu z panią przyszli, nie poddadacie się bez oporu.

– Niech pan nam nie grozi – warknęła.

– Słuchaj tego człowieka, Lucille – rzekł Harold. – Spójrz tylko na tych chłopców z karabinami.

Zliczyła ich co najmniej dwudziestu, więcej, niż przypuszczała. Wszystko to mogło źle się skończyć. Byli niespokojni, w każdej chwili gotowi użyć broni. A naprzeciw nich ona – stara kobieta w starej sukni. Stała na środku ulicy, próbując opanować lęk.

Wtem przypomniała sobie, że nie jest sama. Byli z nią Przywróceni. Obróciła głowę i spojrzała za siebie. Jedni obok drugich zbili się w gęstą, falującą masę. Patrzyli na nią w oczekiwaniu na swój los.

Nie planowała tego. W żadnym wypadku. Zamierzała tylko podjechać do bramy, przedstawić pułkownikowi swe żądania i w jakiś sposób skłonić go do tego, by wszystkich uwolnić.

Ale gdy zbliżała się do miasta, zaczęła ich dostrzegać już na przedmieściach. Jedni smutni i zalęknieni kryli się przed jej wzrokiem. Inni, zbici w grupki, obojętnie się przyglądali. Może już przestali obawiać się Biura? Może pogodzili się z tym, że w końcu zostaną zatrzymani i uwięzieni? A może naprawdę byli wysłannikami z nieba?

Zatrzymała się, prosząc, by jej pomogli. A oni bez wahania, jeden po drugim, wsiadali do furgonetki. Ale wtedy nie było ich zbyt wielu. Tylu tylko, ilu mieściło się w kabinie i na platformie. Teraz jednak otaczali ją dziesiątkami, jak gdyby wszyscy się stawili na jakieś tajemne wezwanie przekazywane szeptem z ust do ust.

Musieli się gdzieś ukrywać – pomyślała. A może naprawdę była świadkiem cudu?

– Lucille.

Głos Harolda wyrwał ją z rozważań o cudzie i przywołał do rzeczywistości. Spojrzała na męża.

– Czy pamiętasz ten dzień, wtedy, w pięćdziesiątym ósmym, przed urodzinami Jacoba? Wracaliśmy nocą z Charlotte i tak łało, że chcieliśmy się zatrzymać i poczekać, aż przestanie. Pamiętasz?

– Tak – powiedziała. – Pamiętam.

– Jakiś cholerny pies wyskoczył mi przed maskę – ciągnął Harold. – Pamiętasz? Nie miałem nawet szansy go ominąć. Rozległo się tylko: „łup”, w chwili gdy metal uderzył zwierzę.

– To nie ma nic wspólnego z moją sprawą – zaprotestowała.

– Zaczęłaś płakać niemal w tej samej chwili, zanim jeszcze zdołałem sobie uświadomić, co się stało. Siedziałaś i łkałaś, jakbym przejechał dziecko. Wciąż powtarzałaś: „Boże! Boże! Boże!”. Cholernie mnie wystraszyłaś. Pomyślałem, że może to dziecko, choć było mało prawdopodobne, żeby jakieś dziecko biegało w nocy po szosie, i to w taką pogodę. Wyobraziłem sobie, że samochód potracił Jacoba i że to on leży pod nim martwy.

– Przestań – powiedziała słabym głosem.

– I wtedy zobaczyłem tego cholernego psa. To był myśliwski pies na szopy. Pewnie coś zwęszył i wypadł na drogę, tracąc w deszczu orientację. Wysiadłem w ulewie z kabiny i go podniosłem. Był zmasakrowany. Położyłem go z tyłu i ruszyliśmy.

– Harold...

– Po przyjeździe wniosłem go do domu, ale się okazało, że nie można mu już pomóc. Nie żył, tyle że jego ciało nie przyjęło tego jeszcze do wiadomości. Poszedłem do pokoju i wyjąłem broń. Tę samą cholerną spluwę, którą trzymasz w ręce. Chciałem, żebyś została w domu, ale się nie zgodziłaś. Bóg jeden wie dlaczego. – Przerwał, jakby chciał przełknąć coś, co utknęło mu gardle. – Wtedy użyłem jej po raz ostatni – powiedział. – Pamiętasz, jak wyglądała, kiedy to zrobiłem? Wiem, że pamiętasz. – Spojrzał na żołnierzy i karabiny.

A potem wziął na ręce Jacoba, podniósł go i trzymał chwilę nad sobą. Broń zaczęła jej ciążyć w dłoni. Drżenie zaczęło się od ramienia, by przesunąć się w kierunku łokcia i przegubu. Lucille nie miała wyjścia. Musiała opuścić pistolet.

– No i bardzo dobrze – odezwał się pułkownik Willis. – Bardzo, bardzo dobrze.

– Musimy porozmawiać o tym, co tu się dzieje – mówiąc to, czuła, że ogarnia ją nagle straszliwe zmęczenie.

– Możemy rozmawiać na każdy temat.

– To się musi zmienić – ciągnęła. – Tak dłużej nie może być. Tego po prostu nie da się wytrzymać. – Wprawdzie opuściła broń, wciąż jednak mocno ścisnęła ją w dłoni.

– Zapewne ma pani rację – odparł Willis. Zerknął na żołnierzy, wśród których znajdował się chłopak z Topeki, i dyskretnie wskazał głową Lucille. Potem znów obrócił się w jej stronę. – Nie zamierzam udawać, że wszystko wygląda tak, jak powinno. Wiele odbiega od normy, oględnie rzecz ujmując.

– Odbiega od normy... – powtórzyła. Zawsze lubiła słowo „norma”. Spojrzała przez ramię. Wciąż tam byli. Zwarta, falująca ściana. I wciąż patrzyli, jak stoi samotnie w pustej przestrzeni, która dzieliła ich od żołnierzy.

– Co się z nimi stanie? – spytała, obracając się w samą porę. Junior zbliżył się tak, że niemal sięgał po jej pistolet. Chłopak zamarł; jego własna broń tkwiła w kaburze. Nienawidził przemocy. Pragnął tylko jednego – bezpiecznie wrócić do domu. Tak jak wszyscy.

– Co takiego, pani Hargrave? – Willis nie rozumiał. Blask świateł samochodu bijących od strony południowej bramy rozświetlał mrok za jego plecami.

– Pytałam, co stanie się z nimi. – Jej palce nerwowo poruszyły się na rękojeści. – Zakładając delegalizację...

– Jasny gwint – wysapał Harold. Opuścił Jacoba na ziemię i wziął go za rękę.

Głos Lucille był twardy i opanowany.

– Co się z nimi stanie? – Wskazała gestem milczący tłum Przywróconych.

Junior nigdy wcześniej nie słyszał słowa „delegalizacja”. Miał jednak przecucie,

że nie wróży to nic dobrego, cofnął się więc o krok od starej kobiety z pistoletem.

– Stój! – warknął Willis.

Chłopak zastygł, posłuszny rozkazowi.

– Nie odpowiedział pan – rzekła Lucille, starannie wymawiając każde słowo. Przesunęła się nieco w lewo, by mieć oko na młodego żołnierza, który niemal odebrał jej broń.

– Zostaną poddani stosownej procedurze. – Willis sztywno się wyprostował i założył ręce do tyłu na wojskową modłę.

– To nie do przyjęcia – powiedziała tonem twardszym niż poprzednio.

– Niech to szlag! – klął Harold pod nosem. Jacob spojrzał na niego z przerażeniem. Widział teraz to samo co jego ojciec. Ten skierował już wzrok na Bellamy’ego, usiłując nawiązać z nim kontakt. Należało go ostrzec, że Lucille przekroczyła właśnie granicę samokontroli.

– Odrażające – ciągnęła. – Irracjonalne.

Harold zadrżał. Najstraszliwsza awantura, jaką kiedykolwiek mieli w życiu, wybuchła w konsekwencji słowa „irracjonalne”. To był jej okrzyk wojenny. Cofnął się w stronę otwartej bramy, poza zasięg ognia, w wypadku gdyby skierowano go na południe, na co się wyraźnie zapowiadało.

– Zabieram ich stąd – oznajmiła beznamiętnym, spokojnym głosem. – Moja rodzina i Wilsonowie opuszczają to miejsce ze mną.

Wyraz twarzy pułkownika Willisa się nie zmienił. Był twardy i surowy.

– Nie sądzę, by tak się stało – skwitował.

– Zabieram Wilsonów – potwierdziła. – Z powrotem do siebie.

– Pani Hargrave...

– Rozumiem, że musi pan dbać o swój wizerunek. Pańscy ludzie powinni szanować dowódcę. A tu przychodzi siedemdziesięcioletnia kobieta z małym pistoletem i razem z grupą hołoty wyprowadza wszystkich, których więzicie w murach tego miasta. No cóż, nie trzeba wojskowego stratega, by wiedzieć, że nie stawia to pana w najlepszym świetle.

– Pani Hargrave – powtórzył Willis.

– Domagam się tylko tego, do czego mam prawo i co jesteście mi winni. Żądam wypuszczenia mojej rodziny i tych, którzy oddali się pod moją opiekę. Niech Bóg mnie prowadzi.

– Bóg?

Harold mocniej przyciągnął Jacoba. Miał wrażenie, że wszyscy więźniowie

Arcadii zgromadzili się przy ogrodzeniu. Przeszukał wzrokiem tłum, wypatrując Wilsonów. Wiedział, że będzie musiał zająć się nimi, jeśli sprawy potoczą się tak, jak przewidywał.

– Tak, Bóg – powtórzyła Lucille. – Ale nie Bóg Starego Testamentu. Nie ten, który otworzył przed Mojżeszem morze i zmiażdżył armie faraona. O, nie! Już nie ten. Może nawet skłoniliśmy go do odwrotu.

Junior wykonał kolejny krok w tył.

– Stój, żołnierzu! – wrzasnął pułkownik Willis.

– Harold, zabierz Jacoba w bezpieczne miejsce – nakazała, a potem odwróciła się do Willisa. – To nie może dłużej trwać. Nie będziemy czekać na kogoś, kto pomoże znaleźć nam wyjście, które powinniśmy znaleźć sami. Nawet gdyby miał to być sam Bóg.

– Ani kroku dalej, szeregowy – warknął znów Willis. – Odbierz pani Hargrave broń, żebyśmy wszyscy mogli spokojnie udać się na spoczynek.

Junior dygotał. Szeroko otwartymi oczyma patrzył w oczy Lucille, jakby szukał w nich odpowiedzi, co ma zrobić.

– Uciekaj, dziecko – powiedziała tonem zwykle przeznaczonym dla Jacoba.

– Szeregowy!

Sięgnął po jej pistolet.

I wtedy strzeliła.

Strzał nie wystraszył armii Przywróconych aż tak, jak spodziewali się tego żołnierze. Być może dlatego, że olbrzymia ich większość już raz umarła, a – jak udowodniono – nie da się umierać w nieskończoność.

To była jedna możliwość, chociaż mało prawdopodobna.

Mimo wszystko bowiem byli ludźmi.

Kiedy Junior osunął się na ziemię, łapiąc się za nogę i wijąc z bólu, Lucille nie okazała mu troski, jak bez wątplenia zrobiłaby dawniej. Po prostu przeszła nad nim i ruszyła prosto w kierunku pułkownika. Ten wrzasnął do żołnierzy, którzy wciąż nieruchomo trwali na swych stanowiskach, by otworzyli ogień. Sięgnął po swój pistolet, ale podobnie jak Junior, nie kwapił się, by strzelać do starej kobiety. Nie była taka sama jak Przywrócenie. Była naprawdę żywa.

Tak więc odgłos wystrzałów rozległ się od strony wojskowych posterunków. Niektóre z pocisków utknęły w ciałach ofiar, większość jednak przeszła powietrze bądź zaryła się w ziemię rozgrzaną słońcem lata. Lucille kroczyła w stronę pułkownika

z bronią gotową do strzału.

Zanim jeszcze postrzeliła Juniora, Harold złapał Jacoba w ramiona i biegiem oddalił się od strefy ognia. Bellamy biegł nieco z tyłu. Niebawem zrównał się z nimi i bez pytania sięgnął po Jacoba, by przejąć go z rąk ojca.

– Chodźmy do twojej mamy – rzekł Harold.

– Tak jest – zgodził się Jacob.

– Nie do ciebie mówiłem, synu.

– Tak jest – powtórzył Bellamy.

I biegiem zawrócili do zamkniętego miasta.

Wprawdzie Przywróceni nie mieli broni ani amunicji, ale rekompensowała to ich liczebność. Nie wliczając tych, którzy przybyli z Lucille, były ich tysiące. Przy ogrodzeniu od południowej strony miasta tłoczył się tłum więźniów Arcadii. Trudno byłoby określić ich liczbę. Stali i patrzyli na rozgrywające się wokół wypadki.

Żołnierze wydawali się przy nich zaledwie garstką.

Nagle ruszyli. Wszyscy jednocześnie i tak cicho, jakby nie brali udziału w rzeczywistym wydarzeniu, lecz odgrywali jakąś scenę. Strażnicy jednak wiedzieli, że wobec zmasowanego ataku ich broń niebawem okaże się bezużyteczna. Dlatego przerwali ogień. Chwilę później zalała ich fala Przywróconych, wchłaniając, jak morze piasek.

Nieuzbrojona armia przesuwiała się dalej, wkrótce zagarniając przestrzeń, w której Lucille stała z pistoletem wymierzonym w pułkownika.

Rozlegały się krzyki i odgłosy walki zmagających się przeciwników – cała orkiestra chaotycznych dźwięków, wibrująca podobną pasją życia w obu walczących obozach.

Pękały szyby w budynkach. Walki toczyły się na trawnikach, a także na progach domów, gdzie żołnierze próbowali się schronić małymi grupkami. Niekiedy zdarzało im się uzyskać niewielką przewagę w związku z tym, że Przywróceni nie byli wojskowymi, tylko cywilami. I jak wszystkich cywili paraliżował ich strach na widok mężczyzn z bronią.

Ale sytuacja zmuszała do walki. Dlatego parli naprzód.

– Mogła pani zabić tego chłopca – powiedział pułkownik, patrząc ponad ramieniem Lucille na Juniora. Ten przestał wycić, uświadamiając sobie z ulgą, że choć został postrzelony, wciąż żyje i w gruncie rzeczy nic mu nie dolega. Jęczał tylko cicho i

trzymał się za nogę.

– Nic mu nie będzie – odparła. – Ojciec nauczył mnie strzelać, zanim jeszcze umiałam chodzić. Potrafię trafić, gdzie chcę.

– To nic nie da.

– Myślę, że już dało.

– Przybędzie więcej wojska.

– Ale to niczego nie zmieni. Sprawiedliwości stało się zadość. – Lucille w końcu opuściła broń. – Przyjdą i po ciebie. Są ludźmi. I wiedzą, co zrobiłeś. Przyjdą po ciebie.

Pułkownik otarł ręce. A potem obrócił się na pięcie i ruszył w stronę miasta, gdzie rozproszeni żołnierze wciąż strzelali, bezskutecznie usiłując przejąć utraconą kontrolę. Nie mogli już powstrzymać napierającej fali Przywróconych.

Willis szedł w milczeniu.

Niebawem ukazali się Wilsonowie. Maszerowali we właściwym porządku rodzinnym – Jim i Connie po bokach, a pośrodku ich piękne dzieci, których rodzice strzegli przed niebezpiecznym światem. Widząc Lucille, Jim skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie doszło do tego z naszego powodu – odezwał się.

A wtedy ona mocno go objęła. Roztaczał wokół dziwną woń stęchlizny, jakby od dawna nie miał okazji, by wziąć prysznic. Rozumiała, dlaczego tak było, i utwierdzało ją to w poczuciu słuszności jej działań. Zarówno jego samego, jak i całą jego rodzinę traktowano w sposób urągający człowieczeństwu.

– Tak należało – powiedziała sama do siebie.

Chciał ją zapytać, co ma na myśli. Zbyłaby go, pokpiwając na temat zostawionych w kuchni naczyń do zmywania. Może nawet udzieliłaby mu rad na temat wychowania dzieci, oczywiście na żarty, bez złośliwości.

Ale w oddali rozległ się strzał i Jim Wilson gwałtownie zadrżał.

A potem martwy osunął się na ziemię.

Chris Davis

Znaleźli go w biurze. Stał ze wzrokiem wbitym w ścianę monitorów. Nie odezwał się i nie uciekał, choć Chris sądził, że postąpi inaczej. Gdy weszli do pokoju, wyprostował się, zmierzył ich spojrzeniem zimnych oczu i powiedział: „Wypełniałem tylko obowiązek”. Chris nie pamiętał, czy prosił o wybaczenie i czy się tłumaczył. Ale pułkownik nie był człowiekiem skłonny do przeprosin.

– Nie wiem, jacy jesteście, tak jak i sami nie wiecie – powiedział. – Może będziecie

walczyć, by zginąć po raz drugi, jak ci z Rochester, choć w to nie wierzę. – Potrząsnął głową. – Jesteście inni. Ale to nie może dłużej trwać. Nie może. – A potem powtórzył: – Wypełniałem swój obowiązek. Nic więcej.

Chris przez chwilę myślał, że Willis się zastrzeli. Sytuacja stała się odpowiednio dramatyczna. Ale gdy się zbliżyli, okazało się, że jego pistolet spokojnie leży na biurku. Nie był naładowany. Wielkie monitory na ścianie, które przez wiele tygodni pozwalały mu obserwować życie, a czasem śmierć Przywróconych, przedstawiały jedno i to samo – starą, czarnoskórą kobietę skuloną na łóżku polowym.

Otoczony przez nich nie opierał się, tylko głęboko wciągnął powietrze. Chris zastanawiał się, o czym ten człowiek myśli, gdy chwilę później prowadzili go przez długie korytarze szkolnego budynku.

W końcu otworzyli drzwi pomieszczenia, do którego zmierzali, by napotkać tam mętne spojrzenie chłopca w brudnych, poplamionych łachmanach. Porażony światłem, drżącą ręką osłonił oczy.

– Jestem głodny – wyszeptał słabym głosem.

Dwaj z nich weszli do środka i pomogli mu się dźwignąć. Wzięli go na ręce i wynieśli. A potem umieścili Willisa tam, gdzie więził chłopca przez wiele dni. Zanim zamknęli i zaryglowali drzwi, Chris dostrzegł, że pułkownik wpatruje się w napływający zewsząd tłum Przywróconych. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, jakby widziały, że ten tłum rośnie, rozprzestrzenia się i z wolna zalewa cały glob, wypełniając każde puste miejsce, by na zawsze zakorzenić się w tym świecie i w tym życiu. Nawet po śmierci.

– A więc to tak... – powiedział, choć Chris nie wiedział, do kogo kieruje te słowa.

A potem zatrzasnęli drzwi i zasunęli rygle.

Rozdział 18

– Musimy stanąć – wysapał Harold, czując, że pękają mu płuca.

Instyngt nakazywał Bellamy'emu biec dalej. Gdzieś pośrodku tej zawieruchy została jego matka. Ale nie protestował. Wystarczyło jedno spojrzenie na Harolda, by zrozumieć, że nie ma wyboru. Gdy postawił Jacoba na ziemi, chłopiec podbiegł do ojca.

– Dobrze się czujesz? – spytał niespokojnie.

Harold próbował złapać oddech pomiędzy atakami kaszlu.

– Usiądź. – Bellamy objął starego człowieka ramieniem. Znajdowali się w pobliżu małego domu na Trzeciej Ulicy. Na tyle daleko od głównej sceny wydarzeń, by nic im nie groziło. Ponieważ większość mieszkańców udała się w stronę południowej bramy, w tej części miasta było zupełnie spokojnie. Zapewne każdy, kto do tej pory mógł uciec z Arcadii, zdążył już to zrobić – pomyślał. Niewykluczone, że w końcu wszystko opustoszeje.

Jeśli nie myliła go pamięć, dom należał do rodziny Danielsów. Starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów związanych z tym miastem nie dlatego, że kiedykolwiek przypuszczał, iż połączy go z nim los, ale dlatego, że matka od dziecka wpajała mu staranność.

Od strony bramy dobiegł odgłos pojedynczego strzału.

– Dzięki, że pomogłeś mi go nieść – powiedział Harold, patrząc na swoje ręce. – Nie jestem dość szybki.

– Nie powinniśmy zostawiać Lucille – rzekł Bellamy.

– Jaki mieliśmy wybór? Zostać, żeby zastrzelili Jacoba? – Znow zaczął się krztusić.

– Pewnie masz rację – zgodził się Bellamy. – Zresztą i tak wkrótce wszystko się skończy. – Położył rękę na ramieniu starego człowieka.

– Nic mu się nie stanie? – Przerażony Jacob ocierał ojcu pot z czoła, podczas gdy ten wciąż kaszlał, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie martw się o niego. – Bellamy się uśmiechnął. – To twardy orzech do zgryzienia. Wszystkich nas przetrzyma.

Razem z chłopcem wprowadzili go na schody. Samotny dom Danielsów przycupnął pod zepsutą latarnią uliczną, tuż obok jakiejś zapuszczonej parceli.

Haroldem wstrząsnął kolejny atak kaszlu. Tak długi, iż w końcu jego dłonie zacisnęły się w pięści.

Bliski płaczu Jacob głąskał go po plecach.

Bellamy stał, patrząc w stronę serca miasta – starego budynku szkoły.

– Powinieneś już iść. Ona wymaga opieki – wykrztusił Harold. – A nam nic się nie stanie. Oprócz żołnierzy nikt tu nie ma broni, zresztą muszą się kryć. – Głośnym chrząknięciem podkreślił stanowisko w tej sprawie.

Czarnoskóry agent wciąż patrzył w stronę szkoły.

– Co kogo obchodzi stary człowiek z małym chłopcem? Naprawdę nie musisz tu tkwić. – Wyciągnął rękę i objął Jacoba. – Prawda, synu? Zaopiekujesz się mną, co?

– Tak, sir – z powagą przytaknął chłopiec.

– Pamiętasz, gdzie mieszkamy – zwrócił się Harold do Bellamy’ego. – Myślę, że teraz wrócimy z Jacobem po Lucille. Wygląda na to, że już się uspokoiło. Wszyscy przetoczyli się obok bramy, ale ona pewnie tam została. I na nas czeka.

Bellamy gwałtownie obrócił głowę, by spojrzeć w stronę południowej bramy.

– Nie martw się o Lucille. Ta kobieta jest niezniszczalna. – Harold się zaśmiał, ale zrobił to z widocznym trudem.

– Zostawiliśmy ją – powtórzył Bellamy.

– Nie. Ratowaliśmy Jacoba. W przeciwnym razie, sama by nas zastrzeliła. Mogę cię o tym zapewnić. – Przyciągnął chłopca do siebie.

Gdzieś w oddali rozległy się krzyki, po czym znów zapadła cisza.

Bellamy otarł twarz. Harold dostrzegł, że po raz pierwszy, od kiedy się poznali, pot wystąpił mu na czoło.

– Nic jej się nie stanie – powiedział.

– Wiem – odparł tamten.

– Na pewno żyje – zapewnił Harold.

Bellamy zachichotał.

– To właśnie jest pytanie, prawda?

Harold wyciągnął rękę i potrząsnął jego dłoń.

– Dziękuję. – Lekko zakaszłał.

Agent szeroko się uśmiechnął.

– Czyżbyś się rozczulił?

– Mówię tylko, żebyś do nas wpadł, chłopie.

– O nie! – wykrzyknął Bellamy. – Tego nie podaruję. Jesteś taki miły, że muszę to uwiecznić. Gdzie moja komórka?

– Osioł. – Hargrave z trudem hamował śmiech.

– Dzięki za uznanie – pogodnie odparł Bellamy po krótkiej chwili.

Na tym ich drogi się rozeszły.

Siedział z zamkniętymi oczami, usiłując zapanować nad kaszlem, który najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną. Musiał się zastanowić, co robić dalej. Czuł, że zanim wszystko się skończy, czeka go jeszcze jakieś zadanie. I że to rzecz straszna.

Wszystkie zapewnienia, iż Lucille jest bezpieczna, były tylko czczą gadaniną. Musiał koniecznie zobaczyć na własne oczy, czy nic jej się nie stało. Miał znacznie silniejsze poczucie winy, niż Bellamy mógł przypuszczać. Przecież był jej mężem. Ale przypomniał sobie, że zrobił to dla Jacoba. Żądała tego. I miała rację, bo nie wiadomo, co mogłoby się stać. Na pewno nie było miejsca dla dziecka wśród żołnierzy i spanikowanego tłumu.

Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, gdyby to on znalazł się na jej miejscu, a ona stała po drugiej stronie bramy odgradzona rzędem uzbrojonych mężczyzn, zmusiłby ją, żeby złapała chłopca i uciekła jak najdalej.

– Tato?

– O co chodzi, Jacob? – Rozpaczliwie łaknął papierosa, ale jego kieszenie były puste. Złożył ręce na kolanach i patrzył na miasteczko ogarnięte śmiertelną ciszą.

– Kochasz mnie, prawda?

Gwałtownie drgnął.

– Cóż za głupie pytanie, synu...

Jacob podciągnął kolana pod brodę, objął rękami nogi i nie odpowiedział.

Ostrożnie szli przez ulice, z wolna zbliżając się do bramy. Od czasu do czasu mijali grupki Przywróconych. Byli wciąż jeszcze liczni, mimo iż większość zbiegła z miasta.

Harold usiłował poruszać się tak, by nie forsować płuc. Od czasu do czasu się odzywał, mówiąc coś, co właśnie przyszło mu do głowy. Na ogół wspominał Arcadię i to, jak było tu kiedyś, kiedy jeszcze żył Jacob. Tak wiele się zmieniło w ciągu tych wszystkich lat. Nagle wydało mu się bardzo ważne, by dostrzec te różnice.

Pusta parcela obok domu Danielsów nie zawsze była pusta. W czasach gdy żył Jacob, stał tam kiosk z lodami, który zamknięto gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, w dobie kryzysu naftowego.

– Opowiedz mi jakiś kawał – rzekł do Jacoba, ściskając mu dłoń.

– Wszystkie już słyszałeś – padła odpowiedź.

– Skąd wiesz?

– Bo znam je od ciebie.

Harold zdołał już odzyskać równy oddech i poczuł się lepiej.

– Jestem pewien, że znasz coś nowego.

Jacob pokręcił głową.

– Może słyszałeś coś w telewizji? A może ktoś ci coś opowiedział?

Chłopiec nadal zaprzeczał.

– A tam, w szkole, gdzie mieszkaliśmy z panią Stone? Tyle było dzieciaków. Przecież zawsze opowiadają sobie jakieś kawały. Musieliście żartować, zanim powstał cały ten bałagan. No i zanim spuściłeś im łomot. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Nikt nie nauczył mnie żadnych nowych kawałów – odparł Jacob bezbarwnym głosem. – Nawet ty.

Harold puścił jego dłoń i teraz obaj szli, machając rękami.

– No dobra – rzekł. – A więc spróbujmy.

Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech.

– O czym ma być ten kawał?

– O zwierzętach. Najbardziej lubię żarty o zwierzętach.

– Jakichś konkretnych zwierzętach?

Jacob chwilę się namyślał.

– O kurach.

– Świetnie. – Harold pokiwał głową. – Mamy niewyczerpane zasoby kawałów o kurach. A zwłaszcza o kogutach. Tylko nie powtórz tego mamie.

Jacob zachichotał.

– Co powiedziała gęś do kury? – spytał nagle ojca.

– Co takiego?

– Jestem cała zakurzona.

Gdy zbliżyli się do południowej bramy Arcadii, zdołali już wymyślić kilka kawałów, a teraz rozmawiali o tym, jak należy je opowiadać.

– Na czym to polega? – dopytywał się Jacob.

– Na sposobie przekazu.

– Co to jest?

– Zawsze opowiadaj dowcip tak, jakbyś dobrze go znał.

– Dlaczego?

– Bo nikt cię nie wysłucha, jeśli uzna, że dopiero go wymyślasz. Ludzie uważają, że żart jest tym śmieszniejszy, im dłużej się go powtarza – tłumaczył Harold synowi. – Słuchając jakiegoś dowcipu, pragną się poczuć tak, jakby ich wprowadzano do grupy

tych, którzy go już znają. Chcą się stać częścią większej całości, a potem chcą opowiedzieć ten żart przyjacielom, by wciągnąć ich w tę grupę. Chcą, aby wszyscy, którzy ich otaczają, stali się jej członkami.

– Tak, tato – potakiwał uszczęśliwiony Jacob.

– No a jak myślisz, co się dzieje, jeśli żart jest dobry?

– Jeśli jest dobry, to zaczyna krążyć.

– Tak jest – potwierdził Harold. – Bo dobre rzeczy trwają.

Nie bardzo wiedząc kiedy, znaleźli się nagle przy południowej bramie. Stało się to tak szybko, że nie zdążyli nawet opowiedzieć sobie powtórnie swoich kawałów. Zupełnie jakby dotarli tam przypadkiem, ot, po prostu ojciec i syn, którzy wspólnie wybrali się na spacer. Zachowywali się tak swobodnie, jakby nie powracali w miejsce, gdzie niedawno wybuchła strzelanina. Tam, gdzie była Lucille i gdzie teraz leżał Jim Wilson.

Ciągnąc za sobą Jacoba, Harold przedarł się przez tłum Przywróconych, którzy otaczali Jima.

Na jego martwej twarzy malował się spokój.

Lucille klęczała obok i łkała, łkała, łkała. Ktoś wsunął mu pod głowę marynarkę, a drugą go okrył. Lucille trzymała go za jedną rękę, a Connie, jego żona, za drugą. Na szczęście zdołano odciągnąć w porę dzieci.

Tu i ówdzie widać było grupki żołnierzy. Rozbrojeni, pozostawali pod strażą Przywróconych. Jednych skrupowano, czym się dało. Inni, słusznie oceniając sytuację, zaniechali wszelkiego oporu, z miejsca się poddając, i teraz, wolni od więzów, w milczeniu czekali na swój los.

– Lucille! – wykrzyknął Harold i z trudem kucnął obok żony.

– On należał do naszej rodziny – załkała. – To wszystko przeze mnie.

Dostrzegł krew dopiero w momencie, gdy ukląkł w jej kałuży.

– Haroldzie Hargrave – odezwała się cienkim głosem. – Gdzie mój syn?

– Jest tutaj.

Jacob podszedł do niej z tyłu i ją objął obu rękami.

– Mamo...

– To dobrze – powiedziała, lecz Harold nie był pewien, czy rzeczywiście uświadamia sobie obecność chłopca. Po chwili jednak go objęła, mocno do siebie przyciągając.

– Zrobiłam coś strasznego – oświadczyła, nie wypuszczając syna z objęć. – Niech

mi Bóg wybaczy.

– Jak to się stało? – Harold nie mógł zrozumieć.

– Ktoś był za nami, z tyłu – odparła Connie Wilson, ocierając łzy z twarzy.

Wolno wstał, gdyż ból nóg utrudniał mu ruchy.

– Któryś z żołnierzy czy ten cholerny pułkownik?

– Nie. – Connie mówiła spokojnie. – Pułkownika zabrali wcześniej. To nie on.

– W którą stronę zwrócony był Jim? W kierunku miasta czy szosy? – Harold wyciągnął rękę, wskazując drogę. Biegła wśród pól i drzew, by w końcu dotrzeć do granic Arcadii.

– W stronę miasta – odparła.

Obrócił się do szosy i powiódł wzrokiem po rozległej wolnej przestrzeni. Widział tylko długą ciemną wstęgę asfaltu ciągnącą się pomiędzy pustymi polami, na których dawniej rosła kukurydza. Wydawało się, że wysokie, ciemne sosny na ich krańcach sięgały rozgwieżdżonego nieba.

– Niech cię piekło pochłonie! – syknął przez zęby.

– Co takiego? – spytała Connie. Słyszając ton jego głosu, wiedziała, że kogoś rozpoznał.

– Ty cholerny sukinsynu! – Harold zacisnął dłonie w pięści.

– O co chodzi? – spytała ponownie, nagle zdjeta lękiem, że i ją zabiją. Spojrzała w stronę lasu, ale widziała tylko drzewa i ciemność.

– Idź po dzieci – polecił. Potem spojrzał na swoją starą furgonetkę. – Położymy Jima z tyłu, a ty, Connie, też wsiadaj, płasko się połóż i nie wstawaj, póki ci nie powiem.

– Co się stało, tato? – dopytywał się Jacob.

– Nie twoja sprawa – rzucił, a potem obrócił się do Lucille. – Gdzie mój pistolet?

– Proszę. – Podała mu go z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Wyrzuć to.

On jednak wsunął broń za pasek spodni i skierował się do kabiny kierowcy.

– Co się stało, tato? – Nie dawał za wygraną Jacob, wciąż obejmując matkę. Lucille poklepała go po ręce, jakby wreszcie uświadomiła sobie jego obecność.

– Nie odzywaj się teraz – uciął Harold surowym głosem. – Wskakuj do wozu i połóż głowę na siedzeniu.

– A mama?

– Synu, rób, co ci każe! – warknął. – Musimy stąd uciekać i jak najszybciej jechać do domu, żeby ratować Connie i dzieci.

Jacob przylgnął do siedzenia furgonetki, a Harold wyciągnął rękę i poklepał go po głowie, jakby chciał zapewnić, że ma na celu wyłącznie jego dobro. Nie zamierzał

przepraszać, gdyż nie widział nic złego w tym, że krzyknął na syna. Zawsze wyznawał zasadę, że ten, kto nie zrobił nic złego, nie ma powodu przepraszać, co jednak nie znaczyło, że nie może czule pogłaskać dziecka po głowie.

Kiedy Jacob ułożył się już na fotelu, jego ojciec wysiadł, by pomóc przenieść ciało Jima. Patrząc, jak je podnoszą, Lucille przypomniała sobie nagle fragment Pisma:

– „Mój Bóg posłał swego anioła i on zamknął paszczę lwom; nie wyrządziły mi one krzywdy, ponieważ On uznał mnie za niewinnego”.

Tym razem Harold nie opatrzył jej słów komentarzem. Wydawały się właściwe.

– Ostrożnie – powiedział, gdy nieśli ciało, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

– Ze skruchą – szepnęła Lucille, wciąż klęcząc. – Z głęboką skruchą – powtórzyła.

– To wszystko moja wina.

Kiedy ułożono Jima z tyłu furgonetki, Harold polecił Connie, by wsiadła.

– Posadź dzieci z przodu, jeśli same nie zechcą tam usiąść – polecił, po czym przeprosił, choć nie wiedział, dlaczego to robi.

– Co się stało? – Connie nic nie mogła zrozumieć. – Dokąd jedziemy?

– Proszę, żeby dzieci usiadły w kabinie – odparł, niczego nie wyjaśniając.

Posłusznie zastosowała się do jego polecenia. Dzieci wcisnęły się do kabiny obok Lucille, Jacoba i Harolda, który nakazał wszystkim mocno pochylić głowy. Mali Wilsonowie cicho pochlipywali, gdy silnik ożył i samochód wyjechał z miasta.

Lucille patrzyła w dal, a jej myśli błądziły gdzieś w przestrzeni.

Z tyłu, na platformie furgonetki, martwemu ciału męża towarzyszyła Connie. Tak samo jak przez wszystkie lata ich życia i małżeństwa. Trzymała jego rękę, nie czując lęku ani obaw z powodu bliskości zmarłego. A może po prostu nie chciała go opuścić.

Gdy zjechali z szosy na gruntową drogę prowadzącą do domu, Harold zwrócił się do żony:

– Najpierw wprowadzisz do środka Connie i dzieci. Żadnych pytań. Nie martw się o Jima. Tylko szybko zabierz ich do domu. Słyszysz?

– Tak – odparła Lucille.

– Potem biegnijcie na górę. I nie zatrzymujcie się bez powodu.

Stanął na końcu podjazdu i włączył światła drogowe, tak że ich blask oświetlił wszystko wokół. Ciemny dom zionął taką pustką, że nie pamiętał, by kiedykolwiek go takim widział.

Wdepnął pedał gazu i ruszył naprzód. Nabrał prędkości, jadąc podjazdem w stronę podwórza, i tam zawrócił, by tyłem podjechać do schodów prowadzących na

ganek. Zupełnie tak, jakby przywiózł świąteczną choinkę lub cały transport drewna do kominka, a nie ciało Jima Wilsona.

Przez cały czas prześladowało go uczucie, że ktoś za nim jedzie i że sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Dlatego tak się spieszył. Wytężył słuch i wtedy usłyszał niosący się w powietrzu niski warkot ciężarówek. Sądząc z natężenia dźwięku, mogły się znajdować gdzieś przy końcu gruntowej drogi.

Otworzył drzwi i wysiadł.

– Do środka – powiedział. Wyciągnął dzieci z kabiny, postawił je na ziemię jak żrebaki i wskazał ganek. – No już – ponaglał. – Szybko, wchodźcie!

– Ale super. – Jacob był zachwycony.

Nagle podjazd zalały podskakujące na wybojach światła. Harold osłonił oczy i wyciągnął z za pasa pistolet.

Jacob, Lucille i trójka Wilsonów przemknęli do drzwi, gdy pierwsza ciężarówka zatrzymała się na podwórzu tuż pod starym dębem. Trzy inne zaparkowały za nią, nie wyłączając głównych świateł.

Widział już, z kim ma do czynienia.

Obrócił się i wszedł na ganek, gdy otworzyły się drzwi kabin i z wozów wysiedli kierowcy.

– Harold! – rozległo się wołanie z za ściany świateł. – Chodź do nas, Haroldzie!

– Wyłącz te cholerne reflektory, Fred! – wrzasnął. – I powiedz to kolegom. – Stał przed drzwiami domu i odbezpieczył pistolet. Z wnętrza dobiegły go szybkie kroki biegnących na górę dzieci. – Słyszę, że Clarence wciąż nie zmienił łańcucha rozrządu w tej swojej landarze.

– Nie twoje zmartwienie – odparł Fred, lecz po chwili światła jego ciężarówki zgasły. Wkrótce potem wyłączono światła pozostałych.

– Przypuszczam, że wciąż masz tę spluwę! – zawołał Harold.

Fred stanął przed maską swojego wozu. Gdy oczy Harolda przystosowały się do mroku, ujrzał, że trzyma strzelbę, jakby ją kołysał na rękach.

– Nie chciałem tego zrobić – odparł. – Muszę ci to powiedzieć.

– Daruj sobie – rzekł Harold. – Zwąchałeś okazję, żeby popisać się czymś, na co zawsze miałeś chętkę, i się nie zawahałeś. Zawsze byłeś narwany, a teraz, gdy wszystko stoi na głowie, możesz sobie folgować do woli.

Cofnął się kolejny krok w stronę drzwi i uniósł pistolet. Widząc to, podstarzali kumple Freda wymierzili w niego strzelby i śrutówki. Tylko on sam stał bez ruchu.

– Harold – pokręcił głową – po prostu przekaż ich w nasze ręce i dajmy temu

spokój.

– Żebyście ich zabili?

– Harold!

– Dlaczego tak ci zależy, żeby zostali wśród martwych? – spytał, wciąż się cofając. Nienawidził myśli, że zostawia ciało Jima Wilsona na furgonetce, ale nie miał wyboru. – Co się z tobą stało? – spytał. – Myślałem, że lepiej cię znam. – Był już niemal w domu.

– To nie jest normalne – powiedział Fred. – Pod żadnym względem.

Harold wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. Wokół na chwilę zapadła cisza. Dąb przed domem zaszeleścił w nagłym porywie wiatru, który nadpłynął z południa niczym zapowiedź nieszczęścia.

– Wyciągać kanistry – rozkazał Fred Green.

Patricia Bellamy

Znalazł matkę w opuszczonej szkolnej sali. Siedziała samotnie na brzegu polowego łóżka i czekała. Ręce spoczywały na kolanach, a wzrok bez celu błędził gdzieś w dali. Gdy zobaczyła go w drzwiach, nagle w jej oczach zapalił się błysk.

– Och, Charles – westchnęła.

– Tak, to ja – odparł. – Jestem.

Spojrzała na niego z uśmiechem bardziej promiennym i pełnym życia niż ten, który Bellamy zachował we wspomnieniach.

– Tak się martwiłam – rzekła. – Myślałam, że o mnie zapomniałeś. Musimy zdążyć na przyjęcie. Nie możemy się spóźnić. To byłoby niegrzeczne. Bardzo niegrzeczne.

– Tak – zgodził się, siadając obok niej. Gdy wziął jej rękę w swoje, uśmiechnęła się znowu i położyła mu głowę na ramieniu.

– Tęskniłam do ciebie.

– Ja też do ciebie tęskniłem – wyszeptał.

– Myślałam, że o mnie zapomniałeś – powtórzyła. – Czy to nie głupie?

– Bardzo.

– Ale wiedziałam, że wrócisz – dodała po chwili.

– Oczywiście, że wiedziałas – potwierdził z oczyma pełnymi łez. – Przecież wiesz, że nigdy cię nie zostawię.

– Och, Charles... – przypomniała sobie nagle. – Jestem z niego taka dumna.

– Wiem – rzekł Bellamy.

– I dlatego nie możemy się spóźnić – ciągnęła. – To jego wielki dzień. Został jakimś ważnym urzędnikiem... ten nasz syn. Musi wiedzieć, że jesteśmy z niego dumni. Że go kochamy i zawsze będziemy na niego czekać.

– Na pewno o tym wie. – Słowa utknęły mu w gardle.

Długo siedzieli w milczeniu. Od czasu do czasu z zewnątrz dobiegały odgłosy jakiejś szamotaniny. Tu i ówdzie toczyły się jeszcze walki i wybuchały potyczki, jak to zwykle bywa w podobnych sytuacjach.

Część żołnierzy pozostała lojalna wobec pułkownika Willisa, a w każdym razie sprawy, której służył. Nie mogli uwierzyć w to, że wszystkie jego czyny i słowa były aktem zła. Podobnie jak poglądy na temat Przywróconych. Opierali się zatem nieco dłużej niż inni, ale z coraz mniejszą energią. Walki z wolna dogasały, co oznaczało, że wkrótce dobiegną końca.

Niebawem jedynymi, którzy pozostali w miejscu ongiś tak tłumnie zaludnionym, byli Martin Bellamy i jego matka. Mozolnie zbierali okruchy dawnego życia, czekając aż śmierć – czy to, co sprawiało, że Przywrócenie znikali nagle jak nocne szepty – w końcu po nią przybędzie. A może po niego.

Gdyby mógł odwrócić czas, nigdy więcej nie powtórzyłby popełnionego błędu.

– Och, Marty – znów się odezwała. – Tak bardzo cię kocham, synu. – Zaczęła grzebać w kieszeniach, szukając tam cukierka, jakby wciąż był małym chłopcem.

Martin Bellamy ścisnął jej dłoń.

– Ja też cię kocham – rzekł. – I nigdy o tym nie zapomnę.

Rozdział 19

– Chyba nie myślisz, że jestem tak głupi, żeby tam wchodzić, co? – wrzasnął Fred głosem, od którego zadrżały cienkie ściany domu.

– Właśnie na to liczyłem. – Harold zdołał już niemal przyciągnąć kanapę i zatarasować drzwi frontowe.

– Posłuchaj mnie, stary, i daj sobie z tym spokój. Bo inaczej razem z chłopakami zrobimy co trzeba. Wykurzymy was wszystkich ogniem.

– Spróbujcie. – Zaczął gasić światła. – Ale ten, kto podejdzie pod dom, przywita się z moją spluwą.

Gdy pogasił już światła i wszystko pozamykał, stanął za kanapą blokującą wejście. Słyszał, że się kręca na tyłach domu i oblewają ściany benzyną. Miał ochotę wystrzelać w ich kierunku cały magazynek. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli sprawy przybiorą tak zły obrót, jak się obawiał, mogłoby mu z czasem zabraknąć amunicji na tych drani. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby nie mógł załatwić choćby jednego z nich.

– Naprawdę tego nie chcę, stary – wychrypiał Fred.

Pomimo wszelkich starań Harold nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w jego głosie brzmiała nuta szczerości. Tyle że nie był pewien, na ile może jej ufać.

– To jest po prostu coś, co trzeba zrobić – upierał się Green.

– Wszyscy mamy coś do zrobienia, nie? – Harold spojrzał w kierunku schodów, słysząc nad sobą odgłos stąpania. – Nie zbliżać się do okien! – wrzasnął, a chwilę później zobaczył Lucille. Zatrzymała się, po czym zaczęła kuśtykać na dół nierównym krokiem osoby cierpiącej na artretyzm.

– Psiakrew, wracaj na górę! – warknął.

– Nie będę siedzieć bezczynnie – zaprotestowała. – To wszystko przeze mnie. Z mojej winy.

– Zlituj się, kobieto! – fuknął. – Czy w tej twojej księdze nie piszą, że chciwość to grzech? Przestań skąpic i podziel się trochę tą swoją winą. Wyobraź sobie tylko, jak wyglądałoby nasze małżeństwo, gdybyś tak chętnie wyrażała skruchę. Umarłbym chyba z nudów.- Wyprostował się. – A teraz idź na górę!

– Dlaczego? Bo jestem kobietą?

– Bo ci każe!

Wbrew sobie Lucille parsknęła śmiechem.

– To także moja sprawa – oznajmiła Connie, schodząc po schodach.

- Niech mnie... – jęknął.
- Co ty tu robisz, Connie? – odwróciła się Lucille. – Wracaj do dzieci.
- Może teraz zrozumiesz, jak to jest? – Spojrzał znacząco na żonę.
- Co teraz będzie? – spytała, pomijając jego uwagę.
- Nie martw się. Poradzę sobie.

Connie, nisko schylona, przeszła do kuchni, trzymając się z dala od okien. Z bloku na noże wyciągnęła największy.

– Co te kobiety tak ciągnie do noży? – zdziwił się Harold. – Pamiętasz sprawę tego nieszczęsnego Bobbitta? – Potrząsnął głową, a potem zawołał: – Dajmy temu spokój, Fred!

– To nie może się dobrze skończyć – stwierdziła Lucille.

– Właśnie chciałem to powiedzieć! – krzyknął Fred. Sądząc z siły jego głosu, był już na ganku. – Podejdź no do okna.

Harold wstał, stękając z bólu.

– Proszę cię – Lucille wyciągnęła rękę, by go podtrzymać.

– Nic mi nie jest.

– Pogadajmy – domagał się Fred, który stał już przed oknem. Harold z łatwością mógłby go teraz zastrzelić. Tym bardziej że widok ciała Jima Wilsona leżącego na platformie furgonetki w jego perfekcyjnej interpretacji śmierci skłaniał do tego, by pociągnąć za spust. Ale Fred stał przed nim bez broni i wydawał się naprawdę zgnębiony.

– Posłuchaj, Harold – wyjąkał. – Naprawdę mi przykro.

– Chciałbym w to uwierzyć, stary.

– Mówisz szczerze?

– Tak.

– A więc zrozum, że nie chcę rozlewu krwi.

– Krwi Prawdziwie Żywych, tak?

Fred przytaknął.

– Chciałbyś tylko, żebym wydał wam tę rodzinę... te dzieci.

– Owszem. Ale musisz zrozumieć, że my nie chcemy zabijać. W żadnym wypadku.

– A więc czego chcecie?

– Uporządkować to wszystko. Naprawić.

– Naprawić?

– Przywracamy stary ład. Żeby było tak, jak powinno być.

– Jak powinno być? A od kiedy to powinno się zabijać? Nie wystarczy wam, że zabili ich już raz? Mają teraz umierać ponownie?

– To nie myśmy ich zabili! – wrzasnął Fred.

– A kto?

– Nie wiem, kto to zrobił. – Opuścił głowę. – Ale nikt stąd. Pewnie jakiś pieprzony czub, przybłęda, który się tu przywłókł. A oni po prostu mieli tej nocy pecha. To wszystko. Tego nie zrobił nikt z nas, nikt z Arcadii. My nie zabijamy ludzi.

– Nie mówię, że to ty – rzekł Harold.

– Tak się niestety stało – ciągnął Fred. – I odtąd wszystko się zmieniło. Ale teraz oni już nie są mieszkańcami Arkadii. Nie są jednymi z nas. I dlatego trzeba ich wytrzebić. Wszystkich, Rodzinę po rodzinie. Na tym polega nasze zadanie.

Żaden z nich nie musiał patrzeć na ciało Jima Wilsona. Martwy zdawał się mówić aż zbyt wiele o tym, czym stała się Arcadia, a także ich życie – zarówno jednego, jak i drugiego.

– Pamiętasz, jak było tu kiedyś? – zamyślił się Harold. – Pamiętasz to przyjęcie z okazji urodzin Jacoba? Słońce, gwar rozmów, śmiechy... Mary miała zaśpiewać tego wieczoru. – Westchnął. – A potem, cóż, potem wszystko się zmieniło. My też.

– O tym właśnie mówię – podjął Fred. – Pewne rzeczy dzieją się w innych miejscach. Rozboje, gwałty, strzelaniny i morderstwa. Wszystko, co sprowadza nagłą śmierć. Ale nigdy nie zdarzało się to tutaj.

– A jednak się zdarzyło. – Harold pokiwał głową. – Zdarzyło się Wilsonom, a także twojej Mary. A teraz, gdy patrzę na ciebie, widzę, że zdarzy się i nam. Los nas dopadł, Fred. Arcadia nie zdołała ukryć się przed światem. Zabijając ponownie Jima i Connie, na pewno tego nie zmienisz.

Zapadła cisza – milczenie brzemienne w liczne możliwości. Fred pokręcił głową, jakby odrzucał w myślach jakiś argument.

– Musimy położyć temu kres – odezwał się po chwili Harold. – Nie zrobili nic złego – dodał. – Jim urodził się tu i wychował, podobnie jak Connie. Jej rodzina mieszkała w Bladen County niedaleko rodziny Lucille. To nie żadna cholerna Jankeska, czy diabli wiedzą co. Gdyby tu przybyła z Nowego Jorku, sam bym ją ustrzelił.

Mimo wszystko obaj parsknęli śmiechem.

Fred spojrzął przez ramię na ciało Jima.

– Może będę się smażył w piekle – rzekł. – Wiem o tym. Ale nie mam wyjścia. Musimy to zrobić. Za pierwszym razem trzymałem się zasad. Powiedziałem żołnierzom, gdzie się ukrywają, a oni przyszli i spokojnie ich zabrali. Załatwione.

Chciałem wierzyć, że na tym się skończy. Ale, no cóż...

– On próbował tylko znowu żyć. Żyć i chronić swoją rodzinę tak jak każdy człowiek.

Fred pokiwał głową.

– A teraz chronię ich ja. A także Lucille i Jacob – oznajmił Harold.

– Nie zmuszaj mnie do tego – raz jeszcze zaapelował Fred. – Błagam cię o to.

– Nie mam w tej sprawie wyboru. – Harold spojrzał na ciało Jima. – Co miałbym mu powiedzieć, gdyby nagle wstał i zapytał, czemu, do jasnej cholery, wydałem ich w wasze łapy? A gdyby tak leżała tu Lucille... – Skierował wzrok na żonę. – Nie ma mowy. – Pokręcił głową i gestem uzbrojonej w pistolet ręki nakazał Fredowi zejść z ganku. – Cokolwiek masz zamiar zrobić – zakończył – bierz się do roboty.

Fred podniósł ręce i wolno opuścił ganek.

– Masz gaśnicę? – spytał na odchodnym.

– Owszem.

– Nie będę do ciebie strzelał, dopóki ty nie zaczniesz strzelać do mnie albo do moich ludzi – zapewnił. – Jeśli wydasz nam Wilsonów, natychmiast przerwiemy akcję. To zależy tylko od ciebie. I przysięgam, że zrobimy wtedy wszystko, żeby ratować twój dom. Po prostu ich oddał, a natychmiast się wycofamy.

Potem zniknął w ciemności. Harold zawołał dzieci, żeby zeszły na dół. Niemal jednocześnie Fred zaczął coś wykrzykiwać do swoich ludzi. A po chwili zza domu dobiegł stłumiony odgłos wybuchu podpalanej benzyny, po którym rozległ się niski trzask.

– Jak mogło do tego dojść? – Harold nie wiedział, do kogo kieruje to pytanie.

Miał wrażenie, że pokój zaczął wirować. Nagle wszystko straciło sens. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Connie.

– Connie! – zawołał po chwili.

– Tak? – Stała przed nim, trzymając w ramionach dzieci.

Zamilkł. Głowa pękała mu od pytań.

– Harold... – wtrąciła się Lucille. Dwoje ludzi, którzy spędzili razem życie, rozpoznaje nawzajem swe myśli. Wiedziała, o co mąż chce zapytać. I choć czuła, że nie powinien tego robić, nie zdobyła się na to, by go powstrzymać. Chciała poznać prawdę, nie mniej niż on.

– Jak to się stało? – wykrztusił w końcu.

– Co? – Connie spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Wtedy, przed laty... – mówiąc to, patrzył w podłogę. – To miasto... potem już

nigdy nie było takie samo. No i spójrz, do czegośmy doszli. Przez wszystkie te lata nie wiedzieliśmy, kto się tego dopuścił, i wciąż żyliśmy w lęku, że być może był to ktoś z nas. Któryś z naszych sąsiadów. – Pokręcił głową. – Gdybyśmy mogli zasnąć, wiedząc, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, może wszystko wyglądałoby inaczej. Nie tak. – A potem spojrzał jej w oczy.

– Kto to był?

Przez długi czas milczała. Patrzyła na dzieci – na ich buziach pojawiły się strach i niepewność. Przyciągnęła je do siebie, zakrywając im dłońią uszy.

– Ja... – zaczęła – ...nie wiem, kto to był. – Przełknęła, jak gdyby nagle coś utknęło jej w gardle.

Harold, Lucille i Jacob nie odezwali się ani słowem.

– Nie bardzo to pamiętam – ciągnęła Connie, a jej głos brzmiał, jakby dobiegał gdzieś z oddali.

– Była późna noc. Nagle ocknąłam się ze snu, słysząc jakiś dźwięk. Wicie, jak to jest, kiedy budząc się, nie wiemy, czy to jawa, czy wciąż jeszcze sen.

Lucille potwierdziła skinieniem, ale nie odważyła się odezwać.

– Właśnie zasypiałam ponownie, gdy usłyszałam w kuchni czyjeś kroki. Matka zna odgłos kroków własnych dzieci. – Jej uśmiech zgasł. – Wiedziałam, że to nie jest żadne z nich. I wtedy się przeraziłam. Zbudziłam Jima. Początkowo był zamroczony, ale po chwili i on je usłyszał. Rozejrzał się za czymś, co nadawałoby się do obrony, ale zobaczył tylko moją starą gitarę, która stała przy łóżku. W pierwszej chwili chciał po nią sięgnąć, ale myślę, że obawiał się zniszczyć instrument. Dostałam go w prezencie od mojego ojca niedługo przed naszym ślubem. Głupio, że pomyślał o tym w takiej chwili. Ale taki właśnie był Jim.

Otarła łzy, które napłynęły jej do kątek oczu, i ciągnęła opowieść.

– Pobiegałam do pokoju dzieci, a Jim ruszył do kuchni. Krzyknął do kogoś, kogo tam zobaczył, żeby się natychmiast wynosił. Zaczęli się szamotać. Wydawało mi się, że zdemolowali całą kuchnię. Potem padł strzał. A po nim nastąpiła cisza. Najdłuższa cisza w moim życiu. Czekałam, by się odezwał. Modliłam się, by wołał, krzyczał, pozwolił mi usłyszeć swój głos. Na próżno. Słyszałam tylko kroki włamywacza, który myszkował po domu, jakby czegoś szukał. Czegoś, co mogło mieć jakąś wartość. A potem zdałam sobie sprawę, że podchodzi do pokoju dzieci. Objęłam je i schowaliśmy się pod łóżkiem. Widziałam stamtąd tylko drzwi. Po chwili zobaczyłam stare robocze buty. Były poplamione farbą. Nie mogłam dojrzeć nic więcej. – Przerwała i zamyśliła się przez chwilę, pociągając nosem. – Pamiętam, że w tym czasie przyjechali do miasta jacyś

malarze. Mieli dużo roboty na farmie Johnsona. Nigdy ich nie widziałam, ale Jim też tam chodził. Kilka dodatkowych dolarów zawsze się nam przydawało. Pewnego dnia wzięłam go na lunch i wydaje mi się, że dostrzegłam jakiegoś mężczyznę w takich samych butach jak te, które zobaczyłam tamtej nocy w pokoju dzieci. Nie bardzo pamiętam, jak wyglądał facet, który je nosił. Tyle tylko, że był rudy i blady. Nigdy przedtem go nie spotkałam. Nie pochodził stąd i nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczę. – Zastanawiała się przez chwilę, a potem dodała: – Miał złą twarz. – Pokręciła z namysłem głową. – Może zresztą tak mi się tylko wydaje, bo chciałabym w to wierzyć. Ale prawda jest taka, że nie wiem, kto to był. Nie zrobiliśmy nic, by zasłużyć na to, co nas spotkało. Zresztą nie mogę sobie wyobrazić, by jakakolwiek rodzina mogła zasłużyć na coś podobnego. – W końcu zdjęła dłonie okrywające uszy dzieci, a jej głos przestał drżeć. – Świat bywa czasem okrutny – powiedziała. – Każdego dnia to widzimy, oglądając telewizyjne wiadomości. Ale moja rodzina bardzo się kochała aż do ostatniej chwili życia. I tylko to naprawdę ma znaczenie.

Lucille płakała. Wzięła Jacoba w ramiona, szepcząc, że go kocha.

Harold objął ich oboje. A potem zwrócił się do Connie:

– Nie pozwolę was skrzywdzić, obiecuję.

– Co teraz robimy? – spytał Jacob.

– Zrobimy to, co trzeba, synu.

– Czy odeślesz ich, tato?

– Nie – oświadczyła stanowczo Lucille.

– Zrobimy, co zrobić musimy – rzekł ponownie Harold.

Wszystko stanęło w płomieniach. Szybciej, niż się spodziewał. Być może dlatego, że ten stary dom towarzyszył mu przez całe niemal życie, wyobrażał sobie, że nic go nie zniszczy, a już na pewno nie w takim tempie. Ale ogień dowiódł, że to tylko zwykły dom, zbudowany z drewna i wspomnień – materiałów podobnie nietrwałych.

Gdy płomienie objęły tylną ścianę, gęsta chmura ciemnego dymu wypchnęła Hargrave'ów i Wilsonów przez salon w stronę frontowych drzwi, gdzie czekał już Fred Green z wycelowaną strzelbą.

– Powiniennem dłużej grać na zwłokę – pomyślał Harold, zachłystując się od kaszlu i modląc o to, by nie był to atak, który pozbawi go przytomności. – Tak, powiniennem dłużej zwlekać i przygotować więcej amunicji.

– Boże! Boże! Boże! – powtarzała Lucille. Wykręcając sobie palce, odtwarzała w pamięci wszystko, co nastąpiło z jej winy. Oczywiście wyobraźni ujrzała Jima Wilsona. Stał

przed nią – wysoki, przystojny i żywy, obejmując żonę, córkę i syna, którzy kurczowo do niego przyłgnęli. A potem, gdy przez ulice Arcadii przetoczył się odgłos strzału, zobaczyła, jak nagle pada, bezwładny i martwy.

– Tato? – Jacob patrzył na ojca pytającym wzrokiem.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał go Harold.

– To źli ludzie – oświadczyła Lucille.

Connie przytuliła dzieci; w prawej ręce wciąż trzymała rzeźnicki nóż.

– Co dalej? – spytała.

– To źli ludzie – powtórzyła Lucille.

Dzieci zaczęły płakać.

Harold wyjął z pistoletu magazynek, sprawdził, czy cztery naboje wciąż tam są, po czym wsunął go na miejsce.

– Chodź tu do mnie, Jacob! – zawołał.

Gdy chłopiec podszedł, krztusząc się od dymu, wziął go za rękę i zaczął odsuwać kanapę, która tarasowała drzwi. Lucille przez chwilę na to patrzyła, po czym bez pytania zaczęła im pomagać. Wierzyła, że mąż ma jakiś plan. Podobnie jak wierzyła w istnienie Bożego planu.

– Co teraz zrobimy? – spytał Jacob ojca.

– Wyjdziemy stąd – odparł.

– A co będzie z nimi?

– Rób, co ci każę, synu. Nie pozwolę wam tu zginąć.

– Ale co będzie z nimi? – nie ustępował chłopiec.

– Mam dość kul.

Wyraźny i równomierny odgłos wystrzałów rozległ się głośno pośród ciemnej, bezksiężycowej nocy. Raz. Dwa. Trzy.

Chwilę później uchyliły się drzwi i ukazał się pistolet, który zatoczył łuk w powietrzu i upadł na platformę furgonetki tuż obok ciała Jima Wilsona.

– No dobra! – wrzasnął Harold, wychodząc z podniesionymi rękoma. Za nim podążała Lucille z Jacobem, który chował się z tyłu.

– Wygraliście, dranie! – krzyczał. – Ale nie dam wam satysfakcji. Nie wpadną w wasze łapy, sukinsyny! Oszczędziłem im cierpień.

Złapał go silny kaszel.

– O Boże, Boże, Boże! – mamrotała Lucille.

– Muszę to sam sprawdzić – odpowiedział Fred Green. – Moi chłopcy są z tyłu, za domem. Na wypadek, gdybyś coś kombinował.

Harold zszedł ze stopni ganku i oparł się o bok furgonetki.

– A co z moim domem?

– Zajmiemy się tym. Najpierw chcę się przekonać, czy nie łżesz.

Harold znów zaczął kaszleć. Długi uporczywy atak zgiął go wpół i rzucił na ziemię obok starego forda. Lucille uklękła przy mężu, biorąc go za rękę.

– Co ty zrobiłeś, Fredzie Green? – Jej twarz płonęła gniewem na tle łuny ognia.

– Przykro mi, Lucille.

– Wszystko spłonie – wychrypiał Harold.

– Zaraz to ugasimy – rzucił tamten. Ruszył od swojej ciężarówki w stronę domu, nisko z biodra mierząc w drzwi na wypadek, gdyby się okazało, że martwi nie są martwi.

Kaszel rozsadzał Haroldowi płuca; przed oczami rozbłyły małe lśniące plamki. Lucille ocierała mu twarz.

– Niech cię diabli, Fred! Zrób coś! – krzyknęła.

– Przynajmniej zabierz mój wóz sprzed domu – wydyszał Harold. – Jeśli coś się stanie z ciałem Jima, zabiję was!

Jacob ukląkł i wziął ojca za rękę. Chciał mu jakoś pomóc, a poza tym na widok strzelby Greena wolał się znaleźć między rodzicami.

Fred minął trójkę Hargrave'ów i skierował się po schodach do otwartych drzwi domu, z którego wzbijał się w niebo potężny, biały pióropusz dymu. Z miejsca, w którym stał, widział blask płomieni szybko ogarniających całe wnętrze i torujących sobie drogę ku frontowi. Zawahał się przed wejściem, nigdzie bowiem nie widział ciał Wilsonów.

– Gdzie oni są?

– Mam nadzieję, że w niebie – zaśmiał się słabo Harold. Kaszel ucichł, ale wciąż lekko kręciło mu się w głowie, a małe punkciki światła uparcie nie znikwały bez względu na to, jak bardzo się od nich opędał. Ścisnął dłoń Lucille. – Będzie dobrze – zapewnił. – Trzymaj się tylko Jacoba.

– Nie baw się ze mną, Harold! – wrzasnął Fred z ganku. – To się wszystko sfajczy, jeśli zechcę. – Zajrzał do środka, nasłuchując odgłosu kaszlu, jęków lub płaczu, ale słyszał tylko trzask ognia. – Jeśli zaczną uciekać tylnymi drzwiami, dopadną ich moi chłopcy. A jeśli wyjdą przodem, sam ich załatwię. Resztę zrobi ogień. – Cofnął się przed falą żaru. – Masz ubezpieczenie, chłopie. Dostaniesz za to grubego czek. Przykro mi.

– Mnie również. – Harold wstał i z szybkością, która zdumiała go samego, jednym susem dopadł stopni ganku. Huk ognia zagłuszył odgłos jego kroków, a gdy

Fred w końcu je usłyszał, w jego prawą nerkę wbił się rzeźnicki nóż.

Twarz Harolda znajdowała się na wysokości pasa Freda, gdy zatopił mu ostrze w ciele. Tamten zwinął się z bólu, jednocześnie naciskając palcem spust. Huknął strzał, a siła odrzutu kolby rozłupała Haroldowi kość nosa.

Teraz jednak Green nie był już w stanie pozabijać Wilsonów.

– Wychodzić! – krzyknął Harold, dławiąc się dymem. – Szybko! – Mimo iż strzelba Freda upadła obok, żaden z nich nie pomyślał, by po nią sięgnąć. – Lucille! – zawołał. – Pomóż im! – Z trudem łapał powietrze. – Pomóż...

Nie odpowiedziała.

Rozpoznając głos Harolda w huku ognia, Connie wybiegła z dziećmi z domu. Wszyscy okryli się kocem, który w ostatniej chwili, nim jeszcze dom stanął w płomieniach, zdążyła zmoczyć. Zachłystując się świeżym powietrzem, dzieci zaczęły kaszleć, ale ona zmusiła je do biegu. Chciała jak najszybciej minąć Freda, który leżał na ganku, wijąc się z bólu. W jego plecach tkwił rzeźnicki nóż.

– Do samochodu! – wrzasnął Harold. – Zaraz tu będą jego kumple.

Wilsonowie zbiegli po schodach, kierując się do furgonetki od strony kierowcy. Connie sprawdziła, czy w stacyjce są klucze. Były.

Miała naprawdę szczęście, że stała tam, gdzie stała, gdy huknął pierwszy strzał. Stary ford cholernie dobrze się sprawdził jako tarcza ochronna. W końcu był to rocznik 1972, wyprodukowany w tej zamierzchłej erze, kiedy włókno szklane nie uchodziło jeszcze za środek transportu, którym całe rodziny mogą bezpiecznie się przemieszczać z jednego końca świata na drugi. Dlatego właśnie Harold trzymał się swojego starego grata, bo od lat nie produkowano już aut, których nie przedziurawia nawet pociski kalibru 12/70.

Ale w odróżnieniu od Connie i jej dzieci rodzina Hargrave'ów znalazła się po stronie wystawionej na ostrzał. Lucille leżała na ziemi, w drżącym blasku pożaru obejmując Jacoba, który przylgnął do niej i zasłonił rękami uszy.

– Przestańcie strzelać, do cholery! – ryknął Harold. Był zwrócony tyłem do napastników, toteż uznał za wielce prawdopodobne, że go nie usłyszą. A gdyby nawet mieli usłyszeć, z równym prawdopodobieństwem mogli nie posłuchać. Osłonił własnym ciałem żonę i syna, zdając się na los.

– Niech Bóg ma nas w opiece – wyszeptał po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat.

W końcu zdołał wymacać strzelbę Freda. Sięgnął po nią i choć nie miał sił, by wstać, wciąż jeszcze mógł przyciągnąć do siebie uwagę. Usiadł z rozstawionymi nogami

i choć głowa pękała mu z bólu, a nos silnie krwawił, zdołał odciągnąć zamek strzelby, załadować naboje i oddać strzał w powietrze, wzywając do przerwania akcji.

Podczas gdy dom płonął, a Fred Green tamował koszulą krew z zadanej nożem rany, Harold usiłował przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Dosyć tego! – krzyknął, gdy ucichł odgłos wystrzału.

– Wszystko w porządku, Fred? Fred? – wołał któryś z jego kumpli. Chyba Clarence Brown.

– Nie najlepiej – jęknął. – Oberwałem nożem.

– Sam tego chciał – skwitował Harold. Płynąca z nosa krew zalewała mu usta, których nie mógł otrzeć. Rękami mokrymi od krwi nie zdołałby utrzymać strzelby, a przecież miał już na dłoniach krew Freda. – Może byście w końcu poszli do domu?

– Fred! – wrzasnął Clarence. W huku ognia doszczętnie trawiącego dom niewiele dało się słyszeć. Ze wszystkich szczelin i pęknięć murów strzelał w niebo potężny słup ciemnego dymu. – Co mamy robić, Fred?

– Connie? – zawołał Harold.

– Tu jestem! – dobiegł głos z kabiny forda. Brzmiał tak cicho, jakby tłumiała go poduszka z fotela furgonetki.

– Bierz wóz i uciekaj – rozkazał, nie spuszczając oczu z ludzi Freda i ich strzelb.

Chwilę później rozległ się warkot silnika.

– A co z wami? – krzyknęła.

– Nie martw się, damy sobie radę.

Nie oglądając się w tył i nic więcej nie mówiąc, odjechała w ciemną noc z dziećmi i martwym mężem.

– Dobrze – powiedział miękko Harold. – Bardzo dobrze. – Chciał jeszcze dodać, żeby uważali na ciało Jima, ale wydawało się to oczywiste. Tymczasem ból złamanej kości nosa znacznie się nasilił, a żar bijący od płonącego domu stał się nie do wytrzymania. Ciężko dysząc, otarł wierzchem dłoni krew z ust.

Clarence i jego kumple widzieli odjeżdżającego forda, ale celowali w Harolda. Gdyby Fred wydał inny rozkaz, postąpiliby zgodnie z nim. Ale ich przywódca milczał, z trudem gramoląc się na nogi.

Widząc to, Harold wymierzył w niego lufę.

– Niech cię szlag! – Green spojrzał na niego wzrokiem, w którym malowała się żądza odwetu.

– Chciałbyś, co? – Hargrave opuścił strzelbę na wysokość jego szyi. – Lucille! – zawołał. – Jacob?

Oboje leżeli bez ruchu, przypominając krągłe, gładkie wzniesienie, gdyż Lucille okryła syna własnym ciałem.

Chciał jeszcze coś powiedzieć. Coś, co mogłoby nadać temu wszystkiemu jakiś sens, nawet jeśli było już za późno. Ale płuca odmówiły współpracy. Czuł, jak rozsada je hamowany przez cały czas, ostry niczym brzytwa kaszel, jak rozrasta się w nich ciemne jądro bólu.

– Spłoniesz razem z domem – wysyczał Fred.

Żar ognia zaczynał już parzyć. Harold wiedział, że musi się ruszyć, jeśli chce żyć, lecz przekłety kaszel czekał tylko na to, by wybuchnąć w końcu grzmiącą salwą i nieprzytomnego rzucić go na ziemię.

Ale co stanie się z Jacobem?

– Lucille! – zawołał ponownie, ale i tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Pomyślał, że gdyby usłyszał jej głos, mógłby jeszcze uwierzyć, iż wszystko się ułoży. – Wynoś się – powiedział i dźgnął Freda końcem lufy.

Ten zrozumiał, że nie czas na żarty, i powoli zaczął się wycofywać.

Tymczasem Harold próbował się podnieść, lecz jęknął, gdyż całym jego ciałem szarpnął ostry ból.

– Jestem, tato. – Nagle stanął nad nim Jacob i pomógł mu się dźwignąć.

– Gdzie mama? – wyszeptał do syna. – Wszystko w porządku?

– Nie. – Chłopiec pokręcił głową.

Harold nie spuszczał Freda z celownika, osłaniając jednocześnie Jacoba, na wypadek gdyby Clarence i reszta chłopców z ciężarówek znów kwapili się do strzelaniny.

– Lucille! – krzyknął.

A potem wszyscy – Jacob, Harold ze strzelbą Freda i sam Fred – potykając się, zeszli z ganku na podwórze. Fred zataczał się skulony, obejmując rękami brzuch, Harold natomiast szedł bokiem jak krab, cały czas osłaniając Jacoba.

Gdy znaleźli się w pewnej odległości od szalejącego ognia, opuścił broń.

– Chyba na tym koniec. – Strzelba, z której mierzył, upadła na ziemię. Nie dlatego jednak, że ją rzucił, lecz dlatego, że kaszel – wraz z cholernym, nieustępliwym bólem, który przeszył mu pierś – wyrwał się w końcu z płuc. Ostrze bólu cięło niczym brzytwa, sięgając w głąb trzewi. Przed oczami zatańczyły mu małe świetlne punkty. Rozpętały się błyskawice i rozbrzmiały salwy kaszlu, z których każda rozdzierała go na strzępy. Nie miał nawet siły, by kłąć. Choć nic nie przyniosłoby mu większej ulgi.

Fred schylił się i podniósł strzelbę. Odciągnął zamek, by sprawdzić, czy jest

załadowana.

– Sam się o to prosiłeś – warknął.

– Pozwól temu dziecku pozostać cudem – wychrypiał Harold.

Śmierć była obok. Czekał.

– Nie wiem, dlaczego nie wróciła – odezwał się nagle chłopięcy głos. Obaj mężczyźni gwałtownie zamrugali, jak gdyby Jacob pojawił się znienacka. – Pamiętam pana żonę. – Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na Freda. – Była piękna i pięknie śpiewała. – Buzia ośmiolatka zarumieniła się pod grzywą opadających na czoło kasztanowych włosów. – Lubilem ją – powiedział. – Pana też lubilem, panie Green. Dał mi pan wiatrówkę, a ona obiecała, że nim pójdziecie do domu, zaśpiewa na moich urodzinach. – W blasku pożaru oświetlającym jego twarz wydawało się, że nagle zalśniły mu oczy. – Nie wiem, czemu nie powróciła tak jak ja. – Pokręcił głową. – Czasem ludzie odchodzą i już nie wracają.

Fred wciągnął głęboki oddech i zatrzymał go w płucach. Całe jego ciało stężało, jak gdyby ten oddech miał rozsadzić mu pierś, jak gdyby był ostatni i zawarł w sobie wszystko. A potem wydał dziwny, zdławiony dźwięk. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz i nagle zapłakał, stojąc naprzeciw chłopca, który cudem powrócił na ziemię, lecz nie przyprowadził z sobą jego żony.

Osunął się na kolana, niezdarny i bezwładny.

– Odejdź. No już... już idź – wykrztusił. – Zostaw mnie, Jacobie. Daj mi żyć.

Potem słyhać już było tylko trzaski gasnącego pożaru i łkanie Freda. A także świszczący oddech Harolda w potężnej chmurze dymu, która rozprzestrzeniła się coraz dalej, by w końcu rozpląnąć się w ciemnościach nocy.

Patrzyła w niebo. Kątem oka widziała przesuwający się w górze księżyc. Może ją opuszczał, a może prowadził? Nie wiedziała.

Harold podszedł do niej i ukląkł. Ziemia była tak miękka, że wsiąkająca w nią krew wydawała się mniej czerwona. Pomyślał o tym z dziwnym uczuciem ulgi. W widmowym blasku pożaru wyglądała na zwykłą ciemną plamę, a on próbował wyobrazić sobie, że naprawdę nią jest.

– Lucille – wyszeptał z ustami przy uchu żony.

Oddychała, lecz z trudem.

– Gdzie Jacob?... – spytała z wysiłkiem.

– Jest tutaj – uspokoił ją.

Próbowała skinąć głową, lecz nie otworzyła oczu.

Harold otarł twarz, uświadamiając sobie nagle, jak musi wyglądać, umazany we

krwi, sadzy i brudzie.

– Mamo! – zawołał Jacob.

Uniosła powieki.

– Tak, synku? – W jej płucach rozległ się cichy szmer.

– Wszystko będzie dobrze. – Chłopiec nachylił się i pocałował ją w policzek. A potem ułożył się obok i wtulił głowę w jej ramię, jakby nie umierała, tylko drzemała pod gwiazdami.

Uśmiechnęła się.

– Tak, dobrze.

Harold zmrużył oczy, które coraz bardziej go piekły.

– No widzisz, kobieto – mruknął. – Zawsze mówiłem, że ludzie są diabła warci.

Wciąż się uśmiechała.

Jej słowa zabrzmiały tak niewyraźnie, że z trudem je zrozumiał.

– Jesteś pesymistą.

– Jestem realistą.

– Mizantrop.

– Baptystka.

Dźwięk, który dobieł się z jej ust, przypominał cichy śmiech. Ta chwila trwała długo. Tak długo, aż skończył się czas. Teraz jednak byli we troje, nierozzerwalnie połączeni, tak jak przed wielu, wielu laty.

Harold ścisnął jej dłoń, a Jacob wyszeptał:

– Kocham cię, mamo.

Lucille usłyszała słowa syna. A potem odeszła.

Jacob Hargrave

W chwilach, które nastąpiły po śmierci matki, nie był pewien, czy powiedział to, co należy. Miał nadzieję, że tak. A w każdym razie, że to wystarczyło. Mama zawsze wiedziała, co powiedzieć. Znała magię słów. I tajemnice snów.

Kłęcząc przy niej w gasnącej łunie pożaru, myślał o tym, jak było kiedyś, zanim jeszcze poszedł nad tę rzekę. Zdarzało się, że ojciec wyjeżdżał na kilka dni do pracy, zostawiając ich tylko we dwoje. Dobrze pamiętał ten czas. Była wtedy smutniejsza, wiedział o tym, ale jakaś jego częśćka z radością czekała na to, by być tylko z nią. Rankiem zasiadali naprzeciw siebie przy kuchennym stole, rozmawiając o snach i

znakach, a także o tym, co przyniesie dzień. Podczas gdy Jacob, budząc się, zupełnie nie pamiętał, co śniło mu się w nocy, matka potrafiła wszystko odtworzyć z najmniejszymi szczegółami. Jej sny zawsze tchnęły magią. Były w nich niewyobrażalnie wysokie góry, zwierzęta, które mówiły ludzkim głosem, i różnobarwne wschody księżyca.

Każdy sen miał dla niej ukryte znaczenie. Góry zapowiadały przeciwieństwa, mówiące zwierzęta – wizytę starych przyjaciół, a zmienne barwy księżyca – nastroj nadchodzących dni.

Jacob uwielbiał słuchać, gdy objaśniała mu te tajemnicze sprawy. Szczególnie dobrze pamiętał jeden z poranków. Wiatr szeleścił wtedy w liściach dębu przed domem, a przez koronę drzewa zerkąło słońce. Wspólnie przygotowywali śniadanie. On pilnował bekonu i skwierczących na kuchni kielbasek, a ona smażyła jajka i małe naleśniki, jednocześnie opowiadając swój sen.

Otóż, nie wiedząc czemu, wybrała się sama nad rzekę. Gdy dotarła na brzeg, powierzchnia wody była gładka jak szkło i skąpana w błękitach.

– Takim, jaki czasem widać na obrazach olejnych, które zbyt długo leżą na wilgotnym strychu – wyjaśniła. A potem przerwała i spojrzała na Jacoba. Siedzieli teraz przy stole i zaczęli śniadanie. – Czy wiesz, co mam na myśli, synku?

Skinął, choć nie był pewien, o co jej dokładnie chodziło.

– To taki błękit, który bardziej czujesz, niż widzisz – powiedziała. – A gdy tam stałam, usłyszałam nagle muzykę. Dobiegała z oddali, znad rzeki.

– Jaka to była muzyka? – spytał. Przejęty jej opowieścią, prawie nie jadł.

Lucille przez chwilę myślała.

– Trudno ją opisać – odparła w końcu. – Brzmiała jak w operze. Jakby ktoś śpiewał gdzieś w oddali pośród rozległej przestrzeni pól. – Zamknęła oczy i wstrzymała oddech, usiłując odtworzyć w pamięci ten cudowny dźwięk. Po chwili uniosła powieki oszołomiona i szczęśliwa. – To była po prostu muzyka. Czysta muzyka.

Jacob pokiwał głową. Potem poruszył się na krześle i podrapał w ucho.

– I co dalej?

– Szłam wzdłuż rzeki długo, wydawało mi się, że całe kilometry – ciągnęła. – Jej brzegi wręcz kipiały od orchidei, przepięknych i delikatnych, zupełnie niepodobnych do tego, co rośnie wokół nas. Nigdy, w żadnej z książek, nie widziałam tak pięknych kwiatów.

Odłożył widelec i odsunął talerz, a po chwili położył łokcie na stole i oparł brodę na dłoniach. Włosy opadły mu na oczy. Lucille wyciągnęła rękę i uśmiechając się, odsunęła je chłopcu z twarzy. – Czas na fryzjera – stwierdziła.

– I co znalazłaś, mamó?

– W końcu słońce zaczęło zachodzić – podjęła opowiadanie. – I choć przeszłam wiele kilometrów, nie zbliżyłam się ani trochę do tej muzyki. Dopiero gdy horyzont pociemniał, uświadomiłam sobie, że jej dźwięki nie płyną znad brzegu, lecz z głębi rzeki. Niczym głosy nawołujących mnie syren. Ale ja się nie bałam – powiedziała. – A wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – Zamarł, wpatrzony w jej usta.

– Bo z przeciwnej strony, bliższej lasu i orchidei na brzegu, docierały do mnie odgłosy twojej zabawy z tatą. Słyszałam wasz śmiech.

Na wzmiankę o nim i ojcu oczy chłopca zrobiły się okrągłe.

– A potem muzyka zabrzmiała głośniejsze. Może zresztą nie tyle głośniejsze, ile mocniej. Miałam wrażenie, że zanurzam się w rozkosznej, ciepłej kąpieli po ciężkim dniu pracy w ogrodzie lub odpoczywam w miękkim ciepłym łóżku. Niczego bardziej nie pragnęłam, niż podążyć za tym dźwiękiem.

– A ja wciąż bawiłem się z tatą?

– Tak – odparła z westchnieniem. – I obaj też zachowywaliście się coraz głośniejsze. Jakbyście chcieli zagłuszyć dźwięk rzeki, zwrócić na siebie uwagę i przywołać mnie z powrotem. – Wzdrygnęła się. – Muszę przyznać, że w pewnej chwili nie wiedziałam, w którą stronę pójść.

– No i co wybrałaś? Skąd wiedziałaś, co zrobić?

Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego dłoń.

– Poszłam za głosem serca – powiedziała. – Obróciłam się i ruszyłam w waszą stronę. I wtedy, w jednej chwili, muzyka rzeki straciła swe słodkie brzmienie. Bo nic nie brzmi tak słodko, jak śmiech mojego syna i męża.

Jacob się zaczerwienił.

– Och... – Jego głos odpłynął gdzieś w dal. Wraz z końcem opowiadania czar przysnął. – Masz niesamowite sny – odezwał się po krótkiej przerwie.

Dokończyli śniadanie w milczeniu. Tylko Jacob od czasu do czasu zerkał przez stół, zachwycony i zadziwiony tą magiczną i tajemniczą istotą, którą była jego matka.

Gdy klęczał przy niej w ostatnich chwilach jej życia, zastanawiał się, co myślała. Co sądziła o wydarzeniach, które zmieniły świat. O tym wszystkim, co sprawiło, że teraz umierała w blasku pożaru trawiącego jej dom na tej samej ziemi, gdzie wychowała syna i przez lata kochała męża. Pragnął jej opowiedzieć, jak to się stało, że mógł powrócić po tylu, tylu latach. Chciał zrobić dla niej to, co dawniej – w te spokojne

poranki, które spędzali we dwoje – robiła dla niego ona. Wyjaśnić wszystkie sprawy cudowne i tajemnicze.

Ale zabrakło im czasu, jak zwykle w życiu bywa. A poza tym nie wiedział, jak mogło do tego dojść. Wiedział tylko tyle, że wszystkich ogarnął lęk, nikt bowiem nie mógł pojąć tego, co się stało. Zmarli wracali na ziemię, a świat zamarł w grozie i zdumieniu. Trudno było odczytać w tym sens.

Pamiętał, jak agent Bellamy wciąż mu zadawał pytanie, czy cokolwiek sobie przypomina. Czy potrafi opisać, co się z nim działo, zanim jeszcze obudził się w Chinach.

Ale on zachował w pamięci tylko daleki, kojący dźwięk, który brzmiał jak muzyka. Było to wspomnienie tak ulotne, że nie wiedział nawet, czy rzeczywiste. Od chwili swego powrotu słyszał tę muzykę nieustannie – dźwięki, które nawoływały. Zastanawiał się, czy to samo jego matka słyszała we śnie. I czy teraz, gdy odeszła, nadal słyszy ten kruchy, delikatny dźwięk, który rozbrzmiewa czasem w radosnym śmiechu szczęśliwej rodziny.

Pewien był tylko tego, że jest przy niej i że, nade wszystko, nie chce, by się bała, gdy zamknie oczy, a czas, który został im dany, dobiegnie końca.

– Teraz znów żyję – chciał powiedzieć, gdy umierała, ale widział, że już się nie boi. W końcu wyszeptał tylko: „Kocham cię, mamó”. I nic nie było ważniejsze.

A potem zapłakał razem z ojcem.

Epilog

Stary ford szarpał w tył i w przód, podskakując na szosie. Silnik krztusił się i dławiał, a hamulce piszczały. Każdy skręt kierownicy wprawiał furgonetkę w dygot. Ale wciąż się nie poddawała.

– Jeszcze kilka kilometrów. – Harold mocował się z kierownicą, wchodząc w zakręt.

Jacob w milczeniu patrzył przez okno.

– Bogu dzięki, że wyszliśmy z tego kościoła – oznajmił jego ojciec. – Jeszcze trochę, a przysięgam, że się nawrócę... albo zacznę do wszystkich strzelać. – Zachichotał pod nosem. – Może jedno prowadzi do drugiego?

Chłopiec się nie odzywał.

Byli już niemal w domu. Furgonetka wtoczyła się na gruntową drogę, plując błękitnym dymem. Harold najchętniej złożyłby kondycję wozu na karb niedawnej strzelaniny, ale nie odpowiadało to prawdzie. Ford był już stary, sterany i w każdej chwili mógł odmówić posłuszeństwa. Miał na liczniku zbyt wiele kilometrów. Jak to możliwe – zastanawiał się Harold – że Lucille przez tyle miesięcy dawała sobie z nim radę, a Connie zdołała nim uciec? Gdyby mógł, przeprosiłby ją za to. Ale Connie i dzieci znikli. Nikt nie widział ich od tamtej nocy, gdy umarła Lucille. Furgonetkę znaleziono nazajutrz przy autostradzie międzystanowej. Stała pod dziwnym kątem, jakby nie pozostawił jej tam kierowca, lecz zatrzymała się siłą bezwładu.

Wilsonowie zniknęli tak nagle, jakby rozplynęli się w powietrzu. Co nie było rzadkością w ostatnim czasie.

– Wkrótce wszystko tu będzie wyglądać inaczej – oznajmił Harold, gdy w końcu wjechali na podwórze.

W miejscu, gdzie ongiś był dom, stała tylko szkieletowa konstrukcja z drewna. Ale fundamenty przetrwały. Kiedy wpłynął zwrot z ubezpieczenia i mógł już nająć ludzi do budowy, okazało się, że można je zachować niemal w całości.

– Będzie taki, jak był – zapowiedział. Zatrzymał się przy końcu podjazdu i wyłączył silnik. Stary ford zgrzytnął i ucichł.

Jacob nadal milczał, idąc za Haroldem przez zakurzony podjazd. Był już październik. Parne upały skończyły się wraz z latem. Pomyślał, że od śmierci matki ojciec wydaje się bardzo stary i zmęczony, choć robił wszystko, co mógł, by temu zaprzeczyć.

Pochowali Lucille pod dębem, który rósł przed domem, naprzeciw ganku.

Powinna była spocząć na kościelnym cmentarzu, ale Harold pragnął mieć ją blisko siebie i wierzył, że mu to wybaczy.

Obaj stanęli nad grobem. Starzec przykucnął, przegrabił palcami ziemię, a potem wymamrotał coś pod nosem i wstał.

Jacob nie ruszył się z miejsca.

Budowa posuwała się w niezłym tempie. Z konstrukcji zaczęły się już wyłaniać zarysy kuchni, salonu i sypialni na piętrze. Drewniane belki były nowe, ale fundamenty te same co dawniej.

Nie wszystko będzie wyglądać tak, jak dawniej, powiedział kiedyś Harold do syna. Ale będzie takie, jakie powinno być.

Zostawił chłopca nad grobem, a sam ruszył w stronę rumowiska na tyłach budowy. Pożar strawił wszystko. Pozostały tylko zwęglone resztki dobytku. Robotnicy budowlani chcieli je wywieźć, ale ich powstrzymał. Niemal codziennie tu przychodził i grzebał wśród popiołów. Nie wiedział, czego szuka, czuł jednak, że natychmiast rozpozna ten przedmiot w chwili, gdy go znajdzie.

Tyle że pomimo upływu dwu miesięcy wciąż go nie znajdował. Ale przynajmniej przestał palić.

Minęła już godzina, a on nie przestawał grzebać w popiele. Jacob spędził cały ten czas na grobie Lucille, siedząc w trawie z brodą wsuniętą między podkurczone kolana. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy nadjechał Bellamy. Nie odezwał się też, gdy ten przeszedł obok, pozdrowił go i nie zatrzymując się, ruszył dalej. Agent wiedział, że chłopiec nie odpowie. Ostatnio było tak zawsze, ilekroć ich odwiedzał.

Staął nad zgliszczami.

– Znalazłeś coś? – spytał.

Harold wstał z klęczek i pokręcił głową.

– Mogę pomóc?

– Najpierw chciałbym wiedzieć, czego szukam – mruknął.

– Znam to uczucie – rzekł Bellamy. – Zawsze mnie dopada, gdy oglądam fotografie z dzieciństwa.

Harold chrząknął i spojrzał na niego pytająco.

– Oni wciąż nie potrafią znaleźć w tym sensu ani przyczyny. – Bellamy niewiele miał do powiedzenia.

– Oczywiście, że nie potrafią. – Starzec podniósł wzrok w niebo. Błękitne. Bezkresne. Spokojne.

Wytarł ubrudzone sadzą dłonie w nogawki.

– Słyszałem, że to było zapalenie płuc?

– Tak. – Bellamy opuścił głowę. – Jak za pierwszym razem. Odeszła spokojnie. Jak poprzednio.

– Czy zawsze tak jest?

– Nie. – Agent poprawił krawat.

Harold zauważył, że znów jest ubrany bez zarzutu. Wciąż nie rozumiał, jak ten człowiek mógł przez całe lato nosić te swoje cholerne garnitury i zawsze wyglądać jak spod igły. Musiał jednak przyznać, że pod koniec nieco się zaniedbał. Teraz krawat układał się idealnie, a starannie odprasowany garnitur był nieskazitelnie czysty. Wszystko zaczyna wracać do starego porządku, pomyślał z ulgą.

– Ale tym razem tak się złożyło – dokończył Bellamy.

Harold milczał.

– A jak tam w kościele? – Agent okrążył rumowisko.

– W porządku. – Harold ponownie przykucnął i zaczął grzebać w popiele.

– Słyszę, że pastor wrócił.

– Na to wygląda. Razem z żoną chcą adoptować jakieś dziecko. Żeby stać się w końcu prawdziwą rodziną – skonstatował. Bolały go już nogi, więc zmienił pozycję. Przestał kucac i ukląkł, grzęznąc w sadzy. Tak samo jak dzień wcześniej i przez wiele poprzednich dni.

Bellamy spojrział na Jacoba, który nadal siedział przy grobie matki.

– Przykro mi, że tak się stało. – W jego głosie brzmiał szczery smutek.

– Nie z twojej winy.

– Co nie znaczy, że nie może być mi przykro.

– Myślę, że w takim razie i ja powinienem powiedzieć, że jest mi przykro – oświadczył Harold.

– Z jakiego powodu?

– Z każdego.

Bellamy pokiwał głową, wciąż patrząc na Jacoba.

– On wkrótce odejdzie.

– Wiem. – Harold nie odrywał wzroku od zgliszcz.

– Najpierw wydają się jacyś nieobecni, tak jak on. W każdym razie takie obserwacje poczyniło Biuro. Ale nie jest to regułą. Czasem po prostu znikają ni stąd, ni zowąd, ale zazwyczaj, nim to nastąpi, milkną i zamykają się w sobie.

– Tak mówią w telewizji. – Tkwił po łokcie w pogorzeliisku. Jego ręce były szaroczarne.

– Jeśli miałyby to stanowić jakąś pociechę – podjął Bellamy – to zazwyczaj można ich potem znaleźć we własnych grobach. Powracają tam... cokolwiek miałyby to znaczyć.

Harold nie odpowiadał. Jego ręce poruszały się automatycznie, jakby coraz bliższe tego, czego tak uparcie szukał. Nie ustawał, choć raniły go gwoździe i drzazgi.

Bellamy nie spuszczał z niego wzroku. Wydawało mu się, że trwa to już bardzo długo.

W końcu zdjął marynarkę, ukląkł wśród popiołów i zanurzył w nich ręce. Nie odzywając się ani słowem, grzebali wśród zgliszcz, szukając nie wiadomo czego.

Gdy Harold w końcu je wymacał, natychmiast zrozumiał, dlaczego tak szukał tego małego, metalowego pudełeczka, które poczerniało od ognia i sadzy. Ręce zaczęły mu drżeć.

Po zachodniej stronie słońce kryło się za horyzont. Było coraz chłodniej. Wszystko zapowiadało wczesną zimą.

Otworzył pudełko i wyjął z niego list napisany przez Lucille. Na dłoń zsunął mu się mały srebrny krzyżyk. Westchnął, usiłując opanować drżenie rąk. List był na pół zwęglony, ale większość słów skreślonych krągłym, eleganckim pismem dawała się odczytać.

„...świat pogrzyżył się w obłędzie? Jak ma zareagować na to matka? I co ma zrobić ojciec? Wiem, Haroldzie, że to dla ciebie zbyt wiele. Czasem myślę, że i dla mnie to zbyt wiele. Chciałabym go wtedy odesłać, tam, do tej rzeki, gdzie utonął nasz chłopiec.

Dawno temu obawiałam się, że wszystko zapomnę. A potem pragnęłam wszystko zapomnieć. Jedno było równie złe, jak drugie, ale wszystko jest lepsze niż samotność, niech mi Bóg wybaczy. Wiem, że On ma swój plan. On zawsze ma plan. I wiem, że ten plan mnie przerasta. Tak jak i ciebie, Haroldzie.

Dla ciebie to jeszcze trudniejsze. Wiem o tym. Wciąż się gdzieś natykam na ten mały krzyżyk. Tym razem znalazłam go na ganku obok twojego fotela. Pewnie zasnęłaś, trzymając go w ręku, jak ci się to zdarza. Może nawet nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Myślę, że się go boisz. Niesłusznie.

To nie stało się z twojej winy, mój drogi.

Bez względu na to, co sprawia, że lękasz się tego krzyża, nie było w tym twojej winy. Od chwili gdy Jacob poszedł do nieba, nosisz ten krzyż tak samo, jak Jezus dźwigał swój. Ale nawet On się od niego uwolnił.

Uwolnij się i ty.

A jemu pozwól odejść.

To nie jest nasz syn. Wiem o tym. Nasz syn utonął w rzece, łowiąc drobinki złota, migotliwe plamki lśniące jak ten krzyż. Zginął, bawiąc się w grę, której nauczył go ojciec. A ty nie możesz sobie tego wybaczyć. Pamiętam, jaki był szczęśliwy, gdy poszliście razem nad wodę i po powrocie opowiadał mi o tym. Ile w tym było magii... Siedzieliście na ganku, a ty mu mówiłaś, że świat jest pełen rzeczy dziwnych i tajemniczych. I że ten, kto ich szuka, zawsze je znajdzie.

Miałaś wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Był twoim pierwszym dzieckiem. Nie mogłaś wiedzieć, że w to uwierzy. Nie mogłaś wiedzieć, że pójdzie sam nad rzekę i utonie, goniąc za iluzją.

Nie wiem, skąd wzięło się to dziecko. Ten drugi Jacob. I szczerze mówiąc, nie ma to dla mnie znaczenia. Dał nam coś, na co nie mieliśmy już nadziei – szansę, by sobie przypomnieć, czym jest miłość. By się przekonać, czy wciąż jesteśmy tacy jak wtedy, gdy jako młodzi rodzice wierzyliśmy, że nic złego nie spotka naszego dziecka. Dał nam szansę, by kochać bez lęku. A także, by sobie wybaczyć.

Uwolnij się, Haroldzie.

Kochaj go. I pozwól mu odejść”.

Wszystko zasnuła mgła. Ścisnął w dłoni mały srebrny krzyżyk i się roześmiał.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się Bellamy.

Ale on ponownie się zaśmiał. Zmiał list i przycisnął go do piersi. Gdy obejrzał się, by spojrzeć na grób Lucille, zobaczył, że Jacob zniknął. Wstał i popatrzył na podwórze, lecz syna tam nie było. Nie było go również przy szkielecie domu ani przy furgonetce.

Harold przetarł oczy i obrócił się na południe w stronę lasu, przez który prowadziła droga do rzeki. Może stało się to przypadkiem, a może tak właśnie miało być? Gdy podniósł wzrok, w blasku zachodzącego słońca przez krótki ułamek chwili mignął mu zarys chłopca.

Wiele miesięcy wcześniej, nim jeszcze Przywróconych odcięto od świata i skazano na zamknięcie, powiedział żonie, że to nie skończy się dobrze. Miał rację. Teraz wiedział, że i jego dotknie cierpienie. Przez cały ten czas Lucille nie wierzyła, że Jacob jest ich dzieckiem. On natomiast miał pewność, że nim jest. Może tak było ze wszystkimi? Jedni, pograżając się w żałobie, zamykali drzwi swoich serc. Inni otwierali je na oścież, pozwalając pamięci i miłości swobodnie przez nie płynąć. Pomyślał, że tak właśnie musi być.

W końcu zdarza się to zawsze i wszędzie.

Od autora

Dwanaście lat po śmierci mojej matki niemal nie pamiętam jej głosu. Sześć lat po śmierci ojca potrafię tylko przywołać obraz ostatnich miesięcy, które prowadziły do kresu. Nie są to wspomnienia, które chciałbym zachować. Tak jednak funkcjonuje pamięć w obliczu straty. Utrwała pewne fragmenty przeszłości, podczas gdy inne całkowicie wymazuje.

Ale rzeczywistość literatury nie podlega tym prawom.

W lipcu 2010 roku przyśniła mi się matka. Było to kilka tygodni po rocznicy jej śmierci. Wróciłem do domu z pracy, a ona czekała na mnie, siedząc przy stole w jadalni. Przez cały czas trwania tego snu rozmawialiśmy z sobą. Opowiadałem jej o moich studiach i o tym, co wydarzyło się na świecie od czasu, gdy odeszła. Spytała, dlaczego jeszcze się nie ustatkowałem i nie założyłem rodziny. Nawet po śmierci próbowała mnie do tego skłonić.

Była to rozmowa między matką i synem, która, jak sądzę, może się wydarzyć tylko we śnie. Jego wspomnienie towarzyszyło mi przez długie miesiące. Zасыpiając, wciąż miałem nadzieję, że powróci. Nigdy się tak jednak nie stało.

Jakiś czas potem, jedząc z kolegą lunch, opowiedziałem mu o dręczącej mnie tęsknocie. Jak to zwykle bywa wśród starych przyjaciół, poruszaliśmy różne sprawy, żartowaliśmy z siebie, ale, ogólnie rzecz biorąc, staraliśmy się wzajemnie pokrzepić. Gdzieś pod koniec spotkania, gdy tematy stopniowo się wyczerpały, zapytał:

– Czy umiałbyś sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wróciła? Choćby na jedną noc. A gdyby się okazało, że to nie jest ona? I co, gdyby przydarzyło się to nie tylko tobie?

Tego dnia narodził się pomysł „Przywróconych”.

Czym stała się dla mnie praca nad tą książką, trudno wręcz opisać. Co dzień musiałem się zmagać z najróżniejszymi problemami – począwszy od tych z zakresu elementarnej fizyki po kwestie znacznie trudniejsze i bardziej szczegółowe. Wyłaniały się również pytania fundamentalne: skąd przyszli Przywrócenie? Kim byli? Czy stanowili byty realne? Niektóre z tych pytań nie nastęrczały trudności, inne jednak wkraczały w sferę pojęć paralizująco nieuchwytnych i doprowadziły mnie do punktu, w którym bliski byłem rezygnacji z dalszego pisania.

To, że nie dałem za wygraną, zawdzięczam postaci Martina Bellamy'ego. Zacząłem bowiem widzieć w nim siebie. Wszystko, co czarnoskóry agent mówi o śmierci swojej matki – o jej wylewie i chorobie, która po nim nastąpiła – jest opowieścią

o śmierci mojej matki. Jego uporczywy dystans do kobiety, która go urodziła, odzwierciedla moje własne próby ucieczki od bolesnych wspomnień związanych z tą, która urodziła mnie. I wreszcie jego pojednanie z nią, a także z sobą, stało się również moim udziałem.

„Przywrócenie” to dla mnie nie tylko zwykły maszynopis. To książka, która stała się także szansą, by znów móc usiąść naprzeciw matki, znów zobaczyć jej uśmiech i usłyszeć jej głos. Szansą, by towarzyszyć jej w ostatnich chwilach życia, nie unikając cierpienia, jak robiłem to w rzeczywistości.

W końcu uświadomiłem sobie, czego oczekuję po tej powieści i czym ona powinna być. Chciałem, by stała się również szansą dla moich czytelników. Pragnąłem, by odczuli to, co wtedy, w 2010 roku, odczułem w swoim śnie, i odczytali w niej własną historię. Chciałem, by stała się miejscem, gdzie za sprawą niepojętej nawet dla mnie magii twarde, bezlitosne prawo życia i śmierci przestaje obowiązywać i możemy znów spotkać tych, których kochaliśmy – miejscem, gdzie rodzice raz jeszcze mogą objąć dziecko, gdzie kochankowie odnajdą się po długiej rozłące i gdzie mały chłopiec zdoła w końcu pożegnać matkę.

Jeden z moich przyjaciół określił kiedyś tę książkę jako „rzecz poza czasem”. Myślę, że miał rację. Wierzę, że czytelnik zechce wejść w ten czas i znajdzie na tych stronach niewypowiedziane słowa i pełne sprzeczności emocje znane mu z własnego życia. Być może znajdzie tu przebaczenie. A może nawet uwolni się od ciężaru winy.

Cytaty pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, wydane przez Pallottinum (Warszawa – Poznań 2000).